TWÓRCZOŚĆ

U. T. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

6

CZERWIEC

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 6

WARSZAWA CZERWIEC 1952

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 1471 z dn. 3.5.52 r. Nakład 6.285 Druk ukończono 17.6.52. 3-B-17493

DO JANA KOCHANOWSKIEGO

Niezwykłym i nie lada piórem opatrzony
Poeto troski ludzkiej — Janie z Czarnolasu,
Strojąc do śpiewu złote swoje strony
Uniosłeś się wysoko ponad rzekę czasu.

O! ty umiałeś możnych tak ostro strofować
I w obronie ojczyzny smagać gniewną skargą,
Płakać ją jak córkę i wdzięcznie miłować
Rzewną lutnię twoją, którąś sercem targał.

Tobie drzewa śpiewały ubrane w listowie,
Tobie się spowiadał strumyczek przezorny,
Tobie kamień milczący i leśni ptaszkowie,
Tobie poranek rześki, Tobie chłód wieczorny.

Tobie prędkie wiatry, kwiaty rozmaite,
Tobie szelesty lipy, cichy poszum Wisły
I łaskawe pola i sady obfite
Czucie kształtowały, rzeźbiąc rym twój ścisły.

Abyś sławie służąc, myśli siebie godne
Lutnią słowiańską wypowiedział czule
I frasunkiem gorzkim, uśmiechem pogodnym
I przestrogą ludzkim wydobytą bólem.

Wdzięczni tobie wielce za ten trud ogromny,
Za twe słowo jasne, ogień niezgaszony,
Podźwigniemy w narodzie tobie piękny pomnik,
By pod stropem każdym mieszkał wiersz natchniony.

Poniesiemy twe pieśni, darowane szczodrze,
Jak z ciemnicy dobyte z mroków bibliotek.
Aby z nami żyły i mądrze i dobrze,
Aby grały orkiestry twoich prostych zwrotek.

Jan Śpiewak

ALEKSANDER MALISZEWSKI

DROGA DO CZARNOLASU

OSOBY:

Jan Kochanowski
Kacper Kochanowski } — jego bracia
Piotr Kochanowski }
Anna Kochanowska — ich siostra
Filip Kochanowski — stryj
Grzegorz Podlodowski — starosta radomski
Dorota Podlodowska — jego siostra
Wojewoda
Hanna — jego córka
Andrzej Patrycy Nidecki — sekretarz królewski
Pierwszy }
Drugi } — panowie szlachta, deputaci na sejm
Trzeci }
Gąska — gospodarz zajazdu „Pod Zamkiem"

Rzecz dzieje się w połowie szesnastego stulecia:
akt pierwszy — w Sycynie,
akt drugi — w Piotrkowie,
akt trzeci — w Warszawie.

AKT PIERWSZY

SYCYNA

Izba gościnna. Stół na krzyżakach, ławy okryte skórami, zydle. Na stole — papiery, przybory do pisania. Na ścianach — kobierce, trofea myśliwskie broń. Na wprost — okno otwarte, widok sadu, malwy zaglądają. Po prawej — drzwi wejściowe i okno na dziedziniec. Z lewej — drzwi wewnętrzne

Filip Kochanowski, wychylony przez okno na dziedziniec.

FILIP: *(zły, z żywą gestykulacją)*
A będziesz mi, psi synu, rozsypywał owies!
Gdzie masz łapy?! A chwyćże go za uździenicę!
Trzym przy pysku! a mocno! Święci patronowie!
Łeb ci chamie rozbiję jak starą donicę!
Trzym go mocno!.. Zabiję, jak mi Bóg na niebie!..
Trzym go, mówię!

ANNA: *(wchodzi, niesie dzban, kubki — pogodnie)*
Oh, stryju, co się tutaj dzieje?

FILIP: Koń się spłoszył!
Niech Ania lepiej się nie śmieje...

ANNA: *(ustawia dzban, kubki na stole)*
Koń się spłoszył, bo pewno koń się lęka ciebie...
FILIP: *(aż podskoczył)*
Mnie się lęka?! Waćpanna mi tutaj z fraszkami!
Powiem Ani — już lepiej nie czyń ze mną wojny.
(krzyczy)
Mój kary mnie się lęka! Panno nad pannami!
ANNA: Odejdź, stryju, od okna.
(odprowadza go i pokazuje)
Patrz-widzisz? — Spokojny.
Wasza miłość nie wierzy, a jest nie inaczej...
Bo im głośniej stryj krzyczy, tym wyżej koń skacze.
FILIP: Byle co mi, waćpanna, pleciesz — ani słowa...
ANNA: Prędziutko słowa lecą — ot i złość gotowa...
O, ja się złości strzegę, bo mi nie do twarzy,
a białogłowy prawo jest być urodziwą.
Niechże stryj się uśmiechnie. O!
— Przyniesłam piwo...
(nalewa do kubka)
Pod źródłem stało w dzbanie. Zimne! Więc się zdarzy...
Będzie w upał do smaku, bo aż w zęby parzy.
(Filip powoli pije)
Panom braciom przez gońce rozesłałem znaki,
by rychle do dom biegli na stryja witanie.
Kacper od rana w młynie, bo stawiają kamień —
to i roboty pełno ma nie lada jakiej.
Piotr za Lamusem, w polu, bo to już i pora
okiem rzucić — co w ugór, a co trza zaorać.
FILIP: *(odstawił kubek)*
A Jan?
ANNA: *(przy oknie)*
Jak lasy pachną!.. Pewno deszcz upadnie...
Ziemia czeka spragniona — będzie rosło ładniej.
FILIP: A Jan?
ANNA: O, jeno ciągle kroki jego słyszę.
Gniewny jest i przystępu do siebie nie daje.
Myśli, myśli i myśli, albo w księdze pisze...
Już bywało, że owszem głośno na mnie krzyczał.
Coś ważnego układa...
FILIP: Eh, jakieś ambaje!
Mówię Ani — zajęcie niegodne szlachcica.
ANNA: O, stryju...
FILIP: Wiem, co mówię — ambaje!
ANNA: A przecież...
FILIP: Zawsze Ania mi staje naprzeciw — to powiem...
ANNA: Stryj dobrodziej wybaczy...
(pauza)

Wczoraj na przedwieczerz
gość przyjechał do Jana... w drodze do Krakowa.
Pismo od Nideckiego przywiózł.

FILIP: To rzecz nowa.

ANNA: I ani chybi ważna, bo głowa przy głowie
całą noc przesiedzieli na tajnej rozmowie.
A kiedy świt rozjaśnił drogę od Sycyny,
Jan gościa odprowadzał aż do Męki Pańskiej.
Teraz śpi. Zaglądałam. Mocno, owszem, drzymie,
bo nie słychać, jak tylko chrapanie olbrzymie...
Czy budzić? Sama nie wiem...

FILIP: Niech mi Ania powie.
Pismo od Nideckiego... hm... nie bez przyczyny.
Wszak Nidecki — sekretarz Króla Jegomości.
Co mówił Jan, nim zasnął, jakie są nowiny?

ANNA: Nic nie mówił. Gdy z gościem na górce w cichości
jakieś rajce prowadził — trwało godzin parę,
więc chociaż to nieładnie, zajrzałam przez szparę —
Siedzieli i śpiewali...

FILIP: Śpiewali? — Co Ania?
Jakiż to mógł być powód onego śpiewania?

ANNA: Ja nie wiem... No, śpiewali... O jakiejś dziewczynie.
Obaj... nie prawie cudnie... Jak zwykle przy winie.

FILIP: Co mi waćpanna bajesz?

ANNA: Mówię prawdę całą.

FILIP: Mówienie takiej prawdy na licha się zdało.

(tętent za oknem)

ANNA: *(biegnie do drzwi)*
Kacper.

FILIP: *(podnosi się)*
Kacper...

KACPER: *(wchodzi, pochyla się do kolan Filipa)*
O, witam, stryja dobrodzieja!
Ano — rychłom do domu powrócić się starał.

FILIP: Nie szedł Tatar do króla — szedł król do Tatara...

KACPER: Ano — jako stryj łaskaw... Ludzie o tym wiedzą:
nieraz bliżej kraj obcy niż staje za miedzą.

FILIP: Jeśli sercem nie idziesz — to i droga duża.

KACPER: Chwała Bogu, stryj pięknie wygląda... jak róża!

(siadają po obydwu stronach stołu — przez chwilę badają się oczami)

ANNA: To ja pójdę, Kacperku, pomóc Katarzynie.

(wychodzi)

FILIP: Urodzaj masz nad podziw.

KACPER: Chwalić Pana Boga.

FILIP: Jak ręki nie przyłożysz, to i chwalić próżnie..

KACPER: Ano — jak to na roli, stryj wie, bywa różnie...

FILIP: Jeno deszczu za skąpo, zima będzie sroga...
(pauza)
Słyszę — jeden się zwija, siejąc siódme poty,
a drugi piórem skrzypi — miast się jąć roboty.
KACPER: Ano — każdy przy swojem, komu jak ochota —
to i raźniej swawola... raźniej i robota.
FILIP: *(próbuje inaczej)*
Między drogą a lasem, jak na Zwoleń droga,
patrzę — dwa chłopskie łany z pszenicą jak słońce,
a niżej — kawał ziemi — krzak się w krzaku plącze —
Myślę — to twoje, Kacper... źle jest, bój się Boga!
Owa — patrzę i patrzę, z myślami się biedzę...
Ano — widzę, że racja, że tak być nie może.
Pańskie — tu, gdzie pszenica, a chłopskie — w ugorze.
Zmyślne chamy, powiadam, przeniesły ci miedzę.
KACPER: Przeniesły?
FILIP: A przeniesły!.. Podjechał z wieczora —
pługiem raz-dwa obtoczył i stare zaorał,
rychło trawa porosła i nie poznać zali
niedzielę temu, albo sto lat, jak orali.
KACPER: Mogli przenieść...
FILIP: Przenieśli, jak mi Bóg na niebie!
Chłopu się nigdy taka nie zdarzy pszenica,
bo to ziarno szlacheckie, bo w szlacheckim chlebie.
Nikomu tak nie rośnie jako dla szlachcica!
Trza, Kacperku, odebrać, dopóki nie zżęli.
KACPER: Zwołam chłopów — niech miedzę ustawią, jak trzeba.
A niech się tu naprzeciw kto stanąć ośmieli!
FILIP: Jak tam będzie, to będzie, a ja bym się nie bał.
Chłop widzi, że pan słaby, to mu ku zabawie.
Nie idzie do roboty — mówi ci o prawie.
W łeb chama! W łeb, powiadam! — niechaj prawo pozna!
KACPER: W łeb chama, kiedy trzeba!
FILIP: Inaczej nie można.
(chwila milczenia)
FILIP: Owa — Kacper, jak będzie?
KACPER: Co, stryju?
FILIP: A z nami...
Dług — rzecz święta... No, Kacper, brzęknij dukatami.
KACPER: Ano — jeszcze nie pora...
FILIP: *(zerwał się)*
Jakoś rzekł? Nie pora?
Nie pytałeś czy pora, gdym sięgał do wora.
Mam rewers...
KACPER: ...A w rewersie rzecz jest opisana —
„...nie później, jako na dzień świętego Szczepana..."
FILIP: Dziś wszystko rośnie w cenie... a moja zapłata?

Dałem złoto, a tera co dzień dla mnie strata.
Jeszcze nie pora, mówi, nie było w umowie!
Na krzywdzie mojej rosną zacni bratankowie!

KACPER: *(zrywa się)*
Na jakiej krzywdzie, stryju?

FILIP: Niech waszmość policzy —
ile waszego zysku, a mojej krwawicy.
Jako zawżdy bywało, tako jest i ninie —
zawszem pomocną rękę podawał rodzinie!
Zawszeście wszyscy do mnie!

KACPER: *(trzasnął pięścią w stół)*
Siadajmy i liczmy!
Pożyczył stryj dukatów pod zastaw Policzny.
Jeśli na czas nie oddam dwakroć tyle złota —
bierze stryj wieś z kmieciami do końca żywota.
Tak było? Wasza miłość odpowiedzieć raczy!

FILIP: Było, Kacperku, było... ale jest inaczej.
(po chwili — miękko)
Trza się ugodzić, Kacper. Czasy niespokojne...
Król pono wojsko zbiera — chce ruszyć na wojnę.
O różne, różne rzeczy powiadają wszędzie —
Bóg jeden raczy wiedzieć, co będzie, jak będzie
i czy szczęśliwa chwila rychło do nas dotrze...

(wchodzi Piotr)

PIOTR: *(uśmiechnięty)*
Witam stryja!

FILIP: O, dobrze, żeś przyjechał, Piotrze!
My tu właśnie o zgodzie.

PIOTR: *(pogodnie)*
O zgodzie przy miodzie?!
(zajrzał do dzbanka)
Ejże, widzę waszmościom z tą zgodą coś cienko —
był trunek na frasunek — widzę suche denko.
Trza by zmoczyć...

KACPER: Poniechaj...

PIOTR: *(zrozumiał)*
U-huu...

FILIP: Tandem tedy —
trza w zgodzie, byśmy sobie nie skroili biedy.

KACPER: A jakby stryj to widział?

FILIP: Marna twoja sprawa —
bo dwa razy ten bierze, kto raz mądrze dawa.
Choćbyś, Kacperku, wszystek pot wypocił z czoła —
nie zbierzesz tyle złota i oddać nie zdołasz.
Choćbyś ręce urobił, nie dospał, nie dojadł —
próżno, Kacper. Policzna jest moja. Tak, moja!

(Kacper chodzi podniecony, Piotr spokojnie stoi przy oknie i przygląda się Filipowi. Po chwili Filip zaczyna się śmiać)

FILIP: *(spojrzał w okno — poważnieje)*
Zerwał jabłko!
(pokazuje za okno z narastającą falą irytacji)
I wącha!
(obracając się do Piotra i Kacpra)
Wącha jabłko!
Śpiewa!
(wychyla się przez okno)
Hejże, Janie! Nie słyszy... Gdzie się waść podziewa?!
Patrzcie... no, patrzcie. Księgę oparł o pień drzewa
i czyta, a my tutaj... O, słyszycie? — Śpiewa.
(Rozsunął malwy za oknem na wprost, wychylił się)

PIOTR: Ania! Ania! Co robisz?

ANNA: *(słychać jej głos z ogródka)*
Miód zlewam do dzbana

PIOTR: Poleć wraz do ogrodu i sprowadź tu Jana!
(nawiązując do przerwanej rozmowy)
To ładnie stryj zaczyna... niby o tej zgodzie.

FILIP: Anim ja Tatar, Turek, czy inny poganin,
ani wyzbywać myślę cię rodzinnych włości,
nie nowość dla mnie złoto, ani żądam danin —
przecieżem swój, my przecie z jednej krwi i kości.
Wilkiem na mnie już nie patrz, bo ja sercem całem
dla ciebie. A nie wierzysz, to ci je otworzę.
Nieraz patrząc w tę naszą umowę, myślałem,
że to niehonor wielki, że tak być nie może,
bym wziął od ciebie dwakroć tyle, ile dałem.
Nie wezmę, jak Bóg miły! Nie wezmę za rany!
Ileś brał, tyle oddasz, Kacperku kochany —
jeno dziś... Abo summa dziś w rękę mi dana
stokroć więcej mi waży niźli na Szczepana.
No i jeszcze z kmieciami dwa łany mi dodasz,
pojedziem do Radomia, zapiszem — i zgoda!

KACPER: Jakie znowu dwa łany? O czem, stryju, mowa?

PIOTR: Ano — łany, jak łany — a sama myśl zdrowa

FILIP: Trzeba, synku, inaczej... Trza, abyś to pojął...
(bije się w piersi)
Nie będziesz stał, jak pogan na tę krzywdę moją!
Gdybym komu innemu złoto puścił w tany —
to więcej bym wycisnął niż na te dwa łany.

PIOTR: Myślę, Kacper, że przeciw nie ma stawać po co,
a owszem — jak trza pomóc, to i wyjść z pomocą,
bo to swój, a nie obcy... O, tyle ci powiem.

KACPER: Niewiela...

PIOTR: Mądrej głowie — ano — dość dwie słowie.
(wskazuje na Filipa)
Jeno popatrz na stryja! Jak mi Bóg na niebie —
to człowiek, który w nagłej nalazł się potrzebie.
Wiem, stryju, co cię męczy. Wiem, jakie termina,
jaka jest niepokojów, może łez, przyczyna.
Ale przecie — my swoi, to i zdrowia szkoda.
Nie będziem z protestacją włóczyć się po grodach...

FILIP: O czem byś mówił, Pietrze?

PIOTR: Będzie temu dni parę, jak minął rok trzeci
od śmierci matki naszej — jakże ten czas leci!
Pamiętam — ileś wtedy subiekcyj dołożył,
jakżeś często i długo siedział przy jej łożu,
by chorej siły dodać na bolów przetrwanie...

FILIP: O, wieczne spoczywanie raczże jej dać, Panie!
Ile razy ją spomnę — zawsze łza u powiek —
Świeć, Panie, nad jej duszą, to był święty człowiek!
Co dzień modlę się za nią...

PIOTR: Tego właśnie czasu —
a w dzień śmierci to było — stryj pamiętać łaskaw —
dała matka stryjowi pożyczkę pod zastaw.
(Filip kręci głową)
Stryj tego nie pamięta? W zastaw Czarnolasu...

FILIP: Mnie?.. Pożyczkę?.. Nie dała!
(wzrusza się)
Krzywda to ogromna
za moje dobre serce... za moje staranie!
Była od gorącości cała nieprzytomna —
czy to był czas ku temu... na pożyczek branie?!
W obliczu śmierci mogłem o złocie pamiętać?

PIOTR: Niechże stryj już nie płacze... ja mam dokumenta...
Znalazłem je w dni parę...

FILIP: *(z zainteresowaniem)*
Gdzie?

PIOTR: A pod posłaniem

FILIP: *(z rezygnacją)*
Niech Twoja wola, Panie, do końca się stanie...

PIOTR: Nie wezmę dwakroć tyle... Nie wezmę za rany!
Ileś brał, tyle oddasz, stryjeczku kochany...
I młyn na Grodzkiej rzece do tego nam dodasz —
pojedziem do Radomia, zapiszem — i zgoda!

FILIP: *(z pasją)*
Jaki młyn? Młyn?!! Nie mogę, no nie mogę pojąć!!!

PIOTR: Nie będziesz, jak ten pogan stał na krzywdę moją.
Gdybym złoto miał w ręku trzy lata... do ninie —
to więcej bym wykręcił niż na twoim młynie.

KACPER: Tak by było...

FILIP: O, to jest już nad moje siły!
Nie dam.
PIOTR: Ach, wasza miłość.
FILIP: Nie dam, jak Bóg miły!
Póki mój biedny duch się kołacze na ziemi.
PIOTR: Owa, stryju...
FILIP: Bodajże przestawać z obcymi!
Nie dam! A niechże waszmość zrozumie w czem bieda —
Nie dam—oto, co rzekłem — Nie dam. Nie dam! Nie dam!
(krzycząc „Nie dam!" — bije pięściami w stół)
KACPER: *(kopnął w złości stołek)*
My — protesta do grodu!
FILIP: A ot i ambaras!
A nieście, aby rychło! Aby już! A zaraz!
PIOTR: Zdążym na czas po swoje. Zaczekają sędzie.
FILIP: Na rany Chrysta, nie dam!
KACPER: Obaczym, jak będzie.
FILIP: A niech mnie psy rozerwą!
(szarpnął zapięcie przy szyi)
Duszę diabłu sprzedam!
(bije się pięściami w piersi)
Spuchnę! Skonam! A swego nie dam!
(usiadł)
Nie dam!
(zerwał się)
Nie dam!
(do okna)
Konia! Konia, a chyżo!
(do Kacpra i Piotra)
Pojmie, kto rozumny,
że rodzina ci nie da, jeno ćwiek do trumny.
(do okna)
Trzym go mocno! Przy pysku! Zatłukę! Zabiję!
(wybiegł — gwar, krzyki za sceną)
PIOTR: *(przy oknie)*
Niech mnie woda zaleje!
(wybucha śmiechem)
Koń uciekł przed stryjem!
KACPER: *(przy oknie)*
Uciekł! *(przyłącza się do śmiechu)*
PIOTR: Przez płot — i w pole!
KACPER: A ten — zły okropnie!
PIOTR: Oj, mój żywot... A niechże... a niech mnie gęś kopnie!

(Po chwili — wraca naburmuszony Filip. Za nim — Jan, niosący księgę i kilka jabłek. Jan jest na ogół pogodny, skłonny do żartu. Ma zwyczaj w chwilach podniecenia, wzruszenia, zakłopotania — trzeć dłonią i wichrzyć czuprynę. Księgę i jabłka składa na stole)

JAN: O, niechże stryj odpocznie. Nie trza zdrowia targać.
Uciekł jeden — jest drugi... bierz go, jeśli łaska.
Odpoczęła po trudach moja biała Darda —
nie klacz to — a prawdziwie wygodna kolaska.
Hurmotu, ni to krzyku nie lęka się. Niesie
równiutko — liść na stawie, gdy w ciszy spadł z drzewa —
Więcej waszmości powiem — szukać takiej w lesie —
skoczy przez płot, a jeźdźca swego nie obudzi —
ani drgnie nawet wtedy, kiedy j a zaśpiewam.

FILIP: A waszmość, słyszę, chętnie gardło swoje trudzisz...

JAN: Gdy śpiewa sowa — to śmierć gotowa.
Więc niechże się waszmość uśmiechnie —
bo, gdy ja śpiewam, to nawet sowa —
choćby najzdrowsza — a zdechnie!

(Filip roześmiał się)

FILIP: Kiep ze mnie, bo mi dotąd nie przyszło do głowy,
czemu w tych stronach nie ma ani jednej sowy.

JAN: *(wziął jabłka w obydwie dłonie i niesie do Filipa)*
Piękne latoś nad podziw —
spróbuj, patrz — jakie duże...

(Filip wziął jedno — po chwili wahania powąchał — ugryzł. Jan — patrząc w okno)

Sad w słonecznym zachodzie
czerwienieje jak róża.
Blask na jabłkach się mieni —
Spójrz na stare jabłonie...

(położył jabłka na stole — ociera dłoń o dłoń)

Słodkim sokiem tej ziemi
zwilgotniały mi dłonie.

FILIP: *(chrząknął)*
Ano — jabłko jak jabłko. Panu Bogu dzięki —
sad obrodził, że owoc sam leci do ręki...

(resztę jabłka rzucił za okno — jednym ruchem obtarł obydwie dłonie o ubranie)

JAN: *(spostrzega, że bracia nie biorą udziału w rozmowie)*
Kacper pióra nastroszył,
jak ten kogut w czas piania —
Piotr się w oknie kokosi,
zezem muchy pogania —
Wiela, mości panowie, krwie się polać musiało?!

FILIP: Każdy ostał przy swojem, to i nic się nie stało.
Szukaj choćby z gromnicą, a nie najdziesz przyczyny.
Mów nam lepiej — jak będzie? Jakieś dostał nowiny?

JAN: Nowiny?... Ano, każda splata się, jak trzeba.
Idzie świat ku lepszemu — będzie szedł i z nami.
Spędzi wiatr czarne chmury precz z polskiego nieba...
Już widać — błyska światło pomiędzy chmurami.
Będzie to szło przez ziemię od wieku do wieku...
Dziś wierzę — nie ominie i naszego domu.
Człowiek myśleć zaczyna także o człowieku —
i nie, jakby go zniszczyć — a jakby mu pomóc,
aby spojrzał przed siebie oczami jasnemi
i poznał swoje piękno śród piękna tej ziemi...

(mówił to jakby zasłuchany w siebie — teraz popatrzył na słuchających — uśmiechnął się — wie, że nie zrozumieli)

Jakie nowiny? — pytasz... A oto nowina,
co każdą inną w drodze do serca wyprzedzi: —
Górnicki dalej rzeźbi swego „Dworzanina"
słowami, które mają dźwięk i barwę miedzi.
Frycz-Modrzewski głos podniósł i, rzecz niesłychana —
dotarł głosem do tronu Króla Jegomości:
„Prawo ma być jednakie dla kmiecia i pana,
jako, że kmieć i szlachcic z jednej krwi i kości."

FILIP: Bredzisz mi tu!

KACPER: *(machnął ręką)*
Nowinki!

FILIP: Kpiny, waszmość! Kpiny!

JAN: Mówię, bo wasza miłość pyta o nowiny.
Ano — piękna nad podziw taka chwila w dziejach,
gdy naród w księgach swoich przemawiać zaczyna.

(otwiera księgę, którą przyniósł)

To jest miłości mojej największa przyczyna —
pisma imć Pana Mikołaja Reja.
Słuchajcie...

(zamierza czytać)

FILIP: Ej, tam — czekaj, toć szkoda mitręgi —
będziesz nam, wasze, czytał tutaj jakieś księgi
i w głowie tumult czynił?

JAN: *(zamyka księgę. Mówi z przekorą, z uśmiechem, bawiąc się trochę miną Filipa)*
O, chętnie w podzięce
całowałbym Rejowi spracowane ręce
za to, że głosów tyle w swej lutni pozbierał
i pierwszy grać im kazał. A oto ja tera
wiążę słowo ze słowem — rośnie kwiecia wieniec,

barwny, jak o świtaniu na wiosennej łące —
a wieńce z naszych kwiatów — najpiękniejsze granie —
a słowo każde ziemię naszą miłujące
śpiewaniem drobnych listków i gromu śpiewaniem...

(wchodzi Anna z naręczem kwiatów)

ANNA: *(do Jana)*

Twój gość zapomniał zabrać jakoweś pisanie —
śle gońca, byś mu oddał. Wyjdź do niego, Janie.

(dekoruje komnatę, zatykając po kilka kwiatków za broń, za trofea na ścianach)

JAN: Tak nam się tu ze stryjem gawędziło mile...
FILIP: Ach, odejdź, jeśli trzeba...
JAN: Powrócę za chwilę.

(wyszedł)

FILIP: *(do Kacpra i Piotra)*

Coś niedobrze z tym Janem...

(do Anny)

Nie uważasz, Aniu?
Tfu, tfu, tfu — na psa urok. Prorokiem nie będę.
Gada coś tam trzy po trzy o listków śpiewaniu.
Czas najwyższy, by księżą włożył rewerendę,
bo mu się z uczoności — co myślę, to powiem —
do reszty ursum-sursum poprzewraca w głowie.

ANNA: Jan na księdza nie pójdzie...
KACPER: Nie pójdzie?
ANNA: Oj, za nic.
KACPER: A ty skąd wiesz?
ANNA: Nie pójdzie...
FILIP: Głupstwom nie ma granic!
Nie pojmę... no, nie pojmę tego, jako żywo!
KACPER: Kto mu stanie naprzeciw?
ANNA: Więc powiem — poczciwość.
FILIP: Nie roz...
PIOTR: Zaraz... Niech mówi.
KACPER: A to ładne rzeczy!
ANNA: Nikt mi chyba z waszmościów tego nie zaprzeczy:
Jan władzy nie łakomy, na złoto nie łasy —
a cóż to za ksiądz będzie na dzisiejsze czasy.
Jeszcze większy mankament, choć i te olbrzymie —
większy... ano... Jan mówi — osądźcie to sami —
że nie trza nam tu króla, by rządził królami —
nie będzie nami wodził ten, co mieszka w Rzymie!
FILIP: W imię Ojca...
KACPER: Jak rzekłaś?
FILIP: ...przyjdź królestwo Twoje.

ANNA: Ja myślę, że to racja...
— choć bardzo się boję.
FILIP: ...odpuść nam nasze winy.
KACPER: Co to wszystko znaczy?!
FILIP: Dam dwie świece na ołtarz, to jej Bóg przebaczy.
KACPER: Niech nam Ania tu swojej nie dowodzi racji!
Takie słowo w nieszczęście obrócić się może...
Wieść powie, że w Sycynie gniazdo reformacji
i wszystko pójdzie z dymem...

(Anna wyciągnęła z kąta czapę lnu na kiju — kądziel — i zaczyna kręcić nitkę)

FILIP: Chroń nas, Panie Boże!
Ano — skoro jużeśmy o tem się zgadali,
czas by z Janem pomówić — co zamierza dalej...
Młodzian składnego ciała, postawny, niestary —
długoż będzie zażywał braterskiej ofiary?
Przecie wam tu nieletko — owszem, jak z kamienia.
Trza dorzucić, a nie zaś ciągnąć bez sumienia —
daj i daj... O, już ludzie mówią o tem wszędzie,
a ludzie dobrze wiedzą, co boli, co złości...
Kacper w szkołach nie bywał, a już na urzędzie
splendor czyni rodowi jako podstarości.
Piotr — takoż nie uczony, a w dudki nie dmucha,
nie czeka, aż się samo z czyjej łaski zdarzy —
własnym potem poleje ziemię, gdy posucha.
A Mikołaj — najmłodszy — a jak gospodarzy!
Tylko z Janem niedobrze... Śmieją się sąsiedzi,
że wodzi do południa okiem po pułapie
i na pióro litery, jak te muchy łapie,
abo świata zabywszy — nad księgami siedzi.
A niechby sobie siedział i składał ambaje,
pierwej jeno trza zadbać o to, co chleb daje...
PIOTR: Na pstrym byku se ponoć jeździ łaska pańska.
Co masz swoje — to twoje...
FILIP: Co twoje — to pewne.
KACPER: Bacz, by na czas płynęła pszenica do Gdańska
i na czas niechaj flisy pchają tratwy z drewnem.
FILIP: Niechby na sądach stanął, a choćby i w sejmie
doszedł swego, nie stracił, nie dał się zatrwożyć,
z roku na rok majętność w swoich rękach mnożył!
Przed majętnym i silny pierwej czapę zdejmie!
Nie może być, że jeden zbywa siódmych potów,
a drugi na zysk leci, gdy ten, owszem, gotów!
KACPER: Co prawda, to i prawda... Wielki z tym ambaras...
ANNA: Jan siedzi tu na swojem, nie na cudzem!

PIOTR: Zaraz...
KACPER: Na swojem?! *(zerwał się)*
PIOTR: Zaraz... Myślę tak samo jak Ania.
Jeno rychle się zgódźmy, kto co ma do brania.
FILIP: To, to, to...
PIOTR: Sprawiedliwie — tu moje, tu twoje.
KACPER: Stąd — dotąd...
FILIP: I łap sobie, choć samego diaska!
PIOTR: Możesz robić na swojem, co wola i łaska.
Robić, abo nie robić...
FILIP: Mądrze waszmość gada.
Ale... jak to podzielić...
PIOTR: Będzie na to rada.
Jan siła wybrał...
FILIP: Ano — mawiali ojcowie,
że ma wiela w kalecie, kto ma wiela w głowie.
Ponoć nauki dzisia są i więcej warte —
bo, jak głową poświecisz — wszystkie drzwi otwarte...
PIOTR: Jan świeci — a drzwi przed nim nie stają otworem.
Czyta... leniem obrasta — niedobra zabawa.
ANNA: Był w Piotrkowie na sejmie, a ponoć nie w porę —
Myszkowski go wysłuchał — kazał czekać dalej...
PIOTR: Ano — i nikt nie woła.
KACPER: To insza jest sprawa.
Gdyby był dość uczony, to by go wołali...
Wiela słali ojcowie, by nauczyć syna —
Szło złoto do Italiey — krainy mądrości...
PIOTR: A Jan się ponoć żwawo zwijał po festynach!
FILIP: W czas zabawy nauka nie włazi do kości.
Trza majętność podzielić...
PIOTR i KACPER: *(zgodnie)*
Trza dzielić.
(Jan ukazuje się we drzwiach)
ANNA: Ach, Janie!
JAN: *(gdy wszyscy na jego widok zamilkli)*
To może lepiej pójdę?
FILIP: Niech waszmość ostanie.
My tu... właśnie... Rok minął i parę miesięcy,
jakieś dworu odjechał Jego Eminencji
Biskupa Padniewskiego. Chcielibyśmy zapytać,
jako to się dziać może... Przybyłeś w ten strony,
a nie dba o to wcale Rzeczypospolita
i nie woła do siebie, chociażeś uczony?
JAN: *(pomyślał — roześmiał się)*
Już Plato o tem pisał, że nie ma, niestety,

w Państwie miejsca dla pieśni, oraz dla poety,
bo za słowem poezji stadami, jak owce,
affekta ludzkie dążą... często na manowce...
Synom wszelkich muz — biada! Choćby Plato błądził
zginą marnie, bez echa. Co stryj o tym sądzi?

FILIP: Plato, abo nie Plato — akurat się przyda
dzisia słowo jakiegoś Greka, czy tam Żyda...
Ty nam powiedz wyraźnie, poniechawszy czarów,
jaką drogę prostujesz dla swoich zamiarów.
Bo my właśnie... że dalej już tak być nie może...
Trza wszystko dzielić, Janie...

JAN: ...zmartwienia, radości.

FILIP: ...Wszystko, co z pracy ojców — rozdać między braci.
Kto z was pomnożyć umie — niech dla siebie mnoży.
Kto pości — a niech pości... Traci — swoje traci...

PIOTR: Trza dzielić.

KACPER: Trzeba, Janie...

JAN: *(lekko zniecierpliwiony)*

Dzielcie, jeśli trzeba.
Tak, czy tak — dla każdego nadto starczy chleba.
Chodzę, Kacper, tu w koło — zapytasz, a nie wiem —
na twoim, czy na moim ptak zaśpiewał drzewie,
czyje łubinu złoto. Ano — i nie pytam,
czyje ryby srebrzyste w czyich wodach siedzą,
nad twoim, czy nad moim pszczoła dzwoni żytem...
Mnie, Pietrze, nie oddzielisz kopcem, abo miedzą.
Choćbyśmy i sto razy kopce ustawili,
zawsze bratem ci będę w każdej życia chwili...

PIOTR: Owa, Janie...

ANNA: Tak, Janie...

FILIP: Nie o to wszak chodzi...

JAN: Wiem o co, więc wysłuchać raczy stryj dobrodziej...

KACPER: Nie mogę wyrozumieć, o czem twoja mowa...

JAN: *(pogodnie)*

Pytacie o zamiary — odpowiem w te słowa:
Pisali mi ojcowie do dostojeństw drogę
przez ziemskie beneficja na chwałę niebieską,
drogę złota, purpury, bo śmiało rzec mogę —
kto rządzi u nas duszą, ten rządzi i kieską.
A ja tam pójść nie pójdę, bo jako mnie znacie,
nie wytrzymałbym długo... choćby w celibacie.
A stryj?

(Piotr i Kacper parsknęli śmiechem)

FILIP: *(zdenerwował się)*

O, niechże waszmość mną się nie zasłania —
wytrzymałem, com w życiu miał do wytrzymania.

JAN: Takoż... mieć się nie miało, by mnie chęć poniesła
iżbym chciał rycerskiego smakować rzemiesła.
Jakież widoki przyszłości mojej?
Nie wezmę krzyża, nie wkładam zbroi —
choćbym sto razy pancerz przymierzał,
nie najdziesz we mnie znaku rycerza.
Choćbyś mi serce do dna poruszył —
nie mam w zanadrzu zbawienia duszy.
Zbrojnym ramieniem nie zbiję ciosu,
nie dam wieczności za szept modlitwy.
Jako orężnej nie wygram bitwy,
tak i nie zmienię ludzkiego losu.
A jeśli mnie kto w wojnę zawlecze —
to będę bił się...

(bierze ze stołu pióro, pokazuje, śmieje się)

...jeno tym mieczem.

(do Kacpra)

Piórem orać nieletko, byś nałożył głową —
nie co rok Pan Bóg zdarzy urodzaj na słowo.

FILIP: *(z przekąsem)*

Oby cię nigdy większe nie kąsały troski.

ANNA: *(przy oknie)*

Ktoś jedzie...

PIOTR: *(przy oknie)*

Tak.

FILIP: *(przy oknie)*

Toć chyba... Grzegorz Podlodowski.

KACPER: *(zaniepokojony)*

Co się stało? Nie bywał tu u nas przez lata.
Czy nie będzie dochodził praw do tego lasu,
co to stryj wie...

FILIP: Ee, tyle upłynęło czasu...

PIOTR: Ano — wyjdziem powitać czem chata bogata.

FILIP: Jak tam było, to było, a nie z mojej winy.
Idę stąd. A nie wołajże mnie bez przyczyny.

(wybiega w lewo)

JAN: Kto z nim jedzie?

PIOTR: Ba, lica nie widać zza płota...

ANNA: *(poznała, z radością)*

Dorota! *(wybiega na spotkanie)*

PIOTR: Siostra jego — Dorota.

(Piotr i Kacper wyszli witać gości)

JAN: *(przy oknie — miękko)*

Dorota...

(Po chwili Anna wprowadza Dorotę. Za nimi — Grzegorz, Kacper, Piotr)

KACPER: *(w pokłonach)*

Wielki to splendor dla nas — promień łaski bożej.
Wielki splendor, powiadam, że waszmość w te progi
zawitać raczył... Kłaniam!

GRZEGORZ: Los doświadczył srogi,
iżem dawno przed wami serca nie otworzył.
Ano — różnie bywało...

KACPER: Trza wierzyć waszmości.

GRZEGORZ: Mea maxima culpa, panie podstarości.

DOROTA: On za grzechy żałuje, chocia się uśmiecha —
trza mu dać rozgrzeszenie i żalów poniechać.

KACPER: *(ukłon przed Dorotą)*

Jako żywo, nie umiałbym chować urazy
po protekcji takowej — rozgrzeszam sto razy —

(śmieją się)

a pokutne trza wypić!

PIOTR: Racja, jak Bóg w niebie,
gdy pokuty nie spełnisz — to nie ma poprawy!

(Kacper wybiegł w lewo)

GRZEGORZ: *(do Jana)*

Janie, ważne mnie tutaj przywiodły dziś sprawy.
Wszelakim bogom chwała, żem tu nalazł ciebie...

(Piotr miał zamiar wyjrzeć przez okno, aby sprawdzić, czy zaopiekowano się końmi gości, ale usłyszał słowa Grzegorza, zatrzymał się przy drzwiach po prawej i daje znaki Annie, aby wyszła)

ANNA: *(coś ze śmiechem szepce do Doroty, ujrzała znaki Piotra)*

...ubawisz się niemało, kiedy ci opowiem —
ale...

(nachyla się ku Dorocie)

wyjdźmy.

(obydwie — ukłon przed Grzegorzem i Janem)

Darują nam waszmość panowie.

(wyszły za Piotrem — przez drzwi po prawej)

GRZEGORZ: A taka ci już fraszka chodzi między nami,
iżeś wyzbył się uciech świata wszelkiej miary,
długąś zapuścił brodę, żyjąc korzonkami
i że czary uprawiasz...

JAN: Tak... uprawiam czary...

GRZEGORZ: Ano — w listek rumianku zawińże dwa zioła,
chuchnij i na rozstaju rozrzuć je w czas pełni —
niechże zacnej kompanii żądanie się spełni —
byś, jak bywało, Janie, zasiadł z nią u stoła...

(Jan milczy)

Z Piotrkowa jadę...

JAN: *(zainteresował się)*

Z sejmów?

GRZEGORZ: Jeszcze nie ma króla.
Ponoć z Litwy dopiero wyruszył. Jest jeno
Padniewski, który mowę szykuje od tronu
za egzekucją. Dosyć zwlekali panowie
z oddaniem królewszczyzny do pustego skarbu.

JAN: Nie pójdzie sprawa jeno o intraty świeckie.

GRZEGORZ: Nie pójdzie... Ossoliński znowu swoich zbiera —
będą gardłować, aby i kościelne dobra
takoż do skarbu wrócić. To i wyjdzie na to,
jakoby zwolennicy reformy kościoła
więcej głowy i więcej subjekcyj dawali
naprawie i obronie Rzeczypospolitej,
niż nasze duchowieństwo. Rzecz to niesłychana.
Trza będzie temu stanąć naprzeciw, a siłą...
Nie puścim, by duchownych przywilejów sprawa
wotowana być miała. Zważ co mówię, Janie.
Jeśli zaczną tę wojnę — krwie popłynie wiela —
nie o intraty przecie, ani królewszczyzny,
a naszej wiary świętej w Polsce panowanie.
Król Jegomość wie dobrze... Już mu powiedziano: —
inowiercom dać prawa — a to kraj podpalić,
ogień pod wszystkie domy podłożyć wokoło
i brata przeciw bratu rzucić na stracenie.
Przy wierze katolickiej król ostanie z nami.

JAN: To wiem. A co byś do mnie miał za dellegacją?

GRZEGORZ: W takiej chwili, gdy losy tylu spraw się ważą —
nie lża, Janie, by ciebie brakło między nami,
twego słowa i rady. Padniewski cię pyta —
czemuś go wraz odjechał? Zali krzyw był tobie?
Zali niehonor jaki uczynił?

JAN: Poniechaj...

GRZEGORZ: Jakoż to?

JAN: O, poniechaj... Jego Eminencja
wie dobrze, bom nie czmychał nocą pokryjomu,
a cały serca swego i rozumu rozterk
wyłożyłem, jak trzeba...

(pauza)

Czegóż chce ode mnie?

GRZEGORZ: Gorącym zranił słowem?
JAN: A niechby i zranił...
Słowo ptakiem uleci — było, już go nie ma —
ostaje ziarno sprawy. Ano — jest... i będzie.
Długom się szarpał w sobie, mocował z sumieniem,
póki mi prawda jaśnie widzieć się nie dała.
GRZEGORZ: Powiedz...
JAN: Tedy słów twoich słuchałem z uwagą,
azali w nich nie najdę nowej sprawy ziarna.
Nie było... I wychodzi jeszcze ciągle na to: —
gdy wniosą reformanci, a Izba uchwali,
by intraty kościelne wnet do skarbu wrócić —
to ogień i krew padnie na Rzeczpospolitą —
nie w obronie majątków, a w obronie wiary.
GRZEGORZ: Nie rzekłem tego, Janie.
JAN: Nie rzekłeś... nie rzekłeś...
Daleko za słowami sens widoczny stoi.
Kościół broni się przeciw reformacji wichrom
nie naprawą człowieka, a piekieł otchłanią.
Kogo straszą za wiela — ten bać się przestaje
i widzi, jak zmieniono nam wiarę miłości
na wiarę nienawiści, mroku, potępienia...
Tedy — co odważniejszy patrzy za reformą,
waży w sobie myśl każdą — do smaku mu idzie,
że jakby drzwi wyrąbał z mroku do jasności.
Już gdzieniegdzie człek raźnie wychynął do życia,
by po ziemsku ułożyć swoje ziemskie losy,
chocia łuna nad Polską, śmierć skacze z ukrycia,
czyjaś ręka układa i podpala stosy,
na których księgi płoną — o, zgrozo! O, wstydzie!

(pauza)

Cały mej duszy rozterk onego wieczora
poczciwie wyłożyłem... jakby na spowiedzi.
A Jego Eminencja Ksiądz Biskup Padniewski
wielkim zapłonął gniewem, pięścią w stół uderzał,
krzyczał, że mi herezje w smak i odstąpienie
od ojców naszych świętej, katolickiej wiary.
Nie w smak mi! Ano — nie w smak. Z reformą nie pójdę!
Alem mu tego nie rzekł... Nie rzekłem mu tego.
Jak mówić do człowieka, który cię nie słyszy,
bo jeno swój głos w cenie ma nad wszelką miarę?
Czekałem, aż purpura ustąpi mu z lica
i oddech się wyrówna przyśpieszony wielce.
Tedy pytanie dałem — zali wiedzieć można,
czy jest prawdą, jak o tym zwodnie szepcą wszędy,
jakoby dellegacji, która do biskupa
w sprawie krwawych tumultów krakowskich przybyła,

odpowiedź dana była tymi oto słowy: —
„Cóż, kościół — matka nasza, do wojny nie woła.
Nie trza nam krwi i ognia na chwałę kościoła.
Skoro jednak jest oto ludzkiej krwie rozlanie —
znaczy: — Bóg chce. Kto przeciw boskiej woli stanie?“

GRZEGORZ: Zali to prawda?

JAN: Czekaj... Jego Eminencja
podszedł do mnie i w oczy popatrzył mi z bliska.
„To prawda — rzekł. — Tak było. Nie będę waszmości
sumienia pokazywał, boś nie gotów na to.“

(pauza)

Złożyłem ukłon grzeczny — a o świcie droga
do Sycyny mnie prosto, jak widzisz, przywiodła.

GRZEGORZ: *(chodzi podniecony)*

I staniesz mu naprzeciw?

JAN: Trza będzie — to stanę...

GRZEGORZ: Śród tysiąca Polaków — tysiąc racyj krzyczy,
każda mocy jednakiej, choć różnego dzwonu.
Swoją prawdę ci każdy przed oczy podstawia,
grzmi, grozi, gromy ciska, odwet obiecuje —
widzi swój nos — nie widzi i świata przed nosem...

JAN: A waszmość ostaw nos mój i rację w spokoju...

GRZEGORZ: Nie szukam zwady, Janie... Chcę, abyś zrozumiał,
co mnie wstydem biczuje, przerażeniem pali.
Rozwarte są na ścieżaj drzwi naszego domu,
już widać, jak nad nami obcy miecz się wznosi —
a nie masz na granicach polskiego oręża.
Tak. Radziwiłł ma wojsko. I Kmita ma swoje.
Toż mają Drohojowscy, Szafrańce, a inni...
I niechno sejm uchwali intrat egzekucję —
zwinnych chorągwi siła czeka jeno znaku,
by najechać na siebie, ograbić i spalić.
Zważ, Janie, co ci mówię. Otrzęśnij się, Janie,
z pomroki, która widzieć i słyszeć przeszkadza —
daj wszystko, by ratować kraj ten od zagłady,
albo ogródź sumienie i czekaj ostatka!

(umilkł — a po chwili)

JAN: *(wybucha)*

Waszmość mi tu z sumieniem! A patrzałbyś w swoje!

GRZEGORZ: *(po chwili — spokojnie)*

Wieść mówi, iżeś, Janie, pono już poniechał
rymy wdzięczne układać na chwałę Amora.

JAN: Moja rzecz...

GRZEGORZ: Twoja, twoja. Ano — jak wieść niesie,
wielkie pieśni o zgodzie grasz na lutni swojej.

Nie kadzidło ci niesę, ale prawdę szczyrą —
daleko głos twój leci i trafia głęboko.
Mów o zgodzie, mów, Janie... niech cię wszyscy słyszą!

JAN: Pora mówić o zgodzie, gdy oręż wzniesiony?

GRZEGORZ: Jeśli prosto do serca słowo drogę najdzie —
drgnie ręka, miecz zatrzyma sposobny do ciosu.
Daj mi, Janie, te pieśni. Wezmę je ze sobą.

JAN: Całą dłonią przed czasem za ostrze nie chwytaj.
Moja „Zgoda" nie wszystkim do smaku się wyda.

(wyjmuje spośród papierów kilka arkuszy — czyta mocno, z patosem)

„...I nastało łakomstwo i swawola wielka,
Wzgarda sądów, zuchwalstwo i wszeteczność wszelka.
Nakoniec pospolita rzecz nie ma obrony
Tak wiele nieprzyjaciół mając z każdej strony.
A otuchę im czyni nie siła, nie zbroja,
Ale tylko niezgoda sławna, Polsko, twoja.
Niech się miasto otoczy trojakiemi wały,
Trojakiemi przekopy i mocnemi działy:
Kiedy przyjdzie niezgoda, uniżą się mury
I wnijdzie nieprzyjaciel nie szukając dziury...
Chwała pańska nie idzie w zgodzie a jedności,
Jako sam Pan przykazał, ale wszeteczności
I bluźnierstwa są pełne zbory chrześcijańskie,
Czego nigdy nie słyszą bożnice pogańskie.
Świątobliwość żywota, którą świecić mieli
Zgasła prosto w duchownych, bo się wdać woleli
W rozkoszy nieprzystojne i próżne biesiady,
A proste ludzie gorszą ich te złe przykłady..."

(odrzuca arkusze na stół — mówi smutny)

Jeszczem tego nie skończył. A wiela ostało...
Sam nie wiem, komu zdatne mogą być te słowa.
Nie podasz ich z uśmiechem Jego Eminencji.

GRZEGORZ: *(stoi przy stole — wziął jeden z arkuszy — czyta znacznie spokojniej)*

„...Lepiej się tedy zgadzać, a w spólnej miłości
Radzić o tem, żebyście w cale tej wolności
I swobody potomkom swoim dochowali,
Jaką wam prawie w ręce ojcowie podali.
Ale nic gruntownego stawić nie możecie,
Póki tego korzenia złego nie wyrwiecie,
Na którym sporny rosterk i niezgoda roście..."

JAN: *(siedzi, zakłopotany, mierzwi włosy)*

Pisałem to... i ogień dobywałem z piersi.
A jakież ciche słowa... małe i bezradne.

Jakim celom ta moja „Zgoda“ służyć może?
co z tych rymów za korzyść, krom próżnego dźwięku?

GRZEGORZ: *(jeszcze trzyma kartkę rękopisu)*

Nie walczy ten, kto miecza z pochwy nie dobywa,
a jeno płacze, mówiąc: — jakiż ten miecz słaby.
Zważ, Janie, ponad wszystko, co nas w kraju dzieli,
jedno jest nasze spólne — Rzeczypospolita.
Zginiemy... jeśli ona z naszej zginie winy.

(odrzuca kartkę rękopisu na stół—podchodzi do Jana)

Uczyń jedno, bo tylko to uczynić trzeba:
Rychle dośpiewaj końca tej pieśni... Tak, Janie.
I wyślij gońca do mnie — niech mi ją przyniesie.
Wnet kopiści pomnożą i, jako potrzeba,
znaczniejszym deputatom rozdadzą na sejmie.
Jako myślisz?

(Jan ukrył twarz w dłoniach — milczy)

Odpowiedz...

JAN: *(wstaje)*

Tak... pieśni dokończę,
a gońca słać nie będę...

GRZEGORZ: *(z lekką irytacją)*

Nie pojmuję tego.

JAN: Wczora Nidecki pismo słał do mnie i wzywa,
bym do Piotrkowa ruszał na króla witanie.
Jeśli kanclerską pieczęć Myszkowski otrzyma —
ostanę sekretarzem Króla Jegomości.

(na te słowa wszedł Kacper, aby prosić gościa na poczęstunek — stanął obok Jana i słucha)

Pieśń o zgodzie przywiezę... jeśli jej dokończę.

KACPER: *(ciszej, obok Jana)*

A to jedziesz...

(głośniej)

Waszmościom od serca się gwarzy,
a my gościa czekamy czem chata bogata.

PIOTR: *(we drzwiach po lewej)*

Prosiemy sercem całem sąsiada, jak brata.

(wśród ukłonów wyprowadzają Grzegorza. Za nimi — idzie Jan, wraca jednak od drzwi, bierze ze stołu kartkę rękopisu, krótką chwilę czyta, macza pióro. Przez okno na wprost — zajrzał Filip)

FILIP: *(za oknem)*

Ano — wszystko żem słyszał... Nie mogłem nie słuchać,
kiedy mi słowa same właziły do ucha.
Trza do domu. Ba! Klnę się na rudego diaska —
jeno zajrzę do ciebie...

JAN: O, jeśli stryj łaskaw.

(rzuca pióro na papiery, otwiera drzwi po prawej — wchodzi przez nie Filip — jednocześnie, z lewej, wpada Piotr)

PIOTR: Czekamy, Janie... Chodź-że, cóż to za mitręga?!

FILIP: *(do Piotra)*

Już się zbieram do domu, a więc każ zaprzęgać.

(Piotr wybiega w prawo)

FILIP: *(gdy Piotr zamknął za sobą drzwi)*

Jedziesz, Janie, do króla... do ludzi... do świata...
większe ma się wydatki, gdy są przywileje.
Nie znać święta po panu, kiedy jedna szata —
znać święto, gdy na siebie jedno z drugiem wdzieje.
No i... temu dać trzeba, tamtemu dać można —
Kto daje, ten i bierze... tak już jest na świecie.
Wielmożny klejnot w herbie, kiedy garść wielmożna —
co ja ci będę mówił... sam o tym wiesz przecie.
Będziesz się więc o złoto przed wyjazdem starał,
będziesz prosił o łaskę... a diabli tam czyją.
Jeden dałby, a nie da, drugi — chuda fara.
Gdy bratanek w potrzebie — ratuj, dobry stryju!
Pomogę, jak Bóg w niebie!

(daje mu sakiewkę)

Masz to — bierz, jak swoje...
Jak ci tam lepiej pójdzie, to spłacisz pomału.
Stary jestem... to tego... o złoto nie stoję.
Dla porządku... tu podpisz... że pod zastaw działu.

(Jan po krótkim namyśle podpisuje — chowa sakiewkę)

No i dobrze... Niech waszmość zdrowo się tam czuje.
Szybko w splendor i sławę obrośnie...

JAN: Dziękuję.

FILIP: Niech waszmości za bardzo złe losy nie biją.
Z Panem Bogiem, mój Janie.

JAN: Z Panem Bogiem, stryju.

(wrócił Piotr i od razu odprowadza Filipa na ganek — Jan pozostał sam, bierze ze stołu kartkę rękopisu, czyta powoli)

„...Ja, zgoda, która sporne planety sprawuję,
Ziemię, wodę, wiatr, ogień w żywiołach miarkuję,
Stróż rzeczypospolitych, zdrowie i obrona
Miast wszystkich...

(bierze pióro do ręki, myśli, wstaje, idzie kilka kroków)

„...i obrona miast wszystkich..."

(myśli)

„...i obrona...
miast wszystkich...
przyszłam tu chocia nie proszona...

(wraca do stołu — zapisuje)

Do was... o potomkowie... Lecha... słowieńskiego..."

(Myśli — rzuca pióro na papiery. Od słów „Stróż rzeczypospolitych" — jest na scenie obecna Dorota. Weszła tu przez drzwi po prawej, zobaczyła piszącego Jana, boi się wycofać, aby nie przeszkodzić. Złożyła ręce jak do modlitwy i z zachwytem patrzy na Kochanowskiego)

JAN: *(z udaną surowością)*

Waszmośćpanna zagląda mi do serca prosto...

DOROTA: *(przestraszona)*

Ja? O, proszę darować... Ani mi to w głowie.
My... w ogrodzie byłyśmy... ja — z waszmości siostrą.
a tera... sama nie wiem... No, cóż — chyba powiem.
Ja o tym dawno myślę... O, już całe życie...
że odważnie zapytam... gdy się zobaczymy...
jak to jest... jak to waszmość układa te rymy,
od których serce staje i słucha... w zachwycie...
taka w nich piękność żyje... taka wielka siła.

JAN: I co? I waszmośćpanna dzisia podpatrzyła?

DOROTA: Ja nie wiem... nie wiem, nie wiem jak Bóg miły.

JAN: Hm... a któreż to rymy tak wielce wzruszyły?

DOROTA: *(recytuje ze zrozumieniem, jest wzruszona)*

„...Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, pełno wszędy..."

JAN: *(poprawia)*

„...wszędy pełno..."

DOROTA: „...wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, i w niebie...
Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,
Tyś założył fundament..."

JAN: *(poprawia)*

„...Tyś fundament założył..."

DOROTA: Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi..."

(zamilkła — pauza)

JAN: *(jakby przed powzięciem wielkiej decyzji)*

Hmm... powiem... Ano — powiem...
(ogląda się)
Nikt nas nie usłyszy...
(niby szeptem)
Na rymy, jak na złoto, są tajne przepisy.
Rymopis póty cierpi i zaklęcia gmatwa,
aż zrozumie, że sprawa jest diabelnie łatwa.
Najpierw trza włosy mierzwić...
(mierzwi włosy)
aż rym wpadnie w głowę —
i zara go na papier, a przycisnąć piórem,
bo umie skoczyć w okno, albo frunąć w górę.
Leży? Posypać piaskiem, zdmuchnąć i gotowe...
Tak za słowem i rymem odbywa się pościg.

OROTA: *(zakłopotana)*
Tera będę umiała. *(dygnęła)* Dziękuję waszmości.
(Wybiega przez drzwi po prawej — wpada na Annę, która ją obejmuje, całuje w czoło i wypuszcza)

NNA: Mówią, że jedziesz, Janie.

AN: *(pogodnie)*
A jadę... Ze świata
co dnia będę myślami w tych kątach kołatał,
twej rady we spomnieniu, jak w lusterku, szukał,
w czas pełni sad przemierzał i do okien pukał —
Usłyszysz? I doradzisz?

NNA: Janie... Janie... Janie...

AN: *(przy oknie)*
Spoglądam na tę drogę, jako pięknie płynie,
kiedy ją wiedzie taniec zwinnych topól-panien.
Ileż powrotów, Anno, było w tej Sycynie —
i lękliwych odjazdów... w dalekie.. w nieznane...
Zda się, w powietrzu żyje każdy znak i słowo
ręką matki rzeźbione, nad schyloną głową..

NNA: Nie trza dawnych spraw wołać... minionego budzić
i obrazów ożywiać, dając im krew słowa —
dziś, gdy nowym zamiarem wypełniona głowa
i serce rwie, by z domu — do świata, do ludzi...

AN: Czemu tak mówisz, Anno?

NNA: Oto moja rada —
Nie jedź tam... Rzuć honory a i niepokoje.
Trza majętność podzielić... ano — bierz, co twoje,
gospodarujże sobie i rymy układaj.
Jesteś, Janie, tu z nami od zeszłej jesieni —
widziałeś, jak się żyje, wiesz, co trza by zmienić.

Zmieniaj! Czyń dobre! Niech się od ciebie rozrasta,
zdrową szumi zielenią i chwasty zagłuszy,
gałęziami niech rośnie, aż owinie miasta —
na radość dla człowieka, na zbawienie duszy.
Od tego proga zacznij... od skiby tej ziemi.
czyń dobre od mniejszego, by wielkie odmienić.
Przędziwo czeka, jeno pierwszą myśl namotaj...

JAN: Ba, Aniu... tak nie można... nie starczy żywota.

ANNA: O, żywot zawsze krótki... a bo śmierć nie czeka,
aż się torba czynami wypełni człowieka.
Zawszeć urwie się nitka, a nie tego czasu.
Nie jedź... ostań... Poniechaj miastowe uciechy.
Tam na dworskie ambaje wiela zbędziesz kwasów —
Tam pokłony odmierzaj, a przelicz uśmiechy —
nigdy mało przebiegły, za wiela ostrożny.
Temu więcej, bo z rodu — tamtemu, bo możny.
Indziej znowu na pokłon będziesz czekał próżnie,
bo inni także mierzą, a wypada różnie...

(Jan stanął przy oknie. Niebo nad malwami już pociemniało. Gwiazdy)

JAN: *(mówi powoli, z namysłem)*
W życiu o wiela nie stoję za nic.
Niech mnie fortuna, sława nie czeka.
Ale to, Aniu, szczęście bez granic —
bić się o wolną myśl dla człowieka.
A niech się komu kłaniają nisko —
sam, nie zwlekając, do czapy sięgam —
bo jeno to mi ważne nad wszystko,
za innych myślą nadążyć w księgach
i swoją obok kształtnie ułożyć,
by na pożytek była, nie szkodę —
Niechaj z innemi sens świata tworzy —
sprawdzi, co stare — wesprze, co młode...

ANNA: Niech ci staną otworem wszystkie w życiu cele...
A gdy miłość zawiedzie, zdradzą przyjaciele,
wiara zgaśnie, lub siły odejdą od ciała —
serce zimą przyprószy, lub zamęczy słota —
Pamiętaj — będę tutaj na ciebie czekała...
a może... i Dorota.

JAN: *(zaskoczony)*
Dorota?

ANNA: I spraw twoich ustrzegę, Janie, do ostatka...

JAN: Gdy tak mówisz — jak żywa staje nasza matka
i znowu, jakbym z matką mówił o rozstaniu
i w oczach trwogę czytał...

(kładzie rękę na jej włosach)

Bóg ci zapłać, Aniu.

AKT DRUGI

W PIOTRKOWIE

rzedsionek w gospodzie „Pod Zamkiem". Po lewej — drzwi do izby gościn-ej. Na wprost — wyjście na dziedziniec. Po prawej — schody w górę, na ółpięterko. Galeryjka w poprzek sceny. Troje drzwi na galeryjce. Przed chodami fotel, wysokim oparciem odwrócony ku widowni. Po lewej — bli-ej widowni, stół, zydle, ława. Dzbanki, kubki. O ścianę oparta lutnia. Kilku szlachty — jeden bliżej, inny dalej od trzeźwości.

IERWSZY: *(stoi na ławie z podniesionym kubkiem)*
Zgoda, mości panowie!

SZYSCY: *(podnosząc kubki)*
Zgoda!

IERWSZY: ...Verbum Dei!
Wielkie sprawy w discordii delabuntur...

RUGI: *(drze się)*
Vivaaat!

IERWSZY: ...discordią pospolita rzecz dziś ledwo żywa...

RUGI: *(drze się)*
Vivaaat!...

RZECI: *(zniecierpliwiony, do Drugiego)*
Niech waszmość dobrze słucha, bo rzecz się nie klei.

RUGI: *(do Trzeciego, z uporem)*
Verbum Dei!

IERWSZY: Silentium!

RUGI: *(do Trzeciego)*
Więc co mi waść powie?!

IERWSZY: ...Solum patriae omnibus est carum, panowie —
to rzekę panom braciom bez wstydu na czole.
Wotowałem podatek, zbywszy animuszu,
bo mi serce rozmiękło jak zła dusza w smole,
a łzy z wąsów kapały ciurkiem po kontuszu,
kiedy biskup Padniewski — postać znakomita —
Kochanowskiego rymy o zgodzie odczytał.
(wyciągnął kartkę i czyta niezbyt płynnie)
„...Na swem każdy przestawaj, a dla zysku swego
Nie szkódź, ani umniejszaj dobra koronnego.
Można rzeczpospolita i was ubogaci,
A gdzie się ta powinie, tam każdy swe traci..."
Vivat zgoda! — to ona wszystkie zniszczy troski!
Vivat, mówię, więc vivat!

RZECI: Vivat Kochanowski!

SZYSCY: Vivaaat!
(piją — na ławę wdziera się Drugi)

DRUGI: ...mówię... jest racja!... mówię... że nie szkoda.
Wotowałem!... Za zgodą!... To i vivat zgoda...
Dać z łana dziesięć groszy... bo to spólna sprawa...

(groźnie do Pierwszego)

A waszmość, panie bracie, powiedz, z czego dawać?!

(zachwiał się — podtrzymali — pomogli zejść z ławy)

CZWARTY: Prawdy się nie ukryje... tako jest i ninie.
Pod wodę chowaj prawdę — a ta wraz wypłynie.
Z czego dawać, panowie? Oto w czem jest bieda.
Duszy diabłu nie sprzedam, bo się okpić nie da.
Nie kupi, bo nie głupi — tynfa nie zapłaci —
jak czas przyjdzie, to darmo zgarnie panów braci.
Z czego dawać?!

PIERWSZY: Co nam tu waszmość diabłem świeci?!
Wotowalim podatek nie z siebie, a z kmieci...
Takoż i w protokołach rzecz jest zapisana:
„...płaci się groszy dziesięć od kmiecego łana."

TRZECI: „Płaci się" — to rzecz jasna, ale kto zapłaci?
Kmieć, czy grosze trza będzie ściągać z panów braci?!

PIERWSZY: Toż „od kmiecego łana"... już nie można prościej...

TRZECI: Od kmiecego — wiadomo, ale kto?!

PIERWSZY: *(zniecierpliwiony)*

Waszmości
snać już sporo rozumu na nice się starło...

TRZECI: Bo z kim człowiek przestawa, wnet takim się stawa...

PIERWSZY: *(chwyta za rękojeść miecza)*

Bacz, aby od słów ostrych nie skrwawiło gardło...

TRZECI: *(chwyta za rękojeść miecza)*

Niech się waszmość miarkuje...

DRUGI: *(z uciechą)*

Ot, będzie zabawa!

(Pierwszy i Drugi chodzą dookoła siebie jak koguty przed walką)

CZWARTY: *(do Drugiego)*

A waszmość znowu gadasz, jak zwykle, od rzeczy.

PIERWSZY: *(odbijając cios)*

Schowaj... schowaj ten patyk... jeszcze się skaleczysz.

TRZECI: *(nacierając)*

Trzymaj głowę, bo spadnie, choć w rozumy strojna...

DRUGI: *(przewraca stół, strąca lichtarz)*

Do rzeczy, czy od rzeczy — jak wojna, to wojna.

(Ciemno. Rumor. Z lewej wbiega Gąska ze świecą. Przebiegł przez scenę, między walczącymi, biegnie po schodach — z galeryjki przyświeca. Walczą wszyscy. Wybiegają przez drzwi na wprost. Gąska schodzi, stawia świecę na stole)

GĄSKA: *(robi porządek)*
Co się tu narobiło! Co się narobiło!
(grozi pięścią w stronę drzwi)
Mają szczęście... oj, mają, że mnie tu nie było!

WOJEWODA: *(z fotela, niewidoczny)*
Gąska! Hej, Gąska! Co to? Grzmi? Pioruny? Burza?
Hej, Gąska!

GĄSKA: Hop-la! Jestem. Tak, burza, nieduża...
Panowie szlachta dyskurs tu wiedli, jak co dzień —
no i... owszem... zgadało im się znów o zgodzie.
A gdzie o zgodzie mowa — tam ze zgodą krucho.

WOJEWODA: *(ziewa, przeciąga się)*
Daj no mi, Gąska, popić, bo w gardle mam sucho.
(Gąska napełnia kubek)
Wielam spał?

GĄSKA: Eee, niewiela... ze cztery pacierze.
Wasza Miłość podrzymie, to i sił nabierze.
(podaje wino)
Córka Waszej Miłości, gdy ojciec se drzymał,
chciała miasto obaczyć i jeszcze jej nima.
Zadziwi ją, ubawi niejedna rzecz nowa...
cała Polska zjechała na sejm do Piotrkowa.

WOJEWODA: *(pijąc wino)*
A waszmość, panie Gąska, grzech popełniasz wielki.
O, gdyby dusza twoja wiedziała, w kim siedzi —
dawno by precz uciekła, zawstydzona srodze.
(pauza — wstaje)
Czeka cię... ano — czeka smętny los Tantala.
Znałeś go?

GĄSKA: *(zaniepokojony)*
Nie, nie znałem.

WOJEWODA: Wieczne potępienie!
Ogień, co kości liże, ale ich nie spala.
(groźnie)
Czytałeś Ecclesiana?

GĄSKA: *(przerażony)*
Nie czytałem, panie...

WOJEWODA: Nie czytał! Jakże takiej duszy pomóc tera?
Biada! Biada! Już widzę — ziemia się rozwiera
i w czarną czeluść spadasz na karku złamanie.
Będziesz leciał trzy lata... Jeno nie śmiej jęknąć,
bo jęk tam tyle znaczy, co śmiech tu, na ziemi.

GĄSKA: Litości, panie... czemże na to zasłużyłem?

WOJEWODA: Boś wino, czarci trunek, chrzcił wodą święconą!

GĄSKA: O, nie święconą, panie...

WOJEWODA: A, łotrze! To jaką?!

GĄSKA: Ze strumienia... za domem... sam nosiłem, panie.

WOJEWODA: A bodajeś nie doniósł!

GĄSKA: Waśza Miłość każe —
nową beczkę odbiłem...

WOJEWODA: Ano — ruszaj! Migiem!

(Gąska wybiegł)

Ze strumienia za domem... Ach, barania głowa!
Toć przecie krew szlachecka od wody się psowa

(Gąska przyniósł wino)

Chrzczone?

GĄSKA: Nnnie...

WOJEWODA: Strzeż się, Gąska, zbyt łatwej herezji...

(Wojewoda wchodzi po schodach na półpięterko — Gąska zmierza ku drzwiom po lewej. Wbiega Andrzej Patrycy Nidecki)

NIDECKI: Był tu Jan Kochanowski?

GĄSKA: A i wiela razy.

NIDECKI: Pytał o mnie?

GĄSKA: Nie pytał.

NIDECKI: Jakoż?

GĄSKA: Bez urazy —
Waszmość groźnie pogląda — a ja nie chcę sprzeczki
Mówię: — był razy wiela i pytał już rankiem,
jeno nie o waszmości... o wojewodziankę.

(Wojewoda na schodach śmieje się bezgłośnie)

NIDECKI: Hm... tak... a Wojewoda?

(Gąska pokazuje na schody)

Witam sercem całem!

WOJEWODA: *(przechyla się przez poręcz, bo niedobrze widzi)*
Waszmość daruje...

NIDECKI: *(przedstawia się)*

Andrzej Patrycy Nidecki.

WOJEWODA: *(zbiega ze schodów)*
Toć waszmości na dworze królewskim poznałem —
padewczyku — mądrością italską natchniony.
(witają się)

NIDECKI: Jużeśmy i nadziei wszelakich się zbyli,
by Wasza Miłość zjechał tu w sposobnej chwili.
Król Jegomość już pytał...

WOJEWODA: Na drodze mi pono
złe duchy rozsypały diabelskie nasienie —
mało brakło, bym zdążył tu na świec gaszenie.
Mów mi waszmość, jak sprawy de publico bono?
Co w Izbie? Z egzekucją rady sobie dano?
Z duchowieństwem? Z sądami? Mów mi, wasze...

NIDECKI: ...Ano —
Izba długo myślała, jakby skarb zasilić,
nie ruszając, broń Boże, egzekucji intrat...
I o sądach duchownych milczano z uporem,
by w ranę nie urazić... by nie trącić ognia...
Już tam i przywilejów świeckich naruszono,
jeden z drugim już listy kładł na stopniach tronu —
a jeno duchowieństwo stanęło przy swojem,
trzyma mocno... praw swoich od Piasta dochodzi...
Eminencja Uchański w kunsztownej oracji
mówił o tym, że prawa kościelne na ziemi
są przez wszystkie królestwa wielce szanowane,
bo i z Pisma Świętego prosto się wywodzą.

WOJEWODA: Racja! Jako biblijna przypowieść opiewa —
już z kościelnego sadu rwała jabłka Ewa...
(śmieją się)

NIDECKI: Tedy wstał Ossoliński... Zrobiła się cisza.
„Albowiem nie z tej ziemi jest Królestwo moje..."
słowami Chrysta Pana zaczął i rzekł dalej,
że nie z tego miał świata władzę Pan nad Pany
i klucze nie od ziemskich bram dał Apostołom.
Ziemia więc musi wrócić do skarbu, do króla,
na potrzeby, naprawę i obronę kraju.

WOJEWODA: *(pod wrażeniem)*
Uhuu...

NIDECKI: Więc Eminencja Ksiądz Biskup Padniewski,
widząc, że Izba słów tych bez niechęci słucha,
a owszem — co niektórym przyklaskuje rada —
w dzwon na zgodę uderzył... na miłość śród ludzi,
na człowieka naprawę i Rzeczpospolitej.
Odrzućmy precz — zawoła — niesnaski i zwady,
gdy granice ojczyzny otwarte na ścieżaj...
Fuerstenberg znowu zbrojne sposobi szeregi —
przyjaźń sławi, a miecz swój ostrzem k'nam obraca —

Magnus grozi... i Porta wraz posły przysyła.
Car Iwan na Inflanty prze zbrojnemi hufy.
Tu Jego Eminencja rękopis dobywa —
Kochanowskiego Jana rym o zgodzie czyta:

(wyjął arkusz — rozwija — czyta płynnie)

„...A otuchę im czyni nie siła, nie zbroja,
Ale tylko niezgoda sławna, Polsko, twoja.
Niech się miasto otoczy trojakiemi wały,
Trojakiemi przekopy i mocnemi działy —
Kiedy przyjdzie niezgoda — uniżą się mury
I wnijdzie nieprzyjaciel nie szukając dziury..."
Izba z ław się porwała i, zabywszy sporu,
jednym zawołała głosem: — Zgoda! Zgoda! Zgoda!
To było Padniewskiego nad Izbą zwycięstwo.
Uchwalono podatek dziesięć groszy z łana,
nie ruszając duchownych praw do królewszczyzny.

WOJEWODA: A, fortel nad fortele!

(chodzi podniecony)

Niech mi waszmość powie...
jakże to z Kochanowskim? Skąd ta jego „Zgoda"?
Azali... hm... bo nie wiem... był z biskupem w zmowie?

NIDECKI: Nie był... Choć Padniewskiemu rym o zgodzie podał.
On myślił inną zgodę — a dobrze wiem jaką.
Nie, by korzyść jednemu, a drugiemu — kara,
jeno spólna dla kraju od serca ofiara.
Jan nie pojął, jak mniemam, biskupa fortelów —
aplauzami podniesion, nie obaczył celu —
Ma za swoją victorię, że tak się godzili...

WOJEWODA: *(uśmiecha się — medytuje)*

Dziesięć groszy od łana, choćby zdjęte zgrabnie,
nie opędzi wydatków skarbu w takiej chwili.
Trza interes do wojny obudzić, bo słabnie.
Tak, jak ongiś bywało — dzisia nie pojęte.
Nie może na pół drogi stanąć taka sprawa.
Liczmy, że tera jeno pierwsze forta wzięte,
nim się wkońcu potoczy na ostre zabawa.
Trza rycerskie rzemiesło chwalić — a i one
w czas ku temu sposobny, w dobrą rzucić stronę.

NIDECKI: Dzisia panowie szlachta, upojeni zgodą,
żwawo wiążą tobołki, rozjeżdżają do dom.
Żadna siła ich dobra z kolasek nie zdejmie...

WOJEWODA: Ha, trudno... Będziem tedy gadać w przyszłym sejmie.

(pauza)

Jeszcze powiedz mi waszmość, bom ciekawy przecie,
sen od oczu odbiega z myślenia i troski —
kto po Padniewskim będzie miał kanclerską pieczęć?

IDECKI: Już ma.

OJEWODA: A mówże rychlej...

IDECKI: Ano — Piotr Myszkowski.

OJEWODA: *(ucieszył się — niezbyt szczerze)*

Myszkowski... chwała Bogu... wiadomo, w co mierzy.

(gdy Nidecki spojrzał na niego z zaciekawieniem, mówi następne kwestie z żarliwą lojalnością)

Zawsze mawiam, gdy czynią zły sąd nad królami —
nie człowiek, jeno jego rozum rządzi nami.

(myśli)

Jana Kochanowskiego trza z królem sprzymierzyć.
Sam waszmość to rozumie... jakaż to potęga —
słowo, które do serca prosto umie sięgać.
Kto silny — ma być z nami. To powiedz królowi.
Więc trzeba się zakrzątnąć żwawiej i w tym względzie.
Niech Jan luzem nie chadza, a niech się pogłowi,
choćby na sekretarskim przy królu urzędzie.
Była już o tym mowa — i znowu ab ovo...

IDECKI: Myszkowski już królowi szepnął o tym słowo,
jeno król jest niełaskaw — decyzję odwleka —
słucha i głową kiwa, ale na coś czeka.
Nie daje zezwoleństwa, choć, owszem, nie przeczy —
jakby ważył dwa głosy: — za Janem i przeciw.
Już tam ktoś prószy w ucho Króla Jegomości.

OJEWODA: Sam rzeknę, co tam trzeba. Bóg zapłać waszmości.

(zamierza odejść schodami do góry — wchodzi Grzegorz Podlodowski)

RZEGORZ: *(pochylony w ukłonie — z uśmiechem)*

Czoło ku ziemi chylę...

OJEWODA: *(oddał ukłon i idzie do Grzegorza z wyciągniętymi ramionami)*

Podlodowski! Kłaniam!
A toć to sercu święto na takie spotkania!

RZEGORZ: Szukam dziś Waszą Miłość...

OJEWODA: *(śmieje się)*

O, to coś się święci...

RZEGORZ: Mam jakoweś pisanie Jego Eminencji.
Ponoć wielce to ważna a i pilna sprawa.

OJEWODA: Ano...

RZEGORZ: W dniu — gdy Padniewski pieczęć swą oddawał,
blady był, jak po ciężkiej boleści lub szkodzie.
O zdrowie pytam, on zaś: — „Jadę do Krakowa.
Weź te pisma, Grzegorzu, a dobrze przechowaj —
przyjedzie Wojewoda — oddasz Wojewodzie."
Oto one...

(podaje list — Wojewoda rozłamuje pieczęcie — czy-
ta — jest pod wrażeniem. Pauza)

WOJEWODA: Taak. Cóż — powiem waszmościom, jeśli rzecz nieznana...
(do Grzegorza)
Waszmość — jako my tutaj — przyjacielem Jana.

GRZEGORZ: Toć go miłuję wielce... z całej, z całej duszy.

WOJEWODA: *(do Nideckiego)*
Mówilim, że królowi ktoś tam w ucho prószy.
Prószy! Padniewski w piśmie czyni przypomnienie,
by na królewskie tera zważać otoczenie,
iżby nie zaciemniało... jak ongiś... tak ninie...
jasnego sądu rzeczy, którym król nasz słynie.
Tedy oto spomina ot, tak — dla pamięci:
nie lża, by Kochanowski przy królu się kręcił,
bo jeszcze siła złego uczynić gotowy.
Do papieża w elegii pisał tymi słowy:
Czytaj, waszmość...
(podaje list Nideckiemu, siada, lekko uśmiecha si
do swoich myśli)

NIDECKI: *(czyta)*
„...Sancte Pater! Daleko od ołtarza odszedłeś —
Usłysz, jeśli Cię w zbrojnym tłumie głos ten dosięgnie —
Piotr do Ciebie tak woła — o, najlepszy z pasterzy:
„Jam to w Chrysta obronie dobyć nie śmiał oręża,
A Ty, który następcą mym, piotrowym, się mienisz,
Możesz wojny straszliwe, wojny krwawe, bezecne —
O co? — Powiedz! O państwa, o fortuny prowadzić?!!!"
(milczą — Grzegorz pod silnym wrażeniem całej spra
wy, aż wczepił palce we włosy i siedzi nieruchomo

WOJEWODA: *(wstaje, bierze płaszcz z oparcia fotela, okrywa się*
do Nideckiego)
Ano... — jeśli nas drogi prowadzą te same...

NIDECKI: Wasza Miłość pozwoli...

WOJEWODA: Prowadź mnie na zamek...
(wyszli — Grzegorz zrywa się)

GRZEGORZ: Hej, Gąska! Mości Gąska!

GĄSKA: Będą nowe troski.
Znów kogoś poszukuje postać znakomita.

GRZEGORZ: Czy był tu? Powiedz, wasze... był tu Kochanowski?

GĄSKA: *(zrezygnowany)*
Był... był... a o waszmości, jakom żyw, nie pytał.
(Grzegorz wybiega przez drzwi na wprost — Ja
Kochanowski wbiega przez drzwi po lewej. Rozgla
da się)

ĄSKA: Oj...

(Gąska — ustawia stołki — idzie ku schodom — mruczy)

N: Przyjechał Wojewoda?

ĄSKA: *(popatrzył na Jana)*

Wyszła.

(Jan nie reaguje, więc głośniej)

Wyszła!

N: *(lekko zniecierpliwiony)*

Słyszę.

(zorientował się)

Jakto — „wyszła"? Toć chyba nie „wyszła", a „wyszedł"?

ĄSKA: *(ze stopni schodów)*

Waszmość bardzo ciekawy od samego ranka,
czy wreszcie przyjechała już wojewodzianka.

N: *(uśmiecha się)*

Bredzisz.

(podniósł lutnię, spróbował strun, zanucił)

„Za cóż mnie ta Ananke doświadczyła sroga?"

ĄSKA: *(wraca z półpięterka)*

Cały dzień hopla-hopla, cały dzień na nogach.
Nie trafisz w smak nikomu, choćbyś dał najsłodziej...

(przechodząc obok Jana)

I waszmość patrzysz na mnie, jako nie dobrodziej.

N: *(zaśmiał się)*

„Patrząc na świat, pomnij na to,
że nie zawżdy bywa lato..."

ĄSKA: Fraszki jeno układasz na wszystko.

N: To nie ja...

ĄSKA: *(sentencjonalnie)*

„...nie zawżdy bywa lato..."

N: To są słowa Reja.

ĄSKA: A już mnie wszystko ono dojęło do żywa —
bo dla ludzi raz na rok jednak lato bywa,
a nie dla mnie, nie dla mnie.

Hopla! Słowa szkoda —
Patrz waszmość, oto idzie sam pan wojewoda.

(Jan odwraca się i widzi we drzwiach wejściowych Hannę ze służebną)

A waść ma pono sprawy de publico bono...

N: *(zerwał się)*

O, Hanno... dotąd żyłem chwilą upragnioną,
bym cię ujrzeć mógł znowu i sercu dał święto...

HANNA: *(odpowiedziała Janowi na ukłon, uśmiechnęła się i oschle do służebnej)*

Idź, zobacz — zali sprawnie w komnacie sprzątnięto.

(służebna idzie na półpięterko — Gąska wychodzi w lewo)

JAN: *(odstawił lutnię)*

Słałem listy... czekałem... nie ma odpowiedzi...
i oto już nie wrócą przeminione chwile.

HANNA: O, w waszmości duch, widzę, niespokojny siedzi.
Tyle jest jeszcze życia przed nami...

JAN: Aż tyle?
Hanno miła! Inaczej, o, inaczej będzie,
kiedy na naszych skroniach siwy ptak usiędzie.
Wszystkim ludziom pisana jest droga jednaka —
trza mocno głową ruszać, by odpędzić ptaka,
a jeno... jeno miłość jest dla nas łaskawa
i w kochaniu... w kochaniu... wieczną młodość dawa.

HANNA: *(przekornie)*

Waszmość ma inne drogi do wiecznej młodości —
jako Muzom przemiły, więc kochanek boski —
cięgiem dokoła słychać: — „Ach, ten Kochanowski. "
Imię twoje co chwila na usta powraca.
Mogą być monumenta z marmoru na placach —
splendor nie lada jaki — winszuję waszmości.

JAN: O, nie żartuj tak ze mnie, bo nie ścierpię dłużej —
Inny sens pieśni swoich słyszę z każdej strony —
jestem, jakby we wnętrzu cały poraniony,
bo nie tym sprawom służą, którym serce służy.

HANNA: *(jakby powyższych słów nie było)*

...W promieniach takiej chwały — jako krążą wieści —
(ukłon)
niejeden da się ogrzać i affekt niewieści...

JAN: Ależ, Hanno...

HANNA: ...więc na nic o tem ptaku strachy.
(idzie ku schodom, zatrzymuje się)
Dziś czytałam poema pod nazwaniem „Szachy".
(lekko się zaśmiała — recytuje, ośmieszając dyskretnie niektóre słowa i podkreślając zbieżność zgłosek „sz", „cz", „rz", „ć".)

„...Wojnę powiedzieć myśli serce moje,
Do której miecza nie trzeba, ni zbroje,
Ani pancerzów, ani arkabuzów;
Ta walka czyście może bydź bez guzów,
K'temu wyjeżdżać nie potrzeba w pole —
Wszystka się sprawa ogląda na stole..."
(zaśmiała się — pauza)

A niech waszmość pomyśli, niech waszmość posłucha.
To także twoje słowa... a jak brzmią dla ucha: —

(recytuje, delektując się)

„...Sola ego non possum tibi succensere merenti —
Sola ego te quamvis non merearis, amo...
Utque tibi nostri penitus cura excidit omnis.
Perpetuo miserae sic mihi crescit amor...
Crescit amor lasso fugiunt e corpore vires
Et si non adsit spes mihi nulla forem..."

Czemu waszmość zamilknął? Co mi waszmość powie?

AN: To samo, jeno piękniej, a bo w naszej mowie: —
„Nie gniewam się, choć gniewu mego jesteś godzien —
Kocham, chociaż niegodzien jesteś mej miłości —
Jednako — jak twe serce ode mnie odchodzi —
tak we mnie, nieszczęśliwej, rośnie... rośnie miłość.
Rośnie miłość, a siły uchodzą wraz z ciała —
Zginęłabym, gdybym nadziei nie miała..."

(pauza)

Powiedz, Hanno, nie piękniej?

ANNA: Niezręczna to mowa —
Serce leniwiej słucha tak prostego słowa.

(idzie po schodach)

„...Sola ego non possum tibi succensere merenti —
Sola ego te quamvis non merearis, amo..."

AN: „...Nie gniewam się, choć gniewu mego jesteś godzien —
Kocham, chociaż niegodzien jesteś mej miłości..."

ANNA: *(jest już na półpiętrze — przechyla się przez barierkę)*

„...niegodzien mej miłości..."

(śmieje się)

Więc się spierać mamy?
Jakbyś waszmość powiedział — sens będzie ten samy...

(szybko wbiegła do komnaty — zamknęła drzwi)

AN: *(wbiegł za nią po kilku stopniach)*
Hanno...

(staje — trze czuprynę, mierzwi włosy)

...sens będzie ten samy.

ILIP: *(wchodzi — rozgląda się)*
Aha, jesteś, mój drogi! Kłaniam.

(idzie ku Janowi z rozwartymi ramionami)

AN: *(roztargniony)*
Witam stryja...

ILIP: A niechże los ci zawsze, jako dzisiaj sprzyja
W całej Polsce nic, jeno twoje słychać rymy—

splendor, splendor to wielki... Bardzo się cieszymy
i tego... taaak...

JAN: O, niechaj stryj odpocznie chwilę.

FILIP: Widzisz... ja tu do ciebie...

(Jan nalał do kubków)

Pozwól, że wychylę
za zdrowie... żeby sława twoja ciągle rosła...

(wypił)

JAN: Słucham stryja...

FILIP: A może wieść do ciebie doszła?
Szaniawski... ten za młynem... jak od krzyża droga...

JAN: Nie wiem, jaki Szaniawski...

FILIP: Nie wiesz? bój się Boga —
to pole wedle dębu, co grom go zapalił...

JAN: Nie wiem którego dębu, ale słucham dalej.

FILIP: Tedy... będzie dwa lata, jak wyszła ta sprawa.
Szaniawski swoją córkę wraz za mąż wydawał...
Zięć — karmazyn, pan możny... no, ten — jakże go tam...
Słowem: — ratuj sąsiedzie! Pożyczyłem złota.
Jak tam było, to było... Wiela ambarasów...
Nie mówię, a bo szkoda i słowa i czasu.
Zaczął mijać Szaniawski moje niskie progi —
nieporęcznie mu było, a i zawsze z drogi.
Nic to. A patrzę latoś w jego pole — co to?
Jak nigdy tak wyrosła pszeniczka... no — złoto!
Ano — tom skrzyknął kmieci — zlecieli się tłumnie —
ciach, ciach — i do wieczora pszenica już w gumnie...
i... jeszczem sobie jeno staję owsa dodał —
myślę: — jedno za drugie... to i będzie zgoda.
Lecz on zgody nie łasy, chocia zna twe rymy!

(wysupłał kartkę i czyta, dukając)

„...Lepiej się tedy zgadzać a w spólnej miłości
Radzić o tem, żebyście w cale tej wolności
I swobody potomkom swoim dochowali..."

To mu rzekłem, uważasz...

JAN: Niech stryj mówi dalej.

FILIP: O zgodzie słuchać nie chce — rzecz to niesłychana.
Wezwał na sąd... do grodu... na jutro... od rana...
To ja tutaj do ciebie. Słuchają cię wszędzie —
Szepnij słowo sędziemu — a jak zechcesz będzie...

(pauza)

JAN: Nie, stryju.

FILIP: Kogo trzeba — chętnie wynagrodzę.

(kładzie na stół sakiewkę)

Toć wiem przecie — niemocen zwyczajów odmieniać —

gdy kolaska podskoczy na ostrych kamieniach,
smaruj koła, a pójdzie jak po równej drodze.

(śmieje się sam)

Tedy... jako byś myślał?

(Jan milczy — Filip spogląda na sakiewkę)

A może... to mało?
Dam drugą, jeśli trzeba. Byleby się zdało.

AN: Ja — dam świecę na ołtarz — choć na dwa ołtarze —
jeśli się stanie, jako sprawiedliwość każe.

ILIP: *(zrywa się, oburzony)*

A coś ty za wyrodek?! Boga się nie boisz?!
A odstukajże waszmość...

(zgiętym palcem odstukuje w blat stołu)

Zapomniałeś o tem,
że w tobie, jako we mnie, krew ta sama stoi —
i jednym pieczętujem się rodu klejnotem.
Jeden honor — dyshonor dla mnie i waszmości...

(Jan idzie ku drzwiom — zatrzymał się — opanował się — wraca)

AN: Nie chcę stąd odejść, stryju, zabywszy grzeczności.

(siada — stara się zapanować nad wzburzeniem)

A ta krew... co to spólna... ano — myślę o tem.
Krawiec krawca nie rodzi — ze szlachtą to samo...
Co z tego, że się jednym szczycimy klejnotem?
I wilk byłby szlachcicem, gdyby mu herb dano.

ILIP: *(wstrząśnięty)*

Święty Filipie, pomóż! Święci aniołowie!
Toć chyba już i koniec tej uczonej głowie!
„Krawiec krawca nie rodzi"... — wymyślił dobrodziej!
Mówiłem! A mówiłem, że nauka szkodzi!

(usiadł, odsapnął)

No, to idę...

(odczekał chwilę)

To idę...

(podniósł się)

...a ty zaś pamiętaj,
żem ci serce dać gotów...

AN: *(siedzi — głowa opuszczona na dłonie)*

...jeno za procenta...

ILIP: *(udał, że nie słyszy — zbiera się do odejścia)*

Owa — tę jedną dzisia radę dam ci, Janie —
nie sięgaj nigdy wyżej niż nosem dostanie.

Ledwo cię w górę wzniesło, a widzę, mój drogi —
już rodziny się wstydzisz... bo za niskie progi.
Chciałbyś do karmazynów. I tam radbyś ostać!
Tam już miłość wyznajesz...

JAN: *(zerwał się)*

FILIP: *(cofnął się przerażony — i z ukłonem do wchodzącego Grzegorza)*

O, mości starosta...
Jeno tego wciąż pragnie utęskniona dusza,
by cię ujrzeć...

GRZEGORZ: A czyńże swej duszy na zdrowie!
A... gdybyś waszmość pragnął dawne sprawy ruszać...

FILIP: *(przerywa)*

Nie tera. Toć nie będę przeszkadzał w rozmowie.

(ukłon — wyszedł. Pauza)

GRZEGORZ: *(do Jana)*

Wojewoda na zamku w twojej sprawie gada.
Nieletko mu tam pójdzie...

JAN: *(chłodno)*

Jakaż na to rada?

GRZEGORZ: Dziś od rana nic, jeno szukałem cię, Janie.

JAN: Masz do mnie dellegacją?

(Grzegorz milczy)

Na cóż więc szukanie?

GRZEGORZ: *(dotknięty słowami Jana)*

Hm... tak mówisz... hm... Ano — rzecz wyłożę z prosta —
Trza, abyś dobrze widział, co się wkoło dzieje...
Jeno pierwej — nie może między nami ostać
krzak ciernia, by kaleczył ręce i nadzieje...

JAN: To mówisz — krzak urosnął? Hm... trza będzie przyznać —
czas był zdatny ku temu, a i gleba żyzna.
Jam ziemi nie sposobił na głogów rośnienie —
czemu więc...

GRZEGORZ: Nie przychodzę tu po rozgrzeszenie,
bo spowiedzi nie było... pono i nie będzie.
Kończmy. Tedy już na głos mówią o tym wszędzie,
jako wielkie staranie masz, by dostać skorzej
miejsce śród sekretarzy na królewskim dworze.

(Jan milczy)

To ci mówię, byś wiedział — już króla ostrzegli.
Spomnieli już twe słowa z łacińskiej elegii,
gdzie przeciw papieżowi głos podnosisz śmiało.
Dzisia — kiedy reforma aż do tronu wejść chce,

by ucha królewskiego bliżej zająć miejsce —
nie tak letko ci będzie, jakoby się zdało...

(Jan podniósł oczy — patrzy na Grzegorza, ale milczy)

Prawo jest u nas, Janie, jak ta pajęczyna —
wróbel ładnie przeleci, a na muszkę wina.
Idź na zamek i wszystko powiedz, co w tej mierze,
by król wiedział, żeś wierny katolickiej wierze,
jeno cię rozterk szarpie, gdy widzisz, jak oną
ludzka chciwość w arendzie trzyma, pohańbioną...
Zważ dobrze, co ci mówię. Słuchaj rady, Janie,
byś mógł sprawnie kierować swojej nawy losem.
Chocia raniej mi bramę zamknęłeś przed nosem,
nie dbam... a niech się nawet i na gorsze stanie —
chocia bym życie całe miał chodzić w żałobie —
nie stąpnę i pół krokiem, by na szkodę tobie.

JAN: *(podchodzi do Grzegorza — przyjaźnie, pogodnie)*

Bóg ci zapłać, Grzegorzu! Złe daruj mi słowa.
Głupi... głupi jest język i głupia jest mowa,
gdy serce głucho milczy gniewem osłonięte.

(chodzi, myśli, staje)

Ponoć wielki to rycerz, kto swą myśl porazi —
Jam — nie mocen...
i wstydów, jak widzisz, nie święcę...
Nie pójdę tam, Grzegorzu... nie powiem nic więcej.

(z uśmiechem)

Tak czy tak — wymyślimy obydwa niewiele.
Nie ginie się w przeręblu, gdy są przyjaciele.
Nieraz czynim nad podziw — a wychodzi nie to —
Bóg ci zapłać, Grzegorzu...

GRZEGORZ: *(machnął ręką)*

Bóg z tobą, poeto.

(wyszedł)

(Jan siada, opiera się plecami o stół, myśli, mierzwi czuprynę. Wchodzą trzej szlachcice. „Drugi" już jest pokrajany i przewiązany. Wymyślili melodię do słów „Zgody" i przekrzykują się śpiewając — jakby powiedział Kochanowski — „nie prawie cudnie")

PIERWSZY: *(śpiewa)*

„Prze wasz tedy postępek, przez te wasze sprawy..."

WSZYSCY: „Zginęły wszystkie prawie poczciwe zabawy..."

DRUGI: *(śpiewa)*

„...a ostała wszeteczność..."

TRZECI: *(poprawia)*

Nie „wszeteczność" — „zuchwalstwo"!

PIERWSZY: Silentium, panowie!

(śpiewa)

„...A nastało łakomstwo i swawola wielka...“

DRUGI: *(bije pięścią w stół)*

Wszeteczność!... — Ja to mówię!

TRZECI: *(drze się)*

Zuchwalstwo!...

DRUGI: *(drze się)*

Wszeteczność!...

PIERWSZY: *(upominająco)*

Silentium!

TRZECI: *(do drugiego)*

...Bo waść zawsze czyni co inszego!

PIERWSZY: ...Nie będziem poprawować słów Kochanowskiego, jeno — vivat poeta! — krzyknijmy po społu...

WSZYSCY: Vivat Jan Kochanowski!

DRUGI: *(trąca Jana łokciem)*

Odejdź waść od stołu... przecie widzisz — kompania przyszła znakomita.

JAN: Poniechaj...

DRUGI: Co — „poniechaj“? Odejdź waść i kwita!

(do innych)

Nie wiwatuje z nami...

TRZECI: *(z bliska przygląda się Janowi)*

Cóż to za osoba?

DRUGI: *(z pijackim uporem)*

Nam się podoba Jasio...

JAN: Mnie się nie podoba.

DRUGI: Co? Jakto? Kochanowski nie podoba?

(chwyta za miecz)

Stawaj!

(inni obskakują Jana z dobytymi mieczami)

TRZECI: *(naciera)*

Broń się waszmość!

DRUGI: *(wymierzył cios, chybił i kołysze się na jednej nodze, nie mogąc zdobyć równowagi)*

Zaczekać!

TRZECI: *(z uciechą — naciera)*

I znowu zabawa.

(Jan spokojnie podnosi się z zydla. Przy drzwiach — śmiech. Szlachta — w uniżonych pokłonach)

WOJEWODA: *(we drzwiach)*
Tegoż, mości panowie, o mało za wiela —
A i zarąbać chcecie mego przyjaciela?
Tożbym płakał wiek cały...

JAN: A to jeszcze mało...
Płakanie jeno ducha nakarmi — a ciało?

PIERWSZY: Ciało duszy wnet spomni na jej obowiązki —
ergo: — siłą, panowie, na kaczkę do Gąski!

WOJEWODA: Gdy spłonioną jak pannę wraz ją zdejmą z rożna —
to niechby popływała, by nie w cienkich miodach —
wino lejcie na kuper!

TRZECI: Inaczej nie można!

WOJEWODA: Przyjdę sprawdzić.

GŁOSY: Prosiemy... mości Wojewoda!
Prosiemy!

(wyszli na lewo — Wojewoda i Jan przez chwilę badają się oczami)

WOJEWODA: Gratuluję waszmości. Sukces to niemały.
Rymem waszmość jak wojskiem pokonał Sejm cały.
Jako praktyk od bitwy, wiem, że trudna rada,
nie ten mocny, kto silny — lecz kto bronią włada.
Waszmość sprawnej husarii oddział masz w swym rymie.

JAN: Wasza Miłość wie dobrze, że gloria nie przy mnie,
że nie zmyślna broń w boju wraz przewagi dawa,
nie rąk zręczność i mózgów — jeno słuszna sprawa...

WOJEWODA: Byś przy niej ostał zawsze...

JAN: Myśli mam te same.

WOJEWODA: Jutro — jako dzień stanie — pójdziesz waść na zamek.
Król będzie mówił z tobą, losy twe ustali,
powie, jako masz czynić, by sporzyć mu glorii —
Najwięksi poetowie przy królach bywali
i zawszeć to z pożytkiem było dla historii.
Tedy, waszmość... hm... Ano — zważaj, co ci powiem —
żywot będziesz na dworze miał niezbyt spokojny.
Obsiedli tron dokoła litewscy panowie,
każdy ciągnie, by sobie. Kraj pchają do wojny.
Brzęknij waszmość, a z lutni głosy dobądź srogie —
zaklnij piekłem, otchłanią, aniołami, Bogiem —
stań im pieśnią naprzeciw, boś w mocy i prawie —
zagródź drogę tej krwawej inflanckiej wyprawie...

(Na galeryjkę wyszła Hanna i jest świadkiem tej rozmowy — niezauważona)

JAN: *(powoli — z namysłem)*
Jeśli z poezji może taka rosnąć siła,
by miecz w górę wzniesiony z dłoni wytrąciła —
to ja pióra już z ręki nie puszczę od ninie —
a bo wojna — wykleństwo! Niech na wieki zginie!

WOJEWODA: Bo prawda... no, i racja. Wykleństwo! Infamii!
Dla tego, kto sumienie ludzką krwią zaplami...
Te słowa, jakbyś waszmość wyrwał z mojej duszy.
Nie lża, aby król z wojskiem na Inflanty ruszył.
Nie lża, mówię, bo wielką tam cenę zapłaci —
wiela krwie się poleje naszych panów braci...

(pauza)

A za to na Multanach — kraj piękny, otwarty,
nie broniony przez wojska, a i więcej warty —
ziemia tam jak te masło — a tłusta, a żyzna —
taką ziemią wzbogacić się rada ojczyzna.
Tam się sercę raduje i oko zachwyca,
gdy widzisz, jaka gęsta rośnie tam pszenica.
Jazdę puścić — przeleci od grodu do grodu —
warty jeno postawi i koniec pochodu.
To królowi powiadaj, a śpiewaj w swym rymie,
bo dla kraju korzyści stąd przyjdą olbrzymie...

(pauza)

Widzisz waszmość — roboty cię czeka niemało...
Cóż ty na to?
Odpowiedz.
Co waści się stało?

JAN: Widziałem pożar lasu... Ledwo iskra padnie,
ogień — kłusem po trawie... jak wściekły pies warczy,
wspina się po gałęziach... Drzewa jak pałacu
kolumny drżą i z trzaskiem strop się załamuje —

(pauza)

Chocia wojny początek znasz — to nie znasz końca.

(idzie ku drzwiom po lewej — zatrzymuje się)

W czas pożaru nie wszyscy na ratunek śpieszą —
Inni przy ogniu swoją pieczeń widzieć radzi...

(ukłon — wyszedł)

WOJEWODA: *(idzie za nim)*

Co mi waść za androny?!

HANNA: *(przechylając się przez poręcz)*

Dokąd Bóg prowadzi?

WOJEWODA: Jesteś, córuś?

HANNA: Tak, ojcze.

WOJEWODA: Już nie marudź dłużej.
Idź spać, a boś zmęczona bardzo po podróży.

HANNA: Pójdę, ojcze... wraz pójdę... ale to ci powiem,
przegrałeś tu, przed chwilą... w tej... z Janem rozmowie.
Mówisz: — król i sumienie... a to trzeba nie tak.
Z prosta, a i do rzeczy.

OJEWODA: Toć przecie poeta...
Jeszcze... tego... mam rozum... Panu Bogu dzięki...
kieski złota mu przecie nie wcisnę do ręki.

ANNA: Trza z nim mówić do rzeczy — on to pojąć umie.
Niech cię sercem nie słucha — za to niech zrozumie...
W sercu płomyk zabłyśnie... zaświeci i zgaśnie,
a nam trzeba, by świecił i parzył...

OJEWODA: A, właśnie!
Widziś, córuś, tę sprawę na przestrzał... na nice...

ANNA: Rzeknij mu: — Nasze włości idą pod granicę —
jak posunąć granicę, to i włości sporzej...
Naszych włości i jego...

OJEWODA: Z tym, córeczko, gorzej —
Przecie mu nie dam ziemi do rudego czarta!
Sama wiesz, ile ziemia za rzeką jest warta.

ANNA: Nie dasz ziemi... Lecz jedno trza mieć na uwadze —
Uczyń wszystko, by wzmocnić naszą w Polsce władzę —
W czymże lepsi są tutaj — a niech mi kto powie —
Firleje, Radziwiłły, Zbarascy, Kmitowie?!

(pauza)

Z Janem prowadź gawędy, a spomnij nawiasem,
by kiedyś... w naszym domu odwiedził nas czasem...

(pauza)

bo córuś taka smutna...

OJEWODA: Więc — co?

ANNA: W tym rzecz cała.

OJEWODA: *(zdenerwował się)*

A czyżbyś w kolligacje z nim wstępować chciała?

ANNA: Oj, chciała, czy nie chciała — pojmij należycie —
on mnie przecie miłuje — a mówi: — Nad życie...
Dobrej nocy, ojczulku, mój miły, mój złoty...

OJEWODA: A bądź mi zdrowa, Hanna.

(Hanna weszła do komnaty)

Trza pomyśleć o tym...

(wyszedł w lewo, gwar głosów witających Wojewodę. Gąska przebiega przez scenę — wchodzi Andrzej Patrycy Nidecki, rozgląda się — siada przy stole)

IDECKI: Hej, hopla, mości Gąska!

ĄSKA: *(zatrzymuje się)*

A, hopla, nieboże...
od samego dziś rana zjeść nawet nie może.
Ledwo spożył maluśką — ot, taką — szyneczkę,
dwa kurczątka ciupciuśkie, kapusty faseczkę,
już wołają: — Hej, Gąska! — tom jeszcze po drodze
obgryzł mięso, mięciuśkie, na wołowej nodze

i zdążył przełknąć — co tam — śliczny świński ryjek —
omal z głodu nie padam — aż dziwne, że żyję...
Czem usłużyć waszmości?

NIDECKI: *(śmieje się)*
Daj mi, jeśli można...
coś wypić... no i tego...

GĄSKA: Z rożna?

NIDECKI: Ano — z rożna.

(Gąska wyszedł. Nidecki podnosi opartą o nogę stołu lutnię. Hanna wyszła z jednych drzwi. Nidecki podniósł się. Hanna weszła w drugie drzwi. Nidecki usiadł, próbuje strun, kładzie lutnię na stole. Wchodzi Jan)

JAN: Patrycy!

NIDECKI: Salve, Janie! Bądźże pozdrowiony!

JAN: *(przygląda się Nideckiemu)*
Chory jesteś, Patrycy?

NIDECKI: *(śmieje się)*
Trzeźwy i zmęczony.
Przejdzie jedno i drugie — zjawią się rumieńce.
Pracy było nad podziw — leciała przez ręce —
bo co chwycisz za pióro — postać znakomita
jedna, albo dwie razem: — ta o króla pyta,
ta z marszałkiem by chciała... ramiona otwiera: —
Kopę lat, panie dzieju... no i et caetera.
A wszystko: jedna sprawa tych gości zebrała: —
każdy nosem w protokoł — jako brzmi uchwała,
w której panowie szlachta w podniecenia chwili
dziesięć groszy od łana zgodnie uchwalili.
Szlachta płaci, czy kmiecie? — Jak się to rozumie?
Cała Izba gęsiego była dzisia u mnie...

JAN: I kto płaci?

NIDECKI: Ach, Janie — nie znasz panów braci?
Możny grzecznie poprosi, a biedny zapłaci...
Biedny niesie możnemu — możny królom poda,
król możnego nagrodzi — i zgoda.
(pauza — westchnął)
I zgoda...

JAN: Nie o takiej ja zgodzie myślę dniem i nocą.
Szukam sercem i głową jasnej myśli...

NIDECKI: Po co?
Jadła przecie dla marzeń — ile pragnie dusza —
letko najdziesz w „Utopii" Tomasza Morusa.
i to będzie, że świat wraz na mądrość twą czeka.
i, że nie lża, by człowiek niewolił człowieka,

że najlepsze dać trzeba rękami własnemi,
a bo spólne jest nasze wszystko, co na ziemi.
Ludzie mają być równi, więc biedy nie będzie...
wszystko, wszystko to najdziesz w jego „Złotej księdze".
A Frycz Modrzewski — takoż...

N: Poniechaj... poniechaj...
Nie w słowach pięknie brzmiących dla serca pociecha.
Każda, co najpiękniejsza myśl ulata z czoła.
i wiara... wiara mdleje, gdy spojrzysz dokoła.

(chodzi po scenie — podniecony)

Tysiącom trosk uniknij — ostaną tysiące.

(trącił palcami struny lutni leżącej na stole — słucha aż ucichną dźwięki)

Patrzysz — człowiek i człowiek... myślisz: — jedna rada.
Dwie głowy, cztery ręce w jedną myśl połączę...

(trze czuprynę)

Śmieszy bogów, kto sobie sam cierpień dokłada.
Moja „Zgoda", Patrycy — bolesna nauka,
za to, że się za wiela podobieństwom wierzy...
za to, iżem śród wiatrów iskry ognia szukał,
za to, żem wodę z ogniem chciał, głupi, sprzymierzyć.
Nie każda zgoda leczy... i nie każda łączy.
Sam widzisz, jak na zdrowie idzie naszym posłom.
Bywa — zlepi po wierzchu, ale w środku jątrzy —
aż rozerwie, co z takim trudem już zarosło.

(potrącił palcami o struny — jak wyżej)

Los chodzi wciąż za nami jak ten kat z powrozem —
źle stąpniesz — będziesz leżał, abo spuchnie noga...
Nie lża godzić wszystkiego. Tylko jedna droga
każdej rzeczy jest dana. Innej być nie może.
Padniewski moich rymów używał bez lęku,
bo każdy miecz jest dobry, byle w swoim ręku.
A tera Wojewoda chwyta za rękojeść...

DECKI: *(śmieje się)*

Trzymaj mocno, nie puszczaj. Co twoje, to twoje.
Każdy rośnie w rozumy — ten mało, ten więcej...
Bacz, Janie, byś nie dawał miecza w obce ręce.

(poważnieje)

Wojewoda — zważ, Janie — to pływak niemały.
Dzisia z tobą, boś w cenie — jutro z drugim stały.
W oczy świeci i rację przyznaje, by zgoda —
dzisia słodko — a jutro i truciznę poda...
Z każdym mówi inaczej — a na swoje czeka.

JAN: Bądź spokojny, Patrycy — czuję go z daleka.

(Hanna wraca galeryjką do swego pokoju — Nidecki i Jan zerwali się, milczą, patrzą — Jan intensywniej przeżywa ukazanie się Hanny)

Sam — czort wielki, a córka... córkę ma — anioła.
Widziałeś? Kto pięknością jej dorównać zdoła?!

NIDECKI: A nie zgub znowu serca, duszy i pamięci...

JAN: Poniechaj...

NIDECKI: Ano — widzę, Janie, co się święci...

(pauza)

Więc... piękna, czy uczona?

JAN: Piękna i uczona —
i nie masz drugiej takiej na świecie jak ona.

(Nidecki gwizdnął z podziwu)

JAN: *(kilka akordów na lutni)*
...bić w strony...
...słyszę dzwony...

NIDECKI: *(podtrzymał śpiewem)*
„...Dziwnośmy się pomieszali..."

JAN i NIDECKI: *(razem — zaśpiewali)*
„...Jam nie spał, a ci już wstali..."

(Jan spojrzał na drzwi Hanny i Nidecki spojrzał na drzwi Hanny. Spotkali się wzrokiem — roześmieli się. W izbie gościnnej gwar rośnie — kilku szlachty wpada na scenę)

PIERWSZY: Hejże, mości panowie! Wieść niesę, że oto
wybito szpunt w antale — miód świeci jak złoto!

NIDECKI: A niechby sobie świecił!

PIERWSZY: Ba! Dodam niewiele —
świeci i pachnie! Pachnie, jak w kościele!

DRUGI: A niech pachnie.

TRZECI: Nie strzymam!

PIERWSZY: Powiada przysłowie —
jak szkoda, to do mioda!... — Hej, za mną, panowie!

(wybiegli)

NIDECKI: A ty, Janie?

JAN: *(trze czuprynę)*
Ostanę... ostanę... oj, muszę...
Tak, tak. Już mi zabrała spokój, pamięć, duszę.
Muszę jej to rzec przecie, a zważyć jej chęci...

NIDECKI: *(z uśmiechem)*
Musisz, musisz, bo jako tak żyć bez pamięci?

(odchodzi — ku lewej)

Jeśli krew się poleje — krzycz o pomoc, Janie —
tedy rychło przybiegnę...

N: Będzie... jak się stanie...

DECKI: Ano — będzie. To idę i czekam, jak co dzień...

N: A na moją intencję umocz brodę w miodzie.

(Gąska wnosi półmisek i flaszę, zamówione przez Patrycego. Nidecki macha ręką, aby wrócił, wychodzi za nim. Jan, spacerując z lutnią podśpiewuje i co chwila patrzy na drzwi Hanny)

N: *(śpiewa)*

„Ty śpisz, a ja sam na dworze,
Jeszcze od wieczornej zorze —
Cierpię nocne niepogody —
Ulituj się mojej szkody...

(w chwili, gdy stał tyłem do drzwi, Hanna wyjrzała i natychmiast wycofała się)

Słuchaj, jak bije o ściany
z gwałtownym dżdżem wiatr zmieszany —
Ocknij się, a przemów słowo —
Nieużyta białogłowo..."

NNA: *(z galeryjki)*

Niechże waszmość spać idzie... Po nocy śpiewanie
nie na zdrowie. Złość jeno od śpiewania tego.

N: O! Waćpanna mi w złości uczyni co złego?

NNA: Uczynię, jak Bóg miły. Pora spać, mój panie.

(ukłon — wyszła — zamknęła drzwi)

N: *(położył lutnię na stole — spojrzał na drzwi Hanny — obszedł stół dookoła — wziął lutnię — śpiewa)*

„Nie na żadną kradzież godzę,
Chociaż tak po nocy chodzę...
Ocknij się, a przemów słowo —
Nieużyta białogłowo..."

NNA: *(na galeryjce)*

Niechże waszmość spać idzie... niech waszmość zrozumie...

N: *(wszedł po kilku stopniach)*

Inna by powiedziała: — Śpiewaj... śpiewaj zawsze!
Jestże na świecie drugi, co tak śpiewać umie?
O, sądziłem twe uszy dla piękna łaskawsze...

NNA: *(bez złości)*

Nie o nocnej godzinie...

N: O nocnej...

NNA: Nie pora...

N: Dla pieśni? Nie znam chwili dla pieśni niezdatnej,
a najwięcej o świcie, najwięcej z wieczora —
kiedy serce jest czułe, wzruszeniu podatne...
Ach, wiedzą o tym ptaki, im nie trzeba znaków.
Uczmy się żyć i kochać od tych mądrych ptaków.

HANNA: Ha-ha-ha-ha-ha...

JAN: Próżno w pancerz się ubierać
w ucieczce przed miłością... Niesposób się schronić,
bo jako nie ma lotny pieszego dogonić?

HANNA: Ciszej...

JAN: Nie mogę ciszej! Do stu jasnych gromów —
już przecie nie wiem jako chodzę... myślę... stoję...

HANNA: Azali? hm... Nie mogę nic waszmości pomóc.

JAN: Oddaj mi serce moje, abo daj mi swoje!

HANNA: Niechże waszmość odejdzie w spokoju i ciszy.

JAN: O, Venus! Strzelaj do niej, bo pieśni nie słyszy!

HANNA: Gorące waszmość zaprzągł do rydwanu konie —
Trza na rozum poczekać. Toć rumaków szkoda...

JAN: Nie czekam, aż mi biały ptak siędzie na skronie.
Bywa... rozum już przyszedł — odeszła uroda...
Inaczej będę bawił ciebie, pani, wtedy,
gdy zima życia wielkiej narobi nam biedy.
Nad księgami schyleni, będziemy po latach
myśleli, jakie były początki wszechświata —
gdy mróz łapie, to czemu dym w górę nie leci —
na co grom jest i jako tęcza ślicznie świeci —
czemu drzewa jesienią zbywają się liści —
czy ogień rychle duszę z grzechów ziemskich czyści —
i będziesz mnie się wtedy pytać jako żywo —
czy Antychryst ma brodę sztuczną, czy prawdziwą...

(Hanna śmieje się)

O, niech ci słowa moje nie daremno dźwięczą —
jesteś mi słońcem, luną, a w chmurny dzień tęczą.
Każdy napój — trucizną, wesele — żałobą,
gdy nie mówię do ciebie, gdy nie jestem z tobą.
Jeśli ci tym wyznaniem serca nie otworzę —
a to i gromów niechaj pokrają mnie noże!
Insza rzecz — gdy mnie zbędziesz miodem, a nie kwasem —
tedy po co mam próżnie umierać... przed czasem.

(jest już prawie na półpięterku)

HANNA: *(pod wrażeniem żarliwości słów Jana)*

Między ludźmi twe imię codziennie się święci —
i każdy dziś powtarza twe rymy z pamięci.
Jeden „Zgodę“ wychwala, inny „Szachy“ sławi,
ten elegią łacińską, tamten fraszką bawi —
nie dziwne, gdy waszmości jaką myśl poświęcę...

JAN: *(zawiedziony)*

Tyle samo, co inni?

HANNA: Może... ździebko więcej...

(wbiegła do pokoju — zamknęła drzwi)

N: Ździebko? Co to jest ździebko? To mało, czy wiela?

(milczenie)

(zaśpiewał)

„...Ocknij się, a przemów słowo —
Nieużyta białogłowo..."

(milczenie)

Ździebko? Co to jest ździebko? To mało, czy wiela?

NNA: *(przez uchylone drzwi)*

Tyle, że waści starczy... choćby do wesela...

(zamknęła drzwi)

N: Oooo!

(westchnął, zmierzwił włosy, potknął się, spadł z kilku stopni schodów — podnosi się, prostuje. Wbiega Nidecki z dzbanem i z zapaloną świecą)

N: Zawsze na łeb spaść może, kto się w górę wspina —
takie jest prawo życia...

ECKI: Nie ranionyś aby?

N: A raniony.

ECKI: Mów!

N: W serce.

ECKI To rychło się zgoi...
Chocia człek nie z żelaza, ale, owszem, słaby —
ta strzała nie zabija, choć przebija w zbroi.

(Jan przysiadł na stopniu schodów)

A to chyba się napij, bo zrzedła ci mina...

(podaje Janowi dzban, przysiada się obok)

Pies ten, kto przyjaciołom grzechy wypomina,
sam będąc w życiu swoim nie bez rozgrzeszenia.
Ano — było... jest... będzie... choć wszystko się zmienia.
Spomnij, Janie, na ową wenecjankę, która
myśl o śmierci do marzeń twoich zaplątała —
a krakowska dziewoja? A rzymianów córa?
A smukła Małgorzata? A Marcjanna biała?
A Klara, w której oczach tyle było nieba?
Pomnisz, Janie, te słowa? Dla kogoś je śpiewał?
„...Patrzaj, jako twarz białą zdobi wstyd rumiany —
Takiej barwy więc niebo bywa, gdy świt rany
Złote słońce wyprzedza, albo gdy leliją
Z pięknym kwieciem różanym w jednym wieńcu wiją..."

(pauza)

Nie głodnyś?

: Hm... tak, jakby...

ECKI: To znak zdrowia, Janie.
Chyba napij się ździebko

JAN: Ździebko?

(spojrzał na drzwi Hanny)

Piję zdrowie!

(Napił się — oddał dzban Nideckiemu — Nidecki pije — Jan przygląda się wielkim cieniom pijących)

Ludziom — wino, a cieniom?

NIDECKI: *(łuk ręką nad cieniami)*

Cieniom — cienie dzbanów!

JAN: Patrycy, przyjacielu, uważaj, co powiem.
Nad słowami moimi dobrze się zastanów.
Oj, zmacał ci mnie zmacał ogień aż do kości —
brr... rozpalił mi serce w okrutnej miłości.

(pokazuje na drzwi Hanny)

Ta — ostatnia! Na Boga!

(Nidecki zakrztusił się winem — śmieje się)

Wyznaję ci szczerze...
Nie wierzysz? Patryc, słuchaj...

NIDECKI: *(poważnieje)*

Trza wierzyć?

(rozkłada bezradnie ręce)

To wierzę...

(Jan, zamyślony, mierzwi włosy)

AKT TRZECI

W WARSZAWIE

Komnata na zamku królewskim. Troje drzwi. Dwa okna. Za jednym — dachy Starego Miasta, za drugim — świeci Wisła. Na ścianach — malowidła. Po prawej — stół zarzucony papierami. Po lewej — ława, nakryta skórą, kilka foteli. Anna — siedzi na fotelu, Jan — zaaferowany rozmową — chodzi, staje, siada.

JAN: ...czekaj, Aniu... czekaj.
Byłaś tam?

ANNA: Ano — byłam...

JAN: Mówisz... dach przecieka?

ANNA: Przecieka... a bo jakoż nie ma cieknąć, Janie?
Zali było o domu tym jakie staranie?
Nie pomnę, by kto z braci ostatniego czasu
gospodarskie miał oko na dwór Czarnolasu.

(pauza)

A i ściany ku ziemi chylą się pomału.

N: Chylą się...
NNA: Drzwi nie domkniesz — wiatr stoi na progu.
Jeno mi się nie turbuj... Wypadło z podziału,
że Czarnolas dla ciebie — to i dziękuj Bogu
Wszystko się oporządzi... Ździebko serca, głowy —
a dom będziesz miał piękny i czysty... jak nowy...
Wiesz? Przed gankiem jest lipa... rozłożysta... stara...
Będziesz lubił w jej cieniu słuchać szeptu liści...
N: *(przerywa)*
Czekaj... a jakby brać się do roboty zara —
siła czasu nam trzeba, aby dom oczyścić?
NNA: Wiela czasu? O, wiela... bo, jakbyś nie mierzył —
nie zrobisz tego w dziesięć, ani w sto pacierzy.
Oj, żebyś ten sad widział! Te śliwy! Te grusze!
Całe w kwiatach — różowe i białe jak panny...
Rosę na małych listkach w srebrny czas poranny...
N: *(przerywa)*
Czekaj... bo widzisz, Aniu, bo wyznać ci muszę...
Myśl taka za mną chodzi... może by się zdała...
żeby w tym Czarnolasie dom postawić nowy...
Postawić — to postawić. Sens w tym widzę zdrowy —
jeno powiedz mi, Aniu, jakbyś ty myślała?
(trze czuprynę, mierzwi włosy)
Bo... widzisz... Amor strzela — człek jeszcze nie z drewna —
raz chybi, raz nie chybi...
O widzisz, rzecz pewna: —
męże bywają różne — ten możny, ten czczony,
jeno wszystko za jaje, kiedy nie ma żony.
NA: *(aż się podniosła z wrażenia)*
A... jakaż ona?
N: *(zaskoczony koniecznością odmalowania obrazu Hanny)*
...Oczy ma dziwnej piękności...
NA: Lecz powiedz — jakaż ona?
N: To i mówię, Aniu...
NA: Wszystkie oczy jednakie bywają w kochaniu.
Lecz powiedz — jakaż ona? Jaka być powinna?
Czym zdobyła twe serce? Jak nad inne inna?
Zali mądrością wielką życie twe ozłoci?
N: Piękna... dumna... szlachetna...
NA: Dumna?
N: Lecz dobroci
gołębiej serce pełne — a serce nie kłamie...
NA: A toć my w czas kochania wszystkie takie same.
N: ...i uczona jest wielce... wdzięcznie się porusza...
poezji precz nie pędzi... nie rzuci do kąta...

z pamięci mówić umie strofy Wergiliusza...
i Ronsarda miłuje i Anakreonta.
Tedy, Aniu, dni liczę do onego czasu,
gdy nas witać już będą drzewa Czarnolasu.
A jeśli z nami razem pójdzie łaska boża —
wielki będzie urodzaj na pieśni i zboża.

ANNA: *(z postanowieniem)*
Dom trza stawić. A rychle! W tym będzie za ciasno...
Urośnie, jak na drożdżu... Jakby z bicza trzasnął...
O, nie przestanę chwalić sprawiedliwe nieba,
że cię ten Amor strzałą trafił jako trzeba.
(pauza — do siebie, jakby chciała odgadnąć)
A... któraż to bratowa? Płonę z ciekawości.

(z lewej wchodzą, strojnie ubrani, Hanna i Wojewoda)

HANNA: Będę tutaj czekała.

WOJEWODA: *(do pochylonego w ukłonie Jana)*
Witamy waszmości...
A cóżby stać się miało, że aż gońce biegli,
bym co rychle się stawił na króla wołanie?

JAN: Król Jegomość rad będzie ujrzeć Waszą Miłość,
by poznał ile prawdy wieść niesie, że pono
jazda Waszej Miłości na cudze skoczyła,
dokazując niemało... Wiela wsi spalono.
(Wojewoda zirytował się)

WOJEWODA: *(z pasją)*
Król jegomość wie dobrze, jak to u nas co dzień
chwała ojczyzny żyje w rycerskiej przygodzie.

HANNA: *(śmieje się — do Jana)*
A czyżby sprawy Marsa w poetyckiej głowie,
czując affekt przyjazny, osiedlić się miały?

JAN: *(do Wojewody — spokojnie)*
Ale Polska nie głodna ponoć takiej chwały.

WOJEWODA: *(z pasją)*
A jakiej chwały głodna?! Niech mi waszmość powie!

JAN: *(aby uniknąć dyskusji — spokojnie)*
Wasza Miłość daruje, lecz mam rozkazanie,
bym królowi wieść rychle na pokoje podał,
skoro waszmość się zjawi, Mości Wojewoda...
(zmierza ku drzwiom na wprost)

WOJEWODA: Czekaj... Ano — zdążymy... Powiedz no mi, Janie: —
Rymu twego nie słychać — a ja radbym wielce...
Czy śpiewaniem pokoju zatruło się serce,
czy ręka zleniwiała do czynów nieskora?

HANNA: *(upominająco)*
Ach, ojcze...

AN: Wasza Miłość! Niedobra to pora,
by mocne słowa mieniać. Próżne ich dzwonienie —
i waszmość nic nie zmieni — i ja nie odmienię —
jedno z drugiego idzie... a płynie jak rzeka.

(ukłon)

Wasza Miłość daruje. Król Jegomość czeka...

(wyszedł przez drzwi na wprost)

VOJEWODA: „...jedno z drugiego idzie?..." Jaka myśl w tym, Hanno?
HANNA: Już nie jedno zepsułeś pasją nieustanną.
Miast go cukrem napoić — ojciec jeno straszy...
VOJEWODA: Już on nie będzie, Hanno, bronił sprawy naszej!
Nie podeprze ramieniem, ni słowem w potrzebie —
łacniej z serca wymaże i przyjaźń... i ciebie!
HANNA: O, nie słodko mu będzie ten affekt odmieniać!
A niechby sam wymazał... i serce uładził...
bom nie w mocy już targać... choćby i sumienia...
VOJEWODA: Sumienia? Tom i ciekaw, jak rzecz poprowadzisz.
Herburt żąda terminów grzecznie a i śmiele —
pisma śle, by dzień wybrać na wasze wesele —
Kończ waćpanna grę śliską... Czas to wszystko zmienić,
byś nie miała już dłużej dwóch nosić pierścieni.
Chyba... żeś w konfidencje szła niespodziewane?
HANNA: Ostaw, ojciec... Dziś jeszcze załatwię rzecz z Janem.

(rzeczowo)

Za chwilę masz do Króla mówić Jegomości —
pomnij, byś stawał twardo, pewnie a bez złości.
Rzeknij, że ma się za nic... ba!... za grę swawolną
utarczki nasze z wrogiem, trudy i gonitwy.
A co się dzieje w Prusiech? Kto prze na Inflanty?
Jednemu, znaczy, wolno — drugiemu nie wolno?!
Pytaj króla: — Kto wojska wziął od granic Litwy,
by na cudzym dobywać i sławę i fanty?
Nie lża takich spraw tłumić, a w miętkie otulać,
by się Polak po szkodzie zbudził i zadziwił —
Powiedz, że już się k'temu sposobi Radziwiłł,
by Litwa, zbywszy paktu, wzięła go za króla.
Niech bierze, gdy o prawo nikt w Polsce nie pyta —
głów dosyć pod korony ma Rzeczpospolita...
VOJEWODA: Czekaj, Hanno...
HANNA: Im wolno, bo to brać wielmożna —
nam także po równemu...
VOJEWODA: Tak ostro nie można.
HANNA: Zrobim po chrześcijańsku — niech mu waszmość powie —
jak trza będzie, niech rządzą nami... Trzej Królowie!
VOJEWODA: Nie trza lecieć na ogień, kiedy rozum zwleka...

HANNA: Ostań twardo przy swojem.

JAN: *(wchodzi)*

Król Jegomość czeka.

(Wojewoda i Jan wyszli przez drzwi na wprost. Na scenie pozostały — Hanna i Anna. Hanna jest ubrana „modnie", na wzór włoski. Używa różu i bielidła, o co niepokoił się w wierszu Jan, perswadując sobie, iż Hanna czyni to, aby mu się więcej podobać. Anna ubrana jest schludnie, ale skromnie. Gdy na scenę weszli Wojewoda i Hanna — Anna onieśmielona, wycofała się w kąt, przysiadła na fotelu i, nieruchoma, nie zauważona, dotrwała do tej chwili. Teraz — podnosi się — staje przy oknie. Hanna popatrzyła na Annę i przestała się nią interesować)

ANNA: *(mówi powoli, jakby przypominając sobie tekst wiersza)*

„...na palcu... masz dyjament... w sercu... twardy...
krzemień...
Wzięłaś mi pierścień... tedy... już i serce... przemień..."

HANNA: *(zainteresowała się)*

Co?

ANNA: Nic... Nic, jeno właśnie... Mówię, że niestety,
nie pomnę, jak to było w rymach u poety.

(pauza)

„Na palcu masz dyjament... w sercu twardy krzemień —
Wzięłaś mi pierścień — tedy... już i serce przemień..."

HANNA: *(niechętnie)*

Nie było „wzięłaś" pierścień — jeno było — „dałaś".

ANNA: *(ciągle patrząc w okno)*

Dałaś pierścień? Bo właśnie... właśnie w tym rzecz cała.
Pierścień serca nie wiąże, gdy się affekt zmienia.
Nie trza pono uciekać przed głosem sumienia.
Na złe jest, gdy się zwleka, kiedy rzecz gotowa.

HANNA: Kto waćpanna, że do mnie kierujesz te słowa?

ANNA: *(rozkłada bezradnie ręce)*

Jako te ptaki wolne — z bezmiernego nieba,
słowa zawsze dolecą i trafią, jak trzeba.

(zbliża się do Hanny)

Różnie mówią... A jeno to prawda, że pono
nieletko i niesłodko być poety żoną.

HANNA: *(zaskoczona, zaczyna się śmiać — sądzi, że Anna staje przed nią jako przed swoją rywalką)*

O, jakież w tym gorycze i trudy i męki,
że każda by ich rada, a chocia przezdzięki?

ANNA: *(poważnie, spokojnie)*

...że każda by ich rada? Lecz nie każda umie
swoje miejsce odnaleźć w mężowskiej zadumie.
To rzecz straszna, gdy losy, nad podziw łaskawsze,
serce piękności pełne, darują na zawsze.
Nieraz żona bezgłośnie, jak cień życie zbywa,
chociaż obok, lecz sama — bardzo nieszczęśliwa,
abo, jak grom, gdy w niebie zerwie się z uwięzi,
niebaczna, strząsa kwiaty z kwitnących gałęzi.
O, choćbyś go chwytała rękami obiema —
bywa, stoi przy tobie, a jednak go nie ma...
Patrzy w okno — nie daje twoim słowom ucha,
w sad bieży, aby długo szeptu liści słuchać,
czyta na niebie chmury, naśladuje ptaki,
i patykiem na piasku dziwne kreśli znaki...
Bywa, że wielkim krokiem po komnacie lata,
jakby rychle chciał zdążyć gdzieś na kraniec świata.
O, nie stawaj na drodze — ominie twe ramię,
jako się drzewo mija, kałużę lub kamień...
I kiedy nad drzewami czarna noc pobladnie
strudzony, jak do źródła, do pióra przypadnie —
odejdź cicho — on nie wie... nie czuje... nie słyszy...
ogłuszony melodią, która żyje w ciszy.

(pauza — Anna wraca do okna)

Gdy muza mniej łaskawa i rym dzwoni gorzej —
uśmiechem świeć mu rychle, bo go ciemność zmorzy.
Nic to, żeś sama smutna — o tym nic nikomu.
Pilnuj dzieci, strzeż dobra, nie odstępuj domu,
a dom — pożal się Boże — cały ledwo dyszy.
W ścianach — dziury dla wiatru, w podłodze — dla myszy.
Jeśli z dachu nie kapie — to w noc gwiazda mruga —
Zatkaj dziurę, a mocno — wnet robi się druga.
On tego nie zobaczy. Jak ma widzieć? Przecie —
gdyś przy nim, tedy wszystko najpiękniejsze w świecie...

ANNA: To straszne... nie do wiary. Jak widzisz, drżę cała.
Czyżbyś waćpanna bardzo przestraszyć mnie chciała?

ANNA: O, nie lęka się łatwo i nie wpada w drżenia,
kto pilnie słucha głosu własnego sumienia.

(wraca Jan — nie widzi, stojącej przy oknie Anny, zapomniał o niej)

JAN: *(do Hanny)*

Udręczony tęsknotą, pobiegłem z wieczora,
by serce uspokoić na rozmowie z tobą —
lecz u wejścia służebna, twarz strojąc żałobą,
rzekła mi, że spokoju ci trzeba, boś chora.
Wzburzył mnie lęk o ciebie... Ano — tedy ona

zmieniła słowa, mówiąc, żeś bardzo strudzona.
Wyszedłem smutny. Jeszcze... jeno rzucam okiem
w obojętną beztroskę oświetlonych okien —
i oto widzę ciebie, jak w odświętnej szacie
lekkim przechodzisz krokiem po swojej komnacie
i, zda się, ruchem dłoni kogoś przekonywasz —
spłoniona... Jakże piękna! I, powiem, szczęśliwa...
Odszedłem. Nie pojmując, jak się rzeczy miały.

HANNA: Zdałoby się waszmości ostudzić zapały.

JAN: Hanno miło! Już nie skąp spragnionego słowa,
iżbym żalom niewdzięcznym znów nie miał folgować.
Wiela już czasu, Hanno, wiernym sercem służę —
Wybierz dzień do wesela, a nie zwlekaj dłużej.
Gdy już razem będziemy — wraz odejdzie licho —
W Czarnolasie tak pięknie, tak dobrze, tak cicho,
kochaniem ci wypełnię i serce i duszę...
Gdybyś tam sad widziała! Te śliwy! Te grusze!
Całe w kwiatach — różowe i białe jak panny
rosę na małych listkach w srebrny czas poranny...

HANNA: Czyżby waszmość porzucić miał zaszczytów drogę,
że mi tak czarnolaskie malujesz piękności?

JAN: Już mnie z dworu precz pędzi, już ostać nie mogę.
Nie ostanę tu dłużej...

HANNA: A cóż to waszmości?

JAN: Jużem nie w mocy, Hanno, nie w mocy uwierzyć
w sens poczciwy a chocia największej ofiary...
Stań bezprawiu naprzeciw — sto mieczów uderzy.
Tu każdy, aby sobie — o resztę nie pyta.
Na zatracenie idzie Rzeczypospolita.
Jako żyć między ludźmi będąc takiej wiary?
Tu jeno wielkie sprawy — a żadna nie czeka —
i, jakby nie ustawić, zawsze wyjdzie oto —
wszystko kupisz za zdradę, wszystko masz za złoto —
urząd, prawo i honor i żywot człowieka,
na którym kamień ziemskiej a i wiecznej kary —
Jako żyć między ludźmi wszelkiej zbywszy wiary?

HANNA: Wiela ćmy a niemałej w twych słowach się mieści —
Effekta jeno widzisz, nie pojmując treści.
Między wrotami stawać waszmości nie radzę.
Nie o honor i sławę te wojny — o władzę!
Dobry oręż — swawola, dobra siła złota —
brać przewagi ku sobie, to choćby i z błota!
Rzuć gesta kaznodziejów, nie świeć miną srogą —
jednej myśli służ wiernie i jednemu bogu —
a wtedy cię niełatwo puste słowo zrani,
bo będziesz widział sprawę — i wszystko dasz dla niej.

JAN: Prawda, Hanno. To prawda... Jeno to ci powiem —
że w tych bojach bezbronni są moi bogowie.

Nie te głosy oręża przewagami grają,
nie takiej władzy pragnę dla mojego kraju.
Tutaj — tumult i wrzawa. Nieraz bywa prawie,
że swej myśli usłyszeć nie mogę w tej wrzawie.
A przecie do myślenia jest w życiu tak wiele...
Hanno miła! Jednakie powiążą nas cele
i pochylą się głowy nad księgą, u stoła.
Będziem kamień odwalać, co z woli kościoła
przygniata piękno życia ludzkiego na ziemi —
psuje radość doczesną sprawami wiecznemi.
Stanie światło — a ludzie świateł się nie zlękną —
niechaj płynie i płynie i wzbiera jak rzeka —
niech ożyje na nowo starożytne piękno
ręką ludzką stworzone dla szczęścia człowieka.
I niech kraj nasz oświeci, niechaj krąg zatoczy —
by przed każde sumienie, by przed każde oczy...
Hanno, Hanno! Toć przecie wiernym sercem służę —
Wybierz dzień do wesela, a nie zwlekaj dłużej.
Ileż pracy przed nami, a życie — rzecz krucha!
Ileż trza z gwiazd promieni uwiązać u słowa,
ileż kwiatów podpatrzeć i wiatrów podsłuchać —
by wdzięcznie, by najwdzięczniej grała polska mowa.
Ileż spraw nie zwierzonych nikomu, nikomu —
jeno ścianom milczącym rodzinnego domu!

ANNA: *(z niedobrym uśmiechem)*
A dom — pożal się Boże — cały ledwo dyszy.
W ścianach — dziury dla wiatru, w podłodze — dla myszy...
(śmieje się — pauza)

AN: *(nie rozumie)*
Nie pojmuję. Co kryje się za tymi słowy?
W Czarnolasie dom przecie postawimy nowy,
bo w siłach tedy będę, by wszystkiemu sprostać.

ANNA: *(odwracając się nagle do Anny, stojącej nieruchomo przy oknie)*
A waćpanna co na to?

AN: Ania!
(informuje) — Moja siostra

ANNA: Siostra?

AN: *(do Anny)*
Aniu, to ona — będziesz ją kochała?

NNA: *(dygnęła — chłodno)*
Kłaniam.

ANNA: *(z łaskawym uśmiechem)*
Witam waćpannę.
(śmieje się)
Ot, facecja cała!

JAN: *(do Hanny)*
Już myślę o tym domu, który stanie dla nas,
już marzeniem po oknach błądzę i po ścianach,
już słyszę — ptak na każdym śpiewa dla nas drzewie —
będzie, będzie nam dobrze...
(do Anny)
Prawda, Aniu?

ANNA: *(nie patrząc na nich)*
Nie wiem...

JAN: *(nie słyszy słów Anny)*
Przed gankiem stara lipa w ptakach zakochana,
gałązką będzie pukać w okno już od rana —
szept liści, niby słowa, rymując w ich śpiewie —
Pięknie, pięknie tam będzie...
(do Anny)
Prawda, Aniu?

ANNA: *(jak wyżej)*
Nie wiem...

JAN: *(usłyszał słowa Anny)*
Aniu droga! Toć przecie zmówiona rzecz cała.
(Anna bardzo skupiona, poważna — milczy)
Czyżbyś nasze zamiary odmienić wraz miała?
(Anna nagle wybucha płaczem. Rzuca się na fotel, kryje twarz w dłoniach, szlocha. Jan podbiega do niej, głaszcze po włosach, bezradny, patrzy na Hannę, trze czuprynę)

HANNA: *(rzeczowo — prawie oschle)*
Ano tedy niech będzie. Trza rzeknąć to śmiele.
Nie, Janie. Nigdzie spólne nie wiodą nas cele.
Nie schylim się nad księgą u twojego stoła,
nie będziem twoich świateł do głów ludzkich wołać.

JAN: Jakoż to? Hanno miła!

HANNA: To powiem waszmości —
chocia znam twoje drogi — wiem, że ich nie zmienię: —
na zgubę wszystko pójdzie. Precz na zatracenie,
gdy każdy będzie w księgach mógł szukać mądrości.
Nie jednaka nam droga — trza iść we dwie strony.
Ja — w jedną szukać męża, a waść w drugą — żony...
Losy różne bywają: i złe i łaskawe —
życzę szczęścia, zaszczytów... i rychłej miłości.
Nim świt błyśnie nad Wisłą — opuszczam Warszawę.
(Jan stoi nieruchomy, jakby ogłuszony. Hanna zmierza ku drzwiom po prawej. Zatrzymała się. Z lewej — weszli: Patrycy Nidecki i Grzegorz Podlodowski.

Hanna zdejmuje pierścień i podaje Janowi na wyciągniętej dłoni)

Oto pierścień

(pauza)

oddaję.

(pauza)

Niech waszmość odbierze...

(pauza)

N: *(nieruchomy — już opanowany)*

Może kiedyś, po latach, w złej chwili zwątpienia —
z przeszłością będziesz chciała uczynić przymierze.
Widząc, smutna, że pamięć tej nici nie przędzie —
co wtedy zrobisz, Hanno, bez tego pierścienia?
A zatrzymaj go sobie...

ANNA: *(spojrzała na pierścień, leżący na jej wyciągniętej dłoni)*

No, cóż...

(zamyka dłoń)

...niech tak będzie.

(Hanna odchodzi, zatrzymuje się przy drzwiach)

W tym zamku labiryntów przemyślnych jest siła —
niech mi waszmość pomoże, abym nie błądziła.

DECKI: *(do Jana)*

Ostanę tu za ciebie.

(Hanna i Jan wyszli. Nidecki podchodzi do Anny pocieszająco)

Wszystko się uładzi.

RZEGORZ: Toć my Janowi pomóc, jak bratu, gotowi...

NNA: *(pochlipując)*

Łatwo cieszyć chorego, gdyśmy sami zdrowi.

(ociera łzy)

Widzisz, waszmość, do czego zły affekt prowadzi.
Już mu wszystko na świecie, aż do cna obrzydło.
Miłość ślepa jest, ślepa...

(o Hannie — z pasją)

Toć to... kukurydło!

(zrywa się)

Takie — o! Ach, ty... czekaj. To rzecz niesłychana.

(do Grzegorza)

Dobrze, że waszmość jesteś. Trza ratować Jana.
Jeno rychle, nie czekać, a szkoda i słowa.
Uratuj waszmość Jana...

GRZEGORZ: Lecz jak mam ratować?
ANNA: Jedź, wasze, nie zważając na drogi i słotę
Jedź waszmość rychle do dom...
(pauza — waha się — czy powiedzieć)
i sprowadź Dorotę.
GRZEGORZ: *(lekko się uśmiechnął)*
Nie pojmuję...
ANNA: Dorotę!
GRZEGORZ: To słyszę, lecz Ania...
ANNA: O, jedź, waszmość, tu nie ma nic do pojmowania.
GRZEGORZ: Nie pojadę, a za nic!
ANNA: Czemu?
GRZEGORZ: Jak wieść niesie —
wilki stadami chodzą po drogach, po lesie.
ANNA: Waszmość wilków się boisz?
GRZEGORZ: A boję. I jeszcze —
na moście pod Radomiem wielkie czuję dreszcze,
bo straszydła dwa stoją i straszą, i straszą,
oskomę wielką mając na duszyczki nasze.
ANNA: Nasze?
GRZEGORZ: Nasze. Już lepiej niech opowie o tem
Dorota...
bo dziś właśnie przywiezłem Dorotę.
A naparła się jechać! Ano — będziem radzi.
ANNA: Ona — tutaj?
GRZEGORZ: A tutaj.
ANNA: *(stanowczo — idąc ku drzwiom po lewej)*
Niech waszmość prowadzi.

(Grzegorz spojrzał z uśmiechem na Nideckiego, rozłożył bezradnie ręce — poszedł za Anną, Nidecki stanął przed stołem i odruchowo porządkuje papiery. Bierze jeden z arkuszy, czyta — najpierw po cichu — później głośno, spokojnie, beznamiętnie)

NIDECKI:

„...W przyjacielu się kochaj i każdą przestrogę
Wdzięcznie od niego przyjmuj, bo śmiele rzec mogę:
Królowie inszych rzeczy wszech obfitość mają,
Samej prawdy tam do nich najmniej przynaszają..."
(odrzuca kartkę, bierze inną, czyta)
„...Przypatrujże się dobrze, kto się na co godzi,
Bo chocia drugi w zacnym domu się urodzi,
Jeśli morza nie świadom, jeśli nie zna nieba:
Ani żaglów, ani mu sterów zwierzać trzeba...
A nawięcej tego strzec, aby na urzędy
łakomych ludzi nie sadzał, bo kędy
sprawiedliwość przedajna, tam przeklęctwo wielkie,

a u Boga niewinnych ważne prośby wszelkie.
Ale tobie tak trzeba myśleć o pokoju,
jakobyś mógł się zaraz przydać i do boju..."

(Wojewoda wraca od króla. Jest wzburzony. Szarpie zapięcia pod szyją)

OJEWODA: Mnie! Grozi! Że dam gardło! Że życiem zapłacę!
Na zgubę Polska idzie! Na drogę zatraceń
wszelakich swobód ludzkich...

(spostrzegł, że Nidecki zerka na arkusz, który dotąd trzyma w ręku)

Mówię do waszmości.
Oto, oto zapłata za trudy, za blizny,
za krew żywą, za pracę dla dobra ojczyzny.
Miast honorów — przeklęctwo, a nie masz ufności.

DECKI: *(odrzuca arkusz na stół — mówi beznamiętnie)*

Wiadomo kto jak czyni i na czym kto jedzie.
Już Wasza Miłość króla słowami nie zwiedzie,
ani zębów zgrzytaniem, ni miną pokorną.
Gdy wichrzyła reforma — waść był za reformą —
już tam ludzie waszmości czynili niemało,
burząc świątynie pańskie, grabiąc, co się dało.
A skoro reformanci jęli głośno wołać,
a że trza nieść do skarbu podatki, ofiary —
waszmość stanął im przeciw — po stronie Kościoła,
burząc domy modlitwy — dla obrony wiary.
A bunty na sejmikach, które waszmość niecił?
A przymierza z obcymi — królowi naprzeciw?
Spomnij z meklemburczykiem zmowy ukrywane,
i rakuskie konszachty, pakt z Maksymilianem —
toć nie była ci wtedy pamięć kraju święta.
Dziś jazda na Multanach siła czyni złego.
Król Jegomość to wszystko, jak żywe, pamięta —
z podziękami nie leci...

(pasja w Wojewodzie rośnie, wyrwał z pochwy miecz z zamiarem uderzenia Nideckiego, ale w ostatniej sekundzie skrócił cios i rąbnął w stół przed Nideckim)

OJEWODA: Dość tego! Dość tego!

(Nidecki nie cofnął się — jest spokojny)

ZEGORZ: *(wszedł kilka sekund temu — przy drzwiach — spokojnie)*

A na ostre niech waszmość brać się tu nie waży,
by nie trza było wołać wnet królewskiej straży.
Będzie sromu niemało, gdy pozbawią szabli.

DECKI: *(układając papiery na stole)*

Abo jeszcze co gorzej...

(Wojewoda wepchnął ostrze do pochwy — w bezsilnej wściekłości zacisnął obydwie pięści)

WOJEWODA: Wszyscy... wszyscy diabli!!!

(szybko wyszedł w lewo)

GRZEGORZ: Jak pies warczy.

NIDECKI: Niech warczy. A ja się nie zdziwię,

(wskazując na drzwi do komnat króla)

gdy wróci, na kolanach łba ugnie... fałszywie —
zdrady myśląc już nowe, niepokój, a biedę —
wielmożny pan nad pany...

GRZEGORZ: Nie tylko on jeden.

NIDECKI: A i córuchna — ziółko. Rzecz to niesłychana —
nie prawie cudnie wiodła na affekcie Jana.
Całą sprawę, Grzegorzu, widzę jak na dłoni.

GRZEGORZ: Te same soki siedzą w jabłku, co w jabłoni.

(Nidecki wraca do papierów na stole — czyta. Grzegorz stoi przy oknie — patrzy na Wisłę)

Ponoć król zezwoleństwo dał Janowi wczora,
jako ma do dom jechać, poniechawszy dwora.
Jan za to obiecował solennie a szczerze,
że w Czarnolasie krzepko za pióro się bierze,
nim rok minie — a owszem już będzie gotowy
powiedziany po polsku „Psałterz Dawidowy" —
Prawda to?

NIDECKI: Prawda — jeno rzecz tę ułożono,
kiedy do dom Jan śpieszył, by rychle być z żoną.
A tera — jako widzisz — los wszystko pozmieniał.
Nie wiem, zali mu będą w smak osamotnienia.

GRZEGORZ: *(chodzi — myśli)*

Ciężko, kto nie miłuje — ciężko, kto miłuje...
Jakoż pomóc w strapieniu, kiedy dusza chora?
A trza pomóc, Patrycy, trza pomóc — to czuję.

NIDECKI: Każdy musi tę niemoc sam w sobie przeorać;
zaorze i zasieje — wzejdą nowe plony.

(po pauzie — ma pomysł)

Jan za pióro ma chwycić, a przez nas kwapiony,

(wskazuje papiery na stole)

ma rym złożyć do końca — rzecz śmiałą i nową —
co będzie na sejm dana z Myszkowskiego mową.
Stoi?

GRZEGORZ: Stoi.

NIDECKI: Więc zmowa. A wdzięczne to rymy!

GRZEGORZ: *(podszedł do stołu — powoli odczytuje tytuł)*

„Satyr abo dziki mąż".

(śmieje się)

Muza muzę ma spłoszyć?

DECKI: Ano — obaczymy.

Ostań tu — ja do króla idę spomnieć słowem,
jaką do Wojewody trzymałem tu mowę.
Rychle wracam.

(wyszedł przez drzwi na wprost)

RZEGORZ: *(bierze ze stołu jedną z kart — czyta)*

„...Pocznijże rząd od siebie, a uskrom chciwości,
Niechaj będą posłuszne rozumnej zwierzchności;
Bo tak wiedz, iż w człowieku są mocarki dziwne,
Nie tylko sobie różne, ale i przeciwne:
Jest bystra popędliwość, jest żądza niesyta,
Bojaźń mdła, żałość smutna, radość niepokryta,
Nad któremi jest rozum, jako hetman, który
Ma strzec, aby z nich żadna nie mogła wziąć góry.
Temu ty władzę porucz..."

N: *(wszedł — słucha ostatniego czterowiersza)*

O, poniechaj — toć fraszka — jak mi Bóg na niebie —
Nauczysz, bywa, innych — a zapomnisz — siebie...

DECKI: *(wchodzi)*

Król Jegomość do komnat odszedł na spoczynek.
Tedy, Janie — odsapnij.

(pauza — z uśmiechem) I napij się ździebko.

N: *(trze czuprynę z bezradnym uśmiechem)*

Jużem krzepił po drodze mdłego ducha winem.

DECKI: *(pogodnie)*

Ciałem będziesz mocniejszy — toć duch stanie krzepko.

N: *(westchnął — ze smutnym uśmiechem)*

Śpiewałem Bachusowi na ochoty skore —
anim postrzegł, jak weszły konflikta z Amorem.
Miłość chwalę i cnoty wielce miłowanej —
a jeno samotnieństwo ostaje i rany.

RZEGORZ: Chwal, Janie, boleść wielką i radość wszelaką,
bo wszystkiemu jest miara...

DECKI: Piękno śpiewaj.

N: Jako?

Jak, Patrycy? Mrok wielki płynie tu jak rzeka.
Trza światła... trza nauką mówić do człowieka,
by pojął, by choć jedno pojął należycie,
że najpiękniejszą sprawą na ziemi jest — życie.
Śpiewam drzewa i niebo, ptaki, morza, góry,
gwiazd jaśnienie i luny, słońca blask zza chmury —
rycerskie chwal rzemiesło — mówią do mnie druhy —

bo śród braci duch marny, to i rozum kruchy.
Szabla — na kaczki oręż, na gęsi strach blady,
gdy im głowy ścinają w przededniu biesiady.
I dzida nie w turnieju, ani bitwy pląsach —
ogrodnikowi służy, gdy ten jabłka strząsa.
A niechby i służyła — chwalę pokój miły,
bo w nim prace człowieka w owoc obrodziły.
Chwalę pokój, dom chwalę rodzinny i pracę —
Niechaj krew się nie leje... niech nikt już nie płacze —
A oto widzę, jako bez kary i sromu
wiatr wrogi szarpie drzwiami i oknami domu —
i padnie dom rodzinny, bo wiatru przewaga —
trza stanąć, by o piersi rozbił się huragan —
więc staję i pieśniami kołyszę jak dzwony
i śpiewam hymn zwycięstwa dla kraju obrony.
Wraz słyszę: — Hej, po lutnię gromogrzmiącą sięgaj!
Bo w orężnych wyprawach ojczyzny potęga —
Widzę — ręka kapłana znakiem krzyża zdobi
wojska maszerujące na cudze, po zdobycz.
Więc padam na kolana: — O, któryś jest w niebie,
i który ludziom wszystkim rozkazałeś, Panie,
kochać bliźniego swego jak samego siebie —
czy to dla Twojej chwały trąb wojennych granie?
Nie wiem, na kogo szczęście na Inflantach czeka
i czy warte jest śmierci którego człowieka.
Zali złoto, brokaty, wzięte na Wołoszy,
warte snu dziecka, które warkot bębnów spłoszy?
Patrz mi w oczy, Grzegorzu — oddasz żywot cały
nie dla chwały ojczyzny — dla magnatów chwały?

(pauza)

Jako czynić, Patrycy? Do których iść ludzi?
Czyim trzęsnąć ramieniem, by dobre obudzić?
Pomnisz? Bylim u króla z prośbami wielkiemi,
aby blaski Krakowskiej wrócił Akademii.
Rzekł tedy: — „Nie czas k'temu, by nowy mąt niecić.
Nie poradzim, za wielka jest siła naprzeciw.
Nie lża z daleka nowych, a światłych głów wołać,
by nie miały chybotać murami Kościoła."
Ano — myślę, Grzegorzu, druhu mój, że pora
uciekać, a co rychle z królewskiego dwora,
bom tu już w niemyślane pierwej wkroczył tany.
Targam się, jak do miecza rycerz przypasany —
co drogę swoją widzi — bojów się nie lęka —
a nie on mieczem włada, jeno obca ręka.
Odjadę... bom w nieletkiej jest dzisia potrzebie —
trza mi należć, com zgubił — spokój, ciszę, siebie.

NIDECKI: Najdziesz. I mieczem szarpniesz mocniej k'sobie, Janie —

RZEGORZ: Najdziesz. A chwyć go krzepko — niech na twojem stanie; a nigdy go nie zwierzaj, choćby i druhowi.
Ostań z Bogiem.

DECKI: Odpocznij.

N: Tak, tak, bądźcie zdrowi.

(Nidecki i Podlodowski — wyszli. Jan popatrzył na dachy Starego Miasta — usiadł przy stole — po chwili pisze — podniósł arkusz bliżej oczu — czyta powoli, obojętnie)

„...Próżna twa chluba, nie kochaj się w sobie.
Nie wszystkoć prawda, com mówił o tobie.
Miłość mnie zwiodła..."

(odrzuca arkusz — kryje twarz w dłoniach)

„..kto ostał na ziemi —
co by serce ucieszyć chciał pieśniami memi?

(pisze)

„bo z rymów co za korzyść, krom próżnego dźwięku...".

(z pasją rzuca pióro na papier)

Nieprawda! Toć nieprawda! Próżne, puste słowa!

(pauza — targa czuprynę — opiera głowę na dłoniach)

A toć boli nad podziw! Głowa, głowa, głowa.

(za oknem już mrok — odezwały się dzwony — Kochanowski zasnął—po chwili wbiegają Dorota i Anna)

NA: Nie ma, nie ma nikogo...

ROTA: ...jak mi bije serce!

NA: *(spostrzega Jana)*

Jest... zasnął...

(półgłosem)

Janie! Zasnął...

ROTA: Śpi.

NA: Strudzony wielce.

ROTA: *(półgłosem do śpiącego — z uśmiechem)*

„..Powiedz słowieński rym, o wielostrona
lutni złocona..."
Nie słyszy.

NA: Siędziem tedy na straży.

ROTA: Strzeżmy jego ciszy.

(po chwili słychać rytmiczny krok — wchodzą Pierwszy i Trzeci)

RWSZY: My tutaj — z dellegacją.

ROTA: Css...

ZECI: Przyszli my do króla...

ROTA: Css...

TRZECI: *(do Pierwszego)*
Zbłądzilim, jak Bóg miły...
PIERWSZY: Za wiela żem hulał
i, widzisz waszmość, w oczach mi się przestawiło...
TRZECI: Toć przecie prosta droga.
PIERWSZY: *(z szarmanckim ukłonem)*
A zbłądzić jak miło!
DOROTA: *(stoi między delegacją a śpiącym Janem — mówi ściszonym głosem)*
Ciszej, mości panowie, chocia grają dzwony —
on zasnął, niech odpocznie, jest wielce strudzony.
Przecie co dnia pieśniami nasze serca kruszy,
przecie światło zapala co dzień w każdej duszy —
by spokój mieszkał w ludziach, by świecił nad krajem —
a pięknie mówić umie, że aż serce staje.
Toć kwiaty mocniej pachną na jego skinienie,
ptak śpiewa o miłości i dzwonią strumienie,
wiatr chmury z nieba pędzi, a z czoła i troski —
(ciszej)
Ciszej, mości panowie, jest bardzo strudzony,
więc zasnął...
PIERWSZY: *(ściszonym głosem)*
Kto? Król?
TRZECI: *(do Pierwszego)*
Chyba...
PIERWSZY: Kto?
ANNA: *(z palcem na ustach)*
Jan Kochanowski.

(Pierwszy i Trzeci nieruchomieją w pozycji zdziwienia. Anna — z uśmiechem. Dorota — odejmuje palec od ust — prowadzi go po światłach scenicznych — światła kolejno gasną. — Ciemno. Tylko jeszcze przez chwilę słychać muzykę dzwonów)

Aleksander Maliszewski

Warszawa, październik 1951 — marzec 1952.

JOKKMOKK*)

Poza tego rodzaju być może że i dowcipną, lecz nużącą swą monotonią sytuacją, niekiedy wdawał się w pogawędkę fachową. Tym chętniej, żeli trafiał do nich nie sam, a w towarzystwie, szczodrobliwy bywał tej mierze. Umiał coś niecoś. Z tego, co zapamiętał, wnosić nawet ło można, że w swoim czasie musiał umieć wiele. Od lat nic nie ytał. Żadnych książek, żadnej prasy fachowej. Inne posiadł namiętści. One jednak bynajmniej nie stawały na przeszkodzie temu, żeby ą wiedzą przed chłopcami się popisać. Zwłaszcza że najczęściej nie ł to popis wyłącznie przed nimi. Oni zaś żyłowali go. Z tym większą turczywością, że coraz im było trudniej o kompetentnych rozmówców. raz rzadziej znajdował dla nich czas technik Grudzielski. Toż powieieć trzeba również o kierowniku ekipy nurkowej zajętej w Urzeczu. as bowiem nie tylko kształtował, przeinaczał i oblekał w coraz dojalszą formę marzenia junaków. Inne sprawy także oblekały się tu formę coraz wyższą. I to w formę solidną, z cementu, żelaza, piachu żwiru. Mowa o kesonach. O falochronie, którego ramię, w przyszłości iekuńcze, raz w raz, dalej i dalej wcinało się morze.

Tempo prac wzrastało. Minęły pierwsze dwie dekady sierpnia. Wrzeń był za pasem. Potem przyszła kolej na pierwszą, a następnie drugą kadę września. Do pory burz i sztormów było coraz bliżej. Wolnych wil coraz mniej. Nawet na tak bliskie Grudzielskiemu sprawy jak rawy brygady Służby Polsce. Przez trzecie osoby doglądał ich. Od acha Albekiera, zagonionego zresztą jak wszyscy, z ZMP wiedział szystko. Oni zaś z takich czy innych słów i kroków na stoczni mogli nioskować, że ktoś w kapitanacie o nich pamięta. A więc oczywiście udzielski. On sam jednak mało na M ę ż n y m bywał. Chętniej naet niż dotychczas puszczał mimo uszu paplaninę komandora Łędyńiego, który lubił się z nim drażnić swymi domysłami, czym należy maczyć, że chłopcy często do późna w noc przesiadują na pokładzie montowanego szkunera. Nie próbował również wyjaśniać kapitanowi ładynowi, że przy pracy na wraku panuje dyscyplina, a nie żaden łagan, i że zachowane są wszystkie środki ostrożności. Albekier specny nacisk kładł na to i wielokrotnie się upewniał, że wszystko jest porządku w tym względzie. Chłopcy, chociaż zapaleni, byli uważni.

*) Patrz T w ó r c z o ś ć numer poprzedni.

A pewnie nawet odwrócić wolno to rozumowanie i rzec trzeba, że byli uważni dlatego, że byli tak zapaleni. Z tego powodu właśnie nigdy by nie dopuścili, by w ich związek z Mężnym, by między nich a Mężnego wdarł się jakiś wypadek i wszystko tym powikłał. Mając to w pamięci i zawsze teraz zalatany Grudzielski nie podejmował kwestii, gdy stary Haładyn zatrzymując się w oknie i kierując wzrok w stronę Mężnego, którego z kapitanatu doskonale było widać, gryząc fajkę z Bóg jeden wie udanej czy prawdziwej irytacji, mówił:

— Toż to sobie przecież kiedy kark skręci! Ręce i nogi połamie, czy choćby tylko sińców natłucze!

Albo:

— I po co to wszystko? Po pierwsze — portek nadrą, koszul natargają i — co najgorsze, że wszystko to u nas w porcie przy zadanej przez nas robocie. Słuszna stąd powstanie pretensja rodziców i przyjdzie za to zniszczenie odzieży zapłacić. To drugie. A po trzecie wrak — Mężny on czy nie Mężny, czy jak mu tam obecnie — i tak pójdzie na stop do kotła!

Grudzielski z widocznym przymusem uśmiechał się. Bo lepiej było uznać całą gadaninę Haładyna za żart, niż za punkty do nowej debaty. Zwłaszcza że co do jednego z nich kilkakrotnie prostował mylny pogląd kapitana, uprzytamniając mu, że junacy mają przecież na sobie mundury a nie ubrania z domu. Prostował bezskutecznie. Jak się okazało również z tym samym skutkiem, to znaczy z żadnym, informował kapitana o pewnych krokach, które w porozumieniu z przewodniczącym ZMP na port w Urzeczu, Stachem Albekierem, poczynił co do przyszłości zakochanych w szkunerze junaków. Słuchając tych informacji kapitan nie przerywał, bo takie były jego obyczaje, wysłuchawszy zaś rozkładał ręce i oświadczał, że uczciwie rzecz biorąc, skoro na ich teraźniejszość nie ma wpływu, nie może zajmować się ich przyszłością. Stawał w oknie nieraz, a nawet dał się parokrotnie przychwycić na tym, że przyglądając się przez lornetkę wachtową czy to okrętom wchodzącym do portu, czy to przeładunkom, kierował ją następnie w stronę Mężnego, zawsze przez jakiś moment obserwując, co się na nim dzieje. Przy każdej jednak sposobności kładł nacisk na to, że sprawy wraka nie uważa za swoją. A ponieważ sprawy junaków niesposób było od niej odzielić, dawał do zrozumienia, że nie czuje się powołanym do interesowania się nimi. Szkoda było czasu dyskutować z nim na ten temat. Jeśli zaś chodzi o Grudzielskiego, nie tyle nawet szkoda, co po prostu było mu tego czasu brak.

Brakowało mu czasu na wiele innych spraw o wiele ważniejszych, ż na próżne dyskusyjne korowody z kapitanem. Gryzł więc tylko argi, krzywił się, pozorując uśmiech i przechodził do rzeczy, wiążą- ch się z pilnymi pracami dnia. Były to w kółko wciąż jedne i te same roblemy. Kesonów, ich zbrojenia, ich cementowania, holowania i ładoania w nie należnej porcji balastu. Dźwigów, młynów do gruzu, ekip botniczych. Lipiec nie lipiec, sierpień nie sierpień, wrzesień nie wrzeń to samo i to samo. Okres dostateczny, żeby rozgryźć robotę. Toteż rudzielski robotę rozgryzł, ale rozgryzł również ludzi, z którymi prawał, i to rozgryzł ich w powiązaniu z czasem, w którym pracował d sprawą, jaka musiała być przez niego doprowadzona do końca. Nie aczy to, by kapitanowi nie ufał, nie znaczy to nawet, by nie mógł wielu rzeczach ufać komandorowi, przełamując jego lenistwo i lekważący stosunek do warsztatu pracy. Rozumiał jednak każdą cząstką vojej istoty, że on jest tu sprężyną całej roboty, ponieważ on przed artią wziął odpowiedzialność za nią. I jemu ona złożyła na barki tę dpowiedzialność, nie im. Haładyn więc uczciwie, po staremu, odrabiał miał do odrobienia. Łędyński lepiej czy gorzej urzędował. On — od owa musiał rzecz stworzyć. Z postanowienia ludzi rodziło się dzieło, ich woli, z ich potrzeb i ich wiary. On pchał naprzód, mobilizował wiązał w całość poszczególne wysiłki. Nowy falochron rodził się z tych ysiłków. Jednak nie wyłącznie z wysiłków ekip wykonawczych, lecz wnież właśnie z wiedzy owego kapitana i komandora. W Haładynie udził się w końcu dawny Haładyn z pierwszych dni w Urzeczu, niekąd Łędyński nawet dał się ogólnemu nastrojowi pociągnąć. Byały dni, kiedy zapominał o sobie. Z nim jednak Grudzielski i mniej ę liczył, i mniej miał do czynienia. Po stokroć więcej z Haładynem, a którego, kiedy się po pewnym czasie rozgrzał i rozpalił do falonu, tak jak i dla technika, nie było dnia ani godziny, gdy w grę chodził interes falochronu. Wiedzę zawodową kapitana, której sam e posiadał w dostatecznym stopniu, całkował Grudzielski z resztą eleentów. Całkował z nimi również inżynierskie umiejętności Łędyńiego. I na tym polu nie czuł się silny. Stąd wypływało jego skupienie, ąd wypływała jego skrupulatność. Czuwał i czujny był, chociaż po sto zy już stawiał w danym miejscu krok. Bynajmniej nie mniej czujny, nieważ nabrał doświadczenia i znał się na rzeczy, która miała się ku ńcowi. Lecz właśnie bardziej czujny, ponieważ setki przykładów zyło, że jest to moment, w którym niezahartowana, młoda czujność

chętnie usypia, a na odwrót właśnie to, co stare, nieprzyjazne czy też tylko obojętne, wówczas budzi się i podnosi głowę.

Znowu czas uczynił skok. Słońce coraz rzadziej migotało na wodach, niecąc z nich coraz mniej efektowne skry. Port pustoszał. Plaża pustoszała. Mewom coraz przestronniej było kołować. Z latarni morskiej, w Urzeczu i nie w Urzeczu, ze wszystkich latarni na całym wybrzeżu, coraz częściej dobywał się głos syreny mgłowej. Mimo tej mgły jednak coraz wyraziściej — oczywiście jeśli nie zapadła najgorsza z mgieł, duszna, lepka, iście jesienna, mleczno-żółtawa — zarysowywały się kształty powstającego falochronu. Bo też systematycznie nabierał on masy i rozciągłości. Z tygodnia na tydzień niejako — dojrzewał. Do pełni potrzeba mu było tylko ostatnich pięciu brakujących elementów. W mgle również Mężny nabierał coraz lepszego wyglądu. Temu jednak do pełni życia nie pięciu jeszcze elementów całości brakowało, ale co najmniej setki. Choćby tylko takiej bagatelki jak — motorów. Lecz chociaż tak marudnie postępował ten proces przywracania go do świata okrętów rzeczywistych, nie tracił serc junaków. Przeciwnie nawet! Pewnego dnia bodaj że pierwszy Piktel zaklął się na Mężnego w jakiejś sprawie. Odtąd takie zaklinanie weszło w skład różnych innych poręk. W gradacji podobnych zwrotów, którymi w tym okresie junak z Urzecza podkreślał siłę swego przekonania czy wiarygodność zeznań, od razu zajęło hierarchicznie miejsce jedno z najwyższych. Bijąc na głowę nie tylko wszystkie formalne i retoryczne: „jak babcię kocham“ czy „jak pragnę zdrowia“, ale inne zaklęcia naprawdę ważkie i stając się, kiedy go użyto, rękojmią zawsze rzetelną i to taką, której powagi dodaje oraz świętości przyświadcza głos drżący, rumieniec na policzkach i ogień w oku.

Pewnego popołudnia — w bardzo późnej fazie robót, kiedy o zbliżającym się zamknięciu prac poinformowany został Urząd Morski w Szczecinie oraz Ministerstwo Żeglugi i Ministerstwo Handlu Zagranicznego, które zaczynały ten fakt brać w rachubę — do kapitana zadzwonił zamiejscowy telefon. Grudzielski, znajdujący się w gabinecie, podniósł słuchawkę, a gdy usłyszał, że to Kraków wzywa, podał ją Haładynowi.

— Tak, to ja — pochylił się nad aparatem kapitan.

Po czym już, zgodnie ze swoim obyczajem, nie przerywał. Lecz można było odgadnąć łatwo, że nie sam nawyk w tym wypadku tamował kapitanowi mowę. Coś było więcej. Z palców kapitana zwiotczałych pod wpływem tego, co usłyszał, wysunęła się na podłogę fajka. Głos Hała-

ynowi uwiązł w gardle. Ale na koniec musiał popłynąć, chociaż się ımał.

— To ja przyjdę — rzekł kapitan.

— Co się stało? — spytał Grudzielski.

— Krwotok — odparł Haładyn.

Nie objaśnił, że chodzi o córkę. Albo, jak zwykł ją nazywać, dziecko. ie pomyślał nawet, że istnieje możliwość, by do interpretacji tego, co owiedział, wkradła się jakaś pomyłka, tak był przejęty sprawą. Dodał ylko, czy raczej westchnął sam do siebie:

— Jedyne!

Odebrał fajkę z rąk Grudzielskiego, który się po nią schylił. Położył a stole ostrożnie i cicho, jak gdyby już się znajdował w pokoju cho- ej. Po czym ujął głowę w obie dłonie. Ciężką widać i potrzebującą, że- y ją wsparto, gdyż zaraz zwisła bezwładnie nad stołem. Ręce nie tylko ıspierały ją ale i osłaniały. Tak że z całej twarzy oczom Grudzielskiego atrzącym na starego Haładyna ze współczuciem ukazywał się jeno jego ieskończenie długi nos. Kiedy minął pierwszy szok, kapitan podniósł łowę i zwrócił się do Grudzielskiego.

— Posłużyć się muszę pańską pomocą — powiedział. — Zechce mi an odszukać komandora. Niech zaraz przychodzi.

Grudzielski podniósł się z krzesła. Kapitan rzucił jeszcze:

— A i pana także poproszę do siebie!

— Słucham — rzekł technik.

— Bo ja odjadę — objaśnił kapitan.

Komandora odnalazł Grudzielski z łatwością. Ze ściągnięciem go atomiast do kapitanatu poszło nieco trudniej. Zgodził się, że okolicz- ości są wyjątkowe, ale miał gościa, więc się z Grudzielskim zaczął tar- ować o godzinę. Grudzielski przemógł jego opór i w końcu komandor ę pojawił. Wesoły już i bez wątpienia pogodzony z faktem, że wyrwa- o go z miłej atmosfery, natknąwszy się na Grudzielskiego, jeszcze przed rzekroczeniem progu gabinetu kapitana, oświadczył jednak, że w sy- uacji, jaka się wytworzyła, chętnie ze swej strony służy całym swoim zasem zarówno dzisiejszego wieczoru jak również w ciągu najbliższych ni, byle jeno ze strony kapitanatu miano w pamięci, że za tydzień ozpoczyna urlop.

— Przecież Haładyn wyskoczy na jeden, najwyżej dwa dni — rzekł rudzielski.

— A jak ona wyciągnie kopyta? Ha? — rozszerzył Grudzielskiemu oryzonty w tej sprawie gruby komandor Łędyński.

W gabinecie Haładyna zachował się powściągliwie i nieomal — rzec można — przyzwoicie. Z tym, że raz na początku, a potem powtórnie na samym końcu rozmowy, kiedy kapitan powiedział, że jedzie, pytał go komandor, na jak długo. I w jego tonie widać musiało być coś takiego, że zdołało się to przedostać do świadomości kapitana, zdawało się całej i bez reszty zogniskowanej na dwu myślach. Na niepokoju o córkę i na pragnieniu, by przekazać na parę dni obowiązki swemu zastępcy z całą możliwą uwagą i całą konieczną skrupulatnością.

— Na jak długo? — napierał się więc o ścisłe informacje komandor.

— Najważniejsza rzecz — kesony! — nie dał mu na postawione pytanie odpowiedzi kapitan. — Na czas mojej nieobecności wypaść może umiejscowienie paru ostatnich elementów. W żadnym wypadku nie wolno panu tego zajęcia zwalać na pana technika Grudzielskiego. To są zagadnienia nawigacyjne. A zatem wyłącznie albo moja, albo pańska powinność na tym terenie. Przygotowania materiałowe, rozstawienie i w ogóle — ludzie, to już głowa pana Grudzielskiego. A pańska — nawigacja i inżynierka. Liczę, że będzie pan o tym umiał zawsze pamiętać.

Pobawił się chwilę fajką i dodał:

— Ja, ustaliwszy datę powrotu, z miejsca zatelegrafuję. I pan wtedy od razu będzie wolny.

— Pan kapitan zechce się oczywiście nie krępować — rzekł komandor nieco uspokojony, pragnąc w miarę możliwości zatrzeć przykre wrażenie swoich poprzednich wystąpień.

— Nie ode mnie to zależy — odparł kapitan, znowu na moment skupiony całkowicie na swoim bólu. — Nie ode mnie!

Wyjechał w dwie godziny później, do ostatniej chwili kręcąc się po placu z kesonami, którym już niewiele brakowało. Nawierzchniowe płyty z cementu przeznaczone do pokrycia elementów również za dzień czy dwa miały być gotowe. Tylko zaholować to wszystko na miejsce, usadowić, wypełnić, zabezpieczyć płytami, zacementować rygle i już prosić do siebie jednostki z Kristianstadtu, Ronneby i Karlskrony! Z placu wracał stary Haładyn do kapitanatu dla załatwienia różnych związanych z jego wyjazdem formalności. Znów kierował się na plac i znowu do kapitanatu. Kładł podpisy, poprawiał telefonogramy, wykańczał pocztę. Towarzyszył mu Grudzielski, komandor przez ten czas starał się dla Haładyna o połączenie ze Szczecinem. Rozwalony w fotelu sięgał co parę minut po słuchawkę w sposób rubaszny i krotochwilny nudząc o pośpiech. Na koniec uzyskał je. Haładyn rozmówił się.

o raz ostatni zajrzał na teren portu. Wtedy powlókł się za nim Łę-
yński, słuchając tego, co prawił kapitan, piąte przez dziesiąte. Kiedy
aś kapitan zakłopotał się w pewnym momencie, że tyle czasu zaj-
nuje kolegom przez swoje osobiste sprawy i że prosi przynajmniej,
y się czuli zwolnieni z grzecznościowego obowiązku odprowadzania
o na dworzec, Łędyński pożegnał się z ulgą. Na dworzec udał się więc
apitan jeno z Grudzielskim. Po drodze ust nie otworzył. Jeszcze w ka-
itanacie i na placu się trzymał. Kiedy opuścił teren pracy, wzięła go
obroty troska o córkę.

— Ot, jaki człowiek jest! — rzekł jedynie, jak gdyby chcąc prze-
rosić za to milczenie Grudzielskiego. — Jedzie i ani się na innych
bejrzy, tylko myśli o swojej podróży.

Przeszedł jeden dzień, drugi, trzeci. Nie dawało się w porcie odczuć
ieobecności kapitana. Odprawa statków przychodzących po węgiel to-
zyła się normalnie. W tej sprawie Urzecze miało ustaloną reputację.
ni przy trymerce, ani w kantorze ludziom nie brakowało wprawy.
kutrami własnymi czy też obcymi, a tylko czasowo bazującymi na
yby, wszystko szło utartym trybem. Przed ekipą żelbetniczą i przed
kipą nurków nie mogły się w tej fazie prac wyłonić żadne nieocze-
iwane szkopuły. Toteż rozmowy Grudzielskiego z Łędyńskim nie za-
erały komandorowi nazbyt wiele czasu. Zaczynały się od prostych
wierdzeń, dotykały wszystkich spraw, raczej kontentując się wy-
czaniem ich niż rozpracowywaniem, gdyż mierząc je nie tylko miarką
ędyńskiego, ale i Grudzielskiego, przyznać należy, że było to w rze-
zonej sytuacji wystarczające.

— A jak tam nasz kapitan — kończył każdą rozmowę Łędyński. —
ie pisał do pana?

— Ja nie dostałem od niego wiadomości — odpowiadał Grudzielski.

Trzeciego dnia w ostatniej godzinie roboty doniesiono do kapitanatu
placu robót żelbetowych, że końcowa partia kesonów i płyt jest go-
wa. Słysząc to komandor zatarł tłuste ręce, ujawniając entuzjazm
czej u niego nieoczekiwany. Zarządził wraz z Grudzielskim na na-
ępne rano wszystko, co należy. Ściągnął nawet do siebie kierownika
kipy nurków oraz maszynistę, który jutro stanąć miał do pracy przy
olowaniu, oraz bagermajstra z dragi mającej piaskować kesony, żeby
nimi obgadać robotę. Nazajutrz zjawił się w porcie wyjątkowo wcze-
ie. Na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za całość czynności.
zwłaszcza za ich stronę morską. Niemniej przeto Grudzielski zdumiał
ę, zastawszy Łędyńskiego już na placu. Nie przyzwyczaił komandor

nikogo w Urzeczu do tego widoku. Podobna niecierpliwość, by przystąpić co prędzej do pełnienia swych obowiązków, była z jego strony nieoczekiwana. Tym dziwniejsza w tym wypadku, że holowanie pięciu kesonów na miejsce, piaskowanie ich i ryglowanie nie jest sprawą jednego dnia, ale kilku. A z ożywienia, z jakim zabierał się do roboty, wnosić było można, że nie będzie szczędzić ani czasu, ani sił przez cały ciąg operacji. Zaholowany został i ustawiony na miejscu pierwszy keson. Zabrało to kilka godzin. Ze zdumieniem wtedy Grudzielski usłyszał, że Łędyński wydaje polecenie, by bezpośrednio po tym przystąpiono do holowania następnego.

— A balast? — podbiegł do komandora. — Dlaczego nie balastujemy od razu?

— A po co od razu? — skrzywił się komandor.

— Zawsześmy dotychczas tak robili!

— To żaden argument!

— Kapitan...

Łędyński przerwał.

— Jest starej daty rurą! Widział pan kiedy, jak fajkę nabija tytoniem? A zanim zacznie nabijać, jak ci ją czyści? Albo jak z pudełka w biurku przekłada sobie tytoń do kapciucha? Panie, to nie na moje nerwy takie tempo!

Stali naprzeciw siebie. Zwalisty, masywny Łędyński, wyższy, opanowany, pewien swego. Grudzielski — niespokojny, o sto mil od żartów, szukający w głowie nie tyle argumentów, co klucza do motywów takiej właśnie a nie innej decyzji komandora.

— Jest przecie starym prykiem — pochylił się i szepnął Grudzielskiemu w ucho Łędyński. — Zacności starym prykiem! Nie na dzisiejsze czasy okaz. Pan go nie miał sposobności tak przejrzeć na wylot jak ja. A ja miałem, bo go znam o wiele dłużej. A jak tu jeszcze jego córka przyjechała, wykapany tata, tyle że cherlawa, tom dopiero przeniknął naszego staruszka. Jabłko pada niedaleko od jabłoni. Tylko studiować a studiować podobieństwa!

W tym momencie woźny z kapitanatu przybiegł do Łędyńskiego z tekstem depeszy otrzymanej przed chwilą, przetelefonowanej z poczty, wynotowanej w biurze na kawałku papieru.

— „Zatrzymany śmiercią Haładyn" — brzmiała treść.

— No — oświadczył komandor. — Znowu się wszystko odwlecze! Też sobie moment wybrała!

Przeniósł z świstka papieru oczy na Grudzielskiego.

— Co mi się pan tak przygląda? — spytał. — Ja człowiek szczery! y się mną nie gorszcie!

Ale w skupionych, niebieskozielonych, bacznych, o wyrazie, jaki się nich zjawiał niekiedy, oczach Grudzielskiego, nie było zgorszenia. astanawiał się on jedynie nad Łędyńskim. Bardziej i przede wszystkim ad nim, niż właśnie nad powziętą przez niego decyzją, zmieniającą etody kapitana.

— A przypomina pan sobie, jak to nasz stary — rzucił w tym momencie na szalę argument dość rzeczowy komandor — dopiero na przyły rok myślał być gotów z naszym falochronem. A i nie wcześniej yłby! Gdyby nie pan oczywiście! Ale i nie ja i nie my wszyscy!

Grudzielski skinął głową. Mimo uszu puszczając zarówno pochlebstwo, k i śmieszny akcent samochwalstwa w słowach Łędyńskiego. Udeyło go natomiast w nich to, co wydało mu się słuszne i trafne, jeśli ło o kapitana. Rzeczywiście lubił widać przewlekać i rozkładać rotę na lata. A ten znowu? Ów cały komandor? Wiedziało się w Kotecie Partii mniej więcej wszystko, co wiedzieć o nim należało. Stamd również wiedział o nim swoje Grudzielski. Że mianowicie zapaleńem n o w e g o nie był. Ale i wrogiem w sumie — nie. Żadnymi kontaktami miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa nie niepokoił. Z żadną arstwą ani organizacją wrogą władzy ludowej i przez władzę ludową ontraktowaną — nie był związany. Ani sentymentem, ani interesem. ógł sobie ustrój kupców gromić, kułaków, dwójkarzy, agentów tach czy owakich — godził się. Byle mu spódnic nie ruszał. A na to ostate, rozumiał, że się nie zanosiło. Czepiał się ich całym sercem, to serce ś miał nie selektywne, naraz na różne fale uczuciowe nastawione. szystko inne zbywał. Przede wszystkim — pracę. Ale nad sobą się zął i to go czyniło zawsze dotąd uważnym. Oto jaki był!

— Widzę, że pana przestraszył mój sposób — szeroko zaśmiał się do rudzielskiego. — Jak ja się nie boję o swoją decyzję, to pan się może e bać o swój falochron. Zawsze bliższa koszula ciału. Własna skóra takiej czy innej portowej sprawy.

Na filozofię się Grudzielski nie godził. W stosunku do samej decyzji trze jego nieufności jednak stępiało. Zwłaszcza kiedy mu Łędyński cytował kilka wypadków różnych rozstrzygnięć ze swojej i nie swej praktyki.

W trzy dni ustawiono rzędem pozostałe kesony. Czwartego dnia miano reszcie przystąpić do ich zapiaskowania. Holownik po dokonaniu pracy sadniczej mógł teraz wdać się w mozolną i długotrwałą pętaninę przy

dradze przerzucającej w kesony balast. Był jeden. Dwa inne, czynne w swoim czasie przy podnoszeniu wraka, nie należały do Urzecza, Przedsiębiorstwo Robót Podwodnych i Czerpalnych ze Szczecina dawno już je z tego portu wycofało. Grudzielski zrozumiał, że teraz najpewniej cała praca organizacyjna spadnie na niego. Wprawdzie przyszła już depesza od kapitana, miał się zjawić w Urzeczu popołudniowym pociągiem. Ale najpewniej i w złym stanie nerwów, i wyczerpany. Komandor, ledwo otrzymał depeszę, zgodnie zresztą z ustaloną linią, już miał się za urlopowanego.

— Ot, widzi pan — zwrócił się do Grudzielskiego. — I tak być powinno! Tak się należy! Przyszła depesza i ja — już mogę fiut! A przy systemie pana Haładyna jeszcze bym musiał tu najpewniej z tydzień siedzieć, żeby mu służyć wyręką przy rozmieszczaniu kesonów, co bez wątpienia okazałoby się konieczne. Bo roztrzęsiony to on przyjedzie, a roztrzęsiony. Nie od razu się pozbiera.

Niepokój, który napastował Grudzielskiego przed paroma dniami na placu podczas rozmowy z Łędyńskim, znowu uzyskał do technika przystęp. Grudzielski zapytał:

— A czy pan, komandorze, aby nie z myślą, żeby się prędzej na urlop wyrwać, tak przyspieszył sprawę?

Łędyński wybuchnął śmiechem. Śmiał się dłużej niż należało w takim wypadku, i znacznie mniej szczerze, niżby chciał. Na koniec, po tym wstępie przeciągłym, zjawiła się odpowiedź. Znalazło się zdanie.

— Skąd? — wzruszył ramionami. — Jeślim spieszył z jakichś innych względów niż techniczne, to może przez wzgląd na naszego kapitana. Załatwić za niego robotę chciałem. Za to mnie bijcie!

Nie było już zresztą o czym gadać. W tłuste ręce komandor wziął dłoń Grudzielskiego. Żegnał się z nim. Wieczorem zamierzał wyjechać. Grudzielski zaś jeszcze przed udaniem się na dworzec po kapitana postanowił zajrzeć do chłopców z SP. Mieli wszyscy jutro z samego rana przyjść na plac z piachem i żwirem. Zapomniał Gontarskiemu o tym powiedzieć, że nie ma kogo w ciągu najbliższych dni dać do złomu. Okrążywszy kapitanat skierował się w stronę willi, gdzie zamieszkiwała brygada junaków. Ledwo krok postawił na otwartej przestrzeni wzgórza, na którym rozciągał się park i wznosiła się willa, już oczy miał pełne piasku. Zamknął je, a wtedy nowy zryw wiatru ściągnął mu nakrycie z głowy. Na oślep niemal, łzawiąc, potykając się, ruszył w pościg. Dopadłszy czapki, nasadził ją sobie dobrze na uszy. Tak

wszedł do ogródka przed dom i dopiero tu zluzował ją, ponieważ w powietrzu zapanował spokój.

— Bo się pogniewam — usłyszał głos Karusowej, wstępując na próg willi. — Zaraz mi to zdjąć! Dusze zatracone!

Wszedł na salę, zarazem świetlicę i jadalnię, śmiano się tam hałaśliwie. Starsze głosy mieszały się z chłopięcymi. Kształtujące się wyraźnie i łatwe do wyróżnienia w śmiechu basy, barytony i tenory z jeszcze całkiem szczeniackimi i piskliwymi kogucikowatymi falsetami.

— Zrzućcie mi to, szkaradniki! — Karusowa przedzierała się przez zastępy zachodzących jej wciąż drogę chłopców ku ścianie. — Bo się pogniewam! Bo się pogniewam!

— Co się tu wyrabia? — zawołał technik.

Rozstąpili się, żeby mu zrobić miejsce.

— A, to! — ujrzawszy go krzyknęła Karusowa. Palec jej wyciągnięty wskazywał w stronę ściany, do której broniono mu dostępu. Widniał na niej karton, ozdobiony jedlinką. Wśród licznych maksym, haseł i pouczeń, podanych tu ku przestrodze i pamięci chłopców, drukiem czy pismem odręcznym, licznych i od dawna cieszących się prawem obywatelstwa w tych czterech ścianach sali, jasne było, że przybył nowy. Nowy i stąd budzący tak żywe echo. Zwłaszcza że i zakresem treści różnił się od innych. Tym razem — nie ideowej i nie porządkowej, lecz raczej kulinarnej, choć również nie wolny od pewnych akcentów moralizatorskich. Dotyczył sprawy w tej jadalni, zdawało by się, poruszanej do przesytu. Ale dotąd — jedynie ustnie i prozą. Tu zaś widocznie przykuwał uwagę tym, że poruszono ją w formie pisemnej i do tego z użytkiem rymu. Wezwanie brzmiało:

Uszanujcie chłopcy głupie
Siwy włos Karusi w zupie.

Śmiejąc się Grudzielski zdjął ze ściany napis i wręczył pani Karusowej. Stanęła z nim niepewna teraz, skoro już uczyniono zadość jej woli. Niezdecydowana, czy go zniszczyć, czy też włączyć do pamiątek. Między liczne fotografie z chłopakami z SP lub bez chłopców, a mających swe znaczenie przez jej własną osobę na tle junackiej willi. Biorąc niezdecydowanie za smutek, gdyż do tej chwili krzykliwa i czynna nagle znieruchomiała, chłopcy otoczyli ją.

— Proszę pani — darli się jeden przez drugiego. — Niech się pani nie gniewa!

Przepraszali ją, na to się zaklinając i na owo, aż na koniec i Mężny ruszył w obieg. Ich zdaniem, i to zdaniem wypowiedzianym tonem uroczystym, nikt inny nie nadawał się tak na ten szkuner, skoro już

przypadnie na niego czas pierwszego wyjścia na pełne morze, jak ona. Oni stanowiliby jego załogę. Ona zaś przy tej okazji awansowałaby na kuchmistrza okrętowego, nadal pozostając ich przybraną matką. W ten sposób, sami marząc, starali się ją udobruchać.

— Baju-baju — powiedziała pani Karusowa, ale w jej małych, ginących w tłuszczu niebieskawych oczach pojawił się, sprzeczny z lekceważącym tonem słów, ognik pewnego zainteresowania. — A kiedy to wypływacie, panowie rajzerzy!

— A na przyszły rok — wyraził w tej mierze pewność całej brygady Kostek Drzewiecki. — W tym roku już się nie zdąży!

Bo jeśli jakiś niepokój, wiążący się z tą sprawą, trawił serca junaków, to inny. Dał mu wyraz mały Włodek Piktel.

— Ale czy aby nas na przyszły rok wszystkich tu, co do jednego, przyślą? — zwrócił się z tą wątpliwością do Grudzielskiego. — Żeby czasem Komenda Główna z Warszawy którego z naszej grupy nie odłączyła!

— A no zobaczymy — rzekł Grudzielski. — Może się więc wszystko ułoży jeszcze inaczej.

Lecz myśli swej nie dokończył, a prawdę mówiąc nie bardzo jeszcze w obecnej fazie pewnych starań wiedział, jak miał ją skończyć. Nie skończył, gdyż przerwał mu, zarazem poniekąd przychodząc z pomocą, piekielny trzask i łomot, a potem cała kaskada różnolitych dźwięków. Zdało się, że to cały jakiś pałac kryształowy rozpada się w kawałki. A to pani Karusowa zapomniała w kuchni i śpiżarni zamknąć okien. Raptowny, niesłychanej porywistości wiatr dopadł ich, jedne wyrywając z zawiasów i haczyków, drugie wręcz z futryny, w obu rozbijając wszystkie szyby.

To nasilał się, to przycichał, kiedy Grudzielski opuściwszy progi willi ruszył w stronę dworca. Technik posuwał się z trudem, a parę sekund później nagle lekki i popychany rwał przed siebie rozparty na wietrze jak w saniach. Wicher dobierał się do drzwi, podważał siłą podmuchu dachy. Dzwonił i bębnił żwirem w bramy. Niezmierzonej rozciągłości płachtami, utkanymi z kurzu, liści, źdźbeł, płachtami, w które niekiedy udało mu się wesnuć różne kwiaty i szmatki, to domy osłaniał, to znowu całe partie krajobrazu. Donżon, najwyższa w Urzeczu budowla, w całej swej okazałej, ośmiobocznej postaci ginął dla oczu. Ale za to do słuchu przemawiał. Wiatr przechodząc na przestrzał grał na jego strzelnicach jak na flecie i świstał na blankach jak na grzebieniu. Rozmiarem i materiałem pasowały tu instrumenty do jego siły. Gorzej było z Grudzielskim. Zmagał się z wichurą, która po-

zornie tylko przyspieszała jego chód. Działania hamujące musiały być przemożniejsze, gdyż na dworcu znalazł się z pewnym opóźnieniem. Kapitan już wychodził, z malutką walizeczką w ręku, której nie dał sobie odebrać.

— Wcześnie, co? — zawołał, ujrzawszy technika portu.

— Przepraszam — rzekł odruchowo Grudzielski. — Ale taki wiatr!

O nim właśnie Haładyn mówił, nie o przyjściu na dworzec Grudzielskiego, takim czy innym, nie obowiązkowym, jedynie wypływającym z przyjaźni i uprzejmości.

— Wcześnie w tym roku, co? — kapitan powtórzył. — Bałtyk jest Bałtyk, panie! Dlatego taki sceptyczny byłem początkowo, jeśli szło o pańskie plany na bieżący rok. Co jemu tam wcześniej czy później zacząć swoją serię huraganów. No, ale koniec końcem tak źle nie jest. Znajdzie się jeszcze parę spokojnych dni, żeby wstawić na czas brakujące elementy. No, a jak w porcie stoi z nimi? Dwa zakończyliście kesony, czy załatwiliście trzy?

— Pięć — powiedział Grudzielski. I w tym momencie poczuł, że go ktoś z tyłu pociąga za łokieć. Obejrzał się i zdumiał. W tumanie kurzu stąpał za nim Łędyński. Grube wargi miał lekko rozchylone. W oczach wyraz niepokoju.

— Ile? — spytał kapitan. Usłyszał, ale nie uwierzył.

— Pięć! — potwierdził Grudzielski.

Kapitan domyślił się, lecz fałszywie.

— A toście holowników dostali! Skąd? Ze Szczecina?

— Nie. Jednym jedziemy.

— Coś się nie zgadza — zmarszczył się kapitan i przystanął.

Wtenczas Grudzielski po raz drugi poczuł targnięcie za rękaw. Zniecierpliwił się. Jeszcze wciąż myślał, że zarówno minę jak i zachowanie komandora tłumaczyć należy brakiem cywilnej odwagi. Jego strach przed Haładynem wydał mu się wprost niepoważny. Ostatecznie Łędyński był normalnym, wyposażonym we wszystkie pełnomocnictwa zastępcą kapitana, miał prawo pracować własnymi metodami. W tym momencie Haładyn go zauważył.

— Co się pan tam chowa za plecami pana technika? — zwrócony do niego głos starego kapitana stawał się coraz bardziej zadzierżysty. — Ale nie złość, lecz jakiś tajemny niepokój, ni to lęk, ni to przeczucie, nasycał go podobnym akcentem. — Proszę o wyjaśnienie.

Widać palce jego zawsze stawały się wiotkie, ilekroć spadała nań zła wiadomość. Teraz walizeczka wysunęła mu się z rąk i trafiła na

płyty chodnika, kiedy komandor Łędyński nareszcie zdołał wykrztusić mu, jak sprawę zdecydował.

— Na litość! Na litość! — krzyknął rozpaczliwie. — Toż sztorm!

Wyrzucił w górę obie ręce, stare, zmęczone. Wykonał na wietrze kilka nieskoordynowanych ruchów jak pchnięty w wodę.

— Toż się nasili i zbije nam z podmurówki kesony! Jeden o drugi potłucze jeszcze tej nocy! Jak kraszanki wielkanocne!

Podniósł ręce do twarzy i nie odjął ich, ruszywszy przed siebie. W pewnej tylko chwili, ale już po kilkunastu krokach, obejrzał się. Za walizeczką. Niósł mu ją Grudzielski. Tak doszli do kapitanatu. Na progu Haładyn jeszcze raz się obejrzał. Niemy, blady Łędyński ciągnął za nimi trop w trop.

— Wstyd — zadźwięczał głos starego kapitana surowością i wstrętem — Wstyd, komandorze! Za takie rzeczy idzie się pod sąd!

Wysoki, przy rozmowie, jeśli prowadzona była na stojąco, zwykle lekko pochylał się ku rozmówcy. Tym razem jednak trzymał się prosto, z głową cofniętą do tyłu, jak najbardziej z dala od grubego Łędyńskiego. Wzburzony, namarszczony, przeszywał komandora wzrokiem pełnym gniewu i odrazy. A sam zdawał się być wcieleniem energii, decyzji i woli. Lecz kiedy po kilku sekundach odwrócił się od komandora, zaledwie dotknął klamki u drzwi na korytarz w kapitanacie, Grudzielski zorientował się od razu, że kapitana opuściła pewność siebie i że wygasł w nim impet. Grzmieć było łatwo. Potworna lekkomyślność sybaryty, leniwca i samoluba zajętego tylko własnym interesem, rozpoznać dawała się z miejsca. Przygwoździł ją. Ale co było czynić dalej. Zwalisty, otyły Łędyński poszarzał i skulił się, dygocąc jak gdyby go z mieszkania wyrzucono na straszny mróz. Nieważny był jednak. Najważniejszy był falochron. Kiedy komandor znikł z oczu Haładynowi, który mu po swoim gniewnym wybuchu pokazał plecy, znikł mu i z myśli. A wtedy kapitan uprzytomnił sobie z przerażeniem, że wybuch jego to teraz już tylko gorzkie zapewne, lecz próżne i poniewczasie wypowiadane żale.

— Panie kapitanie — Grudzielski drzwi otworzył przed starym Haładynem, który musnąwszy klamkę, opuścił po sekundzie w dół rękę ogarnięta bezwładem, jak gdyby się zawahał, czy jest w ogóle sens wchodzić do kapitanatu. — Co robić?

Kapitan spojrzał w głąb korytarza. Aż kotłowało się tam od junaków ciasno stłoczonych.

— A wy tu czego? — wpadł na nich.

— My do pana Grudzielskiego — odezwało się naraz nerwowo i niespokojnie kilka głosów.

— Za chwilę! Mam zajęcie! — zwrócił się do chłopców Grudzielski, Ujrzał on później niż kapitan to zgromadzenie. — Idźcie poczekać do mego pokoju.

Cisnęło się ich kilku również i w pobliżu tych drzwi. Otworzyli je, zapalili światło. Padła wtedy jasna smuga na korytarz uprzednio mroczny. Kapitan, w którego mózgu zmagały się naraz tysiące myśli, zamiast do swego gabinetu, półprzytomny poszedł odruchowo w jej kierunku.

— Panie kapitanie! — Grudzielski zastąpił mu drogę. — Jakieś wyjście! Wyjście z sytuacji!

Ale kapitan ominął go jak lunatyk. Znalazłszy się w pokoju technika zatrzymał się przy jego biurku. Któryś z chłopców podał mu krzesło. Po czym natychmiast, jak zresztą inni, stanął pod ścianą tuż przy niej, blisko, płasko, niemal jak cień. Czuli, że coś się złego dzieje, za wszelką cenę pragnęli doczekać się, aż Grudzielski będzie wolny, a zarazem nie chcieli przeszkadzać.

— Co pan kapitan rozkaże? — wyczekawszy kilka minut Grudzielski przypomniał, że nie słyszy z ust kapitana odpowiedzi. — Czas nagli!

— A bo ja nie wiem, że czas nagli? — żachnął się kapitan. — Ale jakie może być tu rozwiązanie? Jakie rozwiązanie?

Wysuwał jedno, potem drugie, trzecie. Niezdolny dłużej rozważać sprawy sam w sobie, myślał na głos przed wszystkimi. Ale zaledwie jakąś koncepcję rzucał, już się z niej wycofywał. W warunkach Urzecza czy akurat w tej konkretnej sytuacji, czy przy tak ograniczonym czasie nie można było mieć żadnych nadziei na jej zrealizowanie. Szkicował więc ją tylko, dając wstęp, po kilku zaś zdaniach przerywał.

— At! — wyrywało się wtedy z jego piersi westchnienie. — I to nie.

Minuta przeszła.

— I to nie! — znów padło z jego ust.

Druga, trzecia, czwarta minuta.

— I to nie! I to nie!

Grudzielski słuchał jego słów z napięciem. Przenikał starego Haładyna na wylot. Szanował go za trud, który sobie zadaje, za ten gwałt, dokonywany na własnej myśli, od której chciałby najlepszego światła. Zarazem jednak czuł, że kapitan jest z innej formacji niż on sam. Że kapitan szczerze chciałby, żeby falochron został uratowany. On natomiast falochron uratować musi.

— To też nie — szepnął po raz chyba dziesiąty już z rzędu stary Haładyn. — Wciąż nie!

Szło tym razem o pomysł postawienia tymczasowej, prowizorycznej tamy. Ni to tamy, ni to łamacza fal, na którym wytracałaby się przynajmniej częściowo siła mas wodnych. Przeciw potężnym ich ciosom odgórnym ani można było marzyć, że się poradzi. Ale przeciw falom bijącym kesony w bok albo przeciw falom martwym zajeżdżającym jak taranem w fundamenty i dolne partie kesonów — teoretycznie było można. Przeciw takim falom zabija się w dno całe częstokoły pali na przedpolu falochronów. Całe ich tyraliery lub też formując ich obronny zastęp w rozwartoramienne trójkąty.

— Nie i nie — powtórzył kapitan i nieomal już bliski rezygnacji rozłożył ręce. — Bałtyk jest Bałtyk!

Wówczas od ściany oderwała się jedna z chłopięcych, zasłuchanych postaci. Wyraz, który padł z jej ust, był zrozumiały, lecz myśl w pierwszym momencie dla wszystkich całkiem zamazana. Nie dlatego jednak, że wyraz ten został wypowiedziany z zająknieniem, ale dlatego, że był nazwą rzeczy, od kilku dobrych miesięcy mającej już inne miano, miano, z którym wszyscy byli nieskończenie bardziej zżyci niż z owym dawnym. Użył zaś tego słowa mały Włodek Piktel — kolekcjoner ciekawostek ze złomu, majster klepka o złotych palcach, głowacz, jak się kiedyś okazało, a teraz, jak wyszło na jaw, chłopiec wielkiego serca — użył, sam nieomal nie orientując się, że nie trafia we właściwe słowo. Pod wpływem wstrząsu — który poruszył jego młodziutką istotą w momencie, kiedy wpadł na swój pomysł i zarazem ogarnął wszystkie rozpaczliwe konsekwencje, jakie z niego wynikały — stało się z jego pamięcią to, co nieraz dzieje się z pamięcią człowieka głęboko poruszonego. Zamiast najnowszej kliszy podsunęła mu ona kliszę starszą, wiążącą się z poprzednią fazą sprawy.

— J o k k k m o k k k — zadrżały mu usta.

— J o k k m o k k ? — Grudzielski spojrzał zdziwiony.

— Wrakk — zająknął się raz jeszcze Piktel.

— Wrak? — popatrzył na niego Haładyn.

Twarz bez kropli krwi, mowa, dziwacznie zaburzona sprawiały, że nikt nie mógł oderwać oczu od chłopca.

— M ę ż n y — na koniec zdołał Piktel opanować bełkot, poprawić się i myśl swą wypowiedzieć całą, tyle że ledwo słyszalnym szeptem. — Z balastem powinien być zatopiony!

— Mamo! — jęknął Kostek Drzewiecki.

— Boże! — załamał ręce Pietrek Korotko.

— Do diabła! — wyrwało się któremuś z junaków zza pleców roślejszego kolegi.

Kapitan tego nie słyszał. Palcami prawej ręki przejechał dwukrotnie po twarzy jak gdyby badając stan zarostu. Potem dotknął dolnej wargi. Potem skroni, potem czoła. A oczy jego, niczego nie widząc, w natężeniu snuły się po podłodze. Myśli Piktela nie odrzucał.

— To przecież nie jest nasz statek, tylko naszej Komendy Głównej! — w pewnej chwili nagle wysunął się przed innych chłopców, wyrastając pomiędzy nimi i kapitanem, Romuald Gontarski, któremu zajmowane stanowisko nakazało spojrzeć na rzecz od strony urzędowej. — My na naszym szczeblu nie możemy decydować! Teraz tak nie wolno!

Ale próżno im było słać westchnienia ku wszystkim instancjom rodzinnym, boskim, piekielnym, organizacyjnym czy ludowym, każdy zrozumiał, jeden prędzej, drugi później, i sens, i konieczność tej ofiary. I czuł się do niej gotów. Choć ciężka była! Poznać to można było po wszystkich. A najwięcej po żałosnym mikrusie, Pietrku Korotce, szybkonogim Korotce, żwawym do gonitw, ale i — jak się okazało — do płaczu. Kiedy poczuł, że łzy mu lecą jak groch, odwrócił się do ściany. Że zaś stał opodal okna, i to okna, z którego widać było Mężnego jak na dłoni, zyskały tylko nową podnietę. Bokiem się spróbował ustawić, wtedy było najgorzej, bo ani łez nie ukrywał przed ludzkim okiem, ani podniety sprzed własnych oczu nie usuwał... Dawała się bowiem łatwo spostrzec kątem oka. Do czasu zresztą tylko. Nagle bowiem wiatr idący od morza przeszedł w huragan, od którego aż zadygotał kapitanat. Kurzawa zakryła w jednej sekundzie plac przed kapitanatem, port, Mężnego. Wszystko za oknem.

— Tak — rzekł kapitan, na którego pytająco od dłuższej chwili patrzał Grudzielski. — Tylko skąd wziąć ludzi! Przecież to byłoby z tym roboty na dobrych kilka godzin dla dobrych kilkuset par rąk roboczych. I to takich, które nie zawiodą.

Jeszcze wciąż nie mógł ochłonąć z wrażenia, jakie zrobił na nim postępek Łędyńskiego.

— Będą! — zapewnił go Grudzielski. — I to właśnie takie, które nie zawiodą! Nas mogą zawieść jednostki, ale nie ludzie!

Zadźwięczał telefon na biurku Grudzielskiego. Grudzielski załatwił go wyjątkowo opryskliwie.

— Co takiego? — spytał Haładyn.

— A jakaś baba indaguje, czy nie ma Łędyńskiego — odparł technik. — Umówił się z nią na wspólną podróż i na dworzec się nie zjawia.

— Pan komandor — oznajmił jeden z chłopców — jest tu ciągle koło kapitanatu. Tylko nie wchodzi.

— A bo i nie ma po co! — rzucił krótko kapitan.

Błąkał się tak zresztą do samego świtu przed kapitanatem, po molo, po porcie i po nabrzeżach. Próbując pomagać. Ale nędzną dawał pomoc. Bez sił, złamany, słaby, jak po chorobie. Strzępek człowieka! Jeśli taki zwał tłuszczu i mięsa godzi się nazywać strzępkiem. Do reszty psychicznej i fizycznej spoistości odbierała mu myśl, że pęta się tak i pęta, ani do domu nie idzie spać, ani pakować się na urlop i na kolej, a wszystko to nie posiada żadnego znaczenia, nie zaważy nic a nic w swoim czasie i nie zostanie mu poczytane za okoliczność łagodzącą, kiedy nadejdzie moment wyrównywania rachunków. Ale to już nie nasza sprawa.

— Będą — powtórzył Grudzielski — będą ludzie!

Przywołał szerokim zamachem ręki junaków, jak gdyby ich wygarniał spod wszystkich czterech ścian pokoju.

— Chłopcy! — zawołał — Do mnie!

Podbiegli.

— Ty leć — rozkazał Drzewieckiemu — do towarzyszy trymerów!

— Ty do towarzysza motorzysty! — polecał innemu.

— Ty do towarzyszy ze stoczni!

— Ty do załogi holownika!

— Ty do towarzyszy od transporterów!

— Ty do Stacha Albekiera, niech ściąga młodzież z ZMP!

I tak rozsyłał ich i rozsyłał po wszystkich kątach portu, nabrzeża i miasta.

— Tylko duchem! Na jednej nodze! Tak jak latać umiecie na złamanie karku! A potem wszyscy, prócz Gontarskiego, który niech wraca do nas, na plac przy piasku balastować M ę ż n e g o !

Wymiotło ich w jednej chwili, jakby huragan się za nimi wdarł do pokoju.

— A ja? — odezwał się tylko jeden pozostały, i to Korotko, biegacz nad biegacze, a nie wyzyskany. Nie odzywał się dotąd, sądząc, że przyjdzie mu zapewne dokonać jakiegoś kolosalnie dalekiego kursu, godnego chwały jego żwawych i wytrzymałych nóg, chudych jak patyki, a tymczasem został bez przydziału, już łez bliski, do których, jak świeżo okazał, również bywał żwawy. — A ja?!

Jednak i dla niego coś się znalazło. Pewna przestrzeń do pokonania. Tyle że nie w dal, jak przypuszczał, a w górę.

— Ty do towarzyszy na latarnię — przypomniał sobie jeszcze Grudzielski. — Niech włączą sygnał alarmowy.

Pierwszy wrócił Gontarski. Wtedy zostawiono go w kapitanacie. Dano mu do ręki spis, dokąd poszczególne grupy albo indywidualnie ludzie mają się zgłosić. W ogólnej zaś sytuacji był sam dostatecznie zorientowany. Po czym Grudzielski popędził na plac z piachem i żwirem, aby przygotować wszystko do zatrymowania Mężnego, gdy się go podholuje pod nabrzeże. Kapitan zaś udał się, by dopatrzeć odcumowywania. Syrena alarmowa wyła. Wiatr wzmagał się. Niebawem zaczął już grzmieć i toczyć się z jednostajną siłą. Huczał, jak gdyby tysiące pociągów waliło niebem, i jego moc musiała być straszna dla czegoś, na czym by skoncentrował swoje ataki. On zaś na ziemi nie czynił żadnego spustoszenia, tylko jak gdyby milionem pługów worywał się w wodę, piętrząc ją w kolosalne skiby i gnając jej stłoczone masy z północy na południe wciąż i wciąż. Fale biły o nabrzeża, roztrzaskiwały się o keje. Tak działo się w zamkniętym obrębie kanałów i awanportu. Strach było pomyśleć, co się w takim razie musiało wyrabiać na pełnym morzu. Setka ludzi już zgromadziła się na placu przy nabrzeżu, gdzie był piach i żwir. W bryzgach wody i tumanach kurzu niepodobna było odróżnić, kto przybył, a kogo jeszcze brakuje. Migały się tylko Grudzielskiemu twarze, młode i dojrzałe, chłopięce i kobiece. Tak dobrze znajome, że do zidentyfikowania od jednego rzutu okiem, oraz takie, które nie od razu rozpoznawał.

— A junacy są wszyscy? — W pewnej chwili zwrócił się z tym pytaniem do Kostka Drzewieckiego. — Mało coś was.

— Idą — zapewnił go Kostek.

I rzeczywiście szli. Ale nie biegiem. Wolno. Wolno. Krok za krokiem. Tak wolno, jak wolno wodą kanałów posuwał się za holownikiem szkuner S/S Mężny. Otrzymali nakaz stawienia się natychmiast na placu po wypełnieniu czynności gońców, ale kiedy znalazłszy się na keju ujrzeli nagle w pianie olbrzymich grzywaczy bliski i znajomy sobie kontur, nogi im wrosły w ziemię. Ale jednak szli, Mężny zaś pruł falę dziobem, wznosząc wysoko swój kościsty bukszpryt w górę. Odbywał drogę powrotną, inną niż ta sprzed kilku miesięcy. Lecz odbywał tylko zaczątek drogi, o której tak dla niego marzyli chłopcy. Wychodził w morze, aby już z tego morza nie wrócić. Opuszczał port w Urzeczu, aby tego portu już nigdy nie opuścić, lichym swoim bokiem, zbolałym i starym przytulić się do ściany, do zewnętrznej młodej ściany falochronu, ratując ją, sam na czasy już najpewniej wieczne schodząc w wodę, dla siebie w chwalebny grób.

— No, uszy do góry! Bądźże mężczyzną, chłopie! — od czasu do czasu mówili chłopcy jeden do drugiego, kiedy ten i ów opuszczał głowę ku ziemi.

— No, bądźże mężczyzną! — usłyszał szept Piktela Grudzielski, kiedy już wszyscy junacy przybyli na plac, nawet Romuald Gontarski, niepotrzebny w kapitanacie, bowiem kto żyw i kto był wezwany, stawił się. Trymowano balastem Mężnego stojącego przy samym nabrzeżu. W gwałtownej wichurze robota szła jednak szybko i składnie. Burty Mężnego grążyły się coraz wyraźniej w wodę. On czynił się coraz niższy, coraz cięższy, coraz bliższy swego przeznaczenia. Wtedy doszły do uszu Grudzielskiego słowa, które padły z ust Piktela, wyprostowanego, zwróconego twarzą do morza, wpatrzonego martwo w Mężnego. — No, bądźże mężczyzną, chłopie.

Nie zapytał, do kogo je kieruje. Tylko sam objął wzrokiem nędzny kadłub szkunera, szkunera, który zdawał się cały uginać pod olbrzymim brzemieniem balastu. Uginać i drżeć przed rejsem, który go czekał. Rejsem tak krótkim. O to nie zapytał Grudzielski, ale przypomniawszy sobie, że nie dowiedział się, w jakim celu chłopcy przyszli do niego do kapitanatu, chłopcy, których mu było żal, chłopcy, którzy zjawili się tak szczęśliwie pod ręką, o to się spytał.

— To już nieważne — odparł Piktel.

— Jakto mogło się w tak krótkim czasie zrobić nieważne? — zdziwił się Grudzielski.

Nieważne się stało. Bynajmniej jednak nie stało się przez to wstydliwe. Piktel więc wyciągnąwszy rękę w stronę szkunera, wyznał:

— Chcieliśmy się od pana dowiedzieć, czy aby taki huragan nie zerwie nam z cum i nie uszkodzi Mężnego!

— Gotowe! — przeszył powietrze głos kierownika brygady trymerów. — Dosyć.

Wyłączono transportery. Późno było. Ale ludzie, którym Grudzielski mówił, że mogą już iść do domu, nie odchodzili. Przekrzykiwano się na placu. Pracująca w ciszy wielka gromada ludzka, teraz ożywiła się tysiącem nawoływań. Krzyczano również z holownika. Tłum ludzki głuszył czasem słowa potrzebne. Nie słychać było rozkazów, zwołujących obsługę mającą odcumować liny. Kapitan wówczas wszedł na najbliższą płytę nawierzchniową kesonów jak na podium, nasilił głos. Zanim dokończył nawoływania, poryw szkwału pozbawił go czapki, tak jak parę godzin temu pozbawił jej technika portu, Grudzielskiego, na chwilę. Ale teraz już było niemal ciemno. Nawet gdyby się Haładyn o swoją zatroszczył, nie odnalazłby jej. W tumanach kurzu, piachu

i żwiru potoczyła się szybko i znikła. Stał więc kapitan z gołą głową i komenderował. Skończył, zszedł. Przekazywano sobie z ust do ust, co powiedział. Wzywani przez niego przepychali się przez tłum. Zanim przystąpili do roboty, kapitan szarpnął gwałtownie za rękaw Grudzielskiego.

— Pan pójdzie na holownik — oznajmił. — W taki czas nikt nigdy nie wychodzi w morze. Mogą się ludzie poczuć nieswojo. Trzeba z nimi być, żeby im pomóc, by nie stracili ducha.

— Tak jest — rzekł Grudzielski.

— No, to już — położył mu rękę na ramieniu Haładyn.

— A kto obejmie Mężnego? — spytał Grudzielski.

Na Mężnym, kiedy by już został podmanewrowany burtą do ściany falochronu, należało klapy denne otworzyć. Ale ani o chwilę za późno i ani o chwilę za wcześnie. Wymagało to doświadczenia. A i na opuszczenie w moment później tonącego statku potrzeba było zimnej krwi.

— Ja — odparł kapitan. — Wystarczę.

Gdy Grudzielski spróbował zaoponować, stary Haładyn podniósł głos wypraszając sobie, by się mieszano w jego kompetencje. W niczym nie przypominał Haładyna sprzed godziny, kiedy to w kapitanacie siedział złamany i pełen niewiary. A kiedy na jeszcze jedną, ale już ostatnią próbę interwencji ze strony Grudzielskiego przerwał mu z miejsca i zaklął, w niczym nie przypominał owej flegmatycznej postaci, na jaką się lubił stylizować. W niczym nie przypominał żadnego Anglika. A ten, którego postacią się pieścił — Anglik imaginacyjny, z treści duchowej i z manier Anglik, a z formy fizycznej i powłoki doczesnej kapitan Haładyn — sądzić wolno, że po tej scenie umknął z niego z całym swym bagażem już raz na zawsze.

— Ryzyko ze mną takie same jak z innym — warknął jeszcze kapitan. —A żal mniejszy, bom sam i stary.

Zanim więc zdjęto trap, którym raz po raz brnąc pod wiatr wchodzili na pokład Mężnego trymerzy, przebył tę wąską drogę. Przedtem tylko zwrócił się o czapkę. Włosów wiele nie miał, te zaś, które pozostały, kleiły mu się do twarzy i co gorzej do oczu. Kiedy wypowiedział swą prośbę, stał właśnie w grupie junaków. Gontarski podał mu wtedy swoją junacką furażerkę. Od razu od wiatru, który ją napełnił, zrobiła się ciężka jak nalana ołowiem. Potem wiatr szarpnął nią, nagle czyniąc lekką. Ale nie wyrwał jej kapitanowi. Haładyn przymierzył ją, pasowała. Zasalutował więc dziękując za nią Gontarskiemu i wszedł na trap. Powoli, mocno pochylony naprzód, krok za krokiem wbijając się coraz

głębiej w wiatr. Wreszcie ruszono. A kiedy po dwu godzinach, po skończonej całej operacji, holownik wrócił, pusto było na keju. Ludzie już się dawno rozeszli. Wymiotło ich. Junaków siłą nieomal ściągnął Albekier spać. Ten i ów z trymerów i pracowników stoczni pokręcił się jeszcze chwilę po nabrzeżu, poniewierany, popychany wichurą, wpatrując się z wyrazem troski w rozpasane morze i zastanawiając się, czy stary wrak podoła zadaniu. Ale junakom przynajmniej to jedno uczucie zostało oszczędzone. Oni nie mieli żadnych obaw czy manewr się uda i czy pięć nie zapiaskowanych elementów będzie uratowanych. Nie mieli pod tym względem żadnych wątpliwości, skoro rzucony został w bój o bezpieczeństwo ściany ich Mężny. I tak się stało.

Sztorm wojował przez całą noc. Przez cały dzień nadchodzący. I przez następną noc. O pracy w porcie nawet nie można było myśleć. Fale wielkie jak domy i ciężkie jak z cementu waliły się raz po raz na nabrzeże, na keje, na pirsy. Port cały zdawał się jedną wielką rozhuśtaną niecką. Nocami całe zastępy wichrowych uderzeń biły w morze, nagląc je do ataku. Do szturmów podwodnych na niezabezpieczone kesony. Ale stary dobrze zabalastowany wrak osłonił je skutecznie. Osłonił je jak kokosz i nie dał ich sztormowi jeden o drugi potłuc, jak tłucze się jedną o drugą wielkanocne kraszanki.

Dopiero na trzeci dzień można było wyjść do pracy. Chłopcy w porcie zjawili się nieomal pierwsi, ale po godzinie odwołano ich z placu i wezwano do kapitanatu. Bowiem na koniec napłynęła poczta w ich sprawie. Całe mnóstwo pism, całe mnóstwo papieru, który jest cierpliwy, ale i nierychliwy. Lecz na szczęście w tym wypadku — do czasu. Czas zaś już nadszedł. Znowu znaleźli się w pokoju technika Grudzielskiego, zjawił się kapitan, lecz jeno dla asysty. Czytał i referował pisma wszystkie po kolei Grudzielski. Krótkie to zresztą było czytanie, przy każdym nowym osobowym punkcie, i jeszcze krótszy referat. Grudzielski wyliczał po prostu, kto idzie do jakiej szkoły, do jakiego liceum, do jakiego miasta, podawał dane i adresy oraz dorzucał od siebie motywację. Wysłuchali wszystkiego z bijącym sercem. A że popiery cierpliwe i nierychliwe nadeszły z opóźnieniem, okazało się, że junacy muszą jechać już. Niektórzy tego samego dnia, a inni nazajutrz. Miano jeszcze z kapitanatu do grupy dziś odjeżdżającej zajść na pożegnanie, ponieważ jednak ani kapitan nie był pewien, czy znajdzie czas, ani oni nie byli tacy pewni, czy do nich przyjdzie, żegnali się z nim już na dobre.

— No to zdrowia! — mówił każdemu i życzył każdemu, ściskając serdecznie rękę. — I powodzenia!

— Nawzajem — odpowiadali.

Że monotonne to było, biorąc w obie ręce rękę Piktela Włodzimierza zmienił nieco formułę.

— No to zdrowia — rzekł — i powodzenia w naukach!

— Nawzajem — odparł Piktel z rozmachu.

Pośmiano się z tego trochę. Kapitan w pewnym momencie przypomniał sobie o furażerce, której wczoraj junak Gontarski mu użyczył. Poszedł po nią do swego gabinetu, ale Gontarski nie chciał przyjąć zwrotu.

— Pan kapitan miał tę czapkę w służbie na Mężnym — powiedział. — Więc ja nie będę zabierał panu kapitanowi takiej pamiątki.

— A no to dziękuję — uśmiechnął się stary Haładyn, lecz do podarunku odniósł się z powagą.

Kiedy został z Grudzielskim sam w pokoju, uśmiech na jego ustach również przygasł. Kapitan opuścił wzrok na czapkę. Zwiesił nad nią swój długi nos. Przez chwilę machinalnie się nią zabawiał. Rozkładając na blacie stołu, rozprasowując palcami, a w chwilę później zwijając w mały, cienki wałek.

— To od jutra — rzekł na koniec — zostaniemy już bez chłopców.

— Szkoda, ale pora na nich! — odparł Grudzielski. — Pocieszmy się też, że pobyt w Urzeczu miły im był, że wyszedł im na zdrowie i że się czegoś u nas nauczyli. Na Mężnym i nie na Mężnym.

— A na pewno! Na pewno!

Kapitan furażerkę junacką skręconą w mały szczupły wałeczek schował do kieszeni. Ruszył się z krzesła. Lecz z pokoju się nie ruszył. Uczynił krok w kierunku drzwi. Ale zawrócił i znowu przysiadł i wtedy ni stąd ni zowąd taką rzucił refleksję:

— Jokkmokk? Jokkmokk? Piękny koniec dla takich starych wraków. Piękna rzecz w taki sposób ginąć! Ja — zazdroszczę! Wczoraj na jego pokładzie myślałem sobie o tym i myślałem.

Grudzielski się obruszył, mimo że wszystko zrozumiał.

— Ginąć przez karygodny postępek podłego, małego człowieka! Piękniej żyć, żeby takim dać radę i takich zwalczyć!

— A no i mój błąd w tym był — rzekł na to kapitan. — To ja jego zostawiłem na gospodarstwie, a mogłem nie jego zostawić. Miałem przecież innego! Z głupiego nawyku myślowego zostawiłem go, a co do pana, coś opierało się we mnie, żeby zostawić. Mam na całe moje życie nauczkę!

— Na całe życie! — w jasnych, zielonkawo-niebieskich oczach Grudzielskiego zamigotał uśmiech. — To już lepszy plan!

— Tak, tak — nauczkę! — ciągnął dalej kapitan, uzupełniając jeszcze swoją myśl — umieją te nowe czasy człowieka uczyć. Nowe czasy i nowe stosunki umieją. I wy — umiecie!

— Wy?! — lekko zmarszczył się Grudzielski. Znał w ustach kapitana ten zaimek i nie lubił go u takich ludzi jak stary Haładyn, gdyż na miejscu był tylko w ustach komandorów Łędyńskich i jeszcze od Łędyńskiego gorszych. Pokręcił głową. — Wy?!

Lecz głos jego był pogodny, kiedy po sekundzie wahania, dał wyraz swej propozycji w tej sprawie. Pogodny był, gdyż inny teraz w stosunku do starego Haładyna byłby niewłaściwy.

— Wy! Wy! A może już: my, panie kapitanie? A może już uporządkować to pan kapitan powinien i w swoich myślach, i w sobie, i w mowie. Panie kapitanie, czas już.

Tadeusz Breza

JAN PARANDOWSKI

NOWY PRZEKŁAD ODYSEI

Pieśń piąta: TRATWA ODYSSA

Jutrzenka wstała z łoża, od boku świetnego Titonosa, by światło nieść bogom i ludziom. Bogowie zasiedli w radzie, wśród nich wysokogrzmiący Dzeus, którego moc największa. Atena wyliczyła im wszystkie niedole Odyssa, mając je wiernie w pamięci. Martwiła się, że dotąd przebywa on w domu nimfy.

— Ojcze Dzeusie i wy, szczęśliwi bogowie, wiecznie żyjący! Niech żaden już z berłowładnych królów nie będzie życzliwy, łagodny i dobry, niech serce jego nie wie co sprawiedliwość, niechaj będzie on zły, a każdy jego czyn zdrożny, skoro nikt nie pamięta o boskim Odyssie, który jak ojciec był dobry dla swoich poddanych. A dziś leży na wyspie cierpiąc ból srogi, w domu nimfy Kalipso, która gwałtem go trzyma. I nie może wrócić do ziemi ojczystej. Albowiem nie ma ni wiosłownych okrętów, ni towarzyszy, by go przewieźli po szerokim grzbiecie morza. I chcą mu teraz zabić ukochanego syna, gdy ów będzie wracał do domu. Poszedł on po wieści o ojcu aż do zacnego Pylos i do boskiej Lakedajmony.

Odpowiadając jej rzekł Dzeus chmurozbiórca:

— Jakież to słowo, moje dziecko, wymknęło się tobie poza zagrodę zębów? Czyż to nie twoja była myśl i rada, by Odys wrócił ukarać tych ludzi? Telemacha zaś zręcznie, jak to potrafisz, przeprowadź cało do ziemi ojczystej, a zalotnicy niech wrócą z niczym na swoim statku.

Rzekł i przywołał Hermesa, miłego syna:

— Hermesie, jak zawsze jesteś nam posłem, tak i teraz zanieś nimfie o pięknych warkoczach wyrok nieuchylony o powrocie mężnego Odyssa: sam niech płynie, bez niczyjej pomocy, ni boskiej, ni ludzkiej, na mocno zbitej tratwie, w trudzie i znoju, aż dwudziestego dnia dotrze do Scherii, szerokoskibej ziemi Feaków, którzy są bliskimi krewnymi bogów. Oni go sercem uczczą jak boga i na okręcie odeślą do ojczyzny, a dadzą mu tyle spiżu i złota i szat, ile by nigdy, mając swój udział w zdobyczy, Odys nie przywiózł spod Troi, gdyby bez szkody powrócił. Takie jest przeznaczenie: zobaczy on drogie osoby i wróci do ziemi ojców, pod wysoki strop swego domu.

Rzekł, a poseł świetlisty usłuchał go bez wahania. W lot pod stopy podwiązał piękne sandały, ambrozyjskie, złote, które z szybkością wiatru niosą go czy to nad wodą czy nad niezmierzoną ziemią. Wziął różdżkę, którą oczy ludzkie, komu zechce, zamyka albo uśpionych budzi. Z tą różdżką w ręku poleciał Pan świetlisty. Przekroczywszy Perię wpadł z eteru w morze i śmigał po falach podobny do mewy, która polując na ryby w groźnym łonie słonych niespokojnych wód swe gęste skrzydła obryzguje pianą morską. Do tego ptaka podobny mknął Hermes wśród fal niezliczonych.

Lecz gdy doleciał do wyspy dalekiej, wyszedł z fiołkowego morza na ląd i znalazł tam wielką pieczarę, gdzie mieszkała nimfa o pięknych warkoczach. Była w domu.

Wielki ogień płonął na ognisku. Daleko po wyspie roznosił się wonny dym palonych szczap cedru i tui. Ona zaś w głębi pieczary śpiewała cudnie wodząc po krosnach złotym czółenkiem. Wokoło pieczary rósł bujny las: olsze, sokory i pachnące cyprysy. Gnieździły się w nich ptaki szerokoskrzydłe: sowy, jastrzębie i krzykliwe kruki, żyjące nad morzem i z nim oswojone. Jeszcze bliżej pieczary wybujała rozłożysta winorośl pyszna swoimi gronami. Rzędem, blisko siebie, cztery zdroje biły białą wodą i rozchodziły się w różne strony, a wokół łąki kwitły fiołkami i łonnikiem. Nawet nieśmiertelne serce radowało się tym widokiem. Stał więc i patrzył poseł świetlisty. A kiedy duszę tym wszystkim nasycił, wszedł do rozległej pieczary.

Od pierwszego spojrzenia poznała go arcyboska Kalipso: bogowie nieśmiertelni znają się między sobą, choćby i dalekie były ich siedziby. Odyssa wielkodusznego nie zastał, bo, jak zawsze, siedział na skałach wybrzeża, patrzył na morze nie znające spokoju i płakał — łzami, jękiem i bólem trawiąc swe serce. Kalipso arcyboska posadziła Hermesa na promiennym, błyszczącym tronie i zapytała:

— Z czym do mnie przychodzisz, miły i czcigodny Hermesie złotorózgi? Dawnoś mnie nie odwiedzał. Powiedz, czego sobie życzysz: sercem spełnię, jeśli to w mojej mocy, jeśli to możliwe. Lecz pójdź wprzódy, niech cię ugoszczę.

To rzekłszy bogini przysunęła stół, pełny ambrozji, zmieszała nektar czerwony, i poseł świetlisty jadł i pił. Kiedy zaś skończył i serce nasycił jadłem, przemówił do niej w te słowa:

— Mnie, boga, pytasz bogini, z czym przychodzę. Powiem ci więc słowo szczere, albowiem tego żądasz. Ja nie z własnej woli, to Dzeus kazał mi tu przyjść. Któżby z ochotą przebiegał te gorzkie wody bez kresu? Nie ma tu w pobliżu ani jednego miasta, gdzie śmiertelni bogom składają ofiary i przednie hekatomby. Lecz któryż bóg może obejść lub odwrócić wolę Dzeusa egidodzierżcy? Mówią, że u ciebie bawi najnieszczęśliwszy z mężów, co walczyli pod grodem Priama lat dziewięć, a w roku dziesiątym, zburzywszy miasto, odeszli do domu. Lecz w drodze powrotnej obrazili Atenę, która zesłała na nich zły wiatr i długie fale. Zginęli wtedy wszyscy zacni towarzysze, jego zaś wiatr i fala aż tutaj zaniosły. Teraz masz go odesłać jak najprędzej. Nie sądzono mu bowiem tu zginąć, daleko od swoich: los da mu jeszcze oglądać drogie osoby i wejść pod wysoki strop jego domu, w kraj ojczysty.

Rzekł, zadrżała Kalipso arcyboska i głos podniósłszy przemówiła słowem skrzydlatym:

— Okrutni jesteście, bogowie, i zazdrość wami rządzi. Złym okiem patrzycie, gdy bogini śpi z człowiekiem, gdy miłego sobie weźmie jawnie za małżonka. Tak różanopalca Jutrzenka wzięła sobie Oriona, a was zaraz to oburzyło, bogowie beztroscy! I zstąpiła ze złotego tronu przeczysta Artemida i zabiła go cichymi strzałami. Tak Demeter o pięknych warkoczach, idąc za swoim sercem, dzieliła miłość i łoże z Jazonem na niwie trzykroć zoranej,

lecz nie długo ukryło się to przed Dzeusem, który go jasnym raził piorunem i zabił. Tak i mnie teraz, bogowie, za złe bierzecie, że mam u siebie człowieka. A ja go zbawiłam siedzącego okrakiem na stępce. Pośrodku morza ciemnego jak wino Dzeus mu okręt piorunem jasnym raził i zgruchotał: zginęli wszyscy zacni towarzysze, jego zaś wiatr i fale poniosły. Pokochałam go i przygarnęłam, obiecałam uczynić nieśmiertelnym i starość mu odjąć na wszystkie dni. Ale skoro żaden bóg nie może obejść ni odwrócić woli Dzeusa egidodzierżcy, niechaj idzie, jeśli mu iść każą, na morze nie znające spokoju. Nie ja go odeślę: nie masz u mnie ani okrętów wiosłownych, ani drużyny, która by go przewiozła po szerokim grzbiecie morza. Tylko mu powiem życzliwie i szczerze, w jaki sposób może wrócić cało do ziemi ojczystej.

Znów do niej przemówił poseł świetlisty:

— Tak więc go teraz odeślij. Lękaj się gniewu Dzeusa, by w złości nie uczynił ci krzywdy.

To powiedziawszy odszedł Pan świetlisty. A nimfa czcigodna, posłuszna Dzeusa wezwaniu, poszła do wielkodusznego Odyssa.

Znalazła go siedzącego na skalistym wybrzeżu. Oczy nie obsychały od łez, słodkie życie uchodziło w żałosnym wyczekiwaniu powrotu, bo już nie podobała mu się nimfa. Z musu przesypiał noce w głębokich pieczarach, przy chcącej niechętny, a dniami siadywał na skałach wybrzeża, nękając serce łzami, jękami i bólem. Łzy lejąc wpatrywał się w morze nieukojne. Arcyboska stanęła przy nim i rzekła:

— Mój biedaku! Nie będziesz się więcej smucił ani marnował życia: już jestem gotowa cię odesłać. Ścinaj spiżem wielkie drzewa i rób tratwę szeroką, na niej wznieś pomost wysoki, i ruszaj na mgliste morze. A ja dam chleba, wody, wina czerwonego do woli, żebyś miał czym głód odpędzić, i w szaty odzieję, i poślę za tobą wiatr, byś cało dojechał do ziemi ojczystej, jak chcą bogowie, władcy niebios szerokich, potężniejsi ode mnie w zamysłach i czynach.

Rzekła. Struchlał niezłomny boski Odys, przemówił i rzekł słowa skrzydlate:

— Coś innego, bogini, masz na myśli — nie, żeby mnie odesłać. Każesz puścić się z tratwą na wielką topiel morską, niebezpieczną i straszną, której przebyć nie mogą nawet chyże i równe okręty, cieszące się wiatrem dzeusowym. Tobie na przekór nie wejdę na tratwę, chyba mi złożysz, bogini, wielką przysięgę, że nie obmyślisz jakiejś innej niedoli.

Tak mówił. Uśmiechnęła się Kalipso arcyboska, i gładząc mu rękę rzekła:

— Zaiste, frant z ciebie i otwarta głowa, żeś takie słowo wymyślił. A więc ziemią się świadczę i niebem szerokim tam w górze, a w dole Styksu strumieniem, co jest największą i najstraszniejszą przysięgą dla bogów szczęśliwych: że nic innego nie zamyślam na twoją szkodę. Myślę i mówię tak, jakbym samej sobie radziła, gdyby zaszła taka potrzeba. Duch mój jest prawy, a w piersiach mam serce nie z żelaza, ale miłosierne.

To powiedziawszy arcyboska żwawo szła naprzód, on wstępował w ślady bogini. Tak doszli do głębokiej pieczary, bogini i człowiek. Ona posadziła go na tronie, z którego dopiero co wstał Hermes, i zastawiła przed nim jadło i napój, strawę, jaką się posilają mężowie śmiertelni. I sama usiadła naprze-

ciw boskiego Odyssa, a służące podały jej nektar i ambrozję. I tak oboje wyciągali ręce po stojące przed nimi potrawy. A kiedy nacieszyli się jadłem i napojem, z pierwszym słowem odezwała się Kalipso arcyboska:

— Szczepie dzeusowy, synu Laertesa, przemyślny Odyssie! A więc naprawdę chcesz już teraz jechać do domu, do ziemi ojczystej? Życzę szczęścia — mimo wszystko... Lecz, gdybyś wiedział, ile ci sądzone znieść niedoli, zanim dobijesz do ojczyzny, to byś został i razem ze mną pilnowałbyś tego domu i byłbyś nieśmiertelny, chociaż tak pragniesz zobaczyć swą żonę. Wciąż za nią tęsknisz, przez wszystkie dni, a przecież, śmiem powiedzieć, nie jestem ci od niej gorsza postawą ni wzrostem, bo niepodobna śmiertelnym z nieśmiertelnymi mierzyć się urodą i kształtem.

Odpowiadając jej rzekł Odys przemądry:

— Nie gniewaj się, czcigodna bogini. Wiem ci ja sam zbyt dobrze, jak dalece mądra Penelopa jest przy tobie pośledniejsza urodą i wielkością, jest bowiem śmiertelna, a ty nieśmiertelna i wiecznie młoda — a jednak tęsknię przez wszystkie dni i pragnę pójść do domu i oglądać dzień swego powrotu. A jeśli na morzu ciemnym jak wino znów mnie któryś z bogów rozbije, wytrzymam, bo w piersiach mam serce na ból hartowne. Już tyle wycierpiałem, tyle się natrudziłem wśród fal i na wojnie, że niech i to jeszcze się stanie.

Rzekł. Właśnie słońce zaszło i nastąpiła ciemność. A tych dwoje w głębi pieczary cieszyło się miłością, trwając we wzajemnym uścisku.

Ledwo z mgieł rannych ukazała się różanopalca Jutrzenka, wnet Odys wdział chlajnę i chiton, nimfa zaś włożyła wielki faros, srebrzysty, cienki i miły, biodra ściągnęła pięknym złotym pasem, głowę okryła namiotką, i zajęła się wyprawą wielkodusznego Odyssa.

Dała mu topór wielki, dobrze leżący w dłoni, spiżowy, z dwóch stron wyostrzony, a miał on stylisko z drzewa oliwnego, uchwytne i bardzo piękne. Za czym dała siekierkę starannie gładzoną. I prowadziła drogą w ten koniec wyspy, gdzie rosły drzewa: olsze, sokory, sosny niebotyczne, uschłe od dawna. Ich suche drewno było wyborne na lekkie statki. Gdy mu pokazała ten stary wysokopienny las, odeszła do domu Kalipso arcyboska.

A on ścinał drzewa, praca szła mu raźno. Dwadzieścia ich wyciął, obrąbał spiżem, ostrugał sprawnie i pod sznur wymierzył. Tymczasem Kalipso arcyboska przyniosła świder. Wszystkie belki przewiercił i złożył razem, wreszcie tratwę spoił kołkami i klubami. Jaki wymiar sobie zakreśli cieśla doświadczony na fundament szerokiego ładownego statku, taką wziął Odys szerokość dla swojej tratwy.

Za czym stawiał pomost: bunty wbijał gęsto jeden przy drugim i nakrywał je długimi deskami. I maszt zrobił z przymocowanymi doń rejami, i rudel do sterowania. Na koniec całą tratwę oszańcował plecionką z wierzbiny, którą suto obłożył gałęziami. Tymczasem Kalipso arcyboska przyniosła płótno na żagle. On i z tym dobrze się sprawił. Uwiązał tryski i nawłoki, i lewarami zepchnął tratwę na boskie wody słone.

Na czwarty dzień wszystko było gotowe, piątego zaś puściła go z wyspy boska Kalipso, wykąpawszy i odziawszy w wonne szaty. Na tratwie złożyła dwa bukłaki: jeden z czarnym winem, drugi, wielki, z wodą, a w miechu

skórzanym żywność i pełno rozmaitych łakoci. I posłała mu wiatr pomyślny i lekki.

Wiatrem wesoły, boski Odys rozpiął żagle. Siedząc przy rudlu sprawnie sterował, a sen nie padał na powieki. Patrzył w Plejady i w późno zachodzącego Wolarza i w Niedźwiedzicę, którą też zowią Wozem: ona się w miejscu obraca i śledzi Oriona, a jedyna z gwiazd nie kąpie się w Oceanie. Nakazała mu Kalipso arcyboska, by prując morze Niedźwiedzicę miał po lewej ręce.

Dni siedemnaście płynął żłobiąc fale, a osiemnastego ukazały się góry cieniste w ziemi Feaków, która była najbliżej i wyglądała jak puklerz na mglistym morzu. Z daleka, z gór Solimskich, dojrzał go powracający od Etiopów Pan co ziemią wstrząsa. A widząc jak on po morzu żegluje, jeszcze bardziej się rozsierdził i kręcąc głową przemówił do swej duszy:

— Ejże, bogowie snać coś innego uradzili względem Odyssa, kiedy ja byłem u Etiopów. I oto zbliża się on do ziemi Feaków, gdzie mu sądzono wyrwać się z powroza trapiących go niedoli. Ale zdaje mi się, że jeszcze niejedna bieda go dosięgnie.

Tak mówiąc spędził chmury i chwyciwszy w dłonie trójząb zmącił morze. Ruszył wiejbę wszelkich wiatrów, a chmurami zaćmił ziemię i morze. Z nieba zeszła noc. Spadł Euros i Notos, z nimi Zefir gwałtowny i w eterze zrodzony Boreasz, który kłębi wielkie bałwany.

Rozprzęgły się kolana i miłe serce Odyssa, jęknął i rzekł do swej wzniosłej duszy:

— Biada mi nędznemu! Cóż mnie jeszcze spotka na ostatku? Boję się, że prawdą niechybną było wszystko, co mówiła bogini: że, nim stanę w ziemi ojczystej, na morzu dopełnię miary swych cierpień. To wszystko teraz się iści. Jakimi to chmurami Dzeus niebo szerokie przepasał! Jak zmącił morze! Wszystkie naraz wiatry pędzą na siebie burzą. Teraz już pewna moja zguba. Trzykroć i czterykroć szczęśliwi Danaowie, którzy wtedy zginęli na równinie trojańskiej w służbie Atrydów. I ja powinienem był umrzeć i dobiec kresu w onym dniu, kiedy ćma Trojan godziła we mnie spiżowymi włóczniami nad ciałem syna Peleusa. Byłbym miał wówczas pogrzeb uroczysty i Achajowie roznieśliby moją sławę, a teraz wypadło mi zginąć nędzną śmiercią.

Gdy to mówił, wielka fala uderzyła nań z góry ze straszliwą siłą i przewróciła tratwę. Padł daleko od tratwy, rudel wypuścił z rąk. Nadciągająca burza skłóconych wiatrów złamała maszt przez pół, żagle i reje padły daleko w morze. Długi czas trzymało go pod wodą, nie mógł się prędko wydostać na wierzch pod gwałtownym naporem fal i pod ciężarem szat, które dała mu boska Kalipso. Wypłynął w końcu, z ust wypluł gorzką wodę, która obficie ściekała z głowy. Mimo, że tak wycieńczony, nie zapomniał o tratwie, lecz borykając się z falami zdołał ją pochwycić. Usiadł na środku i uciekł od bliskiej już śmierci.

Tam i sam, z prądem, niosła go wielka fala. Jak jesienny Boreasz roznosi po błoniach osty sczepione razem, tak ową tratwę po morskich rozłogach wiatry nosiły tam i sam. Raz Notos podrzucał ją Boreaszowi, to znów Euros dawał ją gonić Zefirowi.

Spostrzegła go córka Kadmosa, cienka w kostce Ino, która wpierw była śmiertelna i ludzkim mówiąca głosem, a teraz, jako Leukotea, w głębinach morza doznaje czci boskiej. Ulitowała się nad zbolałym rozbitkiem, wyszła z toni, nurem sfrunęła na tratwę i przemówiła:

— Czemuż to na ciebie, mój biedaku, tak strasznie rozgniewał się ziemią trzęsący Posejdon i tyle ci zła przyczynia? Jednak ciebie nie zniszczy, chociaż bardzo pragnie. Ale teraz tak zrób — nie wydajesz mi się nierozsądnym — te szaty zdejmij i tratwę porzuć, niech wiatry ją niosą — płyń sam, własnymi rękami, żebyś się dostał do ziemi Feaków, gdzie los ci wyznaczył zbawienie. Masz tu boską namiotkę, rozwiń ją pod piersiami i nie bój się odtąd zguby ni cierpienia. A kiedy rękami uchwycisz się ziemi, odwiń ją i rzuć w morze ciemne jak wino, daleko od lądu, a sam odwróć się tyłem.

To powiedziawszy bogini dała namiotkę i z powrotem zapadła w morze spienione do nura podobna — czarna ją fala zakryła.

— O moja dolo! Może znów któryś z nieśmiertelnych przędzie mi podstęp, każąc zejść z tratwy. Nie od razu posłucham, bo jeszcze daleko widzę ziemię, która ma być moją ucieczką. Oto co zrobię i co mi się wydaje najlepsze: póki te drwa trzymają się razem, zostanę tutaj cierpliwie znosząc biedę, a kiedy mi tratwę fala rozniesie, rzucę się wpław, bo nic lepszego nie wymyślę.

Gdy się on tak bił z myślami i sercem, Posejdon ruszył wielką falę i puścił na niego — straszną, ciężką, wysoko sklepioną. Jakby wiatr silny rozrzucił kupę plew i rozmiótł w różne strony, tak morze rozniosło długie bierwiona. Jednego z nich dosiadł Odys, jak ten co pędzi na wierzchowcu. Ściągnął szaty, które mu dała boska Kalipso i pod piersiami rozwinął namiotkę. Głową naprzód rzucił się w morze i ręcę rozłożył do pływania. Widział to Pan co ziemią trzęsie, głową skinął i rzekł swemu sercu:

— Teraz, gdyś tyle się nacierpiał, wędruj sobie po morzu, póki nie wejdziesz między lud dzeusowy. Ale mam nadzieję, że nie będziesz się użalał na zbyt skąpą miarę niedoli.

To rzekłszy zaciął konie pięknogrzywe i ruszył do Ajg, gdzie jest jego sławna siedziba.

Tymczasem Atena, córka Dzeusa, o czym innym pomyślała: wiatrom związała drogę, kazała uciszyć się i lec, zostawiła tylko prędkiego Boreasza i przed Odyssem wygładziła fale, by mógł wejść między Feaków, miłośników wioseł, unikając śmierci i Ker.

Dwie noce i dwa dni rzucały nim wzdęte fale i często zguba zaglądała mu w oczy. Lecz gdy trzeci dzień sprowadziła pięknowłosa Jutrzenka, wicher ustał, morze objęła cisza bezwietrzna. Wtedy, wytężywszy wzrok, ze szczytu wielkiej fali dojrzał on bliską ziemię. Jak dzieciom radosne jawi się życie ojca, który, nawiedzony przez lutego demona, leżał w chorobie wśród srogich bólów niknąc powoli, aż bogowie nagle uwolnili go od cierpień — z taką radością Odys zobaczył ziemię i las, i płynął, żeby jak najprędzej stopą dotknąć lądu.

A kiedy był już na odległość krzyku, posłyszał łoskot morza bijącego o skały. Wielka fala z hukiem straszliwym rzygała na ląd i wszystko przesłaniał tuman piany. Ani zatoki, gdzieby się schronić okrętom, ani przy-

stani — tylko skały sterczące, urwiska i rafy. Wtedy Odyssowi zwątlały kolana i miłe serce, z jękiem do swej wzniosłej duszy przemówił:

— Biada! Oto mi Dzeus dał ujrzeć ziemię niespodziewaną i taki szmat toni przeorać, a tu nie ma jak wyjść poza wrota siwego morza: na zewnątrz ostre rafy, wokół z hukiem kipi fala, sterczy gładka skała, a tuż przy brzegu morze głębokie — niesposób stanąć na nogach i umknąć nieszczęściu. Bałwany gotowe mnie porwać, gdy będę wychodził, i rzucić o twarde głazy: wtedy cały mój trud będzie daremny. A jeślibym płynął dalej wzdłuż wybrzeża i wypatrywał płaskoci albo zatoki, boję się, że mnie burza znów porwie i ciężko jęczącego poniesie na rybne morze, albo mi bóstwo ze słonej topieli naśle potwora, jakich bez liku żywi przesławna Amfitryta. Wiem przecież, jak mnie nienawidzi przesławny Pan co ziemią trzęsie.

Kiedy się tak bił z myślami i sercem, wielka fala poniosła go na skaliste wybrzeże. Skórę by mu zdarło, połamało kości, gdyby bogini jasnooka Atena nie natchnęła go myślą: rzucić się na skałę i chwycić się jej oburącz. Jęczał, ale trzymał się skały, póki fala nie odpłynęła. Tej uniknął, lecz z szumem nadciągnęła druga, uderzyła go, zalała i rzuciła daleko w morze. Jak u polipa, gdy go wyrwać z jamy, zostają na mackach przyssane kamyki, tak na skale została skóra zdarta ze śmiałych dłoni Odyssa. A on sam znikł pod falami.

I byłby tam wbrew przeznaczeniu zginął nieszczęsny Odys, gdyby mu jasnooka Atena nie wróciła przytomności umysłu. Wychynąwszy z fal, które biły o ląd, płynął wzdłuż brzegu, wypatrując, czy gdzieś nie znajdzie płaskoci lub zatoki. Tak dotarł do ujścia rzeki o pięknych zdrojach. To miejsce wydało mu się najlepsze: wolne od skał, zasłonione od wiatru. Rozpoznał rzekę zmierzającą do ujścia i tak modlił się w duszy:

— Usłysz mnie, panie, ktokolwiek jesteś! Uciekam od grozy posejdonowego morza i przychodzę do ciebie, ja, który cię nieraz wzywałem. I dla bogów nieśmiertelnych czcigodny jest rozbitek, który prosi o opiekę. Tak ja dziś do twego strumienia i do twych kolan przypadam, wielce utrudzony. Zmiłuj się, panie, błagalnikiem ci jestem.

Tak mówił, a ów zaraz zatrzymał swój nurt, powściągnął fale, morze przed nim uciszył i wybawił go w ujściu swej rzeki.

Ugięły się pod Odyssem kolana, krzepkie ramiona opadły, albowiem morze złamało w nim serce. Skóra na ciele obrzmiała, woda strumieniem wylewała się z ust i nosa. Bez tchu, bez głosu leżał omdlały pod brzemieniem straszliwego znużenia. Lecz kiedy wrócił mu oddech i serce się w piersiach ocknęło, odwiązał bożą namiotkę i puścił na rzekę płynącą do morza. Uniosła ją z prądem wielka fala, zaś Ino w lot pochwyciła lubymi dłońmi. Wyszedł z rzeki, legł w sitowiu, całował niwę zbożorodną. W zgryzocie przemówił do swego wzniosłego serca:

— Biada! Co jeszcze mam wycierpieć? Co mi się na ostatku przydarzy? Czy w rzece będę spędzał noce na utrapionym czuwaniu, omdlały, aż chłód zjadliwy i rześka rosa zdławią gasnące tchnienie? Od rzeki wieje wczesnym rankiem zimny wiatr. A jeśliby się wspiąć po zboczu aż do ciemnego lasu i lec w gęstych zaroślach, opuści mnie znój i mróz i przyjdzie słodki sen, ale się lękam pójść na łup i pastwę dzikich zwierząt.

To jednak, po namyśle, wydało mu się lepsze. Poszedł w las, który znalazł blisko wody, na wzgórzu. Wślizgnął się w podwójne zarośla dzikiej i szlachetnej oliwki. Zrośnięte razem nie przepuszczały wilgotnych wiatrów, nie docierały tam promienie jasnego słońca, nie przenikał deszcz — taka to była gęstwina.

Odys w nią się zanurzył. Własnymi rękami wymościł sobie łoże szerokie, było tu bowiem bez liku spadłych liści: dwóch albo i trzech mężów miałoby się czym przykryć choćby w najsroższą zimę. Ucieszył się ich obfitością niezłomny boski Odys, zapadł w nie głęboko i cały się nimi zasypał. Jak ów, co mieszka w szczerym polu, bez sąsiadów, nasienie ognia chroni okrywając je czarnym popiołem, żeby go skądinąd nie musiał dobywać, tak Odys okrył się liśćmi. Atena zaś zlała na jego oczy sen i zamknęła powieki, by jak najprędzej uśmierzyć jego bolesne znużenie.

Pieśń szósta: NAUZYKAA

Tam więc spał niezłomny boski Odys, zmożony snem i znojem. Tymczasem Atena szła do kraju i miasta Feaków.

Niegdyś mieszkali oni w przestronnej Hyperei, blisko hardych Kiklopów, którzy ich łupili, górując nad nimi swą siłą. Nauzytoos o boskim wejrzeniu zabrał ich stamtąd i osadził w Scherii, daleko od ludzi ruchliwych. Miasto otoczył wałem, pobudował domy, wzniósł świątynie bogów i rozdzielił pola. Lecz dawno już uległ doli i poszedł do Hadesu, a teraz panował natchniony od bogów Alkinoos.

Właśnie do jego domu zmierzała jasnooka Atena, rozważając w swym wielkim sercu powrót Odyssa.

Weszła do ozdobnej komnaty, gdzie spała dziewczyna, śmigła i piękna jak boginie — Nauzykaa, córka wielkodusznego Alkinoosa. Po obu stronach drzwi spały dwie służące, którym Charyty nie poskąpiły urody. Lśniące podwoje były zamknięte. Jak wiatru powiew Atena przemknęła ku łożu dziewczyny i stanęła u wezgłowia, podobna do jej ukochanej rówieśnicy, córki Dymanta, sławnego ze swoich okrętów. Jej mając postać przemówiła jasnooka Atena:

— Nauzykao, jakąż opieszałą córkę urodziła twoja matka! W zaniedbaniu leżą lśniące szaty, a tu już blisko twój ślub, kiedy i samej trzeba się pięknie ubrać i mieć w pogotowiu stroje dla tych, którzy ciebie odprowadzą do nowego domu. Rośnie stąd sława szlachetna u ludzi, cieszy się ojciec i matka czcigodna. Chodźmy więc prać, skoro zabłyśnie jutrzenka. Pomogę ci chętnie, by się z tym jak najprędzej uporać. Już niedługo będziesz dziewicą, już się o ciebie starają co przedniejsi w kraju Feaków, równi tobie rodem. Jeszcze przed świtem idź i proś ojca, żeby ci kazał dać muły i wóz, na którym powieziesz przepaski, peplosy, lśniące prześcieradła. A i tobie przystoi raczej jechać niż iść pieszo do pralni, które są daleko za miastem.

To rzekłszy jasnooka Atena wróciła na Olimp, gdzie, jak wieść niesie, jest niewzruszona i wieczna siedziba bogów. Ani wiatry nią nie wstrząsają,

ani jej nie zlewają deszcze, ani śnieg się nie zbliży. Rozciąga się tam bezchmurny eter, w górze biegnie biała poświata. Tam każdym dniem cieszą się bogowie szczęśliwi. Tam odeszła Jasnooka po rozmowie z dziewczyną.

Wnet wzeszła na pięknym tronie Jutrzenka i obudziła strojną Nauzykaę. A ona, przejęta swoim snem, pobiegła na pokoje, by obwieścić rodzicom, drogiemu ojcu i matce. Oboje zastała w domu. Matka siedziała przy ognisku i razem z niewiastami służebnymi wiła purpurę na wrzecionach. Ojca spotkała w drzwiach, gdy wychodził na radę przesławnych królów, dokąd wzywali go szlachetni Feakowie. Stanąwszy bardzo blisko, przemówiła do miłego ojca:

— Kochany ojczulku, czybyś nie kazał zaprząc dla mnie wysokiego wozu o mocnych kołach? Trzeba zawieźć do rzeki i wyprać bieliznę — tyle brudów się nazbierało! Przecież i tobie przystoi mieć na ciele czystą odzież, gdy idziesz radzić w radzie książąt — przecież w domu masz pięciu drogich synów, dwóch żonatych, trzech dorastających w boskiej urodzie: zawsze się oni upominają o świeże szaty, ilekroć idą na tańce. A wszystko jest na mojej głowie.

Tak mówiła, wstydząc się przed ojcem wspominać o weselu. Lecz on wszystko zrozumiał i odparł:

— Ani mułów tobie nie odmawiam, dziecino, ani innej rzeczy. Idź, a służba przygotuje wóz o mocnych kołach, wysoki i z latrami.

Po czym wydał rozkazy, a słudzy je spełnili.

Wyprowadzili przed dom wóz o dobrych kołach, muły do niego zaprzęgli, a dziewczyna wyniosła ze skarbca świetlistą odzież i ułożyła na wozie pięknie toczonym. Matka napełniła jej koszyk wszelakim jadłem, przysmakami, nalała wina do koźlego bukłaka, a gdy dziewczyna weszła na wóz, podała jej złote naczyńko z miękką oliwą, by miały się czym namaścić po kąpieli — ona i służące. Nauzykaa chwyciła bicz i cugle błyszczące, smagnęła muły. Ruszyły z hałasem i bez wytchnienia ciągnęły wóz z bielizną i dziewczyną, a za nim szły służące.

Tak przybyły do rzeki o pięknym wód biegu. Były tam zbiorniki, zawsze pełne. Jasna woda płynęła ze skał, było czym zmyć największe brudy. Wyprzągnięto muły i puszczono nad zakręty rzeki, by się pasły słodką jak miód trawą. Z wozu zdjęto szaty i zniesiono do wody bijącej z ciemnych źródeł. Dziewczęta weszły do zbiorników i bieliznę ubijały nogami na wyścigi.

Skoro z niej wypłukały i zmyły wszystek brud, rozłożyły ją rzędem na wybrzeżu, gdzie morze nieraz występuje na ląd i obmywa kamyki. Za czym same się wykąpały i szczodrze natarły oliwą i zasiadły do śniadania na wysokim brzegu rzeki, a tymczasem szatki schły w blasku słońca. Nacieszywszy się jedzeniem, zrzuciły zasłony i bawiły się piłką: białoramienna Nauzykaa prowadziła grę. Jak Artemida łucznica biega po górach, czy to w Tajgecie rozległym, czy w Erymancie, igrając wśród dzików i rączych jeleni, a przy niej skaczą nimfy polne, córki Dzeusa egidodzierżcy, raduje się sercem Leto na widok córki o głowę przewyższającej towarzyszki — łatwo ją poznać, choć wszystkie są piękne — tak wśród dworek wyróżniała się ta nieznająca więzów panna.

A kiedy już pora była jechać z powrotem do domu, zaprzęgać muły i składać bieliznę, wtedy jasnooka Atena pomyślała, by Odys się zbudził i zobaczył piękną dziewczynę, która go zaprowadzi do miasta Feaków. Właśnie królewna rzuciła piłkę do jednej z dworek, chybiła i piłka wpadła do rzeki — dziewczęta głośno krzyknęły. Zbudził się boski Odys, usiadł. Poruszyły się myśli i serce:

— Biada! Do jakiego znów ludu przybyłem? Czy żyje tu plemię zuchwałe, dzikie i niesprawiedliwe, czy gościnne i bogobojne? Jakby mnie doleciał niewieści krzyk dziewcząt, może nimf, mieszkających na szczytach gór i w źródłach rzek i na zielonych łąkach? Czy są tu gdzieś ludzie mówiący zrozumiałym językiem? Sam się przekonam i zobaczę.

To mówiąc wynurzył się z zarośli boski Odys. Silną dłonią urwał gałąź liściastą, by zakryć męski srom swojego ciała. Jak lew, syn gór, ufny w swą moc, idzie w deszcz i wiatr, a ślepia mu płoną, idzie na woły i owce i leśne jelenie, gotów za głosem brzucha zapuścić się aż do obronnej zagrody, tak Odys, wiedziony koniecznością, zbliżał się do dziewcząt o pięknych warkoczach, nie bacząc, że jest nagi.

Straszny im się wydał, zżarty słonym morzem. W popłochu rozpierzchły się aż po krańce wybrzeża. Tylko córka Alkinoosa została, gdyż Atena wlała w jej serce odwagę i kolanom odjęła lęk. Stała naprzeciw idącego, a on wahał się, czy ma podjąć pięknolicą dziewczynę za kolana czy tylko z daleka uprzejmie prosić, by go przyodziała i wskazała drogę do miasta. Po namyśle wydało mu się lepsze z daleka prosić gładkimi słowami — bał się rozgniewać dziewczynę, gdyby ją podjął za kolana. I powiedział taką oto gładką i roztropną rzecz:

— Do kolan tobie się chylę, pani, czy boginią jesteś czy śmiertelną. Jeśliś jest z bogów, co władają niebem przestronnym, najbliżej wydajesz mi się podobna Artemidzie, córce wielkiego Dzeusa, z urody, wzrostu, postawy — jeśli zaś jesteś z ludzi mieszkających na ziemi, trzykroć szczęśliwi twój ojciec i czcigodna matka, trzykroć szczęśliwi bracia! Zawsze im serca radością rozgrzewasz, gdy widzą, jak ich latorośl idzie w tan. Lecz z całej duszy najszczęśliwszy ten, kto cię wprowadzi do swojego domu, gdy jego wiano przeważy. Nigdy moje oczy nie widziały takiej urody wśród śmiertelnych ani u męża, ani u niewiasty — zbożny lęk przejmuje, gdy patrzę. Widziałem kiedyś na Delos, przy ołtarzu Apollona, młodą palmę wysokopienną — bo i tam zawędrowałem, a szły za mną wielkie tłumy i było to w drodze, na której miały mnie spotkać srogie niedole. Podobnie jak na owo drzewo patrzyłem długo w zdumieniu, albowiem nigdy jeszcze takie z ziemi nie wyrosło, tak ciebie, niewiasto, podziwiam całą duszą i lękam się podjąć za kolana. Ciężkie zmartwienie mnie trapi. Wczoraj, po dwudziestu dniach, wyrwałem się morzu ciemnemu jak wino, a przez cały ten czas niosła mnie fala i nawałnica od wyspy Ogigii. Teraz rzuciło mnie tutaj bóstwo, może znów na jakąś niedolę, bo nie sądzę, żeby to już był koniec: z pewnością jeszcze niejedno bogowie mają w zanadrzu. Lecz ulituj się, pani! Do ciebie pierwszej przychodzę po tylu mozołach, nie znam nikogo z ludzi, co zamieszkują to miasto i ten kraj. Pokaż mi gród, daj łachman jaki, bym się przyodział — może idąc tutaj wzięłaś zbędne zawijadło. Niechaj bogowie dadzą ci wszyst-

ko, czego w sercu zapragniesz: męża i dom i zgodność uczuć doskonałą. Albowiem nie masz nic lepszego ani bardziej cennego nad dom, w którym mąż i żona są we wszystkim jednej myśli — wielka zgryzota dla zazdrośników, dla życzliwych radość, a dla nich samych szczęście największe.

Odpowiedziała mu białoramienna Nauzykaa:

— Gościu, nie wyglądasz na złego ani głupiego człowieka, wiesz zatem, że szczęście sam Dzeus Olimpijski ludziom rozdziela, zarówno dobrym jak złym, każdemu wedle swej woli. To, co dał tobie, trzeba znosić — mimo wszystko. A teraz przybywasz do naszego miasta i kraju. Nie zabraknie tobie u nas odzienia ani innych rzeczy, jakie godzi się dać temu, co wiele doświadczył i zastąpił nam drogę swą prośbą. Gród pokażę i powiem nazwę ludu. Feakowie posiadają to miasto i tę ziemię, ja zaś jestem córką wielkodusznego Alkinoosa, w którego ręku siła i moc Feaków.

Po czym zawołała do sług o pięknych warkoczach:

— Stójcie, dziewczęta! Dokąd uciekacie na widok człowieka? Czyżby wam się wydał wrogiem? Jeszcze się nie urodził ani nigdy nie urodzi taki śmiałek, który by wtargnął do ziemi Feaków niosąc postrach — zbyt drodzy jesteśmy bogom. Mieszkamy z dala, pośród szumnego morza, ostatni, nikt z ludzi do nas nie zagląda. Lecz ten biedak aż tutaj zabłądził i trzeba się nim zająć, bo każdy gość i żebrak przychodzi od Dzeusa. Mały dar, wielka radość! Hej, dziewczęta, nakarmić i napoić gościa, obmyć go w rzece, tam gdzie nie ma wiatru.

Tak rzekła, one zaś stanęły i zaczęły się nawoływać. Po czym zaprowadziły Odyssa w miejsce osłonięte, jak kazała Nauzykaa, córka wielkodusznego Alkinoosa. I złożyły obok faros i chiton, aby się ubrał, w złotym lekytosie przyniosły miękkiej oliwy i miały go już prowadzić do kąpieli w rzecznych zdrojach, gdy tak się do nich odezwał boski Odys:

— Stańcie sobie z daleka, dziewczęta. Sam obmyję swój grzbiet z morskiego szlamu, a potem natrę się oliwą, która długo obca była mojemu ciału. Nie będę się mył przy was, wstyd obnażać się wobec panien o pięknych warkoczach.

Rzekł, one zaś odeszły i powiedziały o tym Nauzykai.

Boski Odys czerpiąc z rzeki obmywał ciało z osadu soli morskiej, który mu pokrywał grzbiet i barki szerokie, głowę wycierał z piany niespokojnego morza. Gdy się cały wykąpał i tłusto namaścił oliwą, włożył szaty, jakie mu dała wolna od ślubów dziewica. Wtedy Atena z Dzeusa zrodzona, sprawiła, że wydawał się większy i tęższy, z głowy spływały bujne włosy, podobne kwiatom hiacyntu. Jak kiedy człowiek biegły we wszelkich kunsztach, uczeń Hefajstosa i Pallas Ateny, urocze dzieło tworzy oblewając srebro złotem, tak ona rozlała wdzięk na jego głowę i ramiona.

Odszedł nieco dalej i usiadł nad brzegiem morza, promienny urodą i czarem. Panna nie mogła się napatrzeć. Nareszcie rzekła do dworek o pięknych warkoczach:

— Posłuchajcie służki białoramienne, coś wam powiem. Nie bez woli wszystkich bogów, jacy mieszkają na Olimpie, ten mąż zawędrował do boskich Feaków. Wpierw bowiem wydał mi się szpetny, a teraz bogom niebieskim podobny. Gdybym takiego w naszej ziemi mogła nazwać małżon-

kiem albo gdyby jemu spodobało się tu pozostać... Ale dajcie jeść i pić naszemu gościowi, dziewczęta!

Posłuszne jej słowom ustawiły przed Odyssem jadło i napój. Chciwie zaiste jadł i pił niezłomny boski Odys, albowiem od dawna nie miał nic w ustach. Tymczasem białoramienna Nauzykaa zajęła się czym innym: bieliznę zbiera i składa na pięknym wozie, zaprzęga muły o twardych kopytach, a gdy sama wchodzi na wóz, z takim słowem zwraca się do Odyssa:

— Teraz wstań gościu, pora iść do miasta, bym cię wprowadziła w dom mojego ojca. Tam, wierz mi, poznasz najlepszych spośród Feaków. Lecz tak masz postąpić — jak człowiek rozsądny, za którego cię uważam: Dopóki iść będziemy przez wiejskie pustkowia i pola uprawne, idź żwawo razem z moją służbą za mułami i wozem: ja wskazywać będę drogę, dopóki nie znajdziemy się nad miastem. Otacza je wysoki mur z wieżami, a z obu stron są dwie przystanie, oddzielone wąskim przesmykiem — tam równo płynące okręty wciąga się na ląd, albowiem każdy u nas ma własne nadbrzeże. Tam na pięknym placu Posejdona jest agora, gdzie w głazach przywiezionych z gór wykuto siedzenia, a dookoła warsztaty, w których wygładza się wiosła i wyrabia osprzęt dla czarnych okrętów, liny i żagle. Feakowie nie dbają o łuki ani o kołczany, tylko o maszty i o wiosła i o statki foremne, na których wesoło prują siwe morze. Lecz sporo jest zuchwalców w naszym narodzie, muszę się strzec ostrych języków, żeby ktoś za moimi plecami nie szydził, żeby jakiś niecnota spotkawszy nas razem nie powiedział: „Jakiż to urodziwy i rosły młodzieniec idzie za Nauzykaą? Gdzie go znalazła? Może będzie jej mężem? Pewnie rozbitek, którego sobie zabrała ze statku ludzi dalekich, wszak sąsiadów nie mamy — albo jakiś upragniony bóg zstąpił z nieba na jej prośby i weźmie ją na wieki. Lepiej dla niej, że sobie wychodziła i znalazła męża gdzie indziej, boć za nic ma naszych Feaków, z których tylu szlachetnych o nią się stara". Tak by mówili, a mnie byłoby wstyd. Ja bym się oburzała, gdyby inna tak postąpiła — gdyby wbrew woli drogich rodziców zadawała się z mężczyznami, zanim przyjdzie do jawnego ślubu. Zważ, gościu, bystro moje słowo, byś jak najprędzej zyskał u mojego ojca powrót do domu. Blisko drogi znajdziemy lasek topolowy, poświęcony Atenie. Płynie w nim źródło, wokół jest łąka, tam ojciec mój ma kwitnącą winnicę, a od niej miasto jest na odległość krzyku. Usiądź tam i czekaj, póki my nie dojedziemy do grodu i ojcowskiego domu. Skoro będziesz mógł się spodziewać, że już jesteśmy u siebie, idź do miasta Feaków i pytaj o dom wielkodusznego Alkinoosa, mojego ojca. Łatwo go poznać, nawet małe dziecko cię zaprowadzi, żaden z feackich domów nie może się z nim równać. Gdy się tylko znajdziesz we dworze i w samej sieni, bardzo prędko przejdź megaron, prosto do mojej matki. Siedzi ona przy ognisku, oparta o kolumnę i w blasku ognia przędzie purpurową kądziel — cud dla oczu! Za nią siedzą jej dworki. Przy tym samym słupie stoi tron ojca: siedzi on i wino popija, rzekłbyś bóg nieśmiertelny. Ominąwszy go obejmij rękami kolana naszej matki, byś mógł z radością i prędko oglądać dzień powrotu, jeśli nawet z bardzo daleka przybywasz. Skoro w jej sercu znajdziesz życzliwość, ufaj, że wnet zobaczysz drogie ci osoby, że wejdziesz do ziemi ojczystej i pod wysoki strop swojego domu.

To rzekłszy smagnęła muły błyszczącym biczem, one zaś prędko opuściły kotlinę nadrzeczną. Raz kłusem, raz stępa prowadziła je Nauzykaa, roztropnie używając bicza, by służące z Odyssem mogły nadążyć. Słońce zachodziło, gdy doszli do sławnego gaju Ateny. Tam Odys usiadł i modlił się do córki wielkiego Dzeusa:

— Usłysz mnie, dziecię Egidodzierżcy, Niepokonana! — teraz przynajmniej, skoroś przedtem nie wysłuchała rozbitka, gdy mnie pogrążył przesławny Pan co ziemią wstrząsa. Daj mi przyjść do Feaków pod osłoną przyjaźni i litości.

Usłyszała modlitwę Pallas Atena, lecz nie ukazała mu się jawnie z obawy przed stryjem, którego zawzięty gniew szedł za boskim Odyssem, póki ów nie wrócił na ziemię ojczystą.

przełożył **Jan Parandowski**

Od tłumacza

W każdej literaturze niemal co pokolenie pojawiają się nowe przekłady Homera. Poprzednie odchodzą albo do lamusa, albo między czcigodne zabytki, omijane z respektem. Sława niektórych trwa bez przerwy, np. Pope'a w Anglii, Vossa w Niemczech, u nas fragment przetłumaczony przez Kochanowskiego zawsze budzi żal, że nie dał nam on całej Iliady. Lecz nawet owe najbardziej podziwiane prace nie odstręczają nowych tłumaczów, którzy mają ambicję wprowadzić Homera w język i styl swoich czasów.

Ta jednak ambicja bywa nieraz dziwnie pokrzyżowana przez zamiłowanie do archaizacji. Jest to zjawisko natrętne i niełatwe do objaśnienia. Wydawałoby się na pozór prostą niedorzecznością, gdy poeta współczesny, z pomocą słowników, starych tekstów i gramatyki historycznej, w ciężkim znoju, usiłuje stworzyć język archaiczny, wpadając po drodze w tysiączne pułapki, i nie wiadomo: czy chce wyręczyć któryś z ubiegłych wieków, jeśli nie było w nim przekładu Homera, czy zaćmić któregoś z dawnych poetów, mających jednak tę przewagę, że oni swój język znali naprawdę, bez naukowej pomocy.

Oczywiście, nie da się uzasadnić archaizacji powoływaniem się na dawność tłumaczonego utworu, bo fakt że Homer jest od nas oddalony o blisko trzy tysiące lat nie znaczy, że jego język był tak skąpy i nieporadny, iżby należało go przyodziać w samodziały pierwocin naszego języka literackiego. Język Homera jest bogaty, rozwinięty, o długiej tradycji poetyckiej, której nie znamy, ale którą odczuwamy w każdym heksametrze. Był to język *par excellence* poetycki, złożony z różnych elementów dialektycznych, o skomplikowanej gramatyce, podlegającej prawom wiersza epickiego; kto by jednak chciał stworzyć w swoim języku podobną mozaikę form i wyrazów, stworzyłby dziwactwo, ode-

rwane od obyczaju językowego swojego narodu. Niestety, takie próby istnieją i straszą w naszej literaturze. Są podwójną klęską: jako dzieło literackie i jako przekład — tej zwłaszcza roli nie mogą spełnić, bo zniecierpliwią czytelnika wcześniej, zanim zdążą zapoznać go z Homerem.

Istnieje u nas niezłomne przekonanie, że wiersz wypada tłumaczyć wierszem. Jeśli idzie o Homera, wszyscy, którzy się do niego zabierali, mieli tylko jedną wątpliwość: czy zachować heksametr czy oddać go rymowanym trzynastozgłoskowcem, który jest naszym wierszem epickim. I szlakiem prawdziwych poetów dosiadali Pegaza poczciwi filolodzy, którzy ze skromności odmawiali sobie rymów, ale za to w pocie czoła kuli heksametry, twarde i ciężkie. Heksametr jest nam obcy, jak zresztą każda inna miara antyczna, oparta na iloczasie. Nie znamy krótkich i długich zgłosek, nawet nie umiemy ich sobie jasno wyobrazić. Zastępujemy je akcentem, który nawet w przybliżeniu nie ma tej samej wartości rytmu i melodii. Powieść Wajdeloty należy do dziwów kunsztu poetyckiego, ale nie może ona usprawiedliwić tych wszystkich heksametrów, w których mumifikowano Homera. I co dziwniejsza, heksametr nie dawał nawet tego, co chyba powinien był zapewnić — swobody i wierności.

Jeszcze twardsze więzy tekstowi homeryckiemu nakładały rymy, dla których poświęcało się zwroty, całe zdania, często sens, a obrazy i metafory ulegały zniekształceniu. Siemieńskiemu nie brak lekkości, a nawet wdzięku, bywał też najchętniej czytany i z niego są najczęściej brane cytaty z tą na czele, którą słyszymy w Quo vadis z ust Ligii i Petroniusza. Ale jak nieswojo kroczy ten Homer siemieński, gdy wybuchają mu pod stopami takie wyrazy, jak „prażnik", „mołojce", „feackie bojary", gdy wciąż podrywa się niezamierzoną figlarność w rodzaju: „Wtem Atenę już inne myśli podleciały". Takich skocznych zwrotów jest dość wiele, by naruszyć powagę epopei. Oczywiście, Siemieński miał dość smaku i taktu, by nie posunąć się tak daleko, jak Czubek w swej siermiężnej Iliadzie, w której Homer człapie w łapciach z łyka szytych, nie mówiąc już o tak wyrafinowanym curiosum, jak fragment Iliady, tłumaczony na gwarę góralską i to oktawą!

Nie studiowałem przekładów Homera, to, co o nich mówię, stanowią wrażenia z dorywczej lektury, gdyż obcowanie z samym Homerem jest dla mnie taką radością, że nie lubię, by mi w tym ktoś przeszkadzał. Zajrzałem ostatnio do dwóch: jeden to francuski Bérarda, drugi angielski nie znanego mi bliżej Rieu. Bérard był uczonym i wielkim autorytetem we wszystkich sprawach dotyczących Odysei, której poświęcił pół wieku. I jego przekład ma niewątpliwie duże zalety, ale oto wada, rzucająca się w oczy od pierwszego wejrzenia: każda stronica roi się od wykrzykników i wielokropków, jak pamiętnik pensjonarki. Dziesięć razy trzeba się namyślić, zanim się postawi u Homera wykrzyknik, i zazwyczaj w ponownym czytaniu ma się ochotę go skreślić. Co do wielokropka, zaledwie dwa czy trzy razy odczułem jego potrzebę, i to w wyznaniach kobiet. Tu nie idzie o obraz graficzny: stosowanie tych środków

interpunkcji, wyrażających podniecenie lub niezdecydowanie, wypacza sam styl eposu — poważny, spokojny, opanowany i męski.

Rieu jeszcze krócej gościł w moich rękach. Przełożył on Odyseję prozą jak najbardziej dzisiejszą, taką, jaka byłaby stosowna dla popularnego wydawnictwa *Penguin*, gdzie się ten przekład ukazał. Chcąc odjąć czytelnikowi jak najwięcej trudu, tłumacz ostro się rozprawił z homeryckimi epitetami, z powtarzającymi się zwrotami, i gdy miał przed sobą zaraz na początku I pieśni ulubione wyrażenie Homera: „Moje dziecko, jakież to słowo wymknęło się tobie poza zagrodę zębów", napisał poprostu: „*Nonsense, my child!*" Odwróciwszy kilka kartek, trafiłem na przemowę Antinoosa, zaczynającą się od słów: „*What rhetoric, Telemachus!*" Już wiedziałem, gdzie jestem — przypomniał się ów film amerykański, w którym Kleopatra woła: „*Hullo, Caesar!*"

Przyznaję, że i mnie ta „zagroda zębów" przyczyniła trochę zmartwienia. Zgrzyta ona w polskim języku nie gorzej niż w greckim *herkos odonton*, lecz niepodobna się jej wykręcić „swoimi słowami". Należy ona organicznie do stylu homeryckiego, jak i owe „*epitheta ornantia*", które gorszą ucho nowożytne, przyzwyczajone do przymiotników, uwarunkowanych sytuacją, charakterem postaci, do której się odnoszą, lub rzeczy, którą mają określać. Homer zupełnie się na to nie oglądał. Nie tylko za każdym razem obwieszał ludzi i przedmioty szlachetnymi przydawkami, ale z niewzruszonym spokojem nazywa Ajgistosa „nieskazitelny", a w następnym wierszu mówi o jego podłości i zbrodni, tak samo, jak szaty, które Nauzykaa wiezie do prania są zawsze „lśniące".

Przy innej sposobności pomówię obszerniej o tej osobliwości stylu homeryckiego, tu idzie mi tylko o podkreślenie, że przekład nie może jej ani ominąć, ani zatuszować. Homera musimy przyjąć i poznać w całej jego odrębności i pogodzić się z tym, że ten stary wielki poeta był obojętny dla naszych gustów i grymasów. Nie inaczej da się odczuć jego niezwykłość i jego nieustającą aktualność w wyrażaniu człowieka i spraw ludzkich, jak w wiernym oddaniu jego zwrotów, metafor, obrazów. Ta wierność jest zarazem najmocniejszym uzasadnieniem przekładu prozą.

Dążenie do wierności otrzymuje swą nagrodę w mnóstwie drobnych a cennych upominków, którymi się odwdzięczają te heksametry, okradane w wierszowanych przekładach. Dzieje się tu po trosze tak, jak przy odnawianiu ołtarza Wita Stwosza: wiele barwnych i uroczych szczegółów, które znikły w późniejszym zamalowaniu, odsłoniły się ku naszemu zdumieniu — tu karminowy kapelusik, tam złoty kubek, a w tle bogata flora. Takie drobiazgi, a często i rzeczy bardzo ważne — znamienne rysy psychologiczne, obyczaj, wycieniowanie sytuacji, nieraz cały układ sceny — co chwila wychodzą na jaw w tej robocie, mającej na celu odtworzenie starego poematu w nieuszczuplonym majątku i w szerokim toku opowieści.

Gdy z inicjatywy „Czytelnika" podjąłem przed dwoma laty pracę nad Odyseją, która dziś jest na ukończeniu, nie oczekiwałem w tym

utworze niespodzianek. Łączy mnie z nim bowiem czterdziestoletnia zażyłość. Nawiązana w latach gimnazjalnych, miała oczywiście swoje przerwy, okresy niewierności, nieraz długie, ale wydaje mi się, że niewiele byłoby miesięcy, w których bym ani razu nie zajrzał do Homera. Czasem, wśród zupełnie innych prac, jak najbardziej od niego myślą daleki, podchodziłem instynktownie do półki, na której stał, i bodaj na chwilę przykładałem ucho do tej muszli szumiącej głosem dawnych mórz i serc. A jednak dziś widzę z radością, że całe to moje tyloletnie czytanie było mało warte w porównaniu z dzisiejszą wędrówką wśród miąższu i tkanek Odysei.

Jan Parandowski

B. BURSOW

Bieliński o realizmie Gogola

I

Bieliński wyrażając poglądy na literaturę rosyjską stawiał Gogola obok Puszkina. Puszkin był twórcą realizmu rosyjskiego, pisarstwo Gogola natomiast było następnym szczeblem jego rozwoju. Gogol był bezpośrednim spadkobiercą Puszkina.

Dając charakterystykę Gogola Bieliński zupełnie wyraźnie wskazuje na bliskość treści ideowej utworów Gogola jego własnym pozycjom ideologicznym. Tak na przykład w artykule z r. 1845 pt. *Siewiernaja pczeła* jako rzeczniczka prawdy i czystości języka rosyjskiego, dając odprawę Bułharynowi, który zaatakował zbiór pt. Fizjologia Petersburga, Bieliński pisał, że Gogol jako poeta „skierował na nowe tory literaturę rosyjską" i że *Otieczestwiennyje zapiski* przez swoją krytykę kierunek ten rozwijały teoretycznie i podtrzymywały.

Trudno o wyraźniejszą wypowiedź: Bieliński rozpatruje swoje artykuły krytyczne jako utwory, które uzasadniały teoretycznie i broniły zasad twórczych Gogola. Pomiędzy Bielińskim a Gogolem istniała w tym sensie bezpośrednia bliskość ideowa, o której wspominał Lenin w artykule pt. Jeszcze jedna krucjata przeciw socjaldemokracji. Wyjaśniając uwagę, jaką miałoby wypuszczenie i danie masom demokratycznej ideologicznie i dostępnej ze względu na cenę książki, Lenin pisał, że „...ideami Bielińskiego i Gogola, które czyniły tych pisarzy drogimi Niekrasowowi — jak i każdemu uczciwemu człowiekowi na Rusi — była przesiąknięta na wskroś ta nowa literatura straganowa..." (t. 18 str. 286).

Dla Bielińskiego zarówno pisarstwo Gogola jak i Puszkina jest następstwem rozwoju całej poprzedzającej ich literatury rosyjskiej, a zarazem najgłębszym odzewem na wymogi historyczne swoich czasów.

Wykazując, że Gogol nie pojawił się przypadkowo, Bieliński zatrzymuje się na momentach przełomowych rozwoju literatury rosyjskiej, poczynając od Kantemira. Literatura rosyjska, jak pisze Bieliński, „zaczęła się od naturalizmu: pierwszym pisarzem świeckim był satyryk Kantemir*). Ale jeżeli „w osobie Kantemira poezja rosyjska ujawniła dążenie do rzeczywistości, do życia takiego, jakie jest naprawdę" to „w osobie Łomonosowa ujawniła ona dążenia do ideału..."**) Bieliński twierdzi, że „oba te kierunki miały rację bytu..." „Z biegiem czasu coraz częściej zespalały się one w jeden potok, później znów rozchodziły się aż do naszych czasów, kiedy to utworzyły jedna całość".***)

Oba kierunki miały rację bytu dlatego, że prawdziwą, wielką literaturę cechuje zarówno wierność w odtwarzaniu rzeczywistości jak i utworzeniu ideału, wyrażającego najlepsze dążenie narodu.

Już u Dzierżawina, który był talentem niepospolitym, oba te kierunki często zlewały się, dlatego też ody Do Felicy, Do Wielmoży, Na szczęście — to chyba najlepsze jego utwory, w każdym razie więcej w nich niewątpliwie cech oryginalnych rosyjskich niż w jego odach uroczystych.****).

*) W. G. Bieliński t. XI. str. 84.
**) tamże str. 85.
***) Ibid.
****) Ibid.

Bieliński uważał Dzierżawina za jednego z najwybitniejszych poprzedników Puszkina. W poezji Dzierżawina, jak twierdził Bieliński, istniały już w zarodku elementy realizmu. Warunki historyczne epoki Dzierżawina nie pozwoliły mu rozwinąć tych elementów w system realizmu.

Wielką szkodę poezji Dzierżawina wyrządzała okoliczność, że poeta był jeszcze ściśle związany ze starymi pojęciami estetycznymi, które odrywały sztukę od rzeczywistości, przeciwstawiały życie ideałowi.

Wyzwolenie się ze starego systemu pojęć o sztuce i jej posłannictwie było jednym z najważniejszych warunków pomyślnego rozwoju literatury rosyjskiej. Fonwizin i Kryłow poszli w tym kierunku znacznie dalej niż Dzierżawin. Bieliński zalicza ich do tego nurtu w literaturze rosyjskiej, który rozpoczyna Kantemir.

Kantemir, jako satyryk, dążąc do ścisłego odzwierciedlenia rzeczywistości rosyjskiej, czasami wpadał w przesadę, karykaturował fakty realnego życia — Fonwizinowi natomiast niemal całkowicie udaje się tego wyzbyć. W jego utworach satyra „staje się bardziej naturalna w miarę tego, jak staje się bardziej poetycka"*). Jeszcze większy sukces osiąga Kryłow. „W baśniach Kryłowa satyra jest w pełni artystyczna; naturalizm staje się charakterystycznym rysem, właściwym jego poezji. Był to pierwszy wielki naturalista w naszej poezji".**)

Od Kantemira i Łomonosowa aż do Puszkina rosyjska literatura walczyła o stworzenie zasad twórczego odzwierciedlania rzeczywistości, w którym nie byłoby ani niewolniczego trzymania się faktów rzeczywistego życia, jak to niekiedy miało miejsce w utworach Kantemira, ani przejęcia się abstrakcyjnymi ideałami, jak to czasami dawało się zaobserwować w poezji Łomonosowa. W twórczości Puszkina „zlały się w jeden szeroki potok płynące dotychczas oddzielnie oba nurty poezji rosyjskiej. Ucho rosyjskie usłyszało w jej złożonym akordzie również dźwięki ojczyste". Mimo że pierwsze poematy Puszkina mają przeważnie charakter wyidealizowany i liryczny, zawierają jednak elementy prawdziwego życia, o czym świadczy wprawiająca w owym czasie wszystkich w zdumienie śmiałość, za jaką uważano powszechnie wprowadzenie do poematu nie klasycznych — włoskich czy też hiszpańskich — lecz rosyjskich rozbójników, nie z kindżałami i pistoletami, ale z szerokimi nożami i ciężkimi kiścieniami, Puszkin zmusił przy tym jednego z nich do majaczenia w gorączce o knucie i groźnych katach. Obóz cygański z połatanymi namiotami w kręgu wozów, z tańczącym niedźwiedziem i nagimi dziećmi w koszykach zawieszonych na grzbietach osłów był także niespotykaną dotąd scenerią dla krwawego, tragicznego wydarzenia. W Eugeniuszu Onieginie natomiast ideały jeszcze bardziej ustąpiły miejsca rzeczywistości albo, przynajmniej, oba te elementy do tego stopnia zlały się w coś nowego, pośredniego, że poemat ten powinien słusznie być uważany za utwór dający początek poezji współczesnej." *)

Puszkin pierwszy w literaturze rosyjskiej ukazał z całą głębią i złożonością dialektykę wzajemnych stosunków człowieka z otaczającą go rzeczywistością. Skutkiem tego w utworach Puszkina zostali przedstawieni i realni ludzie i realne warunki życia. Puszkin odkrył metodę, pozwalającą na przedstawianie człowieka jako wy-

*) Ibid.
**) W. G. Bieliński, t. XI, str. 86.

*) Ibid str. 96.

tworu określonego środowiska socjalno-historycznego, które podporządkowuje go sobie, a zarazem w określonych warunkach może zwrócić go przeciwko sobie.

Rozwijając tradycje Puszkina jako poety prawdziwego życia, Gogol w swoich utworach wysunął na jedno z pierwszych miejsc temat powszedniej rzeczywistości. Temat ten, jak to niejednokrotnie zaznaczał Bieliński, został wprowadzony do literatury rosyjskiej na długi czas przed Puszkinem. Dla Gogola stał się on jednym z tematów naczelnych.

Wszystko to świadczyło o nowym rozszerzeniu i pogłębieniu realizmu literatury rosyjskiej, o wzmocnieniu jej negatywnego stosunku do otaczającej rzeczywistości. Elementy realizmu krytycznego dojrzewały i rozwijały się w literaturze rosyjskiej na przestrzeni całego wieku XVIII. Od demaskowania poszczególnych właściwości i stron ustroju pańszczyźnianego literatura przechodziła do demaskowania i negacji całego ustroju.

Jednocześnie Gogol, wzorując się na Puszkinie, zwrócił się ku przedstawianiu zwykłych przeciętnych ludzi, a tym samym także wzmacniał i rozwijał zasady realizmu w literaturze.

Jak pisze Bieliński, literatura rosyjska zawsze dążyła do tego, aby być narodową i samodzielną, ale „u żadnego rosyjskiego pisarza dążenie to nie zostało uwieńczone takim powodzeniem jak u Gogola. Mogło to się stać tylko dzięki całkowitemu zwróceniu się sztuki ku rzeczywistości... W tym celu trzeba było zwrócić całą uwagę na tłum, na masę, przedstawiać ludzi zwykłych, a nie tylko przyjemne wyjątki z ogólnej reguły, które zawsze kuszą poetów, skłaniając ich do idealizacji.*)

*) W. G. Bieliński t. XI, str. 89.

II

Bieliński nazywa Gogola „poetą spraw społecznych". I rzeczywiście, naczelnymi zagadnieniami największych utworów Gogola były zagadnienia losów Rosji i narodu rosyjskiego. Nie jest rzeczą przypadku, że wokół twórczości Gogola toczyła się na przestrzeni dziesiątków lat zacięta walka literacko-polityczna pomiędzy obozem demokracji i obozem reakcji. Reakcyjna krytyka oszczerczo oskarżała Gogola o to, że szkalował Rosję i naród rosyjski, ukazując w swych utworach tylko nędzne kreatury i łotrów. Bieliński doszedł do głębokiej interpretacji twórczości Gogola w walce z reakcyjnymi krytykami, którą prowadził na przestrzeni wielu lat. Bieliński wykazywał, że w postaciach bohaterów Gogola, których Bułharyn, Grecz i im podobni nazywali nędznymi kreaturami i łotrami, z potężną siłą uogólnione zostały charakterystyczne rysy pańszczyźnianej rzeczywistości oraz, że istotne zadanie prawdziwie narodowego artysty polega właśnie na tym, aby odkrywać w swych utworach charakterystyczne rysy swojej epoki.

Broniąc prawa Gogola do ukazywania nędznej rzeczywistości, Bieliński jednocześnie zwraca uwagę na to, że w utworach Gogola obok postaci komicznych spotykać można i głęboko tragiczne jak na przykład Taras Bulba.

Pojęcie tragizmu analizował Bieliński na przestrzeni wielu lat, pojęcie to rozwijało się i wzbogacało w jego estetyce. Jednakże przy tym wszystkim ogólny sens tego pojęcia pozostawał w zasadzie niezmieniony. Postacią tragiczną była dla Bielińskiego zawsze taka postać, która znajdowała się w konflikcie z negatywną rzeczywistością i uosobiała rzeczywistość pozytywną. Bieliński tak właśnie traktuje postać Tarasa Bulby: „podnosicie się na du-

chu i oddajecie się głębokim i poważnym rozmyślaniom czytając Tarasa Bulbę; śmiejecie się i chichoczecie czytając zabawną Opowieść o tym jak pokłócił się Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem; co jest powodem tak krańcowo przeciwstawnego wrażenia, jakie wywołują dwa utwory jednego i tego samego artysty? — Istota rzeczywistości, odzwierciedlonej w jednym i drugim utworze, a także to, że pierwszy ukazuje dodatnią stronę życia, a drugi — jego zaprzeczenie"*). I dalej: „Istota życia każdego narodu jest wielką rzeczywistością: — w Tarasie Bulbie istota owa znalazła swój najpełniejszy wyraz".**)

Reakcyjna krytyka i publicystyka, oskarżając Gogola o to, że wszyscy jego bohaterowie są łotrami i nędznymi kreaturami, usiłowały obwołać go pisarzem bezideowym. Postać Tarasa Bulby obalała to oszczercze twierdzenie. Bulba nie należał do liczby nędznych kreatur. Sylwetka Tarasa, jak to wykazał Bieliński, przekreśla całkowicie tę ohydną rzeczywistość, w której Bułharyn i jemu podobni usiłowali znaleźć osoby szlachetne.

Jednakże nawet sylwetki najbardziej nikczemnych ludzi w utworach Gogola posiadają nie mniejszą niż postać Tarasa Bulby siłę przeciwstawiania się nędznej rzeczywistości. Nędznych bohaterów Gogola dzieli Bieliński na dwie grupy, wychodząc z założenia, że jedni z nich zachowali w sobie pewne cechy ludzkie, inni natomiast zupełnie je utracili.

Do pierwszej grupy krytyk zaliczał zawsze bohaterów opowiadania Staroświeccy ziemianie. O Afanasim Iwanowiczu i Pulcherii Iwanownie Bieliński mówi, że te „dwie ludzkie karykatury przez kilkadziesiąt lat piją i jedzą, jedzą i piją, a później, jak to się dzieje z dawien dawna, umierają... Widzimy całą trywialność, całą obrzydliwość tego zwierzęcego, potwornego, karykaturalnego życia..."*) A jednak mimo to bohaterowie opowiadań nie wywołują w czytelniku nienawiści i gniewu. „Wręcz przeciwnie — podkreśla Bieliński — przywiązujemy się do postaci opowieści, śmiejemy się z nich, lecz bez złośliwości, a potem łkamy wraz z Filemonem nad jego Baucis, współczujemy z jego głębokim, nieziemskim nieszczęściem i gniewamy się na łotra-spadkobiercę, który roztrwonił mienie dwojga prostaczków!"

Dlaczego tak się dzieje?

„Dlatego, że to wszystko jest bardzo proste, a zatem bardzo prawdziwe; dlatego, że autor odnalazł poezję nawet w tym nędznym i bezsensownym życiu, znalazł ludzkie uczucie, poruszające i ożywiające jego bohaterów...*) (podkreślenia moje — B. B.).

Afanasij Iwanowicz i Pulcheria Iwanowna wywołują współczucie dlatego, że są ludźmi dobrymi, „niezdolnymi do żadnego złego uczynku", że „stosunki ich polegały na miłości".

Współczucie, jakie wywołują w nas dobre cechy charakteru, przechodzi w litość. Litość wzbudza w nas to, że ich najlepsze rysy charakteru będące tylko cieniem prawdziwych uczuć ludzkich, są bezgranicznie ubogie i zwyrodniałe. Afanasij Iwanowicz i Pulcheria Iwanowna nie są pełnymi ludźmi, lecz jakimiś półludźmi. Jednak mogliby się

*) W. G. Bieliński, t. V, str. 42.
**) Ibid. str. 44.

*) W. G. Bieliński, t. II, str. 220.
*) Ibid.

oni stać ludźmi. Ta właśnie, ujawniona przez Gogola możliwość, którą posiada para bohaterów Staroświeckich ziemian, wzbudza współczucie i pobłażanie czytelnika.

Za jeden z najbardziej charakterystycznych rysów Gogola uważał Bieliński jego ogromną zdolność odnajdywania pięknych ludzkich wartości w najbardziej nędznym i nikczemnym środowisku. Bieliński ukazuje i udowadnia to nie tylko na przykładzie Staroświeckich ziemian, lecz również w wielu innych utworach.

„Całkowita prawda życiowa w opowiadaniach p. Gogola wiąże się ściśle z prostotą koncepcji. Autor nie pochlebia życiu, lecz i nie szkaluje go; chętnie wydobywa na jaw wszystko, co jest w nim piękne i ludzkie, lecz jednocześnie w najmniejszym stopniu nie stara się ukryć jego szpetoty.“**)

Kreśląc sylwetki najbardziej przeciętnych spośród zwykłych ludzi Gogol wykazywał, że w ogromnej większości tych ludzi nie umarł całkowicie człowiek, że prawie każdy z nich posiada możność stania się człowiekiem pełnowartościowym.

Tym samym właśnie Gogol odrzucał całkowicie zgubną dla ludzi rzeczywistość i wysuwał żądanie zamiany tej rzeczywistości na inną, która pozwoli na odrodzenie się człowieka w półludziach oraz wyrażał całkowitą pewność, że jest to nieuniknione.

Analiza zagadnienia ideału w twórczości Gogola, jaką dał Bieliński, będzie szczegółowo wyjaśniona poniżej. Tutaj natomiast należy zauważyć co następuje: za największą zasługę Gogola uważał Bieliński to, że Gogol skierował literaturę rosyjską na drogę poszukiwań ideału wśród najzwyklejszych, najbardziej przeciętnych zjawisk rzeczywistości. Miało to trojakie następstwa: po pierwsze utwory Gogola i jego zwolenników umacniały w masach czytelniczych wiarę w możliwość istnienia ideału, ponieważ rodzi go codzienna rzeczywistość; po drugie taki realizm likwidował nieprzebytą przepaść pomiędzy pojęciem ideału i codzienną rzeczywistością, jeżeli właśnie ta ostatnia jest glebą, na której jedynie może wyrosnąć ideał; po trzecie — literatura, która postawiła przed sobą zadanie wykrycia ideału wśród przeciętnej codzienności, stawała się jeszcze bardziej realistyczna, rozszerzała i pogłębiała swoje możliwości poznania rzeczywistości.

Co jednak Bieliński rozumiał przez „nędzną, trywialną rzeczywistość“?

Nędzną rzeczywistością nazywał on rzeczywistość pańszczyźnianą i zrodzone przez nią stosunki obyczajowe, myśli i uczucia różnorodnych warstw ludności. System pańszczyźniany dławił i zabijał w człowieku wszystko, co ludzkie, rodząc w nich niegodne człowieka właściwości. Trywialność ujęta w tej płaszczyźnie była właściwa zarówno warstwom wyższym jak i niższym, lecz bynajmniej nie w tym samym stopniu. Takim przedstawicielom klasy ziemiańskiej jak Sobakiewicz, Maniłow i Koroboczka Bieliński nie przypisuje żadnych cech prawdziwie ludzkich.

K. Aksakow w swojej broszurze pt. Kilka słów o poemacie Gogola — Przygody Czyczykowa czyli Martwe dusze wykazywał, że Gogol nie pozbawia osoby napiętnowanej małością i nikczemnością żadnego ludzkiego odruchu. Bieliński zdecydowanie nie zgadza się z tym twierdzeniem i proponuje zastąpienie go następującymi: „Niekiedy nie pozbawia pewnych ludzkich odruchów czy też czegoś w tym rodzaju“. Jeżeli jednak przyznać rację

**) W. G. Bieliński, t. II, str. 221.

Aksakowowi, „to możliwe, że okaże się, iż nawet głupia Koroboczka i bawół Sobakiewicz nie są pozbawieni jakiegoś ludzkiego uczucia, a zatem w niczym nie ustępują żadnemu wielkiemu człowiekowi. Na próżno także autor broszury postanowił spoglądać z sympatią na głupiego i sentymentalnego mazgaja Maniłowa, kiedy ów snuje idiotyczne marzenia o tym, jak pije herbatę z Czyczykowem na tarasie, z którego widać Moskwę, jak przyjeżdżają razem w pięknych karetach z jakąś wizytą i w towarzystwie oczarowują wszystkich miłym obejściem, i jak najwyższa władza dowiedziawszy się o ich zażyłej przyjaźni mianowała ich generałami... Wyznajemy, że czytaliśmy to ze śmiechem i bez żadnej sympatii dla osoby Maniłowa, może właśnie dlatego, że nie mamy w sobie niczego pokrewnego z takiego rodzaju „marzycielskimi“ osobnikami“.*)

Stosunek Bielińskiego do Sobakiewicza, Koroboczki i Maniłowa zasadniczo różni się od jego stosunku do Afanasja Iwanowicza i Pulcherii Iwanowny. Do trzech pierwszych odnosi się on „bez żadnej sympatii“, a nad losem dwóch ostatnich „omal nie płakał“. Cała sprawa polega na tym, że cechy postaci Afanasja Iwanowicza i Pulcherii Iwanowny polegają nie tylko na samej trywialności.

Zupełnie inny wreszcie był stosunek Gogola do ludu, do warstw uciśnionych, do chłopstwa. Afanasij Iwanowicz i Pulcheria Iwanowna jako ziemianie z racji swojej przynależności społecznej należą do nędznej, tj. pańszczyźnianej rzeczywistości. Nie mają oni żadnych podstaw do zajęcia wrogich względem niej pozycji. Inaczej przedstawia się sprawa z ludźmi niższych warstw społecznych, przede wszystkim z chłopstwem. Uciskane przez system pańszczyźniany było ono żywotnie zainteresowane w jego likwidacji. Dążenie do zrzucenia jarzma ucisku pańszczyźnianego stanowiło istotę chłopskiego życia, wyrażało jego ideę przewodnią. „...Żeby przedstawić życie chłopów, trzeba uchwycić ideę tego życia — a wtedy nie będzie w nim niczego n i e o k r z e s a n e g o, w u l g a r n e g o, p ł a s k i e g o, g ł u p i e g o“*). (Podkreślenie moje — B. B.).

Gogol w swoich W i e c z o r a c h n a f u t o r z e w p o b l i ż u D i k a ń k i uchwycił tą ideę. Dlatego też utwory te „tchną taką pełnią artyzmu, czarują takim nieodpartym urokiem, taką przedziwną poezją“.**)

Zarówno życie bohaterów z opowiadania Gogola S t a r o ś w i e c c y z i e m i a n i e jak też z innych jego utworów w swej istotnej treści nie miało nic wspólnego z życiem ludu w tej epoce.

Życie ziemian, nawet najbardziej podupadłych, najdrobniejszych, najuboższych było pasożytnicze czyli zasadniczo nikczemne w swej istocie. Afanasij Iwanowicz i Pulcheria Iwanowna oburzali najbardziej Bielińskiego tym, że nie mieli innych zajęć oprócz jedzenia, picia i spania.

Życie przedstawicieli ludu nawet najbardziej zahukanych i zacofanych już samą istotą, samą pracowitą treścią, tak czy inaczej w zasadniczej tendencji negowało obmierzłą rzeczywistość pańszczyźnianą.

Gogol przez to, że przedstawiał masy czy też — jak mawiał Bieliński — „tłum“, wzbogacił metodę realizmu.

Bieliński nie zawsze używa terminu „tłum“ w tym samym znaczeniu. Niekiedy przez „tłum“ rozumiał on masy ludowe, kiedy indziej znów — zwyk-

*) W. G. Bieliński, t. VII, str. 289.

*) W. G. Bieliński, t. VII, str. 289.
**) Ibid.

łych przeciętnych ludzi w odróżnieniu od natur wybitnych i nietuzinkowych. W tym ostatnim znaczeniu Bieliński najczęściej używa terminu „tłum" w zastosowaniu do bohaterów Gogola.

Jako malarz tłumu Gogol ostatecznie rozprawił się z fałszywym romantyzmem i wszelką retoryką. Gogol, jak twierdzi Bieliński, odważył się pójść drogą, której nikt przed nim nie znał". Zdecydował się „zostawiając w spokoju bohaterów, ...zwrócić się ku tłumowi i życiu codziennemu..."

Żeby utwory o charakterze retorycznym zostały na zawsze ośmieszone w oczach mas czy tłumu, same masy musiały stać się głównym tematem literatury realistycznej. Kontynuując i rozwijając w tym względzie tradycje Puszkina, Gogol swą twórczością zadał ostatni i decydujący cios retoryce, umocnił i wzbogacił metodę realistyczną.

Jedną z przyczyn żywotności uśmierconej ostatecznie przez Gogola retoryki było słabe powiązanie literatury z rzeczywistością, słaby rozwój życia społecznego. Mówiąc o tym, że poezja Łomonosowa wpadała w retorykę, Bieliński tłumaczy to niskim stopniem rozwoju życia społecznego w Rosji w epoce Łomonosowa. Epoka Puszkina różni się zasadniczo od epoki Łomonosowa. W okresie, w którym wystąpił w literaturze Puszkin, rzeczywistość rosyjska osiągnęła taki stopień rozwoju, że dawała całkowitą możność stworzenia narodowej literatury realistycznej.

W czasach Puszkina naczelne miejsce w życiu umysłowym kraju zajmowali najlepsi przedstawiciele szlachty.

III

Przedstawienie ohydy życia nie było celem Gogola — było następstwem jego głębokiego przejęcia się treścią życia rosyjskiego. Bieliński uważa, że w ogóle samo wyrażenie „ukazanie ohydy" wymaga sprecyzowania. Z jego punktu widzenia słuszniej można by mówić o ukazaniu rzeczywistości „takiej, jaka jest, w całej jej różnorodności i prawdzie".*) Jednakże trywialne strony rzeczywistości nie wyczerpują bynajmniej treści utworów Gogola. I pod tym względem Gogol, jak to wykazuje Bieliński, zasadniczo różni się od takich wybitnych artystów zachodnio-europejskich jak Teniers i Hoghart. „Gogol stworzył typy — Iwana Fiodorowicza Szpońkę, Iwana Iwanowicza i Iwana Nikiforowicza, Chlestakowa, Horodniczego, Bobczyńskiego i Dobczyńskiego, Ziemlanikę, Szpiekina, Tiapkina-Zapkina, Czyczykowa, Maniłowa, Koroboczkę, Pluszkina, Sobakiewicza, Nozdriewa i wiele innych. Gogol dzięki nim stał się wielkim malarzem ohydy życia..."**). Stał się on wielkim malarzem ohydy życia dlatego, że „widzi na wskroś swój przedmiot w całej jego głębi i rozległości, ogarnia go w całej pełni i jednolitości jego prawdy".

Wnikliwość, z jaką Gogol zgłębiał świat, opisywany w swoich utworach, zaprowadziła go do stworzenia obok obrazów komicznych, obrazów tragicznych. Jednakże zarówno w obrazach komicznych jak i tragicznych ujawniała się wyjątkowa oryginalność wielkiego talentu Gogola.

„Taras Bulba u Gogola jest jednocześnie pełny komizmu i tragicznej wielkości, oba te przeciwstawne elementy złączyły się w nim nierozdzielnie w jedną całość, która to wywołuje zdziwienie, to grozę, to śmiech... Jeżeli w Tarasie Bulbie Gogol potrafił odkryć w tragizmie komizm, to w Staroświeckich ziemianach i Szynelu zdołał już nie w komizmie,

*) W. G. Bieliński, t. XI, str. 30.
**) Ibid str. 22.

lecz w niewątpliwej trywialności życia odnaleźć tragizm. Wydaje mi się, że tu właśnie należy szukać istotnej specyfiki talentu Gogola. To nie tylko dar jaskrawego przedstawienia ohydy życia, lecz przede wszystkim dar ukazywania zjawisk życiowych w całej pełni ich realizmu i prawdy."*)

Zacytowane powyżej zdania napisane zostały w r. 1847. Jednakże zawarta w nich myśl została wypowiedziana dwanaście lat wcześniej w artykule O opowieści rosyjskiej i opowieściach p. Gogola.

„Swoiste cechy charakteru utworów p. Gogola — logika, prostota fabuły, całkowita prawda życiowa, ludowość, oryginalność — są to cechy ogólne; wreszcie zmysł komizmu, który zawsze zostaje pokonany przez głębokie uczucie smutku i troski — to cecha indywidualizmu". **)

Opowiadania Staroświeccy ziemianie nazywa Bieliński „komedią przez łzy". W związku z Notatkami wariata pisze: „...To śmiech z obłąkanego, którego szaleństwo i rozśmiesza i wzbudza litość."***) Epilog w Opowieści o tym jak pokłócił się Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem nazywa Bieliński „tragi-komicznym". W Notatkach współczesnych (1847) Bieliński zaznacza: „Osoba artysty Piskarewa w opowiadaniu Newski prospekt zupełnie nie jest komiczna. Obecność elementów tragicznych wyraźnie wyczuwa się w pozornie komicznym opowiadaniu Szynel w losach samej postaci śmiesznego i godnego pożałowania Akakia Akakiewicza. W Staroświeckich ziemianach dobroduszny, wesoły śmiech czytelnika zamienia się w rozdzierający serce smutek... Mógłbym prześledzić te elementy tragiczne w większej części komicznych utworów Gogola..."*)

Zespolenie elementów tragicznych i komicznych w twórczości Gogola jest „najbardziej uderzającą i jaskrawą właściwością jego talentu", ujawniającą „jego wielką wartość".**)

Bieliński wyczerpująco wyjaśniał naturę komizmu i tragizmu Gogola.

Szewyriew w artykule o Mirgorodzie (Moskowskij Nabliudatiel 1835 marzec cz. 2) twierdził, że całą zawartość treściową utworów Gogola można sprowadzić do śmieszności, komizmu, komizm zaś nazwał „nieszkodliwym nonsensem". Szewyriew nie chciał widzieć w twórczości Gogola niczego ponad nonsens.

Parując wypady reakcyjnej krytyki przeciw Gogolowi, Bieliński dał swoją analizę komizmu.

W artykule O krytyce i poglądach literackich pisma *„Moskowskij Nabliudatiel"* Bieliński wyróżnia dwa rodzaje dowcipu: „...istnieje dowcip pusty, bezwartościowy, błahy, jest wreszcie dowcip powstały z umiejętności dostrzegania prawdziwego wyglądu rzeczy, chwytania ich cech charakterystycznych, ukazywania ich śmiesznych stron".*) Do dowcipu pierwszego rodzaju zaliczał Bieliński opowiadania Sienkowskiego, a do dowcipu drugiego rodzaju — opowiadania Gogola. Komizm Gogola uwarunkowany jest właściwościami przedstawianych przez niego zjawisk i kierunkiem społecznym jego twórczości. Życie „tłumu" zajmującego centralne miejsce w utworach Gogola pozawione jest wszelkiej „efektowności". Jest ono przy tym niesłychanie dalekie od ideału, pełnego wszelkiego rodzaju niedorzeczności, wysko-

*) W. G. Bieliński, t. XI, str. 22.
**) Ibid, t. II, str. 219.
***) Ibid str. 225.

*) W. G. Bieliński, t. XIII, str. 222.
**) Ibid.
***) W. G. Bieliński, t. II, str. 470.

ków, odstępstw od „normy", które ukazane w ich prawdziwym wyglądzie nie mogłyby nie być śmieszne, komiczne, bowiem „podłożem śmieszności jest rozdźwięk i niezgodność idei z formą czy też formy z ideą".*) Rozdźwięków w życiu „tłumu" było wiele, potrzeba historyczna ukazania ich była jednym z czynników, warunkujących oryginalność talentu Gogola. Bieliński rozpatruje humor czy też komizm Gogola jako jeden z najważniejszych szczebli w rozwoju rosyjskiej literatury realistycznej.

Komedia jest wykwitem cywilizacji, płodem dojrzałej społeczności."**) (podkreśl. moje B. B.)

Komizm Gogola zrodziło zacieśniające się od czasów Puszkina zbliżenie literatury do życia. Zbliżenie to jednak prowadziło do innej jeszcze konsekwencji — do wzrostu subiektywizmu literatury: obudziło gorący aktywny stosunek pisarzy do przedstawianych zjawisk rzeczywistego życia. O subiektywizmie literatury pisał Bieliński jeszcze w artykule O opowieści rosyjskiej i opowieściach p. Gogola. Wówczas, w r. 1835 stanowisko Bielińskiego względem tego zagadnienia nie było jeszcze zupełnie konsekwentne. Na ówczesnym etapie swego rozwoju ideowego Bieliński nie mógł znaleźć prawidłowego rozwiązania zagadnienia stosunku elementów obiektywnych i subiektywnych w twórczości artystycznej. Sztukę dzielił wtedy Bieliński na „idealną" i „realną", przy czym przez pierwszy termin rozumiał głoszenie przez artystę tych lub innych idei ujawniających jego świat duchowy, ale nie odbijających obiektywnej rzeczywistości; przez drugi natomiast — odbicie w artystycznych obrazach prawdziwego życia, nie związanego bezpośrednio z wewnętrznym światem artysty.

W końcu lat trzydziestych Bieliński popadłszy w głębokie błędy filozoficzne, w ogóle negował czynnik subiektywny w literaturze.

W latach czterdziestych Bieliński ze stanowiska materialistycznego i rewolucyjno-demokratycznego doskonale rozwiązał zagadnienie obiektywizmu i subiektywizmu w sztuce na przykładzie twórczości Lermontowa, a w szczególności Gogola.

Rzetelna sztuka, przedstawiając prawdziwie i głęboko otaczającą rzeczywistość, jest sztuką obiektywną, zawierającą w sobie zawsze i nieodzownie czynnik subiektywny. Prawdziwy artysta nie może być człowiekiem obojętnym. Obojętność artysty względem opisywanych przez niego zjawisk zewnętrznych nie da się pogodzić z wszechstronnym ich przedstawieniem, które wymaga nie tylko opisu lecz i oceny zjawisk. Znaczenie czynnika subiektywnego w sztuce tym bardziej rosło, im większą rolę zaczynała odgrywać sztuka w życiu społecznym, stając się narzędziem wychowania szerokich mas ludowych, środkiem wyjaśniania im ich interesów i zadań. Wzrost czynnika subiektywnego nie zmniejszał, lecz zwiększał znaczenie poznawcze sztuki, ściślej mówiąc sztuka, skutkiem zwiększenia jej subiektywizmu, stawała się jeszcze bardziej obiektywna.

„Największym osiągnięciem i krokiem naprzód ze strony autora — pisał Bieliński — wydaje mi się to, że w Martwych duszach na każdym kroku namacalnie i można by powiedzieć dotykalnie występuje jego subiektywizm. Mam na myśli nie ten subiektywizm, który przez swą ograniczoność czy jednostronność wypacza obiektywną rzeczywistość przedstawianych przez poetę przedmiotów — lecz ten głęboki, wszechogarniający i humanitarny subiekty-

*) Ibid, str. 471.
**) W. G. Bieliński, t. VIII, str. 407.

wizm, który odsłania w artyście człowieka o gorącym sercu, przyciągającą ku sobie duszę i samowiedzę duchową — ten subiektywizm, który nie pozwala mu na analityczną obojętność, na obcość w stosunku do malowanego przez siebie świata, lecz zmusza go do ogarnięcia żywą duszą zjawisk świata zewnętrznego, a tym samym tchnąć w nie żywą duszę..." *)

Subiektywizm znajdował swój wyraz w komizmie i tragizmie Gogola jako nieodłącznych właściwościach jego realizmu.

Charakteryzując komizm Gogola Bieliński wskazuje na trzy warunkujące go czynniki: po pierwsze sam przedmiot obrazu, stojący w centrum uwagi twórczej Gogola; po drugie jego właściwe naświetlenie; po trzecie wysokość pozycji duchowych i etycznych, z których pisarz patrzał na otaczający go świat.

Przedmiotem komizmu Gogola była trywialna rzeczywistość. Utwory jego stawały się tym komiczniejsze, im bardziej odsłaniały istotę przedstawianego świata, co z kolei zależało od poziomu duchowego i etycznego pisarza.

Gogol dlatego właśnie był prawdziwie satyrycznym pisarzem, ponieważ „swym pojmowaniem" znacznie przewyższał opisywany przez siebie świat. Tym też tłumaczy się ta dziwna okoliczność, że czytająca publiczność w pierwszej chwili nie mogła go należycie ocenić. Wartość prawdziwej, oryginalnej literatury polega na tym, że wiedzie ona czytelnika naprzód, ukazuje mu jego własną drogę rozwojową, inaczej mówiąc wartość literatury leży w jej ideowości. Ale „każdy łatwiej zrozumie ideę, wypowiedzianą twierdząco i wprost, niż ideę, która zawiera w sobie sens przeciwny temu, jaki wyrażają jej słowa." **)

W tym wypadku przez ideowość Bieliński rozumie wytworzony przez literaturę ideał. Bieliński twierdzi, że istnieją różne drogi prowadzące do stworzenia ideału. Specyficzną cechą prawdziwej komedii w tym względzie jest to, że nie określa ona ideału „twierdząco i wprost", lecz pozwala się go domyślać jako czegoś przeciwnego temu, co wyrażają „jej słowa". aN tym polega trudność percepcji prawdziwej komedii.

W przeciwieństwie do komedii tragedia wyraża ideał wprost i bezpośrednio.Tragiczna postać Tarasa Bulby jest bezpośrednim wcieleniem ideału. W postaci Tarasa Bulby ukazana została wzniosła rzeczywistość, nie sama w sobie jednak, lecz w zetknięciu z niższą, trywialną rzeczywistością. W wyniku tego Gogol przedstawił postać Tarasa Bulby nie tylko w aspekcie tragicznym lecz i komicznym: także w tej postaci ujawnia się najbardziej charakterystyczna cecha realizmu Gogola — zespolenie się komizmu z tragizmem.

Ogromna większość postaci Martwych dusz jest postaciami komicznymi. Jednakże Bieliński widzi w Martwych duszach nie tylko utwór komiczny czy też satyryczny. Bieliński wyszydza owych pseudopatriotów „którzy z właściwą sobie przenikliwością będą widzieli w Martwych duszach złośliwą satyrę, następstwo chłodu i braku miłości do wszystkiego, co bliskie, ojczyste..." *)

Jak mówi Bieliński, „trudno o bardziej błędne patrzenie na Martwe dusze i o bardziej prostackie ich rozumienie, niż wtedy, gdy się widzi w nich satyrę." **)

Satyra Gogola zrodziła się nie z chłodnej obojętności, lecz z gorącej miłości „do bliskiego i ojczystego". Skutkiem tego w Martwych duszach nurt satyryczny przechodził w tragiczny, wy-

*) W. G. Bieliński, t. VII, str. 253—254.
**) Ibid, str. 406—407.

*) W. G. Bieliński, t. VII, str. 258.
**) Ibid, str. 256.

rażający smutek pisarza wywołany tęsknotą za piękną rzeczywistością. Omawiając dygresje liryczne w Martwych duszach Bieliński pisał: „Przykro jest myśleć o tym, że ten podniosły patos liryczny, te grzmiące, śpiewne dytyramby upojone własnym szczęściem świadomości narodowej, godne wielkiego poety rosyjskiego, nie dla wszystkich, a raczej dla niewielu będą zrozumiałe, że dobroduszne nieuctwo będzie się serdecznie śmiało z tego, od czego u innych włosy zjeżą się w świętym przerażeniu.“ *)

Zespolenie komizmu i tragizmu w twórczości Gogola jest więc wynikiem tego, że negował on trywialną rzeczywistość w imię afirmacji rzeczywistości pięknej. Komizm Gogola ma charakter zupełnie specyficzny. Komizm — to pojęcie zbyt wąskie dla wyrażenia talentu Gogola. Nawet komizm jego przerasta to, co zwykliśmy nazywać komizmem.“ **) Śmiech Gogola też jest śmiechem szczególnym. Sam Gogol tak pisał o nim w Po wyjściu z teatru: „Jest szlachetny dlatego, że postanowił wystąpić, mimo że świat go nie docenia.“ ***)

Tragizm Gogola składa się na inną stronę jego realizmu. Jeżeli podstawą komizmu Gogola była negacja trywialnej rzeczywistości — to podstawą jego tragizmu była tęsknota do ideału, pragnienie rzeczywistości pięknej. W realizmie Gogola znalazły swój wyraz dojrzewające nadzieje mas na zmianę istniejących warunków życia.

Zagadnieniu ideału w twórczości Gogola poświęcił Bieliński olbrzymią uwagę.

*) W. G. Bieliński, t. VII, str 257—258.

**) Bieliński. Pisma. Trzy tomy. t. III. S—P. 1914, str. 312.

***) N. W. Gogol. Dzieła zebrane. Goslitizdat. t. IV. str. 256.

IV

Zagadnienie ideału w twórczości Gogola rozpatruje Bieliński w dwu aspektach.

Po pierwsze Bieliński uznaje istnienie w utworach Gogola ideału, jako możliwości ziszczenia tej pięknej rzeczywistości, która powinna była zastąpić przeznaczoną do lamusa trywialną rzeczywistość. Jest to ideał, który nie ukształtował się jeszcze całkowicie w świadomości pisarza.

Po drugie Bieliński podkreśla próby, jakie podejmował Gogol w kierunku nadania swojemu ideałowi całkowicie określonego, całkowicie skończonego kształtu.

Ideał niezupełnie jasno widziany jeszcze przez Gogola, ideał jako możliwość nadejścia przyszłej pięknej rzeczywistości, niezmiennie wywoływał pełne zachwytu pochwały Bielińskiego. Nastawiając współczesną mu przodującą literaturę rosyjską na walkę z pańszczyzną i samowładztwem, na negację trywialnej rzeczywistości — Bieliński stale podkreślał, że nie potrafi ona pomyślnie rozwiązać zadania, jeżeli nie będzie posiadała choćby najbardziej ogólnego programu pozytywnego. Żeby widzieć nikczemny świat w całej jego nikczemności i żeby odnieść się w stosunku do niego z całym nieprzejednaniem i bezwzględnością trzeba przynajmniej wierzyć w możliwość istnienia innego świata, świata godnego człowieka. „Aby nie odwrócić się od życia i poezji, każde zaprzeczenie należy czynić w imię ideału.“ *)

W różnych czasach u różnych klas bywają rozmaite ideały. Prawdziwym ideałem jest zawsze ten, który wyraża dążenie klas przodujących. Dlatego też prawdziwy ideał jest dostępny tylko tym artystom, którzy nierozłącznie związali swą twórczość z ludem, przejęli

*) W. G. Bieliński, t. XI, str. 89.

się jego interesami, troszczą się o jego los i przyszłość, uwierzyli w potężne siły i możliwości twórcze ludu. Gogol należał właśnie do liczby takich artystów. O Martwych duszach Bieliński powiedział, że jest to „orzeźwiający blask błyskawicy pośród nużącego i zabójczego zaduchu i posuchy", że jest to „utwór prawdziwie rosyjski, narodowy, wydobyty ze schowka życia narodowego, zarówno prawdziwy jak i patriotyczny, bezlitośnie zdzierający zasłonę z rzeczywistości, dyszący namiętną, serdeczną miłością ku płodnemu ziarnu rosyjskiego życia; utwór o niezmierzonym artyzmie zarówno w koncepcji i wykonaniu jak i w rysunku charakterów występujących w nim osób oraz w przedstawieniu szczegółów rosyjskiego życia, a przy tym głęboki, społeczny, historyczny..." *)

Mówiąc o serdecznej miłości pisarza do „płodnego ziarna życia rosyjskiego" Bieliński ma na myśli wiarę Gogola jako artysty w możliwości twórcze ludu rosyjskiego. Wiara ta zapładniała twórczość Gogola, stanowiła jego głębokie przekonanie, zrodzone na gruncie poznania i przemyślenia doświadczeń historycznych narodu rosyjskiego. Wielki naród rosyjski miał swą wielką przeszłość. Miał on również dość sił i uzdolnień do walki o wielką przyszłość. Żył on przez długi czas w warunkach, które krępowały jego siły duchowe i moralne, w poniżeniu i zniewagach. Gogol skierował właśnie swą uwagę twórczą na ujawnienie ogromnej dysproporcji pomiędzy losem, na jaki zasługiwał naród rosyjski, a losem, jaki przypadł mu w udziale. Zadanie prawdziwej krytyki odnośnie do Martwych dusz sprowadza się więc według Bielińskiego do tego, żeby „ujawnić patos poematu, który stoi w sprzeczności między społecznymi formami

*) Ibid t. VII str. 253.

życia rosyjskiego a jego głębokim pierwiastkiem substancjonalnym, dotychczas jeszcze tajemniczym, dotychczas jeszcze nie uświadomionym i nieuchwytnym dla żadnych określeń..." *)

W rozumieniu Gogola wielka przyszłość narodu rosyjskiego była jak gdyby zapewniona przez jego działalność historyczną i życie. Jak jednak ta przyszłość ma wyglądać, tego Gogol dokładnie sobie nie uświadamiał. Co więcej nawet, Bieliński sądził, że Gogol nie mógł tego jeszcze dokładnie widzieć. Tłumaczy się to nie tylko charakterem i specyfiką światopoglądu Gogola lecz także w większym jeszcze stopniu, przyczynami ogólnymi. Rosję ówczesną nazywał Bieliński „krajem przyszłości". Rosja w tym okresie znajdowała się jego zdaniem na takim poziomie rozwoju społeczno-historycznego, iż z całkowitą pewnością można było powiedzieć, że sądzona jej jest wielka przyszłość, jednakże zarysów tej przyszłości nie można było nawet ogólnie określić. Poziom rozwoju społeczno-historycznego kraju określił także poziom myśli społecznej epoki. Myśl społeczna Rosji jeszcze w XVIII wieku osiągnęła wielkie zdobycze. Pierwszym wielkim działaczem rewolucyjnym w Rosji był Radiszczew, którego ogromna postać wznosi się na granicy XVIII i XIX w. Wskutek nieprzygotowania mas do walki o obalenie ustroju nie mógł Radiszczew wcielić w życie swych idei rewolucyjnych. Kontynuatorami dzieła Radiszczewa byli dekabryści. Występowali oni w okresie gwałtownego wzrostu świadomości narodowej narodu rosyjskiego w wyniku jego historycznego zwycięstwa nad Napoleonem. Historyczne zwycięstwo narodu rosyjskiego ze szczególną jasnością ukazało, mówiąc słowami Bielińskiego, „sprzeczność między społecznymi formami życia rosyjskiego a jego pier-

*) W. G. Bieliński, t. VII str. 444.

wiastkiem substancjonalnym". Dekabryści w porównaniu z Radiszczewem zrobili poważny krok naprzód. Utworzyli oni po raz pierwszy organizację rewolucyjną, opracowali plan zagarnięcia władzy i stworzenia państwa o typie republikańskim. Dekabryści byli jednak rewolucjonistami szlacheckimi: stojąc niesłychanie daleko od ludu nie mogli się zdecydować na zespolenie swojej działalności rewolucyjnej z żywiołową działalnością mas ludowych. Dekabryści pod tym względem nie tylko nie poszli dalej od Radiszczewa, lecz niewątpliwie w porównaniu z nim o krok się cofnęli. Nowe pokolenie działaczy rewolucyjnych musiało pokonać ograniczoność rewolucyjności dekabrystów i opierając się na ich doświadczeniach oraz na doświadczeniach Radiszczewa dźwignąć na nowy szczebel myśl rewolucyjną i sam charakter walki rewolucyjnej w Rosji. W związku z tym również powstawało zagadnienie wypracowania nowego ideału społeczno-politycznego. Bieliński jako zwiastun całkowitego wyrugowania szlachty z ruchu wyzwoleńczego przez raznoczyńców postawił właśnie sobie i całej przodującej literaturze rosyjskiej tamtych czasów zadanie wypracowania tego ideału.

Pierwszym i najważniejszym warunkiem wypracowania prawdziwego ideału było zwrócenie się ku rzeczywistości, na którą należy spoglądać „oczyma żywej współczesności". Ideały kryją się w rzeczywistości; nie są one dowolną grą fantazji, urojeniami, marzeniami; a przy tym ideały to nie kopiowanie rzeczywistości lecz przewidziane rozumowo i odtworzone przez fantazję prawdopodobieństwo takiego czy innego zjawiska." *)

W sztuce ideał może się urzeczywistniać w dwojaki sposób: albo przez ukazanie zjawiska bezpośrednio reprezentującego ideał, albo też ucieleśniającego jego przeciwieństwo. Zadaniem sztuki nie jest rozśmieszanie czy pouczanie, lecz odsłanianie prawdy przez twórczo wierne ukazywanie rzeczywistości." *) Nie jest jej zadaniem — „prowadzenie na przykład rozważań na temat władzy ojcowskiej i posłuszeństwa synowskiego... **)

Zadaniem jej jest „albo ukazanie normy prawdziwych stosunków rodzinnych, opartych na miłości, na ogólnym dążeniu do wszystkiego, co jest sprawiedliwe, dobre, piękne, na wzajemnym poszanowaniu godności ludzkiej i praw człowieka; albo też — ukazanie odchylenia od normy — nadużycia dla własnej korzyści władzy ojcowskiej, które niszczy w dzieciach miłość do prawdy i dobra, a w następstwie tego — wypaczenie moralności dzieci, brak szacunku, niewdzięczność w stosunku do rodziców. ***)

Najważniejszą rzeczą jest, by obraz był prawdziwy, a wtedy będzie miał poważną wartość wychowawczą nawet bez jakichkolwiek komentarzy. Jest rzeczą ważną, żeby obraz był przez artystę namalowany „jako urzeczywistnienie możliwości kryjącej się w samej rzeczywistości..." Każdy, kto spojrzy na taki obraz, jest „zdumiony prawdziwością", „lepiej odczuje i uświadomi sobie sam wszystko to, co artysta wyjaśniłby mu, a czego nikt nie chciałby słuchać..." ****) I znów apel do artystów: „...Tylko czerpcie tematy waszych obrazów z otaczającej was rzeczywistości, nie upiększajcie jej, nie przerabiajcie, lecz pokazujcie ją taką, jaka jest naprawdę, a przy tym patrzcie na nią oczyma żywej współczesności, a nie przez zakopcone okulary moralności,

*) W. G. Bieliński, t. VIII, str. 406.

*) Ibid.
**) Ibid.
***) W. G. Bieliński, t. X, str. 199.
****) Ibid.

która była prawdziwa w czasach zamierzchłych, teraz zaś obróciła się w ogólniki, często powtarzane lecz nikogo nie przekonujące..." *)

Gogol jako artysta spełnił w swej działalności artystycznej wiele podstawowych wymagań estetyki Bielińskiego dotyczących ideału w sztuce. Nieodparta siła jego utworów polegała właśnie na tym, że tematy czerpał z otaczającej go rzeczywistości. W rzeczywistości bowiem, w rzeczywistości najbardziej trywialnej, Gogol — jak to z całą wyrazistością podkreśla Bieliński — starał się ujawnić te jej rysy i właściwości, które stanowiłyby chociaż najbardziej oddaloną aluzję do możliwości istnienia innego, nieporównanie bardziej doskonałego świata. Gogol był dla Bielińskiego artystą, który budził „w czytelniku myśli o pięknie i wzniosłości, oraz tęsknotę do ideału przez ukazywanie nędzy i trywialności życia..." **) Artysta, jak mówi Bieliński, mógł w tych czasach służyć „wszystkiemu, co wzniosłe i piękne, nie wspominając nawet tych pojęć, a tylko prawdziwie odtwarzając zjawiska życia w istocie swej przeciwne wzniosłości i pięknu..." ***)

Za najważniejsze zadanie współczesnej mu postępowej literatury rosyjskiej Bieliński uważał krytyczne, negatywne przedstawienie pańszczyźnianej rzeczywistości. Opierając się na tym, słowianofile i przedstawiciele oficjalnej „rosyjskości" oskarżali Gogola o paszkwil na Rosję i lud rosyjski. Obalając to bezduszne oskarżenie Bieliński raz po raz wraca do historycznego uzasadnienia krytycznego charakteru przodującej literatury rosyjskiej owych czasów. Bieliński stwierdził, że charakter literatury określany jest przez charakter danego okresu. „Negacja — jak to jest powiedziane w Odpowiedzi moskwiczaninowi — rzeczywiście stanowi przeważający kierunek nowej szkoły..." Cecha ta jednakże nie jest następstwem samowoli z czyjejkolwiek strony, jest ona uwarunkowana historycznie. Nie chcieli i nie mogli tego zrozumieć przeciwnicy Bielińskiego. „Wydaje się to im zupełnym nonsensem — zauważa Bieliński — żeby literaturę w zależności od czasu cechował ten czy inny jedyny kierunek. A tymczasem zawsze tak było i będzie: dowody można znaleźć w historii każdej literatury" *)

Estetyka Bielińskiego, uzasadniając konieczność historyczną krytycznego charakteru przodującej literatury rosyjskiej tych czasów jednocześnie z niezachwianą konsekwencją ustaliła, że z jednej strony bez negacji trywialnej rzeczywistości niemożliwa jest afirmacja rzeczywistości pięknej, z drugiej strony zaś — że sama negacja trywialności, jeżeli jest to negacja prawdziwa i głęboka, jest zarazem służbą pięknu. Przy pomocy negacji artysta mógł osiągnąć „ten sam cel, niekiedy nawet trafniej, jaki osiąga także poeta, który za przedmiot swoich utworów obrał wyłącznie idealną stronę życia." **)

Biorąc pod uwagę zadania, które stały przed literaturą jego epoki oraz swoistość talentu Gogola, Bieliński nie żądał od niego przedstawienia ideału jako normy. Sam Gogol jednakże dążył do tego.

Bieliński także zadał sobie niemało trudu chcąc wypracować pojęcie ideału jako normy. Wiedział on, że wcielenie ideału w konkretne charaktery ludzkie jest sprawą niezwykle trudną. Osiągnąć to mógł tylko artysta, stojący na poziomie przodujących idei epoki. Gogol,

*) Ibid.
**) Ibid, str. 407.
***) W. G. Bieliński, t. X, str. 199.

*) W. G. Bieliński, t. XI, str. 18.
**) W. G. Bieliński, t. X, str. 199.

chociaż jego zasady twórcze były bliskie teoretycznemu sformułowaniu Bielińskiego, takim artystą nie był. Jego ideowo-teoretyczne zacofanie zawsze było dla Bielińskiego rzeczą oczywistą. Bieliński zaliczał Gogola do tych artystów, których siłę stanowi bezpośredniość ich twórczości. Ale tu właśnie można było zauważyć „że bezpośredniość twórczości Gogola ma swoje granice, że niekiedy go zdradza, szczególnie tam, gdzie poeta ściera się z myślicielem, tj. gdzie głównie chodzi o idee..." *)

Inaczej mówiąc Bieliński dochodzi do następującego wniosku. Gogol jest wielki dopóty, dopóki stoi na gruncie konkretnych, dobrze mu znanych faktów; natomiast przestaje być wielki z chwilą, gdy to stanowisko porzuca. W Portrecie popełnił błąd dlatego, że znalazł się w dziedzinie „fantastycznych pomysłów", w Rzymie dlatego, że usiłował przedstawić niedostatecznie sobie znaną rzeczywistość. W Martwych duszach Gogol znalazł się znowu na gruncie rosyjskim w sferze rzeczywistej a nie fantastycznej, toteż osiągnął tu niezwykły sukces.

Bieliński wymienia kilka wypadków, w których Gogol naruszył jednolitość tego czy innego charakteru przypisując mu myśli, których on mieć nie mógł. Tak na przykład rozmyślanie Czyczykowa „o bycie prostego ludu rosyjskiego", przypisane mu są niesłusznie. „Co prawda to „fantazjowanie" jest jednym z najlepszych miejsc poematu: przepełnia je głębia myśli i siła uczucia, nieporównanej poezji a zarazem uderzającej prawdy; niemniej jednak odnosi się ono do Czyczykowa, człowieka genialnego jako goniący za zyskiem oszust, ale całkowicie pustego i nędznego pod każdym innym względem. Tutaj poeta wyraźnie oddał mu własne, niewidoczne, nieznane światu, najszlachetniejsze i najczystsze łzy, swój głęboki, przepełniony smutkiem i miłością humor, i kazał mu wypowiedzieć to, co powienien był powiedzieć od siebie." *)

Rozmyślania Czyczykowa o Sobakiewiczu — mądre, szlachetne i humanitarne — według Bielińskiego „autor także powinienby powiedzieć we własnym imieniu". **)

Te potknięcia Gogola-artysty zalicza Bieliński do jego uchybień „przeciw bezpośredniości jego sztuki".

Zapowiedź Gogola, że w drugim tomie Martwych dusz ukaże nieprzebrane bogactwo ducha rosyjskiego, budziła w krytyku trwogę. „Wiele, zbyt wiele obiecano" wołał. I dodawał: „tak wiele, że nie wiadomo, skąd wziąć to, co jest niezbędne do spełnienia obietnicy, bo przecież tego jeszcze nie ma." ***) Nieszczęście polegało nie na tym, że Gogol obiecał opowiedzieć o tym, czego jeszcze nie ma na świecie. Nieszczęście polegało na czym innym, na tym, że odrywając się od gruntu faktów rzeczywistych, Gogol znalazł się natychmiast w dziedzinie fantasmagorii. Mówił nie o trywialnej, lecz o pięknej rzeczywistości. W fakcie tym nie było absolutnie niczego złego. Przeciwnie, fakt sam w sobie zasługiwał na wielkie pochwały. Zło tkwiło w tym, że „piękną rzeczywistość" Gogol przedstawia nie jako owoc i rezultat rozwoju historycznego „codziennej rzeczywistości", lecz jako owoc subiektywnej wyobraźni, fantazji. Stąd też gorzkie słowa Bielińskiego pod adresem dalszego ciągu Martwych dusz: „Ogarnia mnie jakiś lęk, żeby część pierwsza, w której wszystko jest konieczne, nie pozostała prawdziwą tragedią, a pozostałe dwie części, gdzie powinny wystąpić elementy tragiczne,

*) W. G. Bieliński, t. VII, str. 199.

*) W. G. Bieliński, t. VII, str. 440.
**) Ibid, str. 441.
***) Ibid, str. 432.

nie stały się komiczne, przynajmniej w miejscach patetycznych..." *)

Dla Bielińskiego Gogol był postacią sztandarową sztuki realistycznej. Nic dziwnego zatem, że załamania i niepowodzenia Gogola tak głęboko smuciły krytyka, zmuszały go raz po raz do zastanawiania się nad istotą metody swego ulubionego pisarza, nad jego pozycjami społecznymi. Bieliński stale mówił o wierności prawdzie jako o jednej z wybitnych cech talentu Gogola. W swoich późniejszych pracach broniąc jak dawniej tego poglądu jeszcze szerzej ujął zagadnienie natury talentu Gogola. Wskazuje teraz na jego ograniczoność, na to, że bezpośredniość jego twórczości jest nie tylko siłą, lecz i słabością Gogola. Bieliński zdecydowanie osądza teraz jego pozycje społeczne. Słynny List do Gogola jest organicznie związany ze wszystkimi poprzednimi artykułami Bielińskiego o o twórczości Gogola, szczególnie zaś z tymi, które były poświęcone Martwym duszom.

Autor Rewizora i Martwych dusz był dla Bielińskiego jak i dla wszystkich przodujących ludzi tych czasów jednym z „wielkich wodzów" na „drodze świadomości, rozwoju i postępu." **)

Ukazanie się Wybranych fragmentów korespondencji z przyjaciółmi dlatego właśnie wzbudziło ogromne niezadowolenie „we wszystkich szlachetnych sercach", ponieważ książka ta zawiodła ich najlepsze nadzieje i oczekiwania, skalała ich najczystsze i najświętsze uczucia.

Według Bielińskiego obserwując Rosję z pięknego oddalenia, Gogol wielu rzeczy nie widział, czy też widział nie takimi, jakie były naprawdę. Stąd też pochodzą jego fatalne omyłki w ocenie sytuacji.

Oderwanie się od Rosji oraz zacofanie ideowo-teoretyczne stanowią główne czynniki, wskutek których twórca Rewizora i Martwych dusz stał się autorem Wybranych fragmentów korespondencji z przyjaciółmi.

List do Gogola Lenin zaliczał do najlepszych utworów Bielińskiego, podsumowujących jego działalność literacką. W Liście do Gogola najwyraźniej ujawniła się rewolucyjno-demokratyczna istota światopoglądu wielkiego krytyka.

Jednym z ważniejszych zagadnień Listu do Gogola jest zagadnienie stosunku Gogola-artysty do Gogola-myśliciela. Zagadnienie to rozstrzyga Bieliński w świetle swojej teorii o niezbędności harmonijnego zespolenia w sztuce realistycznej elementów filozoficznych i artystycznych.

Przewodnią rolę przodującej świadomości w twórczości artystycznej Bieliński szczególnie dobitnie podkreślał w ostatnim dziesięcioleciu swej działalności. W tym też czasie ciągle nawoływał artystów, by stali na gruncie rzeczywistych faktów, nie odstępowali od prawdy życiowej. Te dwa postulaty estetyki Bielińskiego są ze sobą ściśle związane. Wzrost ideowy tego czy innego artysty powinien pogłębiać prawdziwość jego twórczości, i odwrotnie prawdziwość twórczości mogła mieć wpływ na wzrost ideowy artysty. Walcząc o ideowość i realizm literatury, Bieliński uwzględniał całą złożoność i sprzeczność warunków, w jakich rozwijała się działalność wielu wybitnych artystów tych czasów. Ich wzrost ideowy był utrudniony: większość artystów była związana z klasami rządzącymi, z ich ideologią i ideologami. W podobnym położeniu znajdował się Gogol. Wiedząc o tym, Bieliński, walczący z takim zde

*) Ibid, str. 432.

**) W. G. Bieliński. Dzieła w trzech tomach, 1948, t. III str. 707.

cydowaniem i konsekwencją o samowiedzę literatury, zachowywał zrozumiałą podejrzliwość w stosunku do tych celów, do których Gogol świadomie dążył. Gogol jako człowiek myślący według Bielińskiego nie znał Rosji, ściślej mówiąc nie znał i nie rozumiał jej w oderwaniu od zadań swej twórczości artystycznej. Nie znaczy to bynajmniej że Gogol nie był myślicielem — był nim w granicach, w ramach swojej twórczości artystycznej. Dlatego właśnie Gogol mógł odsłaniać losy Rosji tylko w utworach artystycznych, nie zaś w publicystycznych czy teoretycznych.

Sądy Bielińskiego o ideale w twórczości Gogola można sprowadzić do następujących stwierdzeń.

W przedstawieniu ideału jako możliwości pięknej rzeczywistości Gogol przeszedł wszystko, co istniało przed nim w literaturze rosyjskiej. Tłumaczy się to tym, że Gogol zdecydowanie zbliżył literaturę do najzwyklejszych zjawisk rzeczywistości, do mas, do „tłumu".

W przedstawieniu ideału jako normy Gogol doznał zupełnego niepowodzenia. Tu się rozpoczęła jego tragedia, ponieważ nie uświadomił sobie organicznego związku swojej twórczości z przodującymi ideami epoki, nie przejął się nimi można by rzec teoretycznie, chociaż w wielu wypadkach twórczo je odzwierciedlał.

Ocena, jaką dał Bieliński Gogolowi, otwierała nowe perspektywy przed jego zwolennikami i uczniami, którzy kontynuując najlepsze tradycje swego nauczyciela, powinni byli przezwyciężyć jego braki.

Analiza realizmu Gogola, jaką dał Bieliński, miała olbrzymie znaczenie. Pomogła ona i pomaga do dziś dnia szerokim masom czytelników w prawidłowej ocenie i zrozumieniu genialnych utworów Gogola. Była ona potężnym orężem w walce o pogłębienie i rozszerzenie realizmu w literaturze rosyjskiej.

Z sądów Bielińskiego o Gogolu uczyło się niejedno pokolenie przodujących pisarzy rosyjskich. Nie wymaga komentarzy fakt, że Czernyszewski i Dobroliubow, określając tradycje Gogola jako najbardziej żywe i płodne dla epoki lat 50-60-tych, opierali się na ocenie Gogola, którą dał Bieliński. Niewątpliwie pod wpływem wypowiedzi Bielińskiego Niekrasow w jednym z pierwszych listów do Tołstoja wzywał go do kontynuacji wielkiego dzieła Gogola.

Analiza realizmu Gogola, jaką dał Bieliński, dzisiaj również zachowuje swą wartość. Sądy Bielińskiego o realizmie Gogola, odsłaniając istotę jego metody artystycznej, rzucają jaskrawe światło na całą rosyjską literaturę klasyczną, a co za tym idzie pomagają nam w rozwiązaniu wielu skomplikowanych zagadnień naszej literatury współczesnej

B. Bursow

GYÖRGY LUKACS

Walka ze schematyzmem

Wiosenny Kongres Literatów Węgierskich wypowiedział walkę schematyzmowi i to nie tylko deklaratywnie.

Przy nowym zagadnieniu ciągle grozi to niebezpieczeństwo, że przyczyn błędów szuka się poza sobą. Tak się przedstawia sprawa przewrażliwienia nowych pisarzy w stosunku do krytyki.

Istnieją dwie możliwości: krytyka ma słuszność albo jej nie ma. Jeśli krytyka ma słuszność — i tu pragnę dodać: nie w stu procentach, lecz przypuśćmy w pięciu — lecz jeśli tę słuszność wyraża w niewłaściwej formie, szorstko, w sposób uproszczony — to moim zdaniem nawet z tej krytyki pisarz może i powinien się uczyć.

Inna sprawa, jeśli krytyka nie ma słuszności. Ale i w tym wypadku, gdy idzie o prawdziwego pisarza, śmiem twierdzić, że niewłaściwe wyroki tracą szybko swoje znaczenie. Często o pisarzach ferowano takie niewłaściwe wyroki, tylko że nikt już ich nie pamięta, chyba sam krytyk, który wstydzi się, że tak napisał. Przesadna zaś wrażliwość na sądy krytyki często tkwi korzeniami w braku pewności ideologicznej pisarza.

Ażeby teraz przejść do właściwego tematu: wyobraźmy sobie, że nasza literatura otrzyma na dwa lata tzw. amnestię. Będziemy chwalić każdą ukazującą się książkę, redaktorzy nie poprawią ani jednego wiersza, wydawnictwa wszystko wydrukują, jednym słowem stworzy się „wolny od obaw" raj życia literackiego. Jak myślicie, co będzie po dwu latach? Śmiem twierdzić, że po zupełnej amnestii, po dwu latach będziemy stali w tym samym miejscu, gdzie stoimy obecnie. A więc — nie szukajmy g d z i e i n d z i e j , n a z e w n ą t r z, przyczyn zła. Błędy literatury — to błędy pisarzy. Trudności powinien zwalczyć sam pisarz, przy pomocy kolegów, krytyki i Partii, ale przede wszystkim on sam. Trudności tych nie stwarzają postanowienia Partii ani wymagania krytyki. Największa tu trudność, to stworzenie adekwatnego, odpowiadającego rzeczywistości obrazu nowego życia. Nowe życie nie da się zobrazować starymi metodami, nie wyrośnie na gruncie starzyzny ideologicznej, nie wyniknie z samego „przestawienia" formy.

A więc co musimy praktycznie uczynić w dziedzinie ideologicznej i artystycznej, aby zwalczyć schematyzm? Chociaż już tak wiele mówiliśmy o schematyzmie, to jednak chcę w kilku słowach streścić, co rozumiem przez schematyzm. Najbardziej rzucającą się w oczy oznaką literatury schematycznej jest to, że nie daje ona typowych postaci. Postaci redukuje w większości wypadków do tego co „miałoby oddać" — treść polityczną i ideologiczną.

Zdaje mi się, że chyba nie ma człowieka, który by nie czuł, że to jest błędne. Ale powstaje zagadnienie — i liczni pisarze takie zajęli stanowisko — czy nadmiar treści politycznej i ideologicznej tłumi żywość postaci, czy partyjność szkodzi twórczości literackiej i artystycznej? Może im bardziej oddalamy się od partyjności, tym bardziej zbliżamy się do prawdziwej, żywej literatury?

Diagnoza ta jest fałszywa. Nie jest prawdą, że w dziełach schematycznych mamy nadmiar treści ideologicznej. Wprost przeciwnie. W utworach schematycznych i właściwa treść ideologiczna jest jak najbardziej ograniczona, i u-

boga. Treść polityczna w takich utworach — to pusty, dudniący frazes i ucieleśnienie takiej treści z góry neguje całe bogactwo w obrazowaniu życia.

Żywość dzieła literackiego — to głębokie uchwycenie przez pisarza istoty ludzkich konfliktów, konfliktów typowych dla pewnego etapu rozwojowego.

Te właśnie zagadnienia należy rozwiązać w sposób literacki, nie wolno ich omijać. Często się zdarza, że pisarze uzupełniają swoje szablony jakimś zmysłowym opisem. Opisy włosów, oczu, ruchów, itp. ulotnią się jednak z pamięci czytelnika po pięciu minutach, jeśli nie pozostają w ścisłej wewnętrznej zależności od treści ideologicznej, od prawdziwych i wielkich problemów, które te postaci ożywiają. Szablon o rudych włosach pozostaje szablonem, chociaż pisarz zwrócił uwagę na kolor włosów. A przecież przez tysiące lat żyły i żyją w literaturze postacie, o których zewnętrznym obrazie pisarz nie powiedział ani jednego słowa, wspomnę chociażby o tragediach greckich, czy większości dzieł Szekspira.

Podkreślam dalej z naciskiem, że równie dalekie od prawdy jest twierdzenie: treść polityczna zawiera w sobie szablon, zajmijmy się życiem prywatnym. Przede wszystkim: prywatne życie odizolowane, prywatne życie niezależne od życia publicznego w rzeczywistości nie istnieje, dlatego nie może jako takie istnieć w obrazie literackim.

Oczywiście istnieją pisarze dekadenccy, którzy sztucznie izolują życie prywatne, odcinają to, co należy do życia publicznego i ten skastrowany, zniekształcony świat kłamliwie przedstawiają czytelnikowi jako samą rzeczywistość. Zdaje mi się, iż nie trzeba się spierać, że przez to literatura przestaje być prawdziwą literaturą, że ginie w niej to, co czyni ją właśnie literaturą: wielostronny, pełny, wierny obraz życia, wierny dlatego, że jest całkowity i że przedstawia typowych ludzi.

Nie my marksiści wynaleźliśmy to zagadnienie, nie my narzuciliśmy je literaturze. Chodzi tu o podstawowe zagadnienia literatury, które w realizmie socjalistycznym występują w swej najwyższej jakościowo postaci, na wyższym jakościowym stopniu świadomości, i bez których literatury nigdy nie było i być nie mogło.

Nowe życie pod względem ideologicznym stawia pisarzy przed nowymi zagadnieniami. Jednak dla pisarza decydujące jest przeobrażenie się poszczególnego człowieka. Wiadomo, że każde społeczeństwo składa się z poszczególnych ludzi. Jesteśmy obecnie n a p o c z ą t k u wielkiego przeobrażenia, w którym przekształca się każdy człowiek; nie tylko jego pojęcia, uczucia otrzymują nową, inną treść, lecz ze zmianą ich zmienia się również cała jego postawa i cała struktura duchowa.

Człowiek świadomie przekształca społeczeństwo, świadomie przeobraża się poszczególny człowiek. To przeobrażenie jest p r o c e s e m skomplikowanym i obfitującym w konflikty. Przejawem schematyzmu literackiego jest pokazywanie przez pisarzy gotowych rezultatów zamiast obrazu procesu tworzenia się nowego człowieka; statyka zastępuje dynamikę życia.

Tu tkwi jeden z korzeni schematyzmu w literaturze. Zadaniem pisarza jest pokazać, skąd przyszedł człowiek, dokąd idzie i gdzie się już znajduje. Jeśli zamiast tego opiszemy jedynie rezultat, to szablon jest nieunikniony. Szablon zaniedbuje skalę uświadamiania człowieka i jego rozwój.

Pozwólcie, że przeczytam parę zdań towarzysza Stalina o stachanowcach: „Czy myśleli o tym wielkim znaczeniu ruchu stachanowskiego Stachanow i Busygin, gdy przystępowali do łamania dawnych norm technicznych? Oczy-

wiście, że nie. Mieli oni swoje troski — dążyli do tego, aby wyprowadzić przedsiębiorstwo z wyrwy i wykonać z nadwyżką plan gospodarczy... Byłoby jednak śmieszne sądzić, że okoliczność ta może choć trochę pomniejszyć wielkie znaczenie historyczne ruchu stachanowców."

Podobnie pisze Stalin o utworzeniu Rad Robotniczych w 1905 r.

Cóż to znaczy z punktu widzenia literackiego? To znaczy, że należy opisywać proces uświadamiania, a nie stwarzać jakiś ogólny szablon świadomości, pod który da się podciągnąć każdego robotnika stachanowca. W przeciwnym razie zniknie i zginie nadzwyczajne bogactwo i rozmaitość różnic między robotnikami świadomymi i mniej świadomymi.

Ta świadomość, to pogłębienie oblicza człowieka, jest znowu policzkiem dla starych dekadenckich przesądów, które są bardzo mocne. Marks mówi w wielu miejscach, że bogactwo wewnętrzne człowieka zależy od bogactwa stosunków ludzkich. Życie kapitalistyczne oddzieliło człowieka od człowieka, odizolowało inteligencję, a tym samym pisarzy. Stosunki społeczne, w których żyli, były oderwane, miały jakiś anonimowy charakter. Dlatego pisarze uciekali do życia prywatnego, które ujmowali jako właściwe stosunki pomiędzy ludźmi. Społeczeństwo socjalistyczne natomiast nie tylko łączy życie prywatne z publicznym, lecz łączy również życie indywidualne z powołaniem, z pracą, a więc z życiem publicznym. Tu rodzi się możliwość odtwarzania kluczowych zagadnień życia, pracy i powołania człowieka; rodzi się możliwość takiego zasadniczego uchwycenia problemu jednostki, jakie dla literatury dawnej nie było możliwe.

Tu nasuwa się istotne dla literatury zagadnienie: indywidualność i typowość. Rozwiązać można go tylko w powiązaniu. Wyodrębnienie indywidualności — to pokazanie dlaczego i jak ktoś jest indywidualnością, jako tokarz, jako uczony, jako pracownik Partii. W jaki sposób ktoś staje się członkiem czy sekretarzem Partii. Uchylanie się od tego — to droga do schematyzmu.

Błąd nie na tym polega, że pisarze malują głównie postacie pozytywne. Wprost przeciwnie. Tu staje przed nami nowe zadanie, które musimy rozwiązać. Nowa rzeczywistość podsuwa naprawdę interesujące i pod względem literackim pasjonujące zagadnienie, jak powstaje pozytywna i twórcza postać człowieka nowej epoki. Ostre przeciwieństwo między literaturą epoki kapitalistycznej i socjalistycznej polega na tym, że w kapitalizmie, zwłaszcza w jego epoce imperializmu, dobrzy pisarze zupełnie słusznie ustosunkowali się wrogo, krytycznie do swego społeczeństwa. W ludziach interesowało ich to, co wychodząc z założeń społeczeństwa kapitalistycznego było w stosunku do tego społeczeństwa negatywne i wrogie. W epoce budowy socjalizmu pojęcie tego, co pozytywne, uległo zasadniczej zmianie jakościowej.

Przejawem uchylania się od właściwego zagadnienia, omijania trudności, jest malowanie nie pozytywnych postaci, nie dobrych lecz na przykład złych funkcjonariuszy partyjnych. Okazuje się jednak, że ci źli funkcjonariusze partyjni są często tak samo schematyczni jak dobrzy funkcjonariusze partyjni innych pisarzy. Jest to identycznie taki sam schematyzm jak ten, który widzimy przy obrazowaniu postaci pozytywnych. Zły funkcjonariusz partyjny przedstawiony schematycznie nie jest mniej schematyczny, niż w taki sam sposób naszkicowany dobry funkcjonariusz partyjny. Jako przeciwieństwo weźmy znakomitą powieść Szołochowa, Zorany ugór, właśnie nieschematyczne, żywe postaci, zarówno

pozytywna Dawidowa jak i negatywna Razmiotnowa czy Nagulnowa. Przezwyciężenie schematyzmu — to nie jest sprawa malowania czy niemalowania postaci negatywnych.

Jestem przekonany, że słabość i choroba naszej literatury tkwi w niedowładzie i słabości jej treści ideologicznej. Nie zaś, jak sądzi wielu, nadmiar treści ideologicznej krępuje twórczość literacką. Wprost przeciwnie: ubóstwo i schematyczność treści ideologicznej nie pozwalają na rozkwit prawdziwej twórczości.

Zagadnienie światopoglądu — to nie teoria, lecz wyraz ustosunkowania się do każdego drobiazgu, to taki a nie inny sposób rozstrzygania każdego zagadnienia.

Jeśli pisarz chce przedstawić działacza, człowieka partyjnego, to jasne, że musi pokazać, jak ustosunkowuje się ten człowiek do marksizmu-leninizmu. Jeśli tego nie przedstawi, to scharakteryzuje postać powierzchownie i schematycznie. Często zdarza się, że nasi zdolni pisarze dają drobiazgową charakterystykę postaci, nie potrafią jednak uchwycić jej cech podstawowych. Wtedy, pomimo właściwego pokazania spraw ubocznych, obraz pozostanie schematyczny.

To, w jaki sposób człowiek ustosunkowuje się do marksizmu, jest sprawą o wiele bardziej konkretną i o wiele bardziej skomplikowaną, niż się zwykle sądzi. Wiedza ludzi jest zarówno ilościowo jak i jakościowo bardzo różna. Różnie przedstawia się, k t o, c o i j a k uchwycił z nowego światopoglądu. Różne jest również to, w jakim stopniu ta teoria staje się praktyką. Teoria u poszczególnych ludzi w rozmaity sposób warunkuje praktykę. W praktyce życiowej nie ma takiego problemu, w którym nie przejawiałyby się w jakikolwiek sposób najważniejsze zagadnienia światopoglądowe naszego nowego życia. W przeciwieństwie do schematyzmu można by powiedzieć, że każdy człowiek opracowuje marksizm dla swoich potrzeb na swój sposób i zgodnie ze swoją indywidualnością. Nie chcę już mówić o tym, że rozwój każdego człowieka przebiega inaczej. Myślę, że pisarz wtedy przedstawi w sposób właściwy trzech robotników, jeżeli pokaże, że wszyscy trzej są marksistami, wszyscy trzej idą po linii Partii i że wszyscy trzej w różny sposób i indywidualnie przepracowują w sobie marksizm. Zadaniem pisarza jest przedstawienie w sposób zindywidualizowany siły ideologicznej poruszającej nasze życie. Pominąwszy wszystko inne, pisarz musi zgłębiać marksizm - leninizm przede wszystkim dlatego, że jeśli on sam pod względem uświadomienia stoi niżej od swych postaci, to nie będzie umiał tych postaci przedstawić. To więc jest ważną częścią zawodu pisarza; bez tego nasi pisarze nie potrafią dać obrazu naszego życia w jego istocie i rzeczywistym rozwoju, i właśnie poruszając decydujące zagadnienia ugrzęzną w schematyzmie.

Poszczególny człowiek jako taki nie istnieje ani w życiu, ani w literaturze. Człowiek staje się człowiekiem w stosunkach między ludźmi, w społeczeństwie. O tym wie każdy pisarz z własnego, indywidualnego doświadczenia. W nowym życiu nie można tych stosunków zrozumieć i obrazować bez znajomości marksizmu - leninizmu. Przecież całe nasze życie polityczne, gospodarcze i kulturalne regulują idee marksizmu-leninizmu i każdy wie, że nowe stosunki życiowe oddziaływują głęboko na życie osobiste ludzi: przyjaźń, miłość czy małżeństwo.

Mówię to wszystko dlatego, że pozostaje to w ścisłym związku z zagadnieniem k o n k r e t y z a c j i a r t y s t y c z n e g o p r z e d s t a w i a-

n i a. Wszystko to, co mówią klasycy marksizmu, co mówią przywódcy naszej Partii, mówią k o n k r e t n i e, wychodząc z o k o l i c z n o ś c i o k r e ś l o n y c h w m i e j s c u i c z a s i e.

Pomijanie tego konkretu — konkretnej siły w konkretnych okolicznościach— to tworzenie szablonu. Kto chce pogłębienia teoretycznego, niech przestudiuje artykuły językoznawcze, w których towarzysz Stalin wskazał na takie błędy i zniekształcenia.

Cytaty, konsultacje autorytatywnych towarzyszy nie wystarczają, jeśli pisarz nie zorientuje się, czy ta idea, czy ten cytat pasuje w ł a ś n i e d o t e g o konkretnego wypadku u tego konkretnego człowieka. W przeciwnym razie najtrafniejsze, najwspanialsze i najprawdziwsze zdanie będzie źródłem schematyzmu.

A więc korzenie błędu kryją się w tym, że znaczna część naszych pisarzy traktuje stwierdzenia, postanowienia partyjne naszych klasyków i przywódców w sposób odizolowany, tylko jako rezultat, jako streszczenie. W rzeczywistości sytuacja jest właśnie odwrotna. Każde stwierdzenie jest pojęciowym streszczeniem bardzo dużej ilości konkretnych doświadczeń, jest starannym myślowym skondensowaniem najogólniejszych rysów konkretnych doświadczeń. Jeśli ich użyje w sposób odizolowany czy to pisarz, czy funkcjonariusz partyjny, czy działacz gospodarczy — to będzie pracował schematycznie. To znaczy, że zagadnienie schematyzmu nie jest odizolowanym zagadnieniem literackim. Rzeczywistość jest zawsze konkretna; każda działalność odbywa się w rzeczywistości w określonych okolicznościach, czasie i przestrzeni, wśród określonych ludzi. Z tego względu, jeśli pisarz nie przepuści teorii marksizmu przez własne doświadczenie i jeśli nie wniesie jej przez własną fantazję do rzeczywistości — to nieodzownie rezultat będzie schematyzmem.

Ale dla pisarza to jeszcze nie wszystko. Pisarz powinien nie tylko odbyć drogę od tez oderwanych do rzeczywistości, lecz odejść od rzeczywistości do u o g ó l n i e n i a a r t y s t y c z n e g o, do stworzenia t y p u. Miarą poprawności treści ideologicznej w dziele nie jest więc powtórzenie uogólnień pojęciowych, nie jest przypadkowa ilustracja, lecz uogólnienie artystyczne: to znaczy przedstawienie tej samej rzeczywistości inaczej, przy pomocy typowych ludzi, typowych sytuacji. Od dialektycznej współzależności tych dwóch słów: „i n a c z e j“ i „t ę s a m ą“ zależy bardzo wiele.

W ten sposób dochodzimy do zagadnienia kompozycji, która nie sprowadza się tylko do zagadnienia artyzmu. Sądzę, że k o m p o z y c j a w p i e r w s z y m r z ę d z i e j e s t z a g a d n i e n i e m t r e ś c i i d e o l o g i c z n e j i że bez treści ideologicznej nie można stworzyć prawdziwej artystycznej kompozycji.

Towarzysz Fadiejew zwrócił uwagę pisarzy radzieckich na to, że często nawet w dobrych powieściach zdarzają się postacie zbyteczne. Co to znaczy? Dobra kompozycja — to zespolenie w jedność tego, co poszczególne, jednostkowe, to nadanie temu właściwego wyrazu ideologicznego i odpowiedniego kształtu artystycznego. Treść ideologiczna oderwana, pokazana nie w działalności ludzi i ich przeżyciach — to schematyzm. Postacie i sytuacje wyprane z treści ideologicznej, to właśnie postacie i sytuacje zbyteczne, o których mówił Fadiejew.

Mamy licznych pisarzy, którzy, mówiąc z pewną przesadą, opracowują treść ideologiczną w sposób następujący. Mówią sobie: chcę zobrazować tę i tę

epokę. Do tego muszę mieć: a) świadomego komunistę, b) odchyleńca prawicowego, c) odchyleńca lewicowego, d) prawicowego socjal-demokratę, e) lewicowego socjal-demokratę i tak dalej. Teraz następuje kompozycja, słowo kompozycja w cudzysłowie: niech będzie a) jego żona, b) kuzyn itd.

Właściwa kompozycja, to danie możliwości wyżycia się każdej postaci, właściwy wyraz treści ideologicznej.

Ideologii jednak dzieła literackiego, treści ideologicznej nie wolno redukować do treści ideologicznej i poziomu ideologicznego postaci. Nie mówiąc już o tym, że niektórzy pisarze burżuazyjni jak np. Faulkner przedstawiają po prostu całość z punktu widzenia idioty. Dekadencka literatura burżuazyjna staje się karykaturą.

Nie chciałbym być źle zrozumiany: nie chodzi o to, ażeby pisarz nie dawał obrazu tego, jak jeden człowiek oddziaływuje na drugiego, owszem, niech daje, ale niech to będzie czynnik napełniający i wzbogacający obraz rzeczywistości. Wskażę tylko na pewien krótki epizod z Anny Kareniny Tołstoja. Tołstoj opisuje, jak Daria Obłonskaja odwiedza Wrońskiego w jego majątku, i przedstawia ich stosunek do siebie. O czym jeszcze mówi? Mówi o tym, co myślała Daria Obłonskaja po drodze, jakie są jej doświadczenia i wrażenia, kiedy wraca do domu. Przedstawia, jak ujmuje Anna stosunek Wrońskiego do siebie i opisuje, jak ujmuje Wroński wzajemny stosunek swój i Anny. Wszystko to razem jest niesłychanie bogate. Gdyby Tołstoj ograniczył się do jednego tylko aspektu dałby nie bogactwo lecz ubóstwo.

Chciałbym pokrótce wskazać na jeszcze jedno zagadnienie kompozycyjne. Wielką słabością naszej literatury jest to, że utwory zaczynają się od pierwszego słowa, przy ostatnim słowie opada kurtyna i wszystko się kończy. To jest sprzeczne z życiem, szczególnie z życiem socjalistycznym. Problemy, które wyłaniają się na początku powieści, są produktami dłuższej czy krótszej przeszłości; jeżeli nie widzimy, z jakiego rzeczywistego podłoża wyrasta to konkretne zagadnienie, którym zajmuje się nasza powieść, nowela czy dramat, to wydaje się, że takie zagadnienie jest wzięte z powietrza, jest schematyczne.

Jest szczególnie źle, jeśli na zakończenie powieści lub dramatu kurtyna opadnie i każde zagadnienie zostało rozwiązane; powstaje ten nie do zniesienia happy end'yzm, który charakteryzuje niektóre nasze utwory. Na tym polu bardzo wiele moglibyśmy się nauczyć z wielkich dzieł literatury radzieckiej, od takich pisarzy jak Makarenko, Szołochow, Fadiejew, Kozakiewicz i Galina Nikołajewa. W ich powieściach dyskutowany problem — to perspektywa rozwiązania zagadnienia wyższego rzędu. Jeżeli nie potrafimy zagadnienia „skąd i dokąd" wprowadzić do naszych utworów, jeśli brak w nich rzeczywistej dialektyki życia, to obraz staje się nieodzownie schematyczny.

Te zagadnienia wprowadzają nas w sedno problemu kompozycji; akcja powinna być uzmysłowieniem punktów węzłowych rozwoju konkretnych ludzi. Dlaczego akcja jest podstawą każdego ujęcia epickiego i dramatycznego? Dlatego, że jest odbiciem najważniejszych momentów życia człowieka i życia społeczeństwa. Człowiek, istotne cechy jego indywidualności wychodzą na jaw w obliczu działania.

Wniosek dla literatury: akcja utworu powinna uzmysłowić punkty węzłowe rozwoju konkretnych ludzi. Jeśli dzieło jest naprawdę realistyczne, czyli obrazuje typowych ludzi w typowych sytuacjach, to te punkty węzłowe są jednocześnie punktami węzłowymi treści

ideologicznej. Pisarz tylko wtedy stworzy prawdziwą akcję i prawdziwą kompozycję, jeśli ta wynika organicznie z życia konkretnego człowieka, w którym uzmysłowi się treść ideologiczna. W zeszłym roku Ilia Erenburg wymienił różne odmiany schematyzmu. Zwykle w fabryce panuje całkowity porządek (A) przyjdzie szkodnik i zacznie działać (B), fabryczna organizacja partyjna jest niezaradna (C), zjawia się przedstawiciel dzielnicowej organizacji partyjnej (D) i naprawi sprawę. Ilia Erenburg ośmieszył tę metodę kompozycyjną, która nie przedstawia konkretnego życia konkretnych ludzi, z którego wyrastają punkty węzłowe treści ideologicznej.

Naturalnie, jeśli pisarz jest zdolny, to może i w ten sposób skonstruować tak zwaną ciekawą akcję, ale tu nasuwają się możliwości powstania zbytecznych postaci, napiętnowanych przez Fadiejewa.

Co jest przyczyną tych wszystkich błędów? Wydaje mi się, że błędne założenie, jakoby treść ideologiczna i życie — to dwie różne sprawy. A przecież właśnie obiektywna rzeczywistość (i subiektywność przeżycia i doświadczenia pisarza) nie są dwiema różnymi sprawami, nie są dwoma światami, lecz splatającymi się nieodłącznie momentami tej samej rzeczywistości. Jeśli więc tutaj, tak jak już wiele razy przedtem, zwracam uwagę moich kolegów pisarzy na konieczność uczenia się, uczenia i raz jeszcze uczenia, to naukę wyobrażam sobie nie tak, że ktoś usiądzie i przeczyta wszystkie trzy tomy Kapitału a następnie „zwróci się do życia", ażeby tę wiedzę zastosować. Z tego absolutnie nic nie wyjdzie. Trzeba wiedzieć, że szczególnie w naszym życiu socjalitycznym przeżycie, doświadczenie i spostrzeżenie bez należytego wyjaśnienia teoretycznego jest puste, ślepe, wisi w powietrzu, nie znajdzie swego miejsca w kompozycji artystycznej i właśnie dlatego jako przeżycie, jako artystyczny kształt przeżycia nie może osiągnąć pełni wyrazu. Z drugiej strony przyswajanie sobie treści ideologicznej w oderwaniu i takie jej stosowanie jest tak samo puste i prowadzi nieodzownie do schematyzmu.

Idę dalej — niedostateczność jednego z tych czynników to w sposób nieunikniony powierzchowność drugiego. Co charakteryzuje prawdziwego pisarza? Czyżby opanowanie warsztatu? Jestem przekonany, że w pierwszym rzędzie co innego. Według mego przekonania człowieka czyni pisarzem namiętność, z jaką pragnie poznać życie w całej jego głębi, bogactwie i przeciwnościach, że człowieka czyni pisarzem chęć przedstawienia w całej pełni tej głębi, bogactwa i konfliktów. Człowieka czyni pisarzem ta namiętność, w której łączy się poznanie i umiłowanie nowych, postępowych i istotnych cech naszego życia z szukaniem takiej formy, która zachowując kształt indywidualny, swoisty, jest równocześnie typowa, ciężko wywalczona i odpowiadająca treści ideologicznej.

Tę namiętność znajdziemy u każdego klasyka. Jestem przekonany, że tylko z bogatego życia da się wyprowadzić bogata literatura. Właściwym źródłem błędów schematyzmu, który u każdego pisarza przejawia się w inny sposób, jest to, że życie pisarza nie jest dostatecznie bogate, że jego myśli i uczucia są ubogie, oderwane i schematyczne; treść ideologiczna jest uboga i oderwana i dlatego jej kształt artystyczny jest schematyczny. Życie czyni bogatym miłość i nienawiść, namiętny stosunek do przedmiotu, pęd do pogłębienia poznania, namiętny stosunek do ludu, do jego potrzeb, głęboka świadomość funkcji społecznej literatury.

Jeśli teraz te momenty uwypuklam, to proszę nie sądzić, że pomniejszam znaczenie kształtowania artystycznego. Ale byłoby dekadenckim, burżuazyjnym przesądem uważać, że kształtowanie artystyczne jest niezależne od życia, co więcej — sprzeczne z życiem.

Chciałbym każdemu młodemu pisarzowi — jak również starszym, którym się zdaje, że zagadnienie twórczości i kompozycji, to tylko zagadnienie artystyczne — dać do ręki studium Gorkiego Myśli o moim zawodzie i książeczkę Majakowskiego Jak należy pisać wiersze?

Jakkolwiek indywidualność poetycka Majakowskiego różni się od indywidualności Gorkiego, w jednym zagadnieniu są zgodni: w podkreślaniu bogactwa życia jako warunku prawdziwej literatury. Majakowski mówi: „Dobry wiersz można tylko wtedy na czas przygotować, jeśli ma się w zapasie dostateczną ilość półproduktu". Majakowski mówi szczegółowo o tych półproduktach, które rozumie jako utrwalenie różnych przeżyć i spostrzeżeń ilustrujących życie. Wyraźnie podkreśla: „Nie mam pojęcia o tym, na co potrzebne mi będą w przyszłości, lecz wiem, że wszystkie, co do jednego wykorzystam". Do każdego wiersza okolicznościowego podchodzi Majakowski z całym zapasem obserwacji życiowych. Majakowski mówi, że wiersz napisany na śmierć Jesienina musi mieć określoną, ostrą wymowę ideologiczną, musi objąć najważniejsze zagadnienie ówczesnego, rosyjskiego życia kulturalnego, szczególnie życia literackiego w tym okresie, nawiązując do konkretnych okoliczności: „na miejsce łatwego piękna śmierci trzeba postawić inne piękno".

Korzenie ludzkiego i literackiego schematyzmu tkwią więc w ubogim życiu doprowadzającym nieodzownie do namiastek, do schematyzmu. Brak konkretnego i bogatego doświadczenia życiowego, to źródło namiastki i schematyzmu. „Naturalista" zbyt szybko uogólnia, mówi Gorki, i to również dotyczy schematyzmu. Uzupełnieniem doświadczenia jest oczywiście literacka fantazja, lecz ta fantazja jest również oderwana, schematyczna i uboga, jeśli nie wyrasta z bogactwa doświadczeń życiowych. Kogo to zagadnienie interesuje, polecam wspomnienia Gorkiego o Leonidzie Andrejewie.

Sam nie jestem pisarzem, tylko krytykiem i essay'istą, lecz z pięćdziesięcioletniego doświadczenia mogę powiedzieć: jeśli przygotowywałem się do jakiegoś studium i przy napisaniu studium nie odrzuciłem czterech piątych części tych notatek, które sporządziłem, to napisałem zły artykuł. Artykuł, który pochłonął wszystko, co było w moim posiadaniu na ten temat, był zawsze zły i nie zdaje mi się, żeby twórczość artystyczna miała się pod tym względem istotnie różnić.

Dochodzę do końca moich wywodów. Wielu może powie, że stosowałem zbyt wysoką miarę. Na to już odpowiedział na Kongresie Literatów towarzysz Revai, kiedy przytaczał wypowiedź towarzysza Stalina: „Bądźcie takimi jak Lenin" — podkreślając, że Stalin wiedział bardzo dobrze, iż każdy robotnik nie mógł być taki jak Lenin. Znowu z doświadczenia pięćdziesięcioletniego życia literackiego mogę powiedzieć: człowiek musi swoje zamiary mierzyć najważniejszymi osiągnięciami. Jeśli będzie pocieszał się tym, że są rzeczy gorsze — nigdy nie stworzy nic dobrego.

Każde dzieło będzie takie, jakim go pisarz uczyni własną pracą, z pełnym poczuciem odpowiedzialności wobec tych zadań, które stawia przed nami życie. Prawda zawsze przynosi korzyść, nawet jeśli jest nieprzyjemna. Mało, bardzo mało, prawie nic nie uczyniliśmy w celu

zwalczenia schematyzmu. Jeśli jednak weźmiemy to pod uwagę, jeżeli przyznamy to szczerze i jeśli postanowimy poważnie, że czynami, czynami literackimi i kształtowaniem naszej ludzkiej i literackiej postawy będziemy walczyli przeciwko schematyzmowi i o rzeczywiste pokonanie schematyzmu, to nasze spotkania będą bardzo korzystne i owocne dla naszej literatury.

Odpowiedź na głosy w dyskusji

Przede wszystkim chciałbym podkreślić cel tego referatu. Celem referatu było to, ażeby pisarze w związku z zagadnieniem schematyzmu szukali w sobie błędu. Zdaje mi się, że w tym kierunku szła dyskusja. Dlatego celowo nie mówiłem ani o zagadnieniu lektorów, ani o zagadnieniu niewłaściwej krytyki. Proszę nie myśleć, że jestem zachwycony dzisiejszym stanem węgierskiej krytyki. Nie myślcie też towarzysze, że w krytyce i w historii literatury (jak w rodzeństwie) nie ma akurat tyle schematyzmu, ile w literaturze pięknej.

Z tego zdaję sobie sprawę, ale dziś celowo odsunąłem te zagadnienia, bo wśród pisarzy było i jest jeszcze dziś przeświadczenie, że powodem zła jest lektor, krytyk lub ktoś inny. Przyznam, że częściowo i te przyczyny działają, ale chciałbym, ażeby pisarze zrozumieli, że zasadnicze zło leży w nich samych.

Wyłoniło się zagadnienie stosunku języka do obrazowania. W tym przedmiocie nie ma żadnego szablonu. W rzeczywistości sytuacja jest tego rodzaju, że nasi liczni funkcjonariusze mówią językiem gazetowym. To jest fakt, z którym należy się liczyć. Jeśli wszystkie postaci mówią jednakowo językiem gazetowym, to jest to tylko naturalistyczna i schematyczna kopia rzeczywistości. A więc w tym, co ludzie mówią, trzeba dać odczuć to wszystko, co właściwie myślą i czują, jacy są, jaka była droga ich rozwoju. Tego rodzaju podejście bezwzględnie rozsadzi ten język, którym mówią ludzie. Chłopi rosyjscy nie mówili tak, jak każe im mówić Tołstoj, ani chłopi francuscy nie mówili tak, jak czytamy u Balzaka. Mówią oni jednak głęboką prawdę.

Idę dalej. Nie bierzcie mi za złe, jeśli wypowiem pewną myśl, która mnie od dawna nurtuje.

Dynamika wewnętrzna postaci określa jej język. Możliwe jest i takie przedstawienie, w którym postać mówi „językiem codziennym", a jednak nie jest ono schematyczne, bo czuje się, że styl ten jest wyrazem wewnętrznej dynamiki. Czyli — zagadnienia stylu nie wolno oddzielać od zagadnienia treści ideologicznej. Zdarza się u nas, że pisarz ma jakiś szablon językowy, którego stale używa. Wielkość największych poetów przeszłości — mam teraz na myśli Goethego i Puszkina — polega między innymi na tym, że styl ich języka rodzi się jakby w każdym wierszu i wynika z patosu i dynamiki treści.

Marks, Engels, Lenin i Stalin mądrze ukazali w każdej poszczególnej, konkretnej sytuacji zawikłane zróżnicowanie społeczne i równocześnie tę linię, która wskazuje kierunek przyszłości, kierunek naprzód. Całym sercem kochać tych, którzy idą w przyszłość, a całym sercem nienawidzić tych, którzy chcą przeszkodzić w marszu ku przyszłości — to właściwa postawa pisarza i właściwe podłoże kształtowania treści ideologicznej i jej wyrazu słownego.

György Lukacs

BRONISŁAW ČIRLIČ

Christo Botew a Polacy

Pisarze bułgarscy mogą się poszczycić tym, że niemal zawsze szli ze swoim ludem. W zaraniu walk narodowych o wyzwolenie z pięciowiekowej niewoli tureckiej do wybitnych rewolucjonistów i bojowników o wolność narodową i społeczną należeli tacy pisarze jak Christo Botew i Liuben Karawełow, piórem zaś służył sprawie narodowej Iwan Wazow i wielu innych. Podczas powstania robotniczo-chłopskiego 1923 roku większość pisarzy bułgarskich wyrażała podziw dla bohaterstwa bułgarskich robotników i chłopów jak również ostry protest przeciwko represjom zamachowców monarcho - faszystowskich, chociaż postawa taka nieraz pociągała za sobą prześladowania, więzienie i tortury. W ciągu prawie dwudziestu następnych lat, w warunkach ciężkiego, bezwzględnego ucisku wszyscy postępowi pisarze bułgarscy bronili sprawy powstania wrześniowego 1923 roku i stali po stronie ludu pracującego w jego walce z monarchią i kapitalistami bułgarskimi. Nie jeden z nich podzielił los bojowników — powędrował do obozu koncentracyjnego, został rozstrzelany, zawisł na szubienicy czy też przepadł bez wieści. Wystarczy choćby wspomnieć bestialsko pomordowanych dwa lata później trzech natchnionych poetów: Geo Milewa, Christo Jasenowa i Sergeja Rumiancewa, czy też rozstrzelanego w 1942 roku proletariackiego poetę Mikołaja Wapcarowa. W Ludowej Bułgarii dzień 2 czerwca został ogłoszony świętem narodowym dla uczczenia wszystkich poległych w walce o wolność narodową i społeczną. 2 czerwca bowiem 1876 roku poległ na czele oddziału powstańczego rewolucjonista i największy poeta bułgarski — Christo Botew.

Poezja Christo Botewa krzepiła patriotów bułgarskich. Pióro żarliwego publicysty służyło sprawie wolności, zapisując w pamięci narodu niezapomniane słowa: „Kto w krwawym boju padł za swobodę, ten nie umiera". Wkrótce po strofach opiewających bohaterskie czyny swych rodaków Botew sam porwał za broń. Po długiej tułaczce na emigracji poległ na czele swego oddziału. Słowa pieśni Botewa stały się potwierdzeniem wielkiej prawdy przede wszystkim o nim samym. Żadnego bowiem spośród swych bohaterów i poetów naród bułgarski nie otoczył taką miłością, pamięcią i aureolą sławy, jak właśnie przedwcześnie poległego w walkach z najeźdźcą Christo Botewa. Życie jego stało się symbolem umiłowania ojczyzny i wolności, imię jego sztandarem rewolucyjnym dla wielu pokoleń, pieśni jego i artykuły wezwaniem bojowym. Czerpiąc natchnienie do walki i twórczości poetyckiej z życia i dążeń wolnościowych ludu bułgarskiego, był mu bliski zarówno czynem rewolucyjnym jak utworami. Dlatego też wszystkie niemal utwory poetyckie Botewa przyswoił sobie lud bułgarski jak swoje własne. Drukowano je nawet razem z bezimiennymi pieśniami ludowymi. Większość z nich śpiewa się na wieczorynkach, weselach i odpustach, w szkołach. Na modłę wiersza Botewa została utworzona niejedna pieśń bojowa, zapożyczająca tematykę, ogólny ton czy poszczególne elementy z pierwowzoru. Lud bułgarski nie poprzestał jednak na tym. Sam zaczął opiewać poetę, który o cierpieniach i walkach ludu pieśni układał, zachowując pamięć o nim i jego drużyn-

nie, o ich bohaterskiej śmierci w walce o wolność ojczyzny. Śpiewał, że Botew nie zginął, że żyje, szły słuchy i opowieści, że wróci znowu do Bułgarii. Z Christo Botewem, z jego strofami na ustach szedł lud bułgarski do boju o wyzwolenie narodowe i społeczne w powstaniu robotniczo - chłopskim 1923 roku, w manifestacjach i demonstracjach przeciwko wyzyskiwaczom i monarcho-faszyzmowi w okresie międzywojennym, do walki z najeźdźcą niemieckim i jego pachołkami. Podczas ostatniej wojny partyzanci brali za wzór jego życie i bohaterską śmierć, oddziały partyzanckie i wolna rozgłośnia nosiły jego imię. W dzisiejszej zaś ludowej ojczyźnie Botewa pieśni jego i pieśni o nim śpiewają młodzi budowniczowie socjalizmu.

Najbardziej postępową ideologią swych czasów i walką o ideały ogólnoludzkie Botew bliski jest także całej postępowej ludzkości. Walczył bowiem o sprawiedliwość społeczną i wolność nie tylko własnego narodu. Solidaryzował się z Komuną Paryską i ruchami rewolucyjnymi i demokratycznymi innych narodów. Występował przeciwko niewoli, tyranii i wyzyskiwaczom. Będąc wielkim patriotą nie przestał być jednocześnie prawdziwym internacjonalistą; umiłowanie ojczyzny i własnego narodu łączył bowiem z ukochaniem całej ludzkości.

Botew jest szczególnie bliski narodom słowiańskim. Nie podzielał jednak nigdy poglądów reakcyjnych rosyjskich panslawistów, którzy pod przykrywką haseł wszechsłowiańskich przemycali zaborcze dążenia carskiego imperializmu. Stał po stronie ludu rosyjskiego walczącego z caratem, głosił jedność słowiańską na zasadzie zachowania wolności i niepodległości poszczególnych narodów słowiańskich i zapewnienia im wolnego bytu i rozwoju. Cieszył się ze zbliżenia rewolucjonistów polskich do rewolucjonistów rosyjskich, którzy podczas Powstania Styczniowego opowiadali się za niepodległością Polski i stali po stronie Polaków, świadomi, że skuwa ich ten sam łańcuch. Botew współczuł i solidaryzował się z walką Polaków z caratem, interesował się dziejami i kulturą narodu polskiego, przyjaźnił się z powstańcami polskimi, współpracował z nimi w swej działalności rewolucyjnej, uczył się i czerpał z ich doświadczenia i dorobku rewolucyjnego.

Nici łączące największego rewolucjonistę i poetę bułgarskiego z Polską i Polakami są ciekawe i znamienne. Wódz narodu bułgarskiego, L. G. Dymitrow, mówił, że w kształtowaniu się postaci rewolucyjnej Botewa niepoślednią rolę odegrali rewolucjoniści polscy — czynni uczestnicy czy też ofiary Powstania Styczniowego. Botew zetknął się z Polakami jeszcze w roku 1863 w Odessie, dokąd przybył jako stypendysta rządu rosyjskiego. Wyniósłszy z domu ojcowskiego pewną znajomość języka rosyjskiego, od razu zabrał się do studiowania rosyjskiej literatury pięknej i politycznej. Czytywał utwory Puszkina, Lermontowa i Niekrasowa, czy też Turgieniewa, Gogola, Hercena, Dobrolubowa i Pisariewa. Z powodu niedopełnienia egzaminów, a właściwie za szerzenie „niebezpiecznych" poglądów politycznych, został po dwóch latach pozbawiony stypendium. Botew znalazł się na odesskim bruku bez środków do życia. Ostatnich rubli nie użył na powrót do ojczyzny, pozostając w Odessie jeszcze z górą rok.

W tym czasie ulubioną książką Botewa była powieść Czernyszewskiego C o r o b i ć? Podobnie jak znaczna część młodzieży rosyjskiej młody Botew uległ urokowi Rachmietowa. Naśladował go — zapuścił włosy, przestał dbać o wygląd zewnętrzny, szukał towarzystwa

włóczęgów i lumpenproletariuszy i niejedną noc z nimi spędził. Zaprzyjaźnił się wówczas z pewnym lekarzem-Polakiem, a za jego pośrednictwem z rodziną pewnej Polki, wdowy, internowanej w Odessie po upadku Powstania Styczniowego. Botew często odwiedzał ich dom, później nawet mieszkał u nich aż do opuszczenia miasta.

Powstanie polskie już wtedy nasunęło mu myśl o przyszłym powstaniu bułgarskim, myśl, która go już nigdy nie miała opuścić. Współżycie z Polakami i postępową młodzieżą rosyjską dostarczało mu podniety do działania, a ideologia ruchu radykalnego wskazała drogę walki o wyzwolenie narodowe i społeczno-polityczne jego własnego kraju. Z Odessy wyniósł protest przeciwko ciężkiej rzeczywistości, tyranii i niewoli, bunt przeciwko wszystkiemu, co stoi na drodze do wolności i szczęścia jego narodu oraz ujarzmionych i uciskanych narodów Polski, Włoch, Ameryki, Bałkanów.

Rok 1868 zastaje Botewa w stolicy Rumunii, dokąd przybył wraz z brailską trupą teatralną. Wieści o tragicznym losie oddziału powstańczego Hadżi Dymitra, z którym wiązano wielkie nadzieje, wywołały wśród emigracji bułgarskiej zwątpienie i rozpacz. Wieści te boleśnie dotknęły Botewa, wraz z nimi runęły jego marzenia o zwycięskiej rewolucji, o powstaniu narodowym i jego w nim udziale. Ponadto poeta znalazł się w nadzwyczaj ciężkim położeniu materialnym. Zmuszony był szukać schronienia w jakimś opuszczonym wiatraku na peryferiach Bukaresztu, gdzie nieco później zamieszkał wraz z nim znany rewolucjonista i bohater walk narodowo-wyzwoleńczych Bułgarii — Wasyl Lewski. Zaledwie co drugi względnie trzeci dzień udawało im się zdobyć trochę chleba, a ostra zima i brak opału dawała się we znaki. Położenie Botewa uległo poprawie, gdy grupa młodszych emigrantów zaczęła wydawać z początku 1869 roku pismo humorystyczne Tapan (Bęben). Pismo to śmiało atakowało rusofilski odłam emigracji, skupiający się dokoła tzw. Stowarzyszenia Dobroczynnego, wypatrującego wyzwolenia jedynie ze strony Rosji carskiej. Bardziej umiarkowani zaczęli opuszczać grupę „Tapanarów", skład redakcji i współpracownicy pisma stale się zmieniali. Najaktywniejszy i najbardziej utalentowany współpracownik — Christo Botew — pozostał. Odpowiadała mu atmosfera i ideologia tej grupy, pierwszego zalążka przyszłej partii rewolucyjnej. Do grupy wciągnął również swego przyjaciela, młodego malarza polskiego, powstańca Henryka Dębickiego, który po upadku Powstania Styczniowego przedostał się do Rumunii. Przyjaźń Botewa i Dębickiego znalazła wyraz w ścisłej współpracy na terenie pisma *). Zorientowany w sprawach bułgarskich Botew podsuwał Dębickiemu pomysły, dostarczał portrety wyśmiewanych osób i pisał teksty do karykatur Henryka. Współpracy tej Bułgarzy zawdzięczają pierwsze satyry rysunkowe i pierwsze karykatury w swej prasie w ogóle. Dębicki pozostawił w spuściźnie 56 karykatur związanych z życiem emigracji bułgarskiej i walkami politycznymi dwóch jej odłamów — postępowych „Młodych" i reakcyjnych „Starych". Jak bardzo był Dębicki związany z rewolucjonistami bułgarskimi i jak przejął się sprawą patriotów bułgarskich, świadczą również jego portrety rewolucjonistów bułgarskich: Hadżi Dymitra, Georgi Rakowskiego, Angela Kanczewa i innych.

---

*) Silianowska - Dymitrowa Tatiana: Karikaturite na H. Dębicki waw wstuicite „Tapan" i „Budielnik", „Balgarskata Akedemija na Naukite" i „Naucen Instita Christo Botew", Sofia, 1949.

Wiosną 1869 roku znowu następuje znaczne ożywienie i poprawa nastrojów wśród emigracji bułgarskiej. Przyczynił się do tego między innymi przyjazd do Rumunii znanego publicysty, pisarza i działacza rewolucyjnego — Liubena Karawełowa, dopiero co zwolnionego z więzienia budapeszteńskiego, gdzie trzymano go pod zarzutem udziału w zamachu na księcia serbskiego Michała. Po rocznym pobycie w Bukareszcie Karawełow i Lewski zorganizowali spotkanie wielu wybitnych działaczy ruchu rewolucyjnego, na którym powzięto decyzję o utworzeniu Bułgarskiego Komitetu Rewolucyjnego i ułożono program jego działalności. Nowy duch, który ożywił ruch rewolucyjny, wciągnął również Christo Botewa, który teraz porzucił myśl o samotnym powrocie do ujarzmionego kraju. Jako nauczyciel bawi w tym czasie w miasteczku Aleksandria, później w Izmailu, gdzie poznał Siergieja Gienadiewicza Nieczajewa (1847—1882). Ten wielki rewolucjonista rosyjski marzył o tym, by kontynuować pracę Bielińskiego, Czernyszewskiego i Dobrolubowa. Chciał stworzyć partię rewolucyjną o surowej organizacji i dyscyplinie, jakiej jeszcze nie znało rosyjskie życie polityczne. Zadaniem tej partii miała być walka z caratem, celem zaś ostatecznym ustrój komunistyczny *). Prześladowany wszędzie Nieczajew dopiero co przybył z Paryża, gdzie walczył w szeregach komunardów pod dowództwem Jarosława Dąbrowskiego, który mu powierzył obronę jednej z głównych barykad. Tym bohaterskim komunardom przesyła Botew w roku 1871 w imieniu rewolucyjnych emigrantów bułgarskich telegram z serdecznymi braterskimi pozdrowieniami od komuny bułgarskiej. Rozgoryczony wrogim stanowiskiem reakcyjnej prasy bułgarskiej i europejskiej, które stekiem kłamstw i obelg obrzuciły Komunę Paryską, Botew wystąpi z płomienną, wzruszającą obroną Komuny Paryskiej w Śmiesznym płaczu. Wrogom Komuny rzucił w twarz:

„Przeklinajcie komunistów za to, że zrujnowali waszą stolicę i umierali ze zbójeckimi dla was słowami: wolność albo śmierć, chleb albo kula!... Obrzucajcie błotem i kamieniami mogiłę Dąbrowskiego za to, że nie był sługą jakiejś koronowanej głowy, lecz bojownikiem wielkiej idei, za to, że twardo stawił czoła zdrajcom Francji i sprawcom tylu klęsk ludzkości. — Cały świat opłakał Paryż, cały świat przeklął komunistów; biedna nasza prasa także nie pozostawała w tyle i ona zapłakała nad tym, co bezduszne, i przeklęła to, co rozumne. Śmieszny płacz!"

Nieczajew wywarł niemały wpływ na Botewa i jego towarzyszy. Za jego radą utworzyli socjalistyczne stowarzyszenie bezdomnych (proletariuszy) emigrantów bułgarskich. Projektowano własną drukarnię, własne pismo, bibliotekę, własny program i statut. Stowarzyszenie to miało nawiązać kontakt z pozostałymi socjalistami i spiskowcami Europy. W imię tego wielkiego i szlachetnego celu Nieczajew (występujący na terenie Rumunii pod pseudonimem „Floresko" i „Iwan Iwanowicz" i przez niektórych biografów, współczesnych Botewowi, uznawany za Polaka) zalecał wszelkie dozwolone i niedozowolone środki, wyrzeczenie się „nikczemnej etyki burżuazyjnej", a tzw. „własność burżujów" uważał za zrabowany biednym majątek złodziejów. Przekonany o słuszności tej tezy Botew wraz z towarzyszami, wśród których bywali również nieczajewscy Rosjanie, Ukraińcy i Polacy, brał udział w niejednej noc-

*) Bakałow Georgi: Ruskite prijateli na Ch. Botew, „Hemus" — Biblioteka „Zname", Sofia, 1937; Dzierżawin N. S.: Christo Botew, poet - riewoljucioner, wyd. Akademii Nauk ZSRR, Moskwa, 1948.

nej „ekspropriacji" bogaczy bułgarskich w Braili i Galacu, w celu zdobycia środków na działalność rewolucyjną i organizowanie oddziałów powstańczych. Pamięć o tym przekazał nam Botew w podpisie na fotografii ofiarowanej Weliczkowi Popowowi: „Na pamiątkę naszych wyczynów komunistycznych". W sprawę tę wmieszał się konsul rosyjski, który zwrócił uwagę władz rumuńskich na działalność Floreska (Nieczajewa), Botewa i jego rosyjskich i polskich towarzyszy. Nieczajew uciekł do Szwajcarii; schwytany i wydany carskiej policji zakończył życie w twierdzy pietropawłowskiej. Pozostali rozpryśli się w różne strony. Botew, który odsiedział kilka miesięcy w więzieniu, pozostał jednak pod urokiem Nieczajewskiego ducha rewolucyjnego, jego energii i wytrwałości, jego rewolucyjnego zmysłu i etyki rewolucyjnej. Utrzymywał stały kontakt z rewolucjonistami rosyjskimi i polskimi, pomagał im w kolportowaniu bibuły oraz w przerzutach i ukrywaniu ludzi. Współpracował z rosyjską prasą emigracyjną. O kontaktach z rewolucjonistami rosyjskimi oraz polskimi świadczy także biblioteka Botewa, zawierająca takie pozycje jak: Polarnaja Zwiezda Hercena, Kołokoł Ogariowa i Nieczajewa, wiersze rosyjskich poetów rewolucyjnych, proklamacje oraz książki polskie *). Tytuły tych książek niestety nie zachowały się, gdyż biograf poety nie potrafił odczytać ani zapamiętać ich nazw. Przypuszczać należy, że historycy literatury wyjaśniają zarówno ten, jak wiele innych ciekawych momentów wyraźnie wskazujących na związki Botewa z rewolucjonistami polskimi. Do tych badań nie mało materiału dostarcza nam sam Botew w swej publicystyce, narzędziu propagandy sprawy narodowo-wyzwoleńczej i rewolucyjnej.

Botew rozstrząsający niejedno zagadnienie natury politycznej czy też kulturalnej nieraz ucieka się do skojarzeń z zakresu minionych czy też współczesnych mu spraw polskich. Czyni to jak nikt przed nim i jak rzadko kto po nim. Pod tym względem śmiało możemy nazwać Botewa pierwszym nowoczesnym znawcą spraw i dziejów polskich wśród Bułgarów nowszych czasów. To Botew w piśmie przez siebie wydanym i redagowanym Zname (Sztandar), r. I, nr 12, z 11 kwietnia 1885 roku, zaczyna ogłaszać przekład powieści Kirdżali Michała Czajkowskiego, późniejszego Sadyk Paszy, wydanej w Lipsku w r. 1839. Według niektórych biografów przekładu miał dokonać brat poety — Stefan Botew. Ale to nie zmienia faktu, że Botew przyczynił się do opublikowania i udostępnienia Bułgarom tej powieści autora polskiego.

Botew znał Michała Czajkowskiego i jako pisarza, i jako polityka, znał Jarosława Dąbrowskiego i Adama Czartoryskiego. O tym ostatnim wspomina w korespondencji z Wiednia (16—29 sierpnia 1873 roku), w skardze posłów bośniackich do dyplomatów europejskich. Drwi tutaj z manewrów i obłudy tejże dyplomacji, dając równocześnie na marginesie krótkie, zwarte charakterystyki niektórych polityków, słowianofilów i działaczy ówczesnych, których nazywa bardzo wykształconymi staruszkami, powtarzającymi pewne swoje żelazne tematy, jak np. Czartoryski — „o mękach piekielnych i podróżach po mękach błogosławionej Teodory". Z korespondencji Botewa można się domyśleć, co sądzi autor o tym polityku, tak różnym od rewolucjonisty i komunarda J. Dąbrowskiego. W artykule z okazji obchodu dnia Cyryla i Metodego (Name, z 8—21 maja 1875 roku) chłoszcze fałszywych patriotów, których walka

*) Ch. Botew: Neizwestni proizwedenija.

o wyzwolenie ojczyzny ogranicza się do płomiennych przemówień na bankietach i toastów. Botew mówi: „Tak spędziła nasza emigracja dziesięcioletni żywot na Wołoszczyźnie, tak my z roku na rok każdego 11 maja wyzwalamy swą nieszczęsną ojczyznę. Głodni i nadzy siedzą na brzegach Dunaju i opłakują Bułgarię, a syci i spasieni uczą nas, że człowiek wprzód powinien być pożyteczny dla samego siebie, a dopiero potem dla ojczyzny. O patrioci, patrioci! O, kameleoni, kameleoni! Gdzie jest bułgarski Naruszewicz, by upadł przed wami na kolana i zawołał: „Woły, osły i bydło wszelakie, chwalcie Pana Boga!“

Antycarskie nastawienie rewolucyjnego odłamu emigracji bułgarskiej oraz emigracji polskiej wywoływało ataki reakcji bułgarskiej na patriotów-rewolucjonistów za „tendencje polskie“. Christo Botew nieraz odpowiadał na te ataki, demaskował i wyśmiewał ich reakcyjny charakter: czy to może Polacy temu winni, że Bułgaria znosi jeszcze jarzmo niewoli? *) W wielu wypowiedziach Botew wyraża duże sympatie dla „nieszczęsnej ojczyzny Kościuszki“ i współczucie dla cierpień narodu polskiego, które oby nie stały się udziałem jego narodu. Na innym miejscu Botew piętnuje tych kolonistów bułgarskich, którzy w szeregach wojska rumuńskiego brali udział w potyczce z powstańcami polskimi, gdy ci próbowali przedostać się podczas Powstania Styczniowego do Polski. Patrząc z optymizmem na przyszłe losy Słowiańszczyzny, Botew wyraża nadzieję, że pod naciskiem ludu rosyjskiego Rosja przestanie „okrutnie gnębić swych braci Polaków“ i że raz na zawsze dojdzie do polsko-rosyjskiego zbratania i porozumienia między wszystkimi narodami słowiańskimi. Wtedy to, jego zdaniem, Słowianie będą mogli rządzić sobą, dzielić ziemię i swoje mienie, jak rodzeni bracia dzielą to, co otrzymali w spuściźnie. „Rządy się zmieniają, przekonania dyplomatów też, poszczególne osobistości umierają, a narody żyją, idą naprzód i przygotowują się do walki o lepszą przyszłość.“ **)

Rok 1875 — to rok niesnasek i nieporozumień w łonie rewolucyjnego odłamu emigracji bułgarskiej. Choć powstanie w Bułgarii, z września 1875 roku, w okręgu starozagorskim nie powiodło się, nie złamało to jednak wiary poety w potrzebę i możliwość rewolucji. Zresztą fakt, iż stutysięczna armia turecka nie mogła uporać się z powstańcami hercegowińskimi, poruszenie opinii europejskiej wypadkami na Bałkanach oraz bankructwo Turcji, która odmówiła wypłaty długów — wskazywał, że istotnie nadszedł najodpowiedniejszy moment do rozstrzygnięcia kwestii bułgarskiej. Powstanie w Hercegowinie zmusiło mocarstwa europejskie do wmieszania się w sprawy turecko-bałkańskie, przynajmniej w celu udaremnienia wykorzystania wydarzeń w tej części Europy przez jedno z państw współzawodniczących i umocnienia na Bałkanach swych własnych wpływów. Ponadto prasa nadmiernie rozdmuchała całą sprawę, tak że wywołało to niemałe wrzenie wśród ujarzmionych, względnie częściowo już wyzwolonych, narodów i krajów bałkańskich. Botew, śledzący pilnie prasę europejską, dobrze zorientowany w manewrach dyplomacji, za którą stali „carowie kapitału“, pisał w owych dniach: „Naród jest przygotowany, okoliczności sprzyjające i większa pomoc nad tę, jaką nam okazuje Hercegowina i jaką nam okażą Czarnogórze i Serbia, jest niemożliwa i nie do pomyślenia. Nie należy zwlekać. Jeśli

*) Ch. Botew: Sacinenija, t. III, str. 64, 67, 325—326.

*) Ch. Botew: Sacinenija, t. I, str. 428.

przepuścimy tę okazję, jesteśmy zgubieni". Botew był przekonany, iż w sprzyjających warunkach zewnętrznych i przy takim nastroju rewolucyjnym, jaki wówczas panował wśród narodu bułgarskiego, wystarczy nawet jeden oddział przysłany z zewnątrz, by wzniecić iskrę powstania w kraju. Pod hasłem „Nadszedł już czas, abyśmy pokazali swe zdolności i patriotyzm" Botew całkowicie poświęcił się sprawie organizowania takiego oddziału. W ostatnich dniach kwietnia 1876 roku oddział został uformowany, a w połowie maja tegoż roku uzbrojony i gotów do wyprawy.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa i tutaj doświadczenie powstańców polskich przyszło Botewowi z pomocą. Stale przyjaźniąc się z Polakami w Odesie, jak również na terenie Rumunii, Botew nie mógł nie wiedzieć o bardzo popularnych wśród Polaków dwóch wyprawach powstańców polskich. Pierwszą, tzw. „ekspedycję Łapińskiego", organizowali Bakunin, Hercen, Mazzini oraz polscy i niemieccy rewolucjoniści. Drugą organizował Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż). Mianowany przez Centralny Komitet Narodowy pułkownikiem, Z. Miłkowski zebrał powstańców właśnie w Carogrodzie, skąd jako robotnicy zostali przerzuceni statkiem do Tulczy. Ostatecznie uformowany w Tulczy oddział dostał się na stronę rumuńską. Wobec tego, iż władze rumuńskie nie chciały przepuścić powstańców przez swoje terytorium, doszło do starć z wojskiem rumuńskim pod Kastangalą. Oddział Botewa postąpił podobnie. W różnych portach rumuńskich na statek austriacki Radetzky wsiadali „robotnicy bułgarscy udający się na roboty do Serbii, Węgier i innych krajów, zabierający ze sobą ciężkie skrzynie z narzędziami rolniczymi". Przed Lom-Palanką i Widynem, jakieś 3 km na zachód od wsi Kozłoduj, oddział Botewa steroryzował kapitana statku i zmusił do wysadzenia powstańców na brzeg bułgarski. Przebrano się w mundury powstańcze, ze skrzyń wydobyto broń. Za pośrednictwem jednego z dalej płynących Bułgarów Botew wysłał odezwę do narodów bałkańskich, wzywając je w imię Bułgarskiego Rządu Narodowego do wspólnej walki i udzielenia pomocy powstańcom bułgarskim. Wysłał też do prasy zachodniej i rosyjskiej uprzednio napisane artykuły, w których wyrażał nadzieję na pomoc narodów europejskich.

Z chwilą gdy powstańcy stanęli na ziemi bułgarskiej ze sztandarem, na którym widniało hasło „Wolność albo śmierć", padł rozkaz wyruszenia w kierunku miasta Wraca, obranego na jeden z ośrodków powstania ogólnobułgarskiego, przewidywanego na 13 maja 1876 roku. Wskutek zdrady i aresztowania przywódców przez władze tureckie powstanie przyśpieszono i wybuch nastąpił 2 maja (20 kwietnia wg st. kal., stąd nazwa „Powstanie Kwietniowe"). Mimo bohaterstwa powstańców, wskutek braku odpowiedniej ilości broni i amunicji, niedostatecznej łączności poszczególnych grup powstańczych oraz rozbicia sił — powstanie zostało stosunkowo prędko stłumione. W odwecie Turcy dopuszczali się straszliwych gwałtów na bezbronnej ludności, mordując kobiety, starców i dzieci. Pomordowali tysięce ludzi, a setki wsi spustoszyli i puścili z dymem.

Oddziałowi pod wodzą Botewa też się nie poszczęściło. Został otoczony ze wszystkich stron przez znacznie przeważające wojska tureckie. Ponadto dnia 2 czerwca, podczas krótkiej ciszy, jakiś Turek strzelił z zasadzki zabijając komendanta Botewa. Oddział rozproszył się. Większość poległa, kilkudziesięciu dostało się do niewoli. Zwycięzcy odrąbali Botewowi głowę i wbili ją na pal, dla przestrogi wy-

stawiając ją na widok publiczny, później zaś wrzucając do rzeki. Tak to płomienny rewolucjonista i poeta, przeżywszy zaledwie dwadzieścia siedem lat, śmiercią swą przypieczętował wierność ideałom wyzwolenia narodowego i społecznego, które głosił za życia w swych strofach i artykułach.

*

Wydawałoby się, że życie i dzieło poety i rewolucjonisty bułgarskiego, jak również jego bliskie i przyjazne stosunki z Polakami, dostatecznie warunkowały bliższe zainteresowanie się Christo Botewem w Polsce. Tak jednak nie było. Radykalna ideologia Botewa, tak wyraźnie przejawiająca się w jego publicystyce i poezji, szczególnie jego poglądy antyklerykalne, nie sprzyjały zbytnio popularyzacji Christo Botewa w dawnej Polsce. Długo po jego śmierci nawet nie wspomniano o nim. Pierwsza wzmianka, pióra Bronisława Grabowskiego, w Bułgaria i Bułgarowie, ukazała się dopiero w roku 1899. Później wspomina o Botewie J. Grzegorzewski w pracy Rok przewrotów (Lwów 1900), gdzie cytuje w oryginale wiersz poety Moja modlitwa. Pierwszy zaś poetycki przekład wierszy Botewa pochodzi dopiero z roku 1920. Był to wiersz Hadżi Dymitr w tłumaczeniu Edwarda Ligockiego, drukowany w Wiadomościach Polskich (Piotrków), a potem włączony do tomu poezji E. Ligockiego pt. Tryumfatorzy (Kraków, 1920). Dopiero po roku 1922 nieco częściej wspominano o Botewie, poezje jego jednak na przestrzeni blisko stu lat reprezentowały dwa wiersze: Hadżi Dymitr i Powieszenie Wasyla Lewskiego, o publicystyce zaś wcale nie wspominano. Po ostatniej wojnie, w obecnym okresie coraz ściślejszej współpracy narodów polskiego i bułgarskiego, wzrosło szczególnie zainteresowanie Botewem i jego twórczością. Ilość przekładów oraz wzmianek i artykułów poświęconych Botewowi przekroczyła w ciągu kilku lat dorobek niemal całego stulecia. Niebawem ukażą się po raz pierwszy zebrane wiersze i wybór publicystki wielkiego poety i rewolucjonisty bułgarskiego. Tak to po wielu latach ożyło w Polsce dzieło rewolucyjne i poetyckie Christo Botewa, cementując braterstwo i przyjaźń narodu bułgarskiego i narodu polskiego.

Bronisław Čirlič

KAZIMIERZ BUDZYK

Przed Sesją Sienkiewiczowską

Zapowiadaną kilkakrotnie Sesję Sienkiewiczowską poprzedziły wystąpienia jej organizatorów i uczestników, nad którymi warto już teraz się zastanowić.[1]) Ogłoszone prace mają charakter pionierski, ale nasuwają przy tym wiele spornych zagadnień.

Już na pierwszy rzut oka widać wyraźnie, że wystąpienia Drewnowskiego, Baculewskiego, Wasilewskiej i Sandlera, nie były indywidualne, niezorganizowane. Prace tych autorów wyrastały ze wspólnej decyzji nowego spojrzenia na twórczość Sienkiewicza, najogólniej jeden był również kierunek. Wszyscy podkreślali przede wszystkim to, co w twórczości Sienkiewicza jest pozytywne, doszukiwali się w niej trwałych wartości ideologicznych i artystycznych, stawiali zagadnienie właściwego stosunku do wielkich tradycji narodowych przeszłości. Dotąd rzeczy wspólne. Ale niezależnie od nich były też i różnice wcale zasadnicze. Nic to, że niektórzy z występujących rewidowali w trakcie swych wystąpień raz już zajęte stanowisko. Ważniejsze jest, że poszczególni autorzy nie doszli do porozumienia w ocenie niektórych, bardzo istotnych zagadnień twórczości Sienkiewicza, a mimo to stawiali sprawę raczej apodyktycznie niż dyskusyjnie.

Zacznijmy od Wasilewskiej zajmującej się w swym artykule Humoreskami z teki Worszyłły. Pozytywna ocena wczesnego, „najbardziej postępowego okresu twórczości" Sienkiewicza wprawdzie została na wstępie dość energicznie zadeklarowana, ale w tekście artykułu autorka przekonywa nas o czymś zgoła odmiennym. Podkreśla oto, jak w pierwszej „humoresce" w atmosferze „łagodnej perswazji" wobec obozu feudalnego rośnie już Stach Połaniecki, w drugiej zaś oskarża pisarza o nacjonalizm i dorabianie przedstawicielom burżuazji przybudówki ideowej, która by dokumentowała ich rzekomą wyższość moralną nad arystokracją. W sposób nieco pospieszny przeprowadzono tu znak równości między zarysowującymi się sprzecznościami nowego ustroju a świadomością ideologiczną pisarza, na której raczej oparł swą ocenę np. Baculewski wskazując, iż Humoreski „w zaraniu twórczości Sienkiewicza podejmują motyw tradycji patriotycznych i walk z pruską zaborczością". W zależności od przyjęcia jednego lub drugiego kryterium oceny te same zjawiska literackie raz będą zafałszowaniem rzeczywistości i nacjonalizmem, to znów staną się optymizmem wyrażonym w utopii programowej i patriotyzmem.

O wiele trudniej, rzecz jasna, da się uzgodnić oceny poszczególnych utworów. Oto bardzo istotny w tym zakresie kontredans — Drewnowski pisze o Szkicach węglem następująco: „Tęsknota za krajem kazała mu [Sienkiewiczowi] wśród dalekich borów Ameryki... wracać myślą do położenia, w jakim znajduje się wieś ojczysta. Sumienie patriotyczne Sienkiewicza było wówczas żarliwym sumieniem społecznika". Dalszy ciąg równie pozytywny: „olśniewająca przenikliwość poznawcza i radykalny krytycyzm", „rewolucja językowa w walce o realistyczny styl" (z powołaniem się na autorytet Żeromskie-

[1]) Sandler S.: Wokół „Trylogii". Wrocław 1952 s. 112.
Drewnowski T.: Kierunki rewizji. Nowa Kultura (Warszawa) II (1951) nr 49.
Baculewski J.: Henryk Sienkiewicz. Wieś (Warszawa) VIII (1951 nr 49—51; Tożż. Życie Literackie (Kraków — Katowice) nr 23—24; Tożż. Polonistyka (Warszawa) V (1952) nr 1.
Wasilewska W.: Dzieło młodego Sienkiewicza. Wieś (Warszawa) VIII (1951) nr 49.

go), wreszcie — zapoczątkowanie realizmu krytycznego.

A jaki zdaniem Baculewskiego jest sens ideowy tego utworu? Krytyk odnajduje w nim dwa składniki ideologiczne: ideały równości zaczerpnięte z programu „demokracji szlacheckiej" oraz ideały demokracji burżuazyjnej. Zatem nie sumienie patriotyczne i żarliwe sumienie społeczne, lecz obawy pisarza o rozwój społeczny burżuazji — tak, zdaniem krytyka, należy wyjaśnić ukazanie przez Sienkiewicza tragizmu sytuacji chłopa w Szkicach węglem i w innych nowelach o tematyce ludowej. Trzeba powiedzieć, że jest to dość zasadnicza sprzeczność interpretacji i oceny.

Dalsza sprzeczność, równie doniosła, dotyczy interpretacji Listów z podróży do Ameryki.

W krytycyzmie amerykańskim Sienkiewicza Baculewski chciałby widzieć „elementy tych niesprecyzowanych tendencji demokratycznych, dla których obraz stosunków społecznych w kraju zaawansowanym w rozwoju kapitalistycznym był zaskoczeniem". I dalej: „niewątpliwy jego krytycyzm wyrasta na fali wczesnego liberalizmu i postępowości burżuazyjnej. Sienkiewicz jest [tu] zwolennikiem heroicznego okresu kapitalizmu... krytycyzm ten nie uderza w ustrój kapitalistyczny, lecz podejmuje jego obronę".

A teraz Drewnowski: „Pierwszy raz wówczas spotkał się Sienkiewicz oko w oko z zorganizowaną siłą nowego społeczeństwa, z rewolucyjnym proletariatem. Wcześniejsze przychylne zainteresowanie Sienkiewicza ruchem socjalistycznym i jego ideologią było mocno teoretyczne, nie uwzględniające w praktyce możliwości rewolucyjnych przedsięwzięć polskiego proletariatu" — A zatem: obecnie, w Ameryce, przychylne zainteresowanie Sienkiewicza ruchem socjalistycznym i jego ideologią nie było teoretyczne, uwzględniało w praktyce możliwości rewolucyjne proletariatu — jednym słowem Listy z podróży do Ameryki wypowiadają demaskatorską krytykę kapitalizmu pod naporem ideologii proletariatu, niemal z jego pozycji ideologicznych. Tak musiałby brzmieć pozytywnie sformułowany wniosek, gdyby autor zechciał go ze swej wypowiedzi wyciągnąć.

Przytoczyłem z artykułów Drewnowskiego i Baculewskiego najważniejsze rozbieżności w interpretacji i ocenie ideologicznej w stosunku do węzłowych zagadnień związanych ze wstępnym, pozytywistycznym okresem pisarstwa Sienkiewicza. Dalsza sprzeczność stawia w tym zakresie po jednej stronie obydwu dotychczasowych oponentów, po drugiej książkę Sandlera, który w istocie zapoczątkował swą publikacją organizowaną Sesję Sienkiewiczowską. Drewnowski i Baculewski podkreślają w pewien sposób związki Sienkiewicza z obozem pozytywistycznym, Sandler natomiast właśnie na odwrót. Jego zdaniem istotne jest to, co w tym okresie dzieli Sienkiewicza od pozytywistów, a nie to, co łączy. Główna teza Sandlera jest taka: „Burżuazja polska Królestwa, zdobywając po roku 64 dominującą pozycję społeczno-ekonomiczną w kraju, ze względu na swe organiczne interesy materialne, które dyktowały jej zarówno drogę serwilizmu wobec caratu jak też drogę ugody z polskim ziemiaństwem, w pierwszym dwudziestoleciu popowstaniowym nie podnosi sztandaru niepodległościowego ruchu narodowego" W przeciwieństwie do sztandarowych pozytywistów „elementy patriotyzmu najmocniej występują w tym okresie u Sienkiewicza, o którym wiadomo, że z wielkich pisarzy tego okresu najluźniej związany był z obozem pozytywistycznym".

Najdalej od tej interpretacji odbiega teza Baculewskiego. Chodzi tu zresztą

nie tyle o konstatację, co o rozłożenie akcentów. U Baculewskiego jest tak: patriotyzm, owszem, ale to tylko pozostałości ideologiczne zbankrutowanej „demokracji szlacheckiej". — Sandler odwrotnie: tradycje szlachecko-niepodległościowe — rzeczywiście, ale mimo to przeważają w nich elementy niekłamanego patriotyzmu.

Wydaje mi się, że tylko taka interpretacja ówczesnego okresu twórczości Sienkiewicza, jaką daje w swej książce Sandler, stwarza realne przesłanki dla pozytywnej oceny głównego zrębu pisarskiego autora Trylogii i Krzyżaków. Tendencja do pozytywnej oceny powieści historycznych Sienkiewicza wspólna jest wszystkim występującym, ale dopiero u Sandlera, w poważniejszej i obszerniejszej publikacji, a nie w przygotowujących sesję artykułach, mogła ona zyskać poprawne rozwinięcie i dokładniejszą dokumentację.

Sandler nawiązuje do rozprawy Stawara opublikowanej w r. 1946 w Kuźnicy. Jest to polemika zarówno merytoryczna jak metodologiczna. Twierdził Stawar, że pasja — z jaką Siekiewicz przedstawia w Ogniem i mieczem wojnę domową — wypływa z gorącej atmosfery ówczesnych strajków robotniczych, a nie z samej tylko historii. „Zdaje mi się — pisze Sandler — że wywody te czerpią wiele żarliwych akcentów z atmosfery lat powojennych, kiedy z tych kręgów, w których Sienkiewicz pełnił jeszcze wciąż funkcję „hetmana serc" i „duchowego wodza narodu", rekrutowali się „leśni", „Bohunowie" i „Kmicice". W tych słowach nie ma zarzutu, ideowa krytyka musi być bojowa". A jednak w tych słowach jest, jak sądzę, zarzut — i to poważny. Zarzut socjologizmu, ale też od razu pełne jego usprawiedliwienie. Usprawiedliwienie zresztą niesłuszne. Krytyka musi być bojowa, ale bojowość nie może zwolnić krytyki od odpowiedzialności naukowej i metodologicznej.

Obecnie w okresie całkowicie na wszystkich polach rozwiniętego już budownictwa socjalistycznego, w okresie przekształcania się narodu burżuazyjnego w naród socjalistyczny, krytyka literacka łatwiej już może wypełniać swoje obowiązki, możemy bez zahamowań dążyć do rozwijania świadomości narodowej mas ludowych, do rozpoznania i wydobycia z przeszłości wszystkiego, co w naszej tradycji jest cenne. Teraz w pełni uświadamiamy sobie, że socjologizm jest z tymi celami sprzeczny, zacieśnia bowiem możliwości poznawcze i nie daje właściwych kryteriów oceny. W tej sytuacji krytyka literacka i nauka o literaturze staje się jednym i tym samym: krytyka przez przejęcie metod i pasji poznawczej nauki, a nauka przez postawienie sobie ideowych celów realizowanych dotąd przez krytykę. W tym znaczeniu książka Sandlera należy w równym stopniu do nauki o literaturze, co i do krytyki.

Głównym celem poznawczym książki Sandlera jest określenie genezy ideowej Trylogii. Chroniąc się przed niebezpieczeństwem socjologizmu autor nie ograniczył się do przedstawienia problematyki politycznej okresu bezpośrednio poprzedzającego powstanie Trylogii, ale cały czas zmierzał do poznania w szczegółach ówczesnej orientacji społecznej Sienkiewicza. Sienkiewicz nie będąc bezpośrednio ideologiem żadnego ugrupowania społeczno-politycznego oceniany był dotychczas według takich czy innych kontaktów z pismami o określonym obliczu politycznym. Sandler po raz pierwszy w tym stopniu postawił sobie pasjonujące zadanie dokładniejszego uchwycenia świadomości społecznej pisarza, która, jak się okazało, wcale nie pokrywa się z ideologią grup, z jakimi aktualnie współpracował. Tak było w okresie

współpracy Sienkiewicza z „młodymi", to samo potwierdziło się również i dla czasu jego współpracy z Niwą, Gazetą Polską i z Czasem. Sandler udowodnił to całkiem przekonywająco i to jest ważną zdobyczą naukową jego pracy. Cytowaliśmy już to, co Sandler pisze o przewadze elementów patriotycznych w świadomości ideowej Sienkiewicza w okresie, gdy błąkał on się w „pozytywistycznym mateczniku". Warto również podkreślić przypomniane przez Sandlera fakty, świadczące o tym, że mimo współpracy w czasopismach konserwatywnych, Sienkiewicz zachował pełny krytycyzm zarówno w stosunku do burżuazji jak i obszarników. Nawet rychły apologeta Sienkiewicza, Tarnowski, zasłużył sobie u pisarza na zjadliwe docinki. Wszystko to pozwala Sandlerowi stwierdzić, że „przełamywanie przez Sienkiewicza ograniczeń w widzeniu rzeczywistości, określonych jego klasową postawą, przyszło nie na fali zaangażowania w apologetycznej wobec kapitalizmu ideologii pozytywistycznej, lecz na fali rozczarowania do niej". Rozczarowanie to — jak stwierdza Sandler — wypłynęło głównie stąd, że Sienkiewicz „szerzej pojmował krąg zagadnień społecznych uciskanego narodu. Włączył doń problematykę bytu narodowego w tym okresie, gdy stanęła ona w sposób nowoczesny przed społeczeństwem polskim w warunkach coraz bardziej umacniających się form kapitalistycznego porządku". Dlatego też (taka jest teza Sandlera) funkcja społeczna powieści historycznych Sienkiewicza była postępowa. Oddziaływały one w kierunku umocnienia ruchu narodowego, broniły języka i tradycji narodowej szerokich mas społecznych, mimo że mogły być również wyzyskane przez burżuazję i obszarnictwo dla potwierdzania swej genealogii historycznej i ugruntowania przewagi społecznej. Sienkiewicz nie stał się jednak świadomym ideologiem rodzącego się ruchu narodowego, co wyjaśnia Sandler z jednej strony niedojrzałością postawienia kwestii narodowej przez proletariat, z drugiej zaś ciążeniem pisarza do tradycyjnego typu rozwiązań w oparciu o nieaktualny już program szlacheckiego ruchu niepodległościowego. W konsekwencji Sienkiewicz wybrał potem to, co niepodległościowemu ruchowi szlachty było najbliższe — tj. program obozu obszarniczo-burżuazyjnego. Było to jednakże na długo po powstaniu Trylogii, która współcześnie odpowiadała jeszcze pragnieniom szerokich mas czytelniczych.

Stosunkowo najmniej przekonywająco wypadła ta część książki Sandlera, która jest poświęcona omówieniu Trylogii, a zwłaszcza pierwszej jej części — Ogniem i mieczem. Wydaje się, że już z samego początku autor postawił sprawę w sposób mało rokujący nadzieje na rozwiązanie trudnego zagadnienia realizmu Trylogii. Stwierdził bowiem dwie rzeczy: z jednej strony realistyczne intencje kierujące pisarzem i jako wynik, zasadnicze zafałszowanie obrazu epoki. Oba te stwierdzenia są oczywiście słuszne, niemniej realizm Trylogii można by ukazać o wiele pełniej, gdyby zapytać nie o intencje pisarza i, jako wynik, o zafałszowanie obrazu, lecz o to, na czym polega, w czym się obiektywnie wyraża realizm np. Ogniem i mieczem i jak na tym tle wychodzi owo zafałszowanie. W ujęciu Sandlera jest tak: obraz epoki jest zafałszowany, nieprawdziwy — i oto pytanie: dlaczego? Gdyby jednakże zapytać o wszystkie składniki realizmu, okazałoby się, że to zafałszowanie obrazu, jego nieprawdziwość, jest tylko częściowym, dosyć zresztą istotnym odejściem od realizmu. Poza tym jednak znaleźlibyśmy wiele takich cech, które nie są odejściem od realizmu, zatem musielibyśmy

bardzo ograniczyć generalną tezę Sandlera o zafałszowaniu obrazu epoki. Miarą realizmu powieści nie może być przecież wyłącznie konstrukcja głównego konfliktu i nie bez racji walczy się dzisiaj ze schematyzmem powieści współczesnych, które prawdziwie przedstawiają konflikt, ale ukazują czasami tylko goły jego szkielet. W Trylogii szkielet ten jest nieprawdziwy, skrzywiony, ale za to obrośnięty jest żywą tkanką przedstawień ukazujących bogactwo bieżącego życia i dziejącej się historii. Analizując Ogniem i mieczem trzeba by raczej zapytać o artystyczne wyrażenie całej wiedzy autora o świecie, wiedzy, jak wiemy, olbrzymiej, ukazującej niezliczone bogactwo typowych szczegółów, zdarzeń, sytuacji, postaci, krajobrazu wreszcie i, co nie mniej ważne, zindywidualizowanego języka. Pod koniec trzeciego rozdziału Sandler wprawdzie te sprawy porusza, ale czyni to w uzupełnieniu, czy nawet w oderwaniu od centralnego zagadnienia fałszywości obrazu dziejowego Ogniem i mieczem i realizmu Trylogii.

Zasadnicze zafałszowanie obrazu epoki w Ogniem i mieczem tłumaczy Sandler trojako: Pierwsze organiczenie, historyczne, związane było z ówczesną sytuacją, powodującą, „że Sienkiewicz nie miał w konkretnej rzeczywistości danych na odegranie roli świadomego ideologa rodzącego się ruchu narodowego". Chodzi głównie o wspomnianą już niedojrzałość postawienia kwestii narodowej przez proletariat.

Drugie źródło ograniczeń klasowych autora Ogniem i mieczem wypływało z „ciążenia do tradycyjnego typu rozwiązań konfliktów zrodzonych przez epokę". „Istota rzeczy — pisze Sandler — tkwiła w tym, że rodowód tradycji patriotyczno-niepodległościowych, które przejął Sienkiewicz, nie wyrastał bezpośrednio z nowych warunków społeczno-politycznych... ale przedłużał linię rozwojową starszego, szlacheckiego nurtu niepodległościowego..."

Dalsze powody zafałszowania obrazu epoki przedstawionej w Ogniem i mieczem trzeba — zdaniem Sandlera — „przypisać sugestiom materiału stanowiącego źródło wiedzy Sienkiewicza o epoce", sugestiom płynącym zresztą nie tyle z dokumentów, co z gotowych już syntez historiograficznych.

W powyższym przedstawieniu autorowi udało się bezspornie ustalić źródła klasowe ograniczeń Sienkiewicza, ale równocześnie doszedł do zbyt może łagodnego określenia postawy politycznej pisarza w okresie powstawania Ogniem i mieczem. Nawet w późniejszym, o wiele bardziej bezspornym uwstecznieniu ideologicznym Sienkiewicza chciałby Sandler widzieć „subiektywnie może uczciwe złudzenia epigona społecznie nieaktywnej już ideologii szlachecko-niepodległościowej". Rację ma Sandler twierdząc, że Sienkiewicz chciał stworzyć nie legendę, lecz prawdę o XVII wieku, prawdę uwydatniającą heroikę narodu, prawdę świadczącą o umiłowaniu kraju. Nie należało jednak, jak sądzę, zamazywać w eufemizmach bezspornego faktu, że na ową heroikę narodu składało się w ujęciu Sienkiewicza także i parcie szlachecko-magnackiej Polski na Wschód, ujarzmianie narodu ukraińskiego. Świadczy o tym zarówno konstrukcja powieści jak i obiektywna wymowa przedstawionych w niej wydarzeń i sytuacji. Z analizy Sandlera można by się domyślać, że Sienkiewicz usiłował przezwyciężyć w Ogniem i mieczem tę konstrukcję, stworzoną przez ówczesnych historyków, starał się być bezstronny. Mnie się jednak wydaje, że jeśli miejscami Sienkiewicz rzeczywiście zachował bezstronność, stało się tak nie w wyniku urzeczywistnienia autorskiej intencji, lecz przeciwnie — wbrew niej, albo też

mimo niej, to znaczy w tych obrazach, które pozostają w luźnym związku z tezą ideologiczną całości. Nie należy, jak sądzę, przeakcentowywać tej chwilowej, czy mimowolnej bezstronności pisarza. Nie wiem nawet, czy można właśnie od Sienkiewicza tej bezstronności oczekiwać. Ogniem i mieczem miało ukazywać „heroikę narodu", ale nie działo się to w pustce. Był to okres rozbiorów, okres, w którym pisarz wypowiadał ideologiczną walkę nie tylko carskiemu zaborcy, ale też tym, którzy propagowali politykę ugodową. Ostrze skierowane przeciwko caratowi i carofilom dało jednak w Ogniem i mieczem nacjonalistyczną, właśnie stronniczą pochwałę wszystkich tych, którzy w XVII wieku walczyli z Chmielnickim, pragnącym połączyć Ukrainę z Rosją.

Ogólnie biorąc, walka o umocnienie ruchu narodowego w okresie rozbiorów i w atmosferze trójlojalizmu była walką sprawiedliwą i słuszną. Bojowe zaangażowanie się w tej walce decyduje o pozytywnej ocenie ideologicznej autora Trylogii, jest poza tym jednym ze źródeł realizmu jego dzieła. W jakim stopniu potrafił ów realizm w Ogniem i mieczem zwyciężyć — wykazanie tego jest pasjonującym zadaniem krytyka, a nie usprawiedliwianie potknięć artystycznych autora „żywiołowym uleganiem nawykom i formom myślenia szlacheckiego".

Ostatnie zagadnienie poruszone przez Sandlera dotyczy recepcji Trylogii u współczesnych i potem, aż do naszych czasów włącznie. Odczytujemy tutaj na nowo dzieje funkcji społecznej tego cyklu powieściowego, przejmowanego dotychczas jako oręż ideologiczny przez różne klasy społeczne, dorabiające doń taką czy inną interpretację. Sandler dokonał w swej książce zasadniczego oczyszczenia dzieła od tych naleciałości interpretacyjnych. Dokonał tego zadania w imię nauki i na pożytek narodu, który jest zainteresowany w poznaniu niezafałszowanej prawdy o wielkich dziełach przeszłości kulturalnej i artystycznej.

Miejmy nadzieję, że zapowiadana Sesja Sienkiewiczowska odkryje w podobny sposób całą twórczość tego pisarza, ukaże nam wielkość jego artyzmu, który nieświadomie był odczuwany przez wszystkich. Sienkiewicz należy bowiem do tych nielicznych pisarzy, których dzieła rzeczywiście zbłądziły pod strzechy, przez co stały się własnością całego narodu.

Wielki artysta rzeczywiście porwał za sobą wszystkich. Największy jednak geniusz nie zdoła zaślepić rozbudzonego społecznie czytelnika, nie potrafi przez wywołanie podziwu zgasić krytycyzmu wobec tego, co w nim jest złe. Oto są wspomnienia zachwyconego Sienkiewiczem czytelnika, którego sytuacja społeczna pozwoliła lepiej niż innym ocenić rzeczywistą wartość Trylogii; syn biedniackiej rodziny chłopskiej pisze:

„Wreszcie poznałem Trylogię! Oczarowały mnie znów bohaterskie postacie, wspaniałe opisy batalii wojennych i perypetii wodzów. Dziwiłem się tylko, że występujący w powieści chłopi byli znienawidzonym motłochem, czernią, buntownikami, kimś, kogo należy niszczyć! Zacząłem dociekać i zastanawiać się, dlaczego Sienkiewicz pochwala tylko czyny rycerzy-szlachciców, kiedy ja mimo woli w wyobraźni kroczyłem na czele armii z Chmielnickim. Odtąd miałem żal do Sienkiewicza, ale zarazem wciąż — ów nieodparty zachwyt dla jego kunsztu pisarskiego. Później poznałem historię i prawdę. Poznałem wiele nieprawdziwych postaci i sytuacji w Sienkiewiczowskiej twórczości, ale mniemania o wielkości ulubionego pisarza młodości — nie zmieniłem".

Kazimierz Budzyk

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

MIECZYSŁAW JASTRUN: *Barwy ziemi*. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1951; str. 74.

Tom Barwy ziemi, w którym Jastrun zebrał utwory pisane w r. 1950 i początkowych miesiącach r. 1951, jest jego piątą książką poetycką ogłoszoną po wyzwoleniu. Jednocześnie zaś rośnie ilość wierszy drukowanych w czasopismach i dopełnia już zarys kolejnego zbioru. Oto doprawdy wyjątkowe „lata urodzaju" osiągniętej dojrzałości.

Nowy tom, który posiada najwyższą rangę wydarzenia w naszym życiu literackim, stanowi piękne świadectwo, że jest to istotnie urodzaj w pełnym słowa znaczeniu. Widać w nim z wyrazistością być może większą niż przedtem, że płodność dorobku wiąże się z nieprzerwanym i uporczywym wysiłkiem ideowo-artystycznym. Dlatego poezja Jastruna stale odsłania proces kształtującej ją przemiany, której wyniki odgraniczają każdy nowy zbiór od poprzedniego jako bezspornie nowe ogniwo rozwoju. Obserwowany proces ujawnia specyficzny i godny podkreślenia charakter. Towarzyszy mu bowiem równie silnie odczuwane wrażenie naturalnej ciągłości rozwoju. Wypływa ono stąd, że każdorazowe osiągnięcie, które otwiera nowe perspektywy, jest jak gdyby wyprowadzane w pewnym stopniu z przesłanek zaznaczonych i przygotowanych uprzednio. Nie przesądza to, oczywiście, znaczenia, jakie w ostatecznym rezultacie przypada bardziej dobitnemu położeniu bądź nawet pełnemu przesunięciu akcentów ideowo-artystycznych, które są wskaźnikami zachodzącej przemiany. W tej jednak dostrzegalnej dość mocno współobecności momentów przeobrażeń i zarazem ciągłości rozwoju streszcza się najbardziej niewątpliwie znamienna cecha obecnego etapu twórczości autora Rzeczy ludzkiej.

Charakterystykę zatem nowego tomu i próbę znalezienia odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób i w jakim stopniu pozwala on uchwycić tętno rozwoju poezji Jastruna, zacznijmy od konfrontacji. Jako pierwszy przykład niech służą fragmenty wierszy z poprzedniego tomu Rok urodzaju.

Chcą urządzić masakrę, od której
oślepłyby wieki
I stały pod gwiazdami puste, bez
mieszkańców.
Dla nich — cyfry statystyk, dla nas
— ludzie podobni do nas.
Ci zbrodniarze ukoronowani krwią
Zstępują z gór Uranu z bladymi
twarzami.
Te twarze będą jeszcze bledsze
w blaskach eksplozji.
— — — — — — — — — —
Czyż nie wiedzą, że zemsta ludów jest
straszliwsza od piekieł wojny?
Powstaje przeciw nim każdy człowiek
bez względu na kolor skóry,
Człowiek, który zasadził jabłoń,
On, który ma nóż na węża
I po to, by przekroić owoc,
On, który
Nie chce żyć w strachu przed drugim
człowiekiem
I umrzeć od jego oręża.
(Anno 1949)

Drugi przykład z obecnego tomu:

Nie dość krwi, nie dość wojny,
szaleństwa przemocy!
Czy znów, czy znów podobne do hydry
stugłowej
Wypłyną na powietrze armie dnia
i nocy?
Czy się otworzą piekła broni atomowej?
— — — — — — — — — —

Nad Europą znowu noc. Lecz w jej
ciemności
Już słychać skrzyp szubienic
jutrzejszych wisielców,
Wczorajszych bombardierów i łamaczy
kości,
Czcicieli dolarowych bóstw i złotych
cielców.

Słyszycie? Trzeszczą belki jutrzejszych
szubienic.
Sprawiedliwą jest zemsta ludów, kiedy
karzą.
...Idzie przez światło sal jutrzejszy
potępieniec,
W sztywnym mundurze, z zimną jak
katafalk twarzą.

— — — — — — — — — —

Nagle zadrżał i zachwiał się.
W okna hotelu
Uderzył lud paryski, młody wnuk
barykad,
Gniewnym krzykiem... Tak witał nieraz
od lat wielu
Królów, przywłaszczycieli,
tak najeźdźców witał!
(Przywitanie Eisenhowera)

Porównanie tych wierszy, wykazujących podobieństwa motywów i założeń tematycznych, uwidocznia zasadniczą różnicę, jaka istnieje w ich wymowie ideowo-artystycznej. W Anno 1949 widać, że przeciwstawienie się knowaniom imperialistów zagrażających pokojowi opiera się jeszcze prawie wyłącznie na podstawie humanitaryzmu oraz operuje argumentami „życia w strachu przed drugim człowiekiem" i grozą „piekieł wojny", że dalej, wskutek braków podobnej podstawy, obrazy — mimo iż zawierają ładunek głębokiego uczucia — wykazują skłonność do odrywania się od podłoża realistycznego widzenia, tracą nieodzowną konkretność i rozładowują swoją siłę w języku nazbyt ogólnikowym i hieratycznym.

Na tym tle wymowa Przywitania Eisenhowera, wyzbyta już z poprzednich niedookreśleń i ogólnikowej aluzyjności, uderza pogłębieniem ideologicznym widocznym zarówno w namiętności osądzenia podżegaczy wojennych, jak i w pokazaniu siły, która powstaje, aby pokrzyżować ich zakusy. Widać także, że krystalizacja stanowiska ideologicznego pociąga za sobą w konsekwencji przekształcanie się strony artystycznej. Emocjonalna zasada ujęcia i rozwijania tematu, tak charakterystyczna w ogóle dla Jastruna, nabiera tutaj dzięki wyzwoleniu się od widocznych przedtem nalotów i dzięki dążeniu do sugestywnej i dynamicznej prostoty, pełną siłę konkretności i realistycznego wyrazu, co pozwala utworowi wypełnić trafniej i skuteczniej założenia jego funkcji politycznej.

W takim przesunięciu akcentów ideowo-artystycznych, jakie ukazało to porównanie, zawiera się miara drogi odbytej od Roku urodzaju. Dlatego niezależnie od istotnych i nieprzedawnionych osiągnięć, jakie przynosił tamten tom, należy uznać Barwy ziemi za przejaw nowych osiągnięć w dalszym rozwoju poety. Nowy tom odsłania bardzo wyraźnie źródła tego procesu krystalizacji.

Wspomniałem na początku daty powstawania utworów. Nie była to wyłącznie pedanteria sprawozdawcza. Kiedy bowiem czytamy te wiersze, dostrzegamy od razu, że przy całej swojej różnorodności tematycznej są one więcej czy mniej bezpośrednimi odzewami na zdarzenia i zagadnienia nasunięte przez konkretną i umiejscowioną w czasie, właśnie w owych podkreślonych latach, okoliczność, która oddziałała na poetę i pobudziła go do zajęcia stanowiska.

Z wierszy podobnego typu, co Przywitanie Eisenhowera, można dla przykładu wskazać jeszcze: Phenian — wywołany wieścią o agresji imperialistów amerykańskich

na Koreę, Stacja Majakowski — napisany na rocznicę śmierci poety, Żyjący w dziejach — powstały w związku z obchodem rocznicy śmierci Dzierżyńskiego, Ballada niemiecka — będąca refleksem podróży po NRD, Wspomnienie z Poronina — wiersz związany z odsłonięciem pomnika Lenina, List Anny Żywioł — pobudzony akcją likwidacji analfabetyzmu.

Tego rodzaju utwory, których tematyka już na pierwszy rzut oka jest wskaźnikiem konkretnych w swoich przejawach treści, jakimi epoka żywi i nasyca poezję Jastruna, stanowią zasadniczy zrąb ostatniego tomu i decydują o jego charakterze.

Nasilenie impulsów okolicznościowych w tematyce, zamanifestowane po raz pierwszy w takiej skali, zasługuje na bliższą uwagę. Należy widzieć w tym dalszą słuszną i nieodzowną konsekwencję wyprowadzoną z charakteryzowanego wielokrotnie przełomu, zarysowanego w latach wojny i pogłębiającego się pod wpływem naszych czasów, przełomu, który przywrócił widzeniu poety świat w realnych wymiarach i umiejscowił zjawiska w ciągłości procesów dialektycznych i historycznych. Okoliczność, pojmowana, oczywiście, w tym szerokim zakresie, w jakim ujawnia się u podstawy tematycznej wymienionych wierszy Jastruna, to właśnie realny i konkretnie uchwytny kształt konfliktów i przemian dziejącej się historii. Podjęcie jej zatem stanowi niejako najbardziej rygorystyczne dla poezy sprawdzenie praw odnalezionego przezeń czasu historycznego i zarazem sprawdzenie a jednocześnie stałe wzbogacanie o nowe zdecydowane treści ideowe postawy humanisty, który żyje w pełnym związku z rzeczywistością, rozumie jej przemiany i bierze u boku klasy robotniczej, czołowej siły historii, udział w walce o socjalizm i pokój.

To ona — rewolucja
Wyprzedza nasze kroki, serca nam
popędza
I czas nam daje w ręce
Jak sztandar przechodni.
(Stacja Majakowski)

Słowa poety określają zarówno źródła, z których twórczość jego czerpie siłę stałej przemiany i wzrostu, jak i kierunek, ku któremu zwrócona jest wola jej oddziaływania.

To tylko, co ludzi łączy,
Jest nieśmiertelne.
(Porachunek)

Jest wiele znamiennego w tym wyznaniu. Miłość do wszystkiego, co służy sprawie postępu, i nienawiść do wszystkiego, co staje w poprzek pokojowemu budowaniu szczęśliwej socjalistycznej przyszłości — oto najważniejsze momenty, które określają treść poezji Jastruna. Jest to treść o szerokim i głębokim znaczeniu humanistycznym, uderzająca różnorodnością tematyki, która płynie z coraz większej pełni obserwacji życiowych, oraz skalą uczuć i nastrojów, które poeta wyraża.

Nasycenie postawy humanistycznej zdecydowanymi treściami socjalizmu, jako wynik postępującej nieustannie krystalizacji ideologicznej, widać w Barwach ziemi zarówno wtedy, kiedy poeta daje bezpośredni i okolicznościowy odzew sprawom naszych czasów, jak i wtedy, kiedy ujmuje je w bardziej uogólniającym rzucie, kiedy wydobywa sens i tradycje walki o świat „wolny od nędzy i wojen", np. Oda majowa, kiedy odsłania wagę i perspektywy zachodzących przeobrażeń, Stary chłop, kiedy podkreśla potęgę poznawczej myśli człowieka, lub W pracowni świata. Liczne wiersze stanowią dowód,

jak pogłębione rozumienie praw dialektycznych i historycznych pozwala poecie na pełniejszą ocenę przeszłości z pozycji dnia dzisiejszego oraz na ujmowanie współczesności w perspektywie przyszłości, ku której idziemy. Szczególnie charakterystyczny przejaw, równolegle z zaostrzeniem się politycznego spojrzenia, znalazło to w niewątpliwie nowym ujęciu martyrologii okupacyjnej i stosunku do hitleryzmu, głównych motywów dotychczasowej twórczości Jastruna (Powrót, Ballada niemiecka, Wspomnienie z piekła).

Podkreślone momenty świadczą o wyraźnym dalszym przesunięciu się akcentów ideowych postawy poety, któremu krytyka jeszcze na marginesie tomu Rok urodzaju zarzucała poprzestawanie raczej na postawie obserwatora i swojego rodzaju samotniczym humanizmie. Znaczenie Barw ziemi polega właśnie na tym, że pokazuje nie tylko proces przemiany, ale i jej wyniki bardziej dobitnie od wszystkich powojennych tomów Jastruna. Nie wolno jednak przy tym nie doceniać, że już tamte tomy gromadziły w wielu utworach o nieprzedawnionym znaczeniu przesłanki obecnych osiągnięć.

*

W czasie lektury nowego tomu zwraca uwagę następujące wyznanie:

Ja iskrę tę, mijającą chwilę
Pochwycić chcę, utrwalić na swej taśmie
(Kopernik i poeta)

Kontekst utworów daje przyświadczenie tym słowom. Jest nim mianowicie bezpośredni i żywy, pełny emocjonalnego napięcia i żarliwości stosunek do świata. Cecha, trzeba stwierdzić, bezsprzecznie charakterystyczna dla poezji Jastruna, decydująca w niemałym stopniu o niektórych elementach jej specyficzności i swoistej aury.

Ale aby odsłonić pełny obraz poezji Jastruna, należy uzupełnić tamte słowa innym wyznaniem:

Kocham mój czas, czas walki i nauki.
(List do przyjaciół)

Zdolność bowiem bezpośredniej reakcji na zjawiska rzeczywistości uzyskała w twórczości poety w wyniku przemiany nowy i właściwy sens dzięki podporządkowaniu jej coraz bardziej precyzującemu się rozumieniu kształtujących rzeczywistość procesów oraz dzięki stale rosnącej świadomości ideologicznej i pasji współuczestnictwa w dziejącej się historii.

Dlatego przy lekturze wierszy zebranych w Barwach ziemi uderzają dwa bardzo znamienne momenty.

O pierwszym z nich niech powie przykład:

Zarysy Tatr śnieżyca sprzed oczu porywa,
Wierzchołki czarnych świerków wiatr okręca.
Legenda? gdzież tam! nie! powieść prawdziwa
Dobija się do mego serca.

Zamieci kłąb, ta nawałnica gniewu!
Świecący kurz z kaptura wyobraźni,
Tu gdzie się dźwiga gigant granitowy, Giewont,
I masyw skał okrakiem z nieba złazi.

Tutaj go widzę, nie jak nieruchawy pomnik
Lecz jak człowieka, co się w płaszcz otula.
(Później widziałeś jego płaszcz, przypomnij,
Który przebiła eserowska kula.)
(Wspomnienie z Poronina)

Jest to początek wiersza powstałego pod inspiracją odsłonięcia pomnika Lenina. Należy prześledzić dalej ten piękny i podbijający szlachetnym patosem wiersz, aby przekonać się, jak poeta z pełnym wyczuciem miary, nie odrywając się od szczegółów okolicznościowych, grających niewątpliwą rolę w indywidualizacji obrazu i wzmacnianiu akcentów emocjonalnych, wydobywa jednocześnie momenty uogólniające, które składają się na zarys wielkiej postaci wodza rewolucji i jego zapładniającej roli historycznej.

Ten przykład pokazuje naocznie, jak w wierszach Jastruna, odznaczających się wzruszeniową przede wszystkim zasadą ujmowania i rozwinięcia tematu, użyczają sobie wzajemnie siły zarówno przeniknięta pasją ideologiczną emocjonalność, jak i wyprowadzana z rozumienia praw historii zdolność uogólniania. Dlatego odzew na sprawy naszego czasu wtedy, kiedy wypływa z inspiracji okolicznościowej, nie jest tylko zwyczajnym zapisem kronikarza, lecz pełnym głosem historii. Uogólnienie bowiem, które otwiera perspektywę szerokiego spojrzenia na rzeczywistość, przełamuje ramy doraźności, wewnętrzny zaś wibr bezpośredniego emocjonalnego stosunku nie dopuszcza z kolei oschłości. Tego rodzaju osiągnięcia, które przedstawia podstawowy zrąb B a r w z i e m i, stanowić powinny wzór dla młodych poetów, których próby wskazują nazbyt często ograniczenia mechanicznego i pozbawionego wzruszenia rejestru kronikarskiego.

Na marginesie wprawdzie wypada zanotować charakterystyczny fakt, że tam, gdzie rzut uogólnienia wspiera się o wątły i zacieśniony materiał konkretnych obserwacji, co zwęża jego podłoże wzruszeniowe, rezultaty wypadają połowiczne lub wręcz zawodne — jako przykład może być powołany wiersz Ż y j ą c y w d z i e j a c h, słaby i niewytrzymany w skrótowej koncepcji całości.

Drugi moment, który nasuwa się do podkreślenia, dotyczy następującej sprawy:

W nowym tomie, odznaczającym się dużą rożnorodnością tematyczną, obok wierszy poświęconych głównemu nurtowi spraw naszych czasów znajdujemy także wiersze o tematyce, którą w braku precyzyjnego terminu zwykło się określać jako osobistą. Nie oznacza to jednak dwoistego wrażenia z lektury, jakby mogło wynikać z tak mechanicznego podziału. Konstatujemy bowiem, że mimo różnorodności tematyki, więcej nawet — mimo różnorodności podejścia do tematyki, istnieje w tym tomie coś, co powoduje, że czytelnik odczuwa niezaprzeczalną jednolitość wrażenia. Jest to mianowicie stale wyczuwalne poza tekstem wierszy tło rzeczywistości, z której one wyrastają, rzeczywistości wspólnej jednakowo i jednoznacznie dla poety i czytelnika.

Obecność tego swoistego podtekstu poezji, umożliwiającego czytelnikowi dopowiadanie, kiedy poeta poprzestaje jedynie na znakowaniu, wzmacnia, żeby posłużyć się sformułowaniem Jastruna z wypowiedzi publicystycznej, „sprawdzalność w odczuciu powszechnym“ wypowiadanej treści. W wierszach B a r w z i e m i widać to przede wszystkim w pełniejszej konkretności podmiotu lirycznego i w pełniejszym jego osadzeniu w epoce.

Ja, Anna Żywioł, nie umiałam czytać
I nie umiałam pisać. Żyłam ślepa.
Starej kobiecie, dano mi do ręki,
Jak dziecku, elementarz, zeszyt, pióro.
(L i s t A n n y Ż y w i o ł)

Ten wiersz jest znamiennym przykładem nie tylko samej wyrazistości podmiotu lirycznego, ale i tła rzeczywi-

stości, na którym występuje, i to nawet w tych szczegółach, które trzeba dopowiedzieć. Podobne przykłady znajdujemy także w wierszach o tematyce osobistej, w których odczuwalne na ogół dość mocno tło epoki pozwala dokładnie umiejscowić sprawy opisywane przez poetę i pogłębić przez to właśnie ich osobisty sens o szersze treści historyczne.

Ten moment posiada głębokie znaczenie. Poezja bowiem Jastruna, jak poezja każdego liryka poddającego się impulsom bezpośredniej reakcji wobec odczuwanych zjawisk, przynosi w sobie wiele elementów autobiografii. Dlatego też niektóre wiersze o tematyce osobistej posiadają charakter kartek pamiętnika lirycznego, spisywanego stosownie do okoliczności pobudzających uczucia poety. I chociaż w wielu wypadkach okoliczności mają, co zrozumiałe, o wiele bardziej zwężony wymiar, niż te, które stanowiły inspirację wierszy w rodzaju Wspomnienie z Poronina czy Stacja Majakowski, to jednak ich ściślej osobisty wymiar dzięki zarówno ładunkowi treści głęboko humanistycznych, jak i wyczuwalnej w podtekście wiersza historii, nie zacieśnia się do subiektywizmu. Ujmuje w nich czytelnika mądrość zadumy filozoficznej, zachwyt nad pięknem, wrażliwość na zjawiska przyrody i dzieła kultury. Wzmacnia to w wielu momentach pełnię humanizmu w wymowie poezji Jastruna.

Niezachwiany i nieograniczony subiektywizmem sens humanistyczny tego rodzaju utworów Barw ziemi może być uznany za dowód ostatecznego przełamania przez Jastruna indywidualizmu, którego ślady dawały znać o sobie jeszcze w Roku urodzaju. Rosnący związek poety z historią znajduje dlatego wyraz nie tylko w wierszach, będących odzewem na sprawy, które nasuwa epoka, ale i w wierszach o charakterze kartek pamiętnika lirycznego. Tom ten pokazuje bez wątpienia wyraźniej niż poprzednio, że konsekwencją zrozumienia historii i współuczestnictwa w jej kształtowaniu jest, żeby tak powiedzieć, wrastanie biografii w historię. Świadczą o tym właśnie motywy wpisywane na kartkach pamiętnika lirycznego.

Na osobną uwagę zasługują spotykane w Barwach ziemi i przydające znamienny rys charakterowi tego tomu pewne wątki treściowe, które można by określić jako „problem Fausta". Jest to mianowicie nawracający wielokrotnie i przewijający się przez tematykę licznych utworów następujący motyw:

Gdyby nam dane było żyć długo,
jak słoniom,
Gdybyśmy żyli długo, jak dęby
lub żółwie,
Gdyby nam było dane nieść
krwi naszej płomień
Przez wieki, nie przez półwiek...
(W pracowni świata)

Nie sposób, oczywiście, kwestionować humanistyczną wymowę samego motywu zadumy nad krótkotrwałością ludzkiego życia, jak i marzeń o jego przedłużeniu. Trzeba jednak zaznaczyć, że niekiedy „problem Fausta" pojawia się w postaci wyjątkowo specyficznej. Decyduje o tym sposób jego ujęcia, pozbawiony dostatecznie wyrazistego związku ze sprawą, któremu służy życie człowieka. Tak jest właśnie, kiedy poeta jako jedyną rację wysuwa tylko rację biologiczną. Trzeba w tym widzieć nalot dawnej postawy indywidualistycznej i jedno z nielicznych w tym tomie zniekształceń wymowy ideologicznej.

*

...czy można własne doświadczenia
przekazać innym?

Takie pytanie zanotowane było jeszcze w poprzednim tomie Rok urodzaju. Przy próbie określenia tętna przemiany twórczości Jastruna warto dzisiaj wrócić do tego pytania. Jest ono bardzo znamienne. Jego sens odsłania przyczyny skłóceń i zawikłań ewolucji poety. Odnajdujemy w nim przecież wyraz specyficznego nastawienia, tak charakterystycznego dla symbolizmu, którego wpływy kształtowały początkowe lata twórczości autora Spotkania w czasie, nastawienia mianowicie, że poezja wypełnia swoje najgłębsze powołanie poprzez rewelację subiektywnych doznań i wewnętrznych drgnień psychiki. Obciążenia, które wynikły z podobnej postawy indywidualistycznej i z nawyków zasłuchania się w siebie, wyciskały przez długi czas nawet po przełomie swoje piętno na twórczości poety. Ich przejawy zaciemniały jeszcze w dość dużym stopniu wymowę poprzedniego zbioru wierszy. Obecnie jednak można stwierdzić, że wysiłek krystalizacji ideowo-artystycznej przyczynił się do tego, że w nowym tomie nie znajdujemy już na ogół śladów podobnych obciążeń. Pogłębiający się związek z rzeczywistością i świadomość współuczestnictwa w dziejącej się historii pozwoliły poecie przezwyciężyć resztki impulsów indywidualistycznych i jednocześnie rozstrzygnąć ostatecznie dylemat poezji jako rewelatorki subiektywnych doznań na rzecz właśnie poezji, która nie tylko przynosi treści „sprawdzalne w odczuciu powszechnym", ale także służy z całą żarliwością sprawom o znaczeniu najgłębiej społecznym.

Barwy ziemi zatem odsłaniają dobitne przesunięcie akcentów ideowo-artystycznych poezji Jastruna również w tej dziedzinie. Wyznania poety brzmią teraz inaczej:

Prawdziwe słowa blask od słońca biorą,
Twarzą do ludzi, nie za ich plecami...
(Powrót)

Słowa — to mało.
Słowa tylko w walce są prawdziwe.
(W pracowni świata)

W ogóle zastanawia w tym tomie uderzająca ilość wierszy, w których powtarzają się motywy roztrząsań na temat roli poezji. Jest w tym zapewne refleks uporczywego wysiłku krystalizacyjnego, który doprowadził do sprecyzowania stanowiska poety i nadał w rezultacie obecnemu tomowi znaczenie decydującego kroku naprzód w rozwoju.

Już poprzednio cytowane przykłady pokazywały, że dalszy wysiłek krystalizacji ideologicznej pociągnął za sobą w konsekwencji dalszą krystalizację artystyczną. W czym tkwi istota zaznaczających się coraz mocniej przeobrażeń?

Nie łatwo piszę.
Nie umiem dwóch zdań złożyć, aby pod nie
Nie podłożyć twardego jak stół doświadczenia.

To wyznanie poety, które znajdowaliśmy w tomie Sezon w Alpach, dopiero teraz, dzięki sprecyzowaniu się treści doświadczeń, otrzymuje w nowych wierszach właściwe potwierdzenie w całej rozciągłości. Uderza przede wszystkim pełna sprawdzalność konkretności. Jest to cecha, która w tym, co stanowi zasadnicze osiągnięcie tomu, musi być szczególnie podkreślona jako jeden z naczelnych rysów poezji Jastruna. Lektura wierszy Barw ziemi przekonywa, że siła konkretności jest siłą ich realizmu, podczas gdy jej brak jest równoznaczny z zachwianiem się wymowy realistycznej. Niepełność lub niedowład realizmu uderza właśnie w niektórych wierszach niejako rozrachunkowych na temat roli poezji, jak Kopernik i poeta, Pora-

chunek, gdzie widać niezależnie od nie zawsze wyklarowanego zamysłu nazbyt oderwane i za słabo sprecyzowane traktowanie założeń tematycznych, czy też, jak na przykład w wierszu Żyjący w dziejach, gdzie skrót uogólnienia nie został wsparty wyraźnie przeprowadzoną indywidualizacją. W większości jednak nowe wiersze przedstawiają się jako osiągnięcia, które stanowią bezsprzeczne wzbogacenie dorobku naszej poezji realizmu socjalistycznego.

Nie można także pominąć w charakterystyce ostatniego tomu wyników nieprzerwanego dążenia poezji Jastruna do prostoty. Widać je w założeniach kompozycyjnych, które z coraz większą konsekwencją realizują rozwijanie obrazu nie tylko na zasadzie skoków skojarzeniowych, lecz także na zasadzie wyraźnego akcentowania wątków tematycznych. W czasie lektury przekonujemy się, jak dalece zwiększa to przejrzystość wiersza, a tym samym i skuteczność jego oddziaływania. Wyniki dążenia do prostoty widać dalej przede wszystkim w samym języku.

Dni znów rozdarte tytułami gazet!
Oto przygotowują mordercy narodów
Wulkany
Wybuchające żelazem
Do wnętrza ziemi i za ziemi obwód.
(W pracowni świata)

Ten przykład, wzięty spośród wielu, pokazuje, jak dalece właściwe sprecyzowanie funkcji poezji pozwala poecie wyzwalać się spod nalotów hieratyczności mowy, uderzającej jeszcze w poprzednim tomie, bez zatracania tego, co jest istotnym elementem jego stylu, a więc natężonej i przepojonej patosem namiętności tonu. Dzięki temu postępującemu procesowi oczyszczania i uelastyczniania języka, czyli harmonizowania go z konkretnością treści, poeta istotnie może powiedzieć:

Niech wiersz mój za to będzie celny
i świeży
Jak druk politycznej gazety,
Jak Nadzwyczajne Wydanie o świcie.

Jeżeli chodzi o zasadniczą część utworów Barw ziemi, to powyższe słowa poety przestały już mieć sens tylko życzenia. Jest to bowiem istotnie poezja, która oddziaływa pobudzająco i mobilizuje. Decyduje o tym obok wykrystalizowanych treści ideologicznych i zwiększonej konkretności i prostoty stylu niepospolite mistrzostwo artystyczne, które twórczości Jastruna nadaje niezaprzeczoną rangę jednego z czołowych zjawisk współczesnej poezji polskiej. Siła realistycznego obrazowania i uogólniania, nasycenia obrazów żarliwością uczuciową, umiejętność zestrojenia rytmiki z intonacją wzruszenia, wynalazczość i świeżość artystycznego ujęcia i rozwinięcia tematu — oto rejestracyjnie bodaj zanotowane cechy, które nadają wierszom Jastruna nieodpartą sugestię i niezapomniany urok.

*

Zamykając ostatni tom trzeba stwierdzić, że przesunięcia akcentów ideowo-artystycznych w twórczości poety, które tu obserwujemy, mają znaczenie bardzo zasadnicze. Otwarte perspektywy przeobrażeń, aczkolwiek nie przesłaniają wrażenia naturalnej ciągłości rozwoju, nakazują wyznaczyć temu zbiorowi osobne miejsce w powojennym dorobku poety. Proces bowiem krystalizacji, który zaznaczał się od dawna w różnych wprawdzie formach i niejednakowym nasileniu, osiągnął tutaj wyraz niewątpliwie najbardziej skoncentrowany i jednoznaczny, wyzwolony od nalotów i zawikłań.

Świadczy o tym ogólny ton poezji Jastruna, który charakteryzuje większość wierszy tutaj zebranych. Jest to istotnie ton poezji, która swoim szlachetnym i głębokim, przepojonym

treścią rewolucyjnej ideologii humanizmem i swoim racjonalizmem uzbrojonym w rozumienie praw dialektycznych i historycznych służy sprawie postępu i dążeniu ludzkości do socjalizmu i pokoju. Uderza przełamanie istniejących przedtem ograniczeń kontemplacyjności i wzrost aktywności postawy wobec rzeczywistości, pogłębiająca się świadomość związku z czołową siłą historii — klasą robotniczą. Z tym wiąże się rosnąca namiętność ideologiczna tej poezji i jej optymizm, jej wiara w słuszność celów walki i w zwycięstwo. Ten ton, który słyszeliśmy już często w tomach poprzednich, brzmi teraz niewątpliwie donośniej i bardziej czysto.

Dlatego Barwy ziemi wyznaczają bezsprzecznie nowe zdobycze w ewolucji ideowo-artystycznej Jastruna. Wyjątkowość wprawdzie tego tomu jako ogniwa rozwoju i wzrostu poety nie polega na tym, że zamyka w jakiś ostateczny sposób cykl przemian zaczętych w tomach poprzednich, ale właśnie na tym, że z całą wyrazistością, większą niż przedtem, odsłania coraz głębiej źródła, które zasilają tętno nieustannej przemiany. Zdobycze tego tomu nie tylko przygotowały przesłanki pod dalszy rozwój poety, który obserwujemy w wierszach rozrzucanych szczodrze po czasopismach, ale także ugruntowały w sposób niezwykle piękny i pełny charakter i wymiar zjawiska, jakie reprezentuje poezja Jastruna, pogłębiając dalej jej rolę i znaczenie w przemianach współczesnej naszej poezji.

Hieronim Michalski

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI: *Wiersze i poematy* (poezje zebrane) Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 224.

Utwory zebrane w tomie obejmują przeszło dwudziestoletni okres twórczości, począwszy od r. 1927, aż do ostatnich lat. Dobrowolski był przez pewien czas związany z postępowymi pismami XX-lecia: Kwadrygą i Nową Kwadrygą. W artykułach publicystyczno-literackich, które tam drukował, opowiadał się za poezją ideową, nasyconą postępowymi tendencjami społecznymi.

Przypomnienie tego pozwoli nam lepiej zorientować się w pozycji i obliczu ideologicznym pisarza.

Debiutem poetyckim Dobrowolskiego był drukowany w jednym z pierwszych numerów Kwadrygi następujący wiersz:

Przez zęby zaciśnięte ostre ciskać słowa,
Prażyć nimi i chłostać, i ciąć najboleśniej,
Dopóki pośród ulic czerwienią majową
Nie rozkrwawią się w wichrze purpurowych pieśni.
I tak przez całe życie w słowach się rozmiatać —
Oto jest miłość moja i gniew mój do świata.

Cytuję go w całości, gdyż wiersz ten jest przykładem pewnego nieporozumienia ideologicznego, które rewolucyjny sens wiersza poważnie osłabiło. Obraz zawiera bowiem wiele reliktów modernistycznych. Celem i pragnieniem poety jest taka twórczość, która służyć będzie manifestującym w dniu 1 maja robotnikom. Ale uczucia poety nie mają w sobie cienia optymizmu, wiary w zwycięstwo sprawy. Poeta robotniczy skazany jest na szamotanie się, walkę bez pozytywnych perspektyw, mieści w sobie jakieś rysy cierpiętnicze człowieka będącego zawsze, „przez całe życie", w sytuacji tragicznej, nierównej walki. Nawet pochód 1-majowy nie ma w obrazie poety charakteru optymistycznego czy triumfalnego, jest przede wszystkim manifestacją bólu. W ogóle pierwszy zbiór poezji Dobrowolskiego (Pożegnanie

Termopil 1929) mieści w sobie wiele tego tragicznego stosunku do świata wiązanego niesłusznie z losem proletariusza. Wiersze Nieszczęście, Godzina rozpaczy, Krzyk nadają tym cierpieniom charakter nie do przezwyciężenia.

Drugim głównym nurtem tematycznym pierwszego zbioru są obrazy buntu i rewolucji. I ten nurt od razu ukazuje konwencjonalny charakter poprzednich obrazów, w których panowała fatalistycznie pojęta tragedia ludzka. Ale i rewolucja w oczach poety nabiera wymiarów literackich. Dobrowolski patrzy na nią oczyma wieszcza, przesadnie podkreśla rolę poezji w jej przygotowaniu, pamięta o zdobyciu sobie sławy poetyckiej. Rewolucja ta ma w sobie wiele młodopolskiego buntarstwa, marzenia o herosach historii. Poeta nadużywa mocnych, krańcowych określeń.

Niesłusznie przyjęte tradycje modernistyczne nie mogą jednak zacierać faktu, że Dobrowolski był poetą wrażliwym na krzywdę proletariatu, dostrzegającym siłę postępowej poezji. Zacytujmy choćby fragment z wiersza Pieśń o idącej sławie:

Słyszysz śpiew, jak zorzami
rozbrzmiewa —
Wiatrom podaj rozdartą pierś!
Stań poezjo w wichrze i śpiewaj
Tryumfalną roboczą pieśń!

W następnym okresie twórczości (zbiór Autoportret 1932) zmieniają się zainteresowania tematyczne poety. Dobrowolski dalej bliski jest ludzkim sprawom i troskom, ale pozbawia wiersze akcentów walki i protestu. Pejzaż miejski, przyjaźń, erotyka — oto krąg nowych tematów. Przyczyną tego przesunięcia tematycznego był wzrastający nacisk ideologiczny ustroju, na gruncie którego słabły początkowe akcenty protestu. Sam Dobrowolski w jednym z wierszy skłonny jest dopatrywać się w swojej dawnej postawie tylko przejawu młodzieńczych uniesień:

Komu wtedy się sławą nie śniła?
Kto z nas wtedy nie myślał o sławie,
Kiedy pisał nachmurzone wiersze
Na szkolnej ławie?
Kto się wtedy z Bogiem nie wadził?
Kto ze światem całym nie wojował?
— Płomieniły się serca miłością,
— Płomieniami paliły się głowy.

Okres kilkuletni (Wróżby 1934, Nad Norwidem, 1935) jest etapem regresji ideologicznej. Najważniejszym powodem zarysowania się takiej postawy było oczywiście osłabienie poetyckiego zainteresowania sprawami robotniczymi. Z jednej strony hasłem poety staje się radość życia typu villonowskiego, przeplatana poczuciem horacjańskiej mediocritas, z drugiej strony poeta raz po raz nasuwa czytelnikowi przypuszczenie, że niewzruszoność wewnętrznego spokoju jest tylko pozorna, że w istocie poecie leży coś na sercu, o czym jednak mówi tylko ogólnikowo.

Bardzo charakterystyczne jest nasilenie w tym okresie poetyckiego zainteresowania się Norwidem. Poeta zaczyna bowiem uznawać swoje oderwanie od problematyki klasowej za swoistą postawę walki ideologicznej, postawę heroicznej samotności. Zachwyca go tragizm samotnej walki, norwidowskie poczucie opuszczenia, które w konsekwencjach prowadziło do wyłączania się z szeregów rewolucjonistów, ustawiania się ponad czy poza ruchem. Tradycji literackiej dla wyrażenia tej postawy szuka poeta u romantyków, przede wszystkim u Norwida, a następnie u Heinego, Lermontowa. Dobrowolski nieustannie akcentuje swoje postępowe przekonania, ale w tym okresie twórczości są one motywem skłócenia ze światem i przyczyną samotności. W jednym z wierszy (Na piasku) pojawia się motyw wyczekiwania, po-

eta porównuje swoją sytuację do sytuacji ryby na piasku czekającej na strumienie z gór.

Około r. 1935 w postawie poety dostrzegamy wyraźny zwrot. Dobrowolski zbliża się powtórnie do środowiska robotniczego, a co ważniejsze do problematyki rewolucyjnej. P o w r ó t n a P o w i ś l e — tytuł poematu wydanego w r. 1935, oznacza powrót poety robotniczego do swego świata, powrót do życia i spraw wieku młodzieńczego. U źródeł tego zwrotu stało wzrastające natężenie walki klasowej w związku z faszyzacją państwa. Utwór ten, jeden z cenniejszych, jaki stworzyła epoka międzywojennego XX-lecia, opowiada historię jednego z pochodów 1-majowych. Obraz manifestacji wyzbyty jest już dawnego powierzchownego patosu. Jego zasadniczym walorem jest artystycznie prawdziwe pokazanie świata robotniczego. Poeta czyni pochód jednym ogniwem długiego łańcucha walki klasowej, jednym z przejawów stałej tendencji protestu. Ciekawie i słusznie rozwiązany został problem kompozycji utworu. W życiowej kolei rzeczy pochód jest wyrazem konfliktu spowodowanego nagromadzeniem krzywd społecznych robotników. W literackim kształcie poematu odpowiada temu gromadzenie motywów o tym samym kierunku działania, ich spiętrzenie zostaje dramatycznie rozładowane sceną pochodu. Mamy więc w I rozdziale obraz dzielnicy robotniczej, której warunki mieszkaniowe odbijają się fatalnie na zdrowiu fizycznym i moralnym zamieszkujących ją ludzi. Rozdział następny pokazuje wyniszczającą pracę robotników w kapitalistycznej fabryce, zapowiedź buntu jest już wyraźniejsza. W części III — opis bezrobocia. W części dalszej robotnicy konspirują w sprawie pochodu i następuje spięcie dramatyczne: wiec zakończony manifestacją.

Poemat jest tak skomponowany, że rozdziały jego uzupełniają się i wiążą także pod względem poznawczym, czytelnik otrzymuje serię obrazów informujących o typowym przebiegu życia robotnika w kapitalistycznych warunkach. Najlepsze artystycznie są niewątpliwie sceny pochodu i starcia robotników z wojskiem. Poeta, który w swych wczesnych wierszach miał pewną skłonność do sztucznego patosu, umiał zachować tu słuszny umiar, nie wyrzekając się przy tym słów akcentujących wielkość i siłę rewolucyjnej manifestacji.

W rozdziałach początkowych dostrzec można pewne naleciałości stylistyczne ekspresjonizmu, zupełnie dotąd obce poecie, uwidoczniające się specjalnie w obrazie dzielnicy robotniczej. W poemacie nie ma żadnej indywidualnej postaci i to także jest pewnym błędem, bo chociaż dobrze rozumiemy intencje autora, który chce stworzyć bohatera zbiorowego, wiemy, że pokazanie losów robotniczych na konkretnych postaciach na pewno wzmocniłoby wymowę utworu. Ciekawy i udany jest pomysł poprzedzenia i zamknięcia poematu osobistymi wspomnieniami autora. Zwrotka urwana przy zapowiedzi rewolucji (wskutek przewidywania konfiskaty utworu) jest bardzo mocnym akcentem, podkreślającym ideologiczną siłę poematu.

Zmilkła pieśń ścięta klęski toporem,
lecz nie stygnie podziemny krater:
wyjdzie za nią druga na forum
z oskarżeniem — jak prokurator.
Wtedy znowu podsądnym — strach,
Spazm i drżenie za gardziel
uchwycą...
(Lecz tu cenzor grozi: ciach — ciach!
i łeb pieśni na łup nożycom)
Kończmy zatem bez katastrofy —
po cóż dzwonić tak uroczyście?
Jaśmin kwitł, gdym zaczynał te
strofy,
a tu jesień już sypie liście.

Następny poemat Dobrowolskiego Janosik z Tarchowej (1937) jest opracowaniem znanego podania o zbójniku tatrzańskim. Opracowanie autora dąży do nadania postaci i działalności Janosika sensu klasowego, pragnie zbójnika pokazać we właściwym świetle, jako jednostkę skupiającą w sobie chłopskie tendencje rewolucyjne. Janosik w interpretacji poety jest góralem, który buntuje się przeciwko pańszczyźnianej niewoli, wzięty do cesarskiego wojska i postawiony na straży przebywających w więzieniu buntowników ułatwia im wydostanie się na wolność i ucieka razem z nimi. Wzbogaceniem poematu w stosunku do Powrotu na Powiśle jest rozbudowanie fabuły, obfitość sytuacji, w których stawia swego bohatera poeta. Janosik jest dzielną, odważną postacią, rozumie konieczność walki z dworem pańskim.

W wielu wersjach legenda o Janosiku opowiada, że zbójnik rozdzielał zrabowane grosze ubogim. Wydaje się, że taka postać legendy ma najwięcej danych, aby wyrażać pragnienia ludu góralskiego. Działanie zbójnika otrzymuje w ten sposób podstawy swoistej sprawiedliwości, a legenda nabiera waloru wychowawczego. Janosik Dobrowolskiego organizuje swoją bandę, aby „zemstę brać na panach", ale nie myśli o jakimkolwiek wyrównaniu krzywd poniesionych przez wioski góralskie. Zbójnik projektuje wprawdzie rozszerzenie buntu, po wsiach chodzą słuchy, że Janosik gromadzi gdzieś zrabowane po dworach bogactwa, ale wskutek pominięcia jego swoistej filantropii, historia buntu zmienia swój ideowy sens. Przestaje być wyrazem dążenia do wyrównania przepaści klasowej, staje się opowieścią o łupieskiej bandzie.

Wiersze poety z okresu 1939—1945 są najściślej związane z tematyką narodowo-wyzwoleńczą. Ale poeta wybiera tylko jedną część problematyki tych czasów — heroizm i patos walki z okupantem. Stąd cykl ten charakteryzuje pewna jednostajność tematyczna, tym silniej rzucająca się w oczy, że na ogół wiersze te utrzymane są w podobnej atmosferze uczuciowej. W wielu utworach powraca błąd artystyczny, który spotkaliśmy we wczesnej twórczości poety: sloganowość, powierzchowność formułowanych wezwań, sprawiająca, że poecie nie udaje się poruszyć uczuć czytelnika. (Rozkaz dla Warszawy, Żelazny Marsz, Naprzód!).

Patos, retoryka wielkich spraw charakteryzują także powojenną twórczość poety. Dobrowolski jest jak zwykle czujny na problematykę epoki i reaguje poetycko na większość spraw nurtujących społeczeństwo. Zwłaszcza budownictwo socjalistyczne, a w szczególności odbudowa Warszawy, zajmują w poezji rodowitego warszawianina, jakim jest poeta, wiele miejsca. Niestety, pojawiają się tu znów niebezpieczeństwa sloganowości, tym gorsze, że metafora poety często zamiast konkretyzować poruszane sprawy, generalizuje je i zaciera. (Nasz czas, Warszawskie)

Nieskończony
nasz czas kolana dźwiga oba.
Na gruzach lat, na naszych grobach
czerwcowy się poranek kłosi
jak tytułowa karta dzieła.
Nasz czas ramiona hardo wznosi
do przyszłych dni: wyklęty, powstań
z popiołów ziemi... Jeszcze Polska
nie zginęła!....

Na tym tle bardzo ważne są dążenia poety do tworzenia utworów o codziennych, prostych sprawach, utworów, które stanowiłyby przeciwwagę retoryki. Także w tematyce „wielkiej" pojawia się dążenie do bezpośredniego zbli-

żenia jej czytelnikowi. Utwory zawierające tę słuszną tendencję należą w tym cyklu do najlepszych. Chociaż nie wszystkie ze sposobów obranych przez poetę możemy w równym stopniu akceptować, dążenia te dowodzą, że poeta zdaje sobie sprawę z kierunku, w jakim powinien iść jego dalszy rozwój. Tym więcej, że niektóre utwory, które wiążą wielkość sprawy z bezpośredniością uczucia (Na narodziny córeczki u przyjaciół), należą w ogóle do najlepszych wierszy poety.

Z wierszy patetycznych należałoby wyróżnić dwa: Nie ma dzwonka na przerwę i Na sprowadzenie prochów Juliana Marchlewskiego, pokazujące, że i ten styl poetycki może być dla poety terenem osiągnięć, a zatem i tu tkwią możliwości dalszego rozwoju. Uniknął tu Dobrowolski często spotykanego u niego w tego typu wierszach banalizowania przyjętych symbolów i metafor. Poeta o tak dużym doświadczeniu pisarskim zdaje się często zapominać, że banalność najskuteczniej zabija wzruszenie poetyckie.

To samo zastrzeżenie odnosi się do poematu Generał Walter. Ostatnie publikacje poetyckie Dobrowolskiego są w zasadzie nieliczne, po wojnie pisarz nie wydał ani jednego zbioru nowych utworów poetyckich. Wydaje mi się, że krytyk ma prawo przypomnieć o tym poecie, który kiedyś, za czasów sanacji, porównywał swoją sytuację do ryby na piasku czekającej na strumienie z gór. Wiosną tego roku przypada 25 rocznica opublikowania w Kwadrydze jego pierwszego wiersza. Może przypomnienie tego stanie się skuteczną zachętą do dalszej, owocnej twórczości.

Włodzimierz Maciąg

WILHELM SZEWCZYK: *Poemat górniczy*, Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 40.

Wydany w 1938 r. poemat Wilhelma Szewczyka Hanys stanowił na tle ówczesnej poezji, która w miarę rosnącej grozy wojny coraz bardziej odsuwała się od rzeczywistości i człowieka, próbę cenną i godną pamięci. Szewczyk opowiadał o współczesnym Śląsku, o nędzy, kryzysach i bezrobociu, o niesprawiedliwości ustroju kapitalistycznego — występował z ostrą krytyką przez wyraziste kreślenie obrazów zła społecznego, przez konkretne, bezpośrednie wypowiedzi w komentarzu autorskim, lub przez słowa włożone w usta bohaterów poematu. Hanys nosi jednak na sobie dwie głębokie rysy, które obniżają poważnie realistyczną wartość utworu. Po pierwsze: zagadnienie patriotyzmu jest zamącone i pojęte bardzo mistycznie. Po drugie: mimo akcentów radykalizmu społecznego poemat Szewczyka jest w efekcie fatalistyczny, ponieważ niedostatecznie jeszcze dojrzała świadomość ideowo-polityczna nie pozwalała wyjść autorowi poza ramy ogólnikowego, chrześcijańskiego humanizmu, który podnosi każdą krzywdę i nie analizując jej mówi: „Bóg tak chce"

Dodajmy tu jeszcze, że wojenna twórczość Szewczyka (tom Posągi wydany w r. 1945 i zawierający ideową kontynuację Hanysa — poemat Noc), nie była na drodze twórczej poety etapem, który mógłby mu obecnie pomóc w pracy nad realistycznym kształtem poezji. Nad wojennymi wierszami Szewczyka zaciążyły wyraźnie fideistyczne koncepcje filozoficzne, mieszczański patriotyzm i idea walki o „święte niebo, ziemię i naród" (cyt. z Nocy). Poeta nie odpowiadał w swych utworach, o jaką Polskę walczy — w rezultacie czego jego program po-

lityczno-społeczny budzić musiał wiele wątpliwości.

Poemat górniczy jest niejako podsumowaniem dotychczasowej drogi poety do realizmu. Czy oznacza to, że przyjmujemy utwór bez zastrzeżeń? Nie, tak nie jest.

Przypatrzmy się dokładniej poematowi, który — powiedzmy to sobie wyraźnie — nie jest poematem. Trudno wyrokować, czy autor zdawał sobie sprawę z tego, że pisze tylko cykl wierszy na wspólny temat, wydaje się, że jednak o tym nie wiedział, ponieważ poszczególne fragmenty, w oderwaniu od pozostałych, na ogół nie tłumaczą się dość wyraziście. W poemacie Szewczyka mowa jest o wszystkim: o niedoli górnika w warunkach wczesnokapitalistycznej produkcji, o ingerencji obcego kapitału, o Wiośnie Ludów, o strajkach, o solidarystycznych tendencjach „postępowej" burżuazji i kleru, o działalności Karola Miarki i wykrzywieniu ideologii postępowego w założeniu czasopisma Katolik, o sojuszu, jaki łączył magnaterię, cesarza i burżuazję, o pierwszej wojnie światowej i przymusie służby wojskowej, o Wielkiej Rewolucji Październikowej i jej znaczeniu dla polskiej klasy robotniczej, o powstaniach śląskich w latach 1919—1921, o wyzysku i deprawacji robotnika w latach panowania sanacji, o działalności KPP, o przyjaźni polskiego reżimu z zagranicznymi producentami, o wrześniu 1939 i walce podziemnej śląskiego robotnika, o wyzwoleniu Śląska przez armię radziecką i polską, o ogromnym wysiłku mas pracujących w uruchomieniu zdewastowanego przez wojnę przemysłu, o zobowiązaniach produkcyjnych, o Wiktorze Markiewce, o znaczeniu Planu Sześcioletniego — wszystko to na 35 stronach druku. Poeta pragnie dać w poemacie obraz całego wieku, dlatego musimy uznać jego próbę za niezupełnie udaną.

Szewczyk streszcza w kilkunastu linijkach całe okresy historyczne, wystarcza mu aluzja do jakiegoś zdarzenia czy działalności postaci historycznej — a przecież trzeba pamiętać, że historia Śląska jest mocno skomplikowana i przeciętnemu czytelnikowi znana tylko w ogólnym zarysie. Owszem, są wydrukowane na pięciu stronach „komentarze prozą", rodzaj podręcznej encyklopedii, ale to już nie jest poezja, a czytelnik chciałby być przekonany i wzruszony — poezją. (Na marginesie: Przypisy i komentarze utrudniają, a właściwie uniemożliwiają recytację utworu, co w wypadku poematu o tego typu problematyce jest dużą szkodą). Oto np. na str. 5 czytamy:

Na robotach Stanoszek. Bluzga ziemia posoką
i do szybu przelewa się miękko.
Wieczór nietoperzami przypływa gdzieś z boku,
z szybu smród bucha jak z szynku.
Głębiej, głębiej i prędzej!
Przed grafem łuczywa.
Znów hajducy porywają Stanoszka.
Nad pobitym pochyla się noc miłościwa,
składa skrzydła ciepłe jak kokoszka.

Kto to jest Stanoszek? Dlaczego biją go hajducy? Sięgamy do komentarzy. „Stanoszek, robotnik, o którym pewien dokument sądowy z roku 1850 powiada, że skazany został za „podburzenie tłumu przeciwko szlachetnie urodzonym panom i hrabiom." No tak, myślimy, ale wiersz zamieszczony jest na stronie piątej, a komentarz na trzydziestej szóstej... Na kartach tomu pojawia się szereg postaci, nazwisk, miejscowości i faktów, które bez wyjaśnień nie pozwalają czytelnikowi na swobodną lekturę.

*

Niewłaściwa koncepcja, jaka leży u podstaw Poematu górniczego, warunkuje całą robotę artystyczną utworu, poszczególne rozwiązania i ujęcia. Otóż mając tak ogromny materiał historyczny, wielką ilość wypadków politycznych i zjawisk społecznych — autor nie uniknął błędu, jaki obserwujemy we wszystkich niemal tego typu poematach „historyczno - politycznych". Utwór pozbawiony jest akcentów obyczajowych, owych drobnych szczegółów, które powinny nadać zdarzeniom i ludziom swoisty koloryt i ciepło, zbliżając wielkie zagadnienia do czytelnika, przemawiając nie tylko do świadomości i rozumu, ale również do wyobraźni. Poemat jest oschły, dziennikarski (w złym tego słowa znaczeniu!), oczyszczony z obrazów, które pokazywałyby np. robotnika od strony jego domowego, osobistego życia. Zrozumiałe: Szewczyk nie ma czasu, musi pisać o wszystkim. Poza fragmentem XVII, gdzie poeta bardziej kameralnie mówi o Wiktorze Markiewce — wszystko nastrojone jest na ton najwyższy, wszystko jest trochę zewnętrznie „polityczne".

Postaci historyczne, które pojawiają się licznie na kartkach poematu (kilku przedstawicieli rodziny Donersmarcków, Stanoszek, Wieczorek, Markiewka i inni) nakreślone są do tego stopnia skrótowo, że w wyobraźni czytelnika w ogóle się nie rysują. Bohaterowie Poematu górniczego są płascy, a ich funkcja — chwilowa. Jest rzeczą zupełnie jasną, że w poemacie — nazwijmy go — „mozaikowym" obejmującym ogromny okres historyczny i wielką ilość zagadnień — postać nie może być pełnowymiarowa i wyposażona przez autora w cechy indywidualne. Niemniej wydaje mi się, że w Hanysie stanowisko Szewczyka w tej sprawie było znacznie słuszniejsze. Hanys — naczelna postać utworu — przedstawiony jest skrótowo i pokazany tylko w tych momentach, które najtrafniej ukazują go nam jako pewien typ działacza robotniczego. (Podczas strajku, albo podczas pracy w „bieda — szybach", albo podczas choroby, kiedy ciężko ranny w nogę w kopalni nie ma środków do życia itp.). Przeważa element liryczny, opisy krajobrazu, liczne komentarze, mimo to Hanys pozostaje w naszej pamięci jako symbol śląskiej klasy robotniczej. W Poemacie górniczym Wieczorek czy Markiewka giną w nawale spraw i problemów, w które włączeni są pośrednio lub bezpośrednio.

Konsekwencje zasadniczej pomyłki koncepcyjnej sięgają dalej. W poemacie znajdziemy wiele miejsc artystycznie niedopracowanych i nie przemyślanych. Pomijam momenty mniej ważne, świadczące o pewnej beztrosce poety (np. str. 7: „Uzbrojeni żandarmi na głos czytają ludziom ostry ukaz, który śmiercią grozi" — Żandarmi niemieccy nie mogli czytać „ukazu"; str. 8: „Lecz powietrze przeszyte śmiercionośną łuską..." itd. — Chyba pociskiem?) Chcę przede wszystkim zwrócić uwagę na partie, które dobitnie świadczą, że metaforyka i obrazowanie nieraz Szewczykowi nie dopisują i przez swą niestaranność względnie sztuczność obniżają wartość poszczególnych fragmentów. Oto przykłady:

Kończyło się na kiju, który z ciała
zdrajcy krew strugami jasnymi doił.
(str. 11)

Na dymiącej linii zachodu, poranionej jak ludzka brew(?!), trwał
powstaniec trzydzieści nocy... (str. 18)

Rano syrena na dachach jak ryba
w mgle rozwija pletwy i pluszcze
(str. 34)

(Mowa o syrenie fabrycznej.)

Nad granicą książęce daniele
u gajowych w łasce i sławie.
Bezrobotni gitarami brzęcząc,
ulicami jak zmokłe pawie
wloką biedę, łaskę książęcą.
(str. 23)

Czy fakt, że gajowi opiekują się danielami, źle świadczy o właścicielach lasu? Dlaczego bezrobotni to — pawie? Czy pawie mogą wlec biedę? Trudno odpowiedzieć na te pytania.

Równocześnie Szewczyk daje utwór napisany w niejednej partii językiem barwnym i żywym i przy całej „streszczającej" tendencji wolnym zasadniczo od deklaratywności i frazeologii. (Niestety, nieraz Szewczyk gmatwa i „ciągnie za włosy" metafory.) W miejsce pusto brzmiącego sloganu umie poeta dowcipnie nazwać Markiewkę „kawalerem dobrej nadziei", umie z rozmachem skomponować obraz:

Jeden komin dymił różowo:
to ostatni już dech maszyny.
Stu czterdziestu zwolnili znowu,
czterech prosto poszło na szyny.
(str. 21)

Poemat Szewczyka należy jako etap rozwoju autora ocenić pozytywnie. Niemniej jednak kwestia poematu współczesnego jako gatunku pozostaje nadal otwarta, ponieważ utwór Szewczyka nic nie wyjaśnił i nie pchnął sprawy naprzód. Przeciwnie: powtórzył tylko błędy popełnione już przez co najmniej kilkunastu poetów. Nie można pisać o wszystkim.

Leszek Herdegen

FRANCISZEK FENIKOWSKI. *Lewy brzeg*. Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 47.

Lewy brzeg Fenikowskiego mimo obszernego rejestru nie tylko drobnych potknięć ideologicznych, ale całych utworów ideologicznie wypaczonych, mimo epigonizmu większości wierszy, zasługuje raczej na ostrą krytykę, która by pozwoliła autorowi przezwyciężyć dotychczasowe obciążenia, a nie na bezwzględne potępienie.

Wśród najbardziej nawet wątpliwych ideologicznie utworów można znaleźć w Lewym brzegu elementy wartościowe, których ilość wzrasta wraz z coraz późniejszymi datami powstawania wierszy. W ostatnich wierszach: Elektryfikacja i Nowa Huta widzimy pozytywną zapowiedź i optymistyczną pointę tomiku. Tomik Fenikowskiego sprawia wrażenie dziennika, w którym każda kartka jest dokumentem etapu, współcześnie zaprotokółowanego w wierszu. Każda kartka zawiera bezkrytyczną aprobatę swej aktualnej postawy i dopiero zestawienie utworów wcześniejszych z późniejszymi, porównanie różnic, uświadomienie sobie, co zostało przyjęte, a co odrzucone — pozwala wysnuć wnioski o przyjęciu przez autora nowej hierarchii wartości.

Tematyka przeżyć artystycznych, związanych z muzyką, architekturą, teatrem przeważa wśród wcześniejszych utworów. W takich wierszach jak Ziemia prozaiczna, Chopin, Harnasie zajmuje Fenikowski postawę estetyzującą.

Fenikowski nie potrafił jednak dać przeżyciom artystycznym humanistycznego ekwiwalentu poetyckiego. Sztuka zamyka się dla niego w wąskim kręgu autonomicznych doznań estetycznych. Tłumaczy więc muzykę na architekturę, stwarza plastyczną wizję muzyki — i na tym koniec. Dla Fenikowskiego nie istnieje tu związek między fugą Bacha a obszernym, bogatym światem uczuć i myśli dzisiejszego słuchacza. Poeta ucieka od humanistycznej treści sztuki w kosmos, między planety i słońca, lub w dziedzinę metafizyczno - religijnego obrazowania. Zresztą porównanie wszystkich wierszy wskazuje, że anioły z Fugi, podobnie jak Priam i Hektor

w Zamiast inicjału mają raczej charakter estetyzujących rekwizytów niż sens światopoglądowej manifestacji. Strofa ta:

Ciężko łomocą postoły,
po schodach idą anioły,
piętrzy się wieża wysoka,
aż z oczu ginie w obłokach,
a ja — architekt zbłąkany
w cynowym lesie organów —
z muzyki trwalszej od spiżu
wznoszę jej zrąb coraz wyżej.

i posługująca się inną stylizacją, tym razem klasycystyczną, strofa:

Tam co dzień Andromacha żegna się z Hektorem
i rąk bolesnym gestem Priam płacze syna,
a chór wytęża oczy, czy świtać zaczyna
dzień, co z mroku wyrąbie kraj srebrnym toporem.

—mieszczą się we właściwej Fenikowskiemu estetyzującej koncepcji poezji.

Nie brak u Fenikowskiego w innych utworach zbiorku banałów w rodzaju „sinych mgieł", „zdruzgotanych kolumn"; dźwiękowych karambolów, jak: „Tam my dzieje gramy"; łatwego sentymentalizmu: „mgiełek" i „strumyków". Ale najbardziej chyba szkodzi Lewemu brzegowi jawny epigonizm większości wierszy.

Z eklektycznej poetyki Skamandra wziął Fenikowski nie to, co w niej było stosunkowo najlepsze: trudno więc doszukać się u niego cech Tuwima — za to z nieodpartą siłą rzuca się czytelnikowi w oczy lechoniowski neoromantyzm:

Jakiś wiatr powiał nagle w teatralnej sali
i banalne uśmiechy zdmuchnął niespodzianie,
zaskoczeni panowie i zdziwione panie
jakoby ze snu się budząc, drgnęli i poznali.
(Harnasie)

Z międzywojennego dorobku Słonimskiego wziął Fenikowski nie humanistyczną postawę — lecz sentymentalny rekwizyt. Zbieżności jest mniej niż z Lechoniem — ale miejscami wkraczają w dziedzinę ślepego naśladownictwa, jak jest np. w wierszu Preludium deszczowe

I wraca uliczka znajoma,
schodki, latarnia i mgła...
— Nie odepchnę tej wizji rękoma,
wspomnienie trwa.

a w pierwowzorze u Słonimskiego:

Ciemna, zamknięta kawiarnia,
Ulica pusta bez dna.
Wśród mokrych liści latarnia.
Mgła.

Do sentymentalizmu ma zresztą Fenikowski szczególną skłonność. Już na własną rękę tworzy więc zabawne dziwolągi, którymi ośmiesza Chopina. Raz robi to imputując Preludium deszczowemu słowa godne tanga:

każdy twój krok jest nutą,
preludium deszczu to ty!

to znów, innym razem, każąc Chopinowi grać na... skrzypcach. Mimo to nawet w wierszach dawniejszych, mało świadomych ideologicznie, znaleźć można pozytywne elementy. Tak więc np. wiersz Odbudowa kościoła Panny Marii we Wrocławiu, reprezentujący tematykę odbudowy trwałych wartości kultury polskiej na Śląsku — nie wpada w metafizyczne akcenty wiersza Fuga J. S. Bacha.

W Nowej Hucie, w Elektryfikacji mamy już nowy świat. Fenikowski pisze:

Płynie wieś... Lampka naftowa
dziś jeszcze kopci i błyska
w kajucie o ścianach z bierwion,
gdzie cierpko cykają świerszcze,
lecz drwal wie, że jego chata
nowego światła już bliska
i garbiąc plecy nad książką
poznaje litery pierwsze".

Wierzymy, że autor, który przecież bardzo postąpił naprzód od czasu wydanego wraz z Golańskim tomiku O dra szumi po polsku i od wcześniejszych swych wierszy z Lewego brzegu — trafił na szlak słusznej ideowej poezji.

Jan Józef Lipski

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI: *Z dziejów naturalizmu w Polsce.* Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1951; str. 140.

Sprawa naturalizmu — tak nazwał J. Z. Jakubowski pierwszy szkic zbiorku swoich rozpraw. Wyjaśnieniu tej „sprawy" służy wszystkich pięć rozpraw, służy temu również bardzo rozsądna praca wydawnicza autora, który udostępnił czytelnikom w ostatnich paru latach skomentowane wybory utworów Zapolskiej, Witkiewicza, a ostatnio Antoniego Sygietyńskiego.

Tom szkiców Jakubowskiego o wspomnianych pisarzach, poprzedzony rozważaniami ogólno-teoretycznymi o istocie estetyki naturalistycznej i jej miejscu historycznym w dziejach literatury polskiej oraz źródłowa rozprawa o Wędrowcu — piśmie będącym areną zasadniczych wystąpień grupy pisarzy, określanych dotąd sumarycznie mianem naturalistów — ma na celu dokonanie zasadniczej rewizji sądów i ocen burżuazyjnego literaturoznawstwa. Jest to konieczny punkt wyjścia i on określa charakter rozpraw Jakubowskiego, które są w tej dziedzinie właściwie pierwszymi krokami marksistowskiej nauki o literaturze, rzetelnej wiedzy o pisarstwie badanych przezeń pisarzy. Dotychczasowe badania przedstawiają się tu i wyjątkowo ubogo, i jaskrawo wyjałowione z istotnej problematyki. Tradycyjna nauka o literaturze, jeśli idzie o naturalizm, była szczególnie bezradna, nie była nawet zdolna postawić we właściwych miejscach znaków zapytania. Książka Jakubowskiego, nawet w założeniu nie zmierzająca do pełniejszego wyczerpania problematyki, wysuwa na czoło dwa centralne zagadnienia, nierozerwalnie zresztą ze sobą wiązane, które—jak sądzę — stanowią przesłankę dla istotnie płodnych badań. Pierwsze — to zagadnienie naturalizmu jako kierunku literackiego i jego miejsca historycznego, drugie — to określenie jego treści, wyrazu, społecznych źródeł. Tak postawione zagadnienia pozwalają zerwać z idealistycznymi twierdzeniami, jakoby naturalizm był swoistą postacią realistycznej estetyki. Równocześnie pozwala na zerwanie z ahistorycznym traktowaniem naturalizmu, z podstawianiem pod to pojęcie rozmaitych zjawisk, faktów literackich na podstawie zewnętrznych cech, powierzchownych podobieństw i niewłaściwych kryteriów. Nawet w przygodne rozważania marksistowskich badaczy i krytyków wkradały się te nieporozumienia. Sprawiały one, że pod jeden strychulec podciągano dekadencką, antyrealistyczną twórczość pisarzy naturalistycznych ostatniej doby rozkładu świata kapitalistycznego i twórczość pisarzy, którzy — żyjąc w okresie niewątpliwego zmierzchu ustroju burżuazyjnego i niezdolni wyjść w sposób konsekwentny poza jego granice—jeszcze w pewnym stopniu zdolni byli dać krytyczny, os-

karżycielski obraz swego świata, ukazać procesy jego rozkładu, zawrzeć w swej twórczości elementy realizmu krytycznego stanowiące trwałą wartość ich dzieł. W twórczości artystycznej Zapolskiej, w działalności krytyczno-artystycznej i krytyczno-literackiej Witkiewicza, Sygietyńskiego są one widoczne. Jakubowski podchodzi do nich z troską badacza, który widzi w ich dziełach trwały wkład do dziedzictwa kulturalnego. Jak Jakubowski podkreśla, intencją jego było, aby w zawiłym labiryncie twórczości Zapolskiej, Witkiewicza, Sygietyńskiego, grupy Wędrowca z lat 1884—1887, nie nakładać etykiety naturalizmu na utwory, które „zawierając wiele elementów trafnej krytyki społecznej są po prostu ostatnimi literackimi manifestacjami realizmu krytycznego". (str. 22). W tym zawiłym labiryncie bowiem autor rozpraw gromadzi na to argumenty, „nie między autorami czy książkami, ale niejednokrotnie wewnątrz jednego utworu musimy oddzielać poplątane tendencje naturalistyczne i realistyczne" (str. 22). Szkice Jakubowskiego o Zapolskiej, Witkiewiczu, Sygietyńskim poświadczają słuszność i płodność takiego ujęcia zagadnienia.

*

Jak stwierdziliśmy już, warunkiem właściwego zinterpretowania objawów naturalistycznej estetyki w literaturze jest ukazanie jego społecznych zródeł, dotarcie do nich poprzez wyłonienie teoretycznych sformułowań i konkretnej praktyki z fałszów, złudzeń i nieporozumień właściwych badanej grupie pisarzy, w których twórczości bezsprzecznie objawiły się schyłkowe tendencje literatury burżuazyjnej, jej nieuchronne odchodzenie od realizmu. W pracy tej pomogły Jakubowskiemu niewątpliwie teoretyczne rozważania badaczy marksistowskich, a więc studia Lukacsa o twórczości Flauberta i Zoli, a zwłaszcza świetna praca teoretyczna radzieckiego badacza A. I. Burowa p.t. Estetyka marksistowsko-leninowska przeciwko naturalizmowi w sztuce".

Wniosków z tych prac Jakubowski nie przenosi mechanicznie na grunt swoich badań, lecz podkreśla złożoność ich przedmiotu i ich swoisty charakter. Okres realizmu krytycznego był w Polsce bardzo krótkotrwały. Dopełnia go na gruncie polskim w szczególny sposób wczesna twórczość „polskich naturalistów", czy pewne dość widocznie wyodrębniające się fragmenty ich twórczości (niekiedy bardzo znaczne — jak np. w przypadku Zapolskiej) „Odczytujemy tam — pisze Jakubowski — jak w dziełach realizmu krytycznego, choć bez głębokiego humanitaryzmu Prusa czy Orzeszkowej, elementy postępowej krytyki społecznej". (str. 19).

Nie były one przez cały czas stałym składnikiem twórczości pisarzy należących do kręgu twórców, którym bliska była estetyka naturalistyczna. W latach dziewięćdziesiątych jej przewaga zaczyna wyraźnie tłumić, eliminować elementy postępowej krytyki społecznej, poznawcze wartości realizmu krytycznego. Drogi odejścia były w indywidualnych przypadkach bardzo rozmaite, sens społeczny — jednorodny. Następował — stwierdza słusznie autor — odwrót od rozumienia historii, od rozumienia teraźniejszości, w której proletariat polski toczył nieustępliwe boje o obalenie starego porządku. „W tej sytuacji widzimy jasno wsteczną funkcję metody naturalistycznej". (str. 20). Tu trzeba chyba wnieść poprawkę, do której istnieją zresztą podstawy w wywodach Jakubowskiego.

Wsteczna funkcja „metody naturalistycznej" jest oczywista od samego początku, tylko piętno wyciskane na

dziełach omawianych pisarzy występuje w okresie późniejszym w stopniu o wiele większym, rozstrzygających o ideowo-artystycznym charakterze utworów.

*

Szkice o Sygietyńskim, Witkiewiczu, grupie Wędrowca, wydobywające postępowe składniki ich twórczości, charakteryzują nam równocześnie drogi odwrotu pisarzy, którzy wychodząc z pozycji względnie postępowych podzielili w swej ewolucji losy własnej klasy, z którą — mimo światoburcze bunty — niezdolni byli zerwać.

Szkic Jakubowskiego o Sygietyńskim należy niewątpliwie do najlepszych. W syntetycznym skrócie dokonał tu Jakubowski zasadniczej rewizji dotychczasowych ocen twórczości tego pisarza w tradycyjnej nauce o literaturze nie wychodzących nigdy poza zdawkowe ogólniki, niemniej jednak bardzo dezorientujących. W tym kręgu ocen był przede wszystkim doskonałym stylistą, pionierem i bojownikiem polskiego naturalizmu. Pierwsza formuła rozciągnięta na całość twórczości Sygietyńskiego w gruncie rzeczy nic nie oznacza, druga zaś... Jakubowski mówi po prostu i zdecydowanie: nieprawda. „Jego (Sygietyńskiego) własna praktyka powieściopisarska i nowelistyczna ukazuje wiele elementów realizmu krytycznego. Elementy te uległy później stłumieniu, zwyciężyły tendencje naturalizmu i estetyzmu mieszczańskiego" (str. 27). To twierdzenie Jakubowskiego oparte jest na zupełnie przekonywających dowodach. Uzupełnia je cenna działalność Sygietyńskiego na polu krytyki, zwłaszcza jego walka o właściwą ocenę realistycznego malarstwa braci Gierymskich, krytyka estetyki naturalistycznej Zoli przy równoczesnej słusznej ocenie demaskatorskiej, społecznej pasji autora Germinalu, jego namiętnej krytyki rozkładającego się społeczeństwa burżuazyjnego. Z tych pozycji, niewolnych zresztą od wyraźnych wewnętrznych rozdarć i sprzeczności, Sygietyński stoczył się na pozycje jaskrawego estetyzmu i, nie waham się dopowiedzieć za Jakubowskiego, pośredniej filisterskiej aprobaty burżuazyjnego porządku. Na dowód wystarczy tu przytoczyć cytowany przez Jakubowskiego ustęp z artykułu Sygietyńskiego drukowanego w Ateneum w 1900 roku, który brzmi: „Sztuka jest powiernicą naszych uczuć, naszych smutków, pragnień i radości. Toteż powinniśmy być wdzięczni każdemu artyście, który tworzy dzieło tchnące szczęściem, pogodą, harmonią". (podk. moje SS). Za tym wyznaniem młodopolskiego nastrojowca trudno nie dostrzec upodobań kołtunów-Połanieckich.

Dalszy szkic o tygodniku Wędrowiec w latach 1884 — 1887 w zbiorze Jakubowskiego zajmuje ważne miejsce. Jest to praca źródłowa, której zawartość wydatnie wzbogaca syntetyzujące wywody autora samodzielnym wydobyciem nowych, nieznanych albo bardzo mało znanych faktów określających bliżej rolę, jaką odegrali Witkiewicz, Sygietyński, Dygasiński i Artur Gruszecki w życiu artystycznym i ideowym drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Szczegółowa analiza pisma pozwala pełniej ukazać istotny sens ideowy badanej grupy twórców, ukazać ich wybitną rolę w walce o realistyczną sztukę (na łamach Wędrowca wiódł przecież swoje sławne batalie Witkiewicz przeciwko akademickości i skostnieniu). Analiza zawartości Wędrowca pełniej ukazuje sprzeczności ideologiczne każdego z jego wybitnych współpracowników, pozwala także określić tendencje ich dalszej ewolucji ideowo-artystycznej. Jaku-

bowski dokładniej określa tu granice postępowości społecznej analizowanych pisarzy. Najszczegółowiej prześledził autor, jak mi się wydaje, działalność krytyczną i publicystyczną Witkiewicza, co zgodne jest zresztą z wybitną rolą, jaką ów odegrał w piśmie. Jakubowski już w tym okresie twórczości autora Sztuki i krytyki u nas trafnie ukazuje objawy ciążenia ku estetyzmowi, ku mitologizacji prymitywu i pierwotności, co tak jaskrawo ujawniło się w utworach tatrzańskich. Najwybitniejszy z nich Na przełęczy jest przedmiotem szczegółowych rozważań ostatniego w tomie szkicu p.t. Próba impresjonizmu.

*

Na szczególną uwagę w zbiorze zasługuje szkic o Gabrieli Zapolskiej. Uwagę skupia on na sobie zazwyczaj ze względu na to, że najlepsze dzieła tej pisarki są najbardziej żywotne wśród dorobku pisarzy, którym autor Z dziejów naturalizmu w Polsce poświęcił swoje rozprawy. To jeden wzgląd. Wiąże się z nim bezpośrednio i drugi: chodzi o to, że mimo niewątpliwej popularności twórczyni pani Dulskiej, popularności, jak mi się zresztą zdaje, nie przekraczającej kręgu świateł kinkietowych, nie obejmujących jej powieści i nowel, nasza wiedza o jej pisarstwie jest zastanawiająco uboga. Uboga i otoczona nimbem legendy i plotki bynajmniej nie sprzyjającej rzetelnej ocenie. Główną wartość twórczości Zapolskiej upatruje autor szkicu w jej demaskowaniu obłudy moralności mieszczańskiej, zakłamanej obyczajowości, brzydoty bytu burżuazyjnego i drobnomieszczańskiego. Demaskatorstwo to było ograniczone przez brak należytego rozumienia istotnego mechanizmu działania praw społeczeństwa kapitalistycznego! Szczególnie jaskrawy wyraz znajdowało to w jej powieściach i nowelach opatrywanych często zupełnie fałszywymi komentarzami, które najmiejsze stosunkowo piętno wycisnęły na jej dramatach. Dlatego też nie waha się Jakubowski uznać jej najlepsze utwory dramatyczne za najwyższe osiągnięcia komedii mieszczańskiej w Polsce.

Szkic o Zapolskiej, niewątpliwie słuszny w swoich założeniach, trafnie zwracający uwagę na to, co najtrwalsze w jej twórczości, rewidujący wiele opacznych i fałszywych sądów, stanowi może właśnie ze względu na swe walory, a niewątpliwie ze względu na swą skrótowość, przypomnienie długu, jaki wobec Zapolskiej ma do spłacenia nowatorska nauka o literaturze. Do sformułowania takiego postulatu w pełni uprawnia omawiany tu zbiór rozpraw, które w intencjach autora stanowią wstęp do bardziej szczegółowych studiów (str. 22). I to zadanie powinny one niewątpliwie spełnić.

Samuel Sandler

JANINA BRONIEWSKA: *Ogniwo*, Wydawnictwo MON, Warszawa, 1951; str. 210.

Ogniwo Janiny Broniewskiej należy do tych publikacji dla młodzieży, które nie tylko zainteresowały szerokie grono czytelników (szczególnie harcerzy i ZMP-owców) lecz i krytykę.

Nie jest tajemnicą, że krytyka nasza często gęsto zapomina o istnieniu literatury dla dzieci i młodzieży, i potrzebny jest jakiś asumpt zewnętrzny (nagroda), aby sobie o istnieniu literatury młodzieżowej przypomniała... Dla ścisłości trzeba jednak powiedzieć, że i to nie zawsze pomaga. Maria Kownacka np. otrzymała nagrodę miasta Warszawy za całokształt swej twórczości, a jednak nie słychać, aby się ktoś zabrał do oceny twórczości tej zasłużonej au-

torki. To samo można powiedzieć o oczekującej gruntownej oceny całokształtu twórczości Ewy Szelburg-Zarembiny, Heleny Bobińskiej i innych.

Zainteresowanie, które wzbudziło O g n i w o Broniewskiej jest więc wydarzeniem niezmiernie pocieszającym.

Treścią powieści Broniewskiej są dzieje jednego harcerskiego ogniwa na obozie letnim. A ideą przewodnią? Siła, twórcze możliwości zwartego, świadomego swych celów i zadań kolektywu. Autorka postawiła sobie za zadanie pokazać nam kolektywnego bohatera pozytywnego O g n i w a i aby tego celu dopiąć, przedstawia najpierw niebezpieczeństwa grożące jednostce odrywającej się od zespołu (Zbyszek), a później — obraz tego, jak trafnie, słusznie, mądrze, ta „kolektywna głowa" — ogniwo — rozwiązuje zagadnienie natury politycznej, społecznej i wychowawczej. Czy do tego tylko sprowadza się zamierzenie autora? Chyba nie! Bo czytając powieść Broniewskiej ma się nieodparte wrażenie, że tak samo jak ogniwo przed opuszczeniem letniego obozu postanawia pozostawić wiejskiemu chłopcu, Walkowi, „encyklopedię" Stasia-statystyka. tak i autorka w swojej książce chciała dać wyczerpujący wykaz wszystkich potrzebnych cnót harcerza Polski Ludowej.

Ambicja bardzo wzniosła. I prawdy zawarte w tej książce, postawione zagadnienia i ich naświetlenie, nie budzą najmniejszych zastrzeżeń. W O g n i w i e została mocno zaakcentowana rola kolektywu, waga krytyki i samokrytyki, zagadnienie łączności miasta z wsią, walka klasowa na wsi, zadania Planu Sześcioletniego, sprawa czujności, rola Partii i ZMP — w sposób politycznie celny, jasny, przekonywający. Ale O g n i w ó nie jest tylko instrukcją harcerską, ani przewodnikiem dla wychowawców ogniw harcerskich, lecz powieścią — utworem artystycznym. A więc należy zastanowić się nad tym, czy i jak dalece udało się Broniewskiej ująć mnogość wątków, zagadnień, w zwarty, jednolity kształt fabularny, by wynikały one od wewnątrz, z a k c j i p o w i e ś c i.

Trzeba od razu stwierdzić, że jeśli w pierwszych rozdziałach mamy żywy, dynamiczny obraz przerastania ogniwa „wrzaskunów" w ogniwo „konstruktorów" i pierwsze zagadnienie (siła oddziaływania kolektywu) autorka potrafiła ukazać w sposób wypływający z samej akcji, to w dalszych rozdziałach mamy więcej relacji umiejętnie podzielonej między członków ogniwa, ZMP-owców i sekretarza Partii. Nie ma więc żywej akcji, zaczynają się kolektywne wykłady, mądre, o wielkich walorach poznawczych lekcje. Powieść traci tempo, a dzieci z ogniwa upodobniają się do medytujących mędrców.

Powstaje zasadnicze pytanie: czy rzeczywiście słuszne jest to, by w celu pokazania pozytywnego bohatera, pozbawić dzieci cech charakterystycznych dla ich wieku, pozbawić ich wszelkich wad i obdarzyć wszystkimi zaletami statecznych, klasowo świadomych, wyrobionych w pełni politycznie obywateli? Wiemy, co prawda, że są to dzieci klasy robotniczej, że rodzice tych dzieci — to przodownicy pracy, starzy komuniści, bojownicy o wyzwolenie narodu. Ale właśnie fakt, że wszyscy zarówno członkowie ogniwa jak i ich rodzice, są ludźmi bez zarzutu, umniejsza typowość obrazu.

Na akcję powieści wpłynął ujemnie fakt, że poczynając od trzeciego rozdziału nie ma w powieści konfliktu wewnętrznego. Wydaje mi się, że Zbyszek zbyt prędko zrozumiał swój błąd, włączył się w pracę kolektywu i przeprowadził rzetelną samokrytykę. Czy nie słuszniej było pokazać na przestrzeni

całej powieści — jak słaby jest człowiek, gdy jest sam, pokazać, że wyłączenie się z kolektywu grozi wykolejeniem, wpadnięciem w sidła wroga — pokazać jak oddziaływanie kolektywu, ogniwa, ZMP-owców, pozwoliło jedynakowi Zbyszkowi zrozumieć jego błędy?

Autorka zna psychologię dzieci, ma już za sobą piękny dorobek pisarski, a w nim świetną książkę, w której w sposób wzruszający, piękny i artystycznie trafny, ukazuje bohaterstwo człowieka, który całe życie poświęcił sprawie wyzwolenia mas pracujących — Człowieka, który się kulom nie kłaniał — książkę o Świerczewskim. Broniewska lubi przedstawiać charaktery bez skazy, postacie doskonałe pod każdym względem, ludzi — wzory. Rzecz pod względem wychowawczym bardzo ważna. Prowadzi to jednak często do konsekwencji przez autorkę nie zamierzonych: jeśli dziecko czy człowiek dorosły jest dobry — staje się wcieleniem wszystkich cnót ziemskich, jeśli zły — jest wcieleniem podłości.

I tu znowu tkwi pewne niebezpieczeństwo: niebezpieczeństwo deformacji rzeczywistości. Trudno sobie wyobrazić, żeby bogacze wiejscy byli bezpośrednimi agentami obcych wywiadów. Skórzane guziki amerykańskie, dolary, chesterfieldy i raporty szpiegowskie, spełniają swoją rolę, budzą u dzieci wstręt i nienawiść do wrogów naszego kraju, ale nie wystarczają jednak. Bardziej typowy byłby — według mnie — obraz kreciej roboty bogacza-kułaka, który próbuje chytrze dostać się do Samopomocy Chłopskiej czy też do Gminnej Rady Narodowej i udając lojalnego obywatela, stara się jednocześnie wymigać od elementarnych obowiązków względem państwa, szkodzić.

Janina Broniewska chciała pokazać wzorowy kolektyw harcerski, dzieci, którym bliskie są wszystkie zagadnienia charakteryzujące rzeczywistość Polski Ludowej. Założenie niezmiernie ważne, słuszne, ale nie jest słuszne to, że dzieci zupełnie nie piszą listów do domu, nie bawią się, nie dokazują. Są pochłonięte polityką, rozważaniami o oszczędnościach, jakie da w przyszłości siew za pomocą siewników, marzą o wsi spółdzielczej, trudnią się wyłącznie społecznie pożytecznymi zajęciami, nie czują potrzeby gier i zabaw, ba nawet przedstawienie kukiełkowe, które urządzają wspólnie z nie mniej uświadomionymi politycznie i społecznie dziewczętami z sąsiedniego obozu, ma też zadanie agitacyjne: demaskowanie (zresztą świetnie skreślona postać plotkarki Mikuliny) wrogów biedoty wiejskiej, wyzyskiwaczy i dywersantów.

Czy można czynić autorce zarzut, dlaczego przede wszystkim podkreśla i uwidocznia piękno ofiarnej pracy społecznej? Oczywiście, na takie podejście może się zdobyć tylko krytyk estetyzujący, daleki od naszej rzeczywistości.

Z wielkim wzruszeniem czyta się w książce te partie, które w sposób wymowny, pełen liryzmu, mówią o dziejach walk wyzwoleńczych, o najlepszych synach narodu, którzy krwią własną i wielką ofiarnością wywalczyli ustrój sprawiedliwości społecznej, o tym, jak w ogniu toczącej się walki klasowej hartują się, idą zdecydowanie naprzód, przez realizację wielkich planów Partii — do Polski Socjalistycznej, o bojownikach jak Kaliniak, sekretarz Gminnego Komitetu Partii, o wczorajszych żołnierzach I Armii, stojących dziś w pierwszych szeregach budowniczych miasta i wsi. Bardzo pomysłowo i obrazowo roztacza autorka przed dziećmi perspektywy i cele Planu Sześcioletniego, uczy je patriotyzmu, umiłowania pracy, nienawiści do wroga. I jeśli razi nas brak gier i zabaw, brak

wiadomości o życiu szkolnym i pozaharcerskim, drogi ich rozwoju, to dlatego, iż uważamy, że dla dzieci i młodzieży gry i zabawy, sport, są nie tylko rozrywką, ale i elementem kształcącym, rozwijającym sprawność fizyczną, spostrzegawczość. Dlatego więc i tylko dlatego mam żal do świetnej pisarki, że może z pewną przesadą przedstawiła uświadomienie kolektywu Ogniwa. U Broniewskiej wszystkie cechy zewnętrzne: jak sposób mówienia, dyskusje, są właściwe dzieciom, ale ich rozumowanie i zainteresowania wykraczają często poza zasięg możliwości percepcyjnych dzieci starszych klas szkoły podstawowej.

Ogniwa Broniewskiej są wymownym przykładem utworu, gdzie mamy typowe zagadnienia naszej rzeczywistości współczesnej, typowych przedstawicieli klasy robotniczej (sekretarz Partii, Kaliniak), typową plotkarkę (Mikulina) i niezupełnie typowe dzieci z może nie typowym ogniwem harcerzy. Mimo to dała jednak obraz celu, do jakiego zmierza wychowanie harcerskie.

Do dzisiejszego dnia w literaturze radzieckiej dla dzieci pokazuje się ich ułomności i sposoby, jakimi szkoły, organizacja pionierska i poczucie koleżeńskie pomagają im wyleczyć się z tych ułomności. W Ogniwie Broniewskiej harcerze mają właściwie mało do naprawienia, jeśli idzie o ich charakter: wystarczyłoby, by „Pietruszka" bardziej uporządkował swą rozwichrzoną czuprynę, by „Statystyk" mniej się posługiwał uczonymi wyrażeniami, by Jasio przestał seplenić, Pietrek siąkać nosem, by Teofil stał się rozmowniejszy.

*

Ogniwo Janiny Broniewskiej jest powieścią pionierską o polskich „pionierach" (harcerzach). Jest książką o wielkim ładunku społecznym, politycznym, uświadamiającym. Jest to pierwsza książka w naszej literaturze dla dzieci, w której wszystkie najważniejsze zagadnienia budownictwa w mieście i na wsi zostały poruszone i to w sposób bardzo obrazowy i przekonywający. Na Ogniwie dzieci niewątpliwie będą się uczyć społecznego i politycznego myślenia, a harcerze będą marzyć, aby i ich ogniwo było tak zwarte, dzielne i wynalazcze jak ogniwo konstruktorów.

Jest to więc pozycja o wyjątkowej doniosłości, a od tego rodzaju książek trzeba wymagać więcej, tym bardziej że mamy przed sobą pisarza o wielkim dorobku pisarskim, autora, którego jedna z książek przekroczyła nakład miliona egzemplarzy (O człowieku, który się kulom nie kłaniał). Dlatego budzi obawy zarówno uproszczone przedstawienie kolektywnego bohatera pozytywnego, jak i dość schematyczne traktowanie wrogów klasowych.

Powstaje pytanie: dlaczego, mimo braku w Ogniwie wewnętrznej dynamiki czytamy je z tak wielkim zainteresowaniem?

W książkach Broniewskiej urzeka młodzieńcza pogoda, humor i dowcip, świetny, pełen dynamiki dialog, żarliwość i umiłowanie piękna, odwagi, głęboki patriotyzm, bojowość i jasne, na mocnych politycznych fundamentach oparte spojrzenie na świat, na życie, na przyszłość, głęboki optymizm, umiejętność obdarzania każdego z bohaterów charakterystycznym, tylko jemu właściwym sposobem wypowiadania się. Żywy tok narracji wytwarza swoisty klimat, zagrzewający do czynu patriotycznego, każe patrzeć w dusze pozytywnych bohaterów, jak w życiodajne słońce, od nich uczyć się, jak należy postępować, jak walczyć o dobro kraju, narodu!

Dlatego też nawet często przydługie wykłady, które w ujęciu innych pisarzy byłyby męczące, czytane są z zainteresowaniem, gdyż wyczuwamy w nich gorące serce autorki.

Salomon Łastik

STANISŁAW LEM: *Astronauci*, powieść fantastyczno-naukowa, Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 334

I

Ignacy Fik, analizując w swoich 20-u latach literatury polskiej literaturę fantastyczną owego okresu, doszedł do słusznego wniosku, iż w swych formach i w swym przeznaczeniu miała ona charakter typowo dekadencki. Fik jednocześnie przestrzegał przed całkowitym przekreśleniem fantastyki, wskazując na jej nową rolę i odmienność założeń, jakie uzyska w ustroju socjalistycznym. „Motywy fantastyki — pisał — odznaczając się wielką ruchliwością, wyrazistością i oryginalnością, mogą być pierwszorzędnym czynnikiem artystycznego oddziaływania i dlatego nie wolno z nich za żadną cenę zrezygnować. Fantastyka sama w sobie nie jest zła ani dobra, prawdziwa ani fałszywa, wartość swą utrzymuje zależnie od tego, kto jej używa, w jakim celu i w jaki sposób. Fantastyka może fałszować świat, ale może go także uwyraźniać, może służyć za azyl przed życiem, ale być także źródłem wzmożenia życia, może degradować rzeczywistość, ale równocześnie jej nadawać pełny i żywy sens". W latach powojennych o fantastyce było głucho. A przecież ten rodzaj twórczości, rozwijający się na podstawie przeświadczenia o nieograniczonych możliwościach poznawczych człowieka, oparty na solidnych podstawach naukowych — chlubi się w literaturze radzieckiej — szczególnie młodzieżowej — dużymi osiągnięciami, że wspomnę chociażby o Gwiezdnych okrętach J. Jefremowa czy Patencie AV Ł. Łagina.

Należy również zwrócić uwagę na cechujący tę literaturę głęboki optymizm mający swe źródło we wspaniałych, pokojowych perspektywach rozwojowych społeczeństwa socjalistycznego. Wizje tych pisarzy fantastycznych są wizjami nieograniczonego, pokojowego rozkwitu ludzi uwolnionych po wsze czasy z pęt ustroju niosącego zacofanie, ciemnotę i wojny. Tę cechę widać szczególnie wyraziście, gdy dokona się rzutu oka na współczesną burżuazyjną literaturę fantastyczną. Startowała ona w dobie pozytywizmu optymistycznymi powieściami Juliusza Verne'a i Kamila Flammariona, ale rychło już u Wellsa technokratyzm ujawnił swe antyhumanistyczne oblicze. Sprzeczności społeczeństwa kapitalistycznego przełamują się tutaj w fałszywym pryzmacie pisarskim, by ukazać się jako miażdżące człowieka fatum maszynizmu*). Zastrzeżenia, jakie wyłożył Huxley w Nowym wspaniałym świecie pod adresem państwa przyszłości, były zastrzeżeniami intelektualisty burżuazyjnego o tzw. „szerokich „horyzontach" (czytaj ograniczonych!), który dla nieludzkiego społeczeństwa wybutelkowywanych robotów żądał tylko „luzu" w postaci mistyki i religianctwa. Huxley w 1932 r. wierzył bowiem jeszcze w nienaruszalność i wiecznotrwałość ustroju burżuazyjnego. Dopiero zwycięstwo Związku Radzieckiego nad obozem faszyzmu, powstanie krajów demokracji ludowych, oraz wzrost walki narodowo-wyzwoleńczej w koloniach — przestraszyły nie na żarty teoretyków kapitalizmu. Russel, który w latach mię-

*) Nie należy jednak zapominać o elementach satyry antykapitalistycznej zawartej w najlepszych powieściach Wellsowskich. Sprawa Wellsa wymagałaby osobnego omówienia.

dzywojennych chętnie szermował radydykalnym frazesem i na rozwój swojego świata zapatrywał się wcale optymistycznie — obecnie podżega do wojny atomowej, strasząc czytelników taką oto wizją przyszłości: „Zakończy się wtedy (po wojnie atomowej) niemiły epizod „życia" i tylko spokojne masywy kamienia będą nadal obracały się dokoła słońca". Aldous Huxley zaś, w wydanej w r. 1949 r. powieści *Ape and Escence* (Małpa i istota rzeczy), opisuje „utopijny" obraz „poatomowej ludzkości", kiedy to w XXII stuleciu ludzkość reprezentują nieliczne, wymierające plemiona zwyrodniałych degeneratów. Kiedy jeden z bohaterów powieści trafia do zniszczonego miasta, w byłym Coctailbarze widzi piętrzące się aż do sufitu stosy ludzkich kości: „Na podłodze, pokrytej grubą warstwą białego kurzu, przykucnęło kilkudziesięciu rzemieślników, zajętych wyrabianiem kubków do picia — z czaszek, szydełek — z kości łokciowych, fletni — z dłuższych kości podudzia, czerpaków, łyżek do obuwia i domina — z kości miednicowych, śrubek i kranów — z kości biodrowych". Huxley usiłuje wpoić czytelnikom przekonanie, że ta scena — jakby żywcem wzięta z rzeczywistości faszystowskich obozów śmierci — to przyszłość czekająca ludzkość. Ale my wiemy, że jest to tylko skowyt przerażonego śmiertelnie przedstawiciela świata gnijącego imperializmu, który przeczuwając własny kres stara się zastraszyć i ogłupić swojego czytelnika. Nie trzeba chyba dodawać, że ta niecna robota owych „przyszłościowców" zakończy się fiaskiem. Warto jako piękną odpowiedź na te ponure wizje przytoczyć zdanie wypowiedziane w Astronautach Lema przez jednego z uczonych, w chwili gdy wyprawa międzyplanetarna wraca z Wenus na Ziemię. „Przyjaciele — mówi on — Wenus to tylko etap. Wyprawa nasza jest pierwszym krokiem na drodze, której końca nikt z nas nawet się nie domyśla. Wierzę, że przekroczymy granice układu słonecznego i pójdziemy dalej, że wstąpimy na tysiące ciał niebieskich, które wirują wokół innych słońc, i nadejdzie — może za milion, może za miliard lat — czas, kiedy człowiek zaludni całą Galaktykę i światła nocnego nieba będą mu tak bliskie jak światła dalekich domów". Oto — jakże wymowne i pouczające — zestawienie perspektyw, jakie kreślą przed ludzkością dwa światy: świat pokoju i postępu, i świat wojny i wstecznictwa!

II

Mamy rok 2003; wiele lat upłynęło od upadku ostatniego państwa kapitalistycznego, kończył się trudny i wielki okres sprawiedliwego przetwarzania świata; nędza, chaos gospodarczy i wojny nie zagrażały już wielkim planom mieszkańców Ziemi. I oto podczas realizowania gigantycznych zamierzeń likwidacji obszarów lodowych w okolicach biegunów, mieszkańcy Ziemi dowiadują się przypadkowo, że mieszkańcy Wenus, dysponujący również olbrzymią techniką, już przed stu blisko laty planowali zniszczenie życia na Ziemi. Aby sprawdzić, jak przedstawiają się obecnie sprawy z niecnymi planami Wenusjan, mieszkańcy naszej planety wysyłają na Wenus ekspedycję na statku międzyplanetarnym tzw. Kosmokratorze. Dziennik pilota tej wyprawy zajmuje większą część książki. Widzimy więc, że Lem bierze sporo tradycyjnych rekwizytów, w które wyposażone są zwykle powieści fantastyczne. Myśl o mieszkańcach innych planet sprecyzował po raz pierwszy głośny astronom francuski, Kamil Flammarion, w sześćdziesiątych latach ubiegłego stulecia, w książce O wie-

lości światów zamieszkiwanych; ideę podróży międzyplanetarnej wyłożył w 1866 r. Juliusz Verne w głośnej w swoim czasie powieści Z ziemi na księżyc. Warto wspomnieć nawiasem, że fantazje Verne'a wywarły wpływ na skrystalizowanie się naukowych koncepcji aparatu odrzutowego. Wielki uczony rosyjski, Konstanty Ciołkowski, twórca teorii lotu rakietowego, zanotował w swych pamiętnikach: „Zdaje się, że pierwsze ziarna tego pomysłu były rzucone przez znanego fantastę Juliusza Verne'a. On to pchnął moje zainteresowania we właściwym kierunku."

W literaturze naszej powieść fantastyczna ma już swoją tradycję. Trylogia Jerzego Żuławskiego (Na srebrnym globie, Stara ziemia, Zwycięstwo) przetarła drogę dla powieści fantastycznej.

Podobnie jak w Wojnie światów Wellsa, w powieści Lema mieszkańcy innej planety grożą zagładą ludzkości. Lem wprowadza zagadnienie „moralności międzyplanetarnej", alegorię imperializmu, sztuczną i niepoważną.

Bardziej za to interesuje mnie naukowa podbudowa dla fantastycznych pomysłów. Tutaj Lem jest najmocniejszy, widać u niego solidne przygotowanie, gruntowną znajomość nauk przyrodniczych.

Faktem prawdziwym, od którego rozpoczyna się akcja powieści, jest kwestia owego słynnego meteorytu, który w r. 1908 spadł w północnej Syberii, niszcząc tajgę w promieniu 10—15 km od miejsca upadku. Dalej Lem zaczyna przystosowywać ten fakt historyczny — rzec można — dla celów powieści fantastycznej: okazuje się, że był to statek międzyplanetarny, który przybył do nas z Wenus i uległ katastrofie. Wszystko zaś opisane jest tak przekonująco, z powoływaniem się na fikcyjne opinie badaczy, że niejeden z mniej doświadczonych czytelników weźmie wywody Lema za prawdziwe. To dobrze świadczy o pisarzu! Również opis Kosmokratora jest zrobiony rzetelnie z punktu widzenia wymogów nauki. Autor pamięta nawet o tym, aby w próżni międzyplanetarnej Kosmokrator sam sobie stwarzał sztuczne pole ciążenia, wiemy bowiem, iż wszystkie przedmioty stają się tam nieważkie. Dowcipnie również rozwiązuje problem napędu statku — dzięki elektromagnesowi wyzwalające się po rozpadzie atomu cząstki dają się zwrócić w dowolnym kierunku.

Nowe terminy wprowadza autor oszczędnie, objaśniając je od razu w tekście. Powiada np. „transmutatory fotochemiczne" i dodaje, że są to aparaty zastępujące rośliny, tzn. takie, które dzięki energii słonecznej potrafią przetwarzać dwutlenek węgla i wodę w cukier. Ciekawie również radzi sobie Lem ze sprawą wizji krajobrazowej obcej planety. Sięga po porównania z zakresu chemii czy geometrii, posługuje się wyobrażeniami ze światów, jakie otwiera przed nami mikroskop zwykły czy też elektronowy. Sięgnijmy dla zorientowania czytelników po przykłady: „Niebo było zielone. Przejrzysty, łagodny szmaragd, jakby rozpławiona w szkle barwa pierwszych traw prześwietlonych słońcem. Płynęły tam bardzo wysoko, pierzaste, zupełnie złote obłoczki". (str. 225). „W oddali świeciły masywy gładkich, olbrzymich skarp, a wokół rozpościerało się pogarbione pustkowie, na którym stały jakby zamarzłe w chwili topienia bloki, poskręcane, splecione, niby tysiące razy powiększone zwoje, festony i girlandy, w jakie rozpływa się płacząca parafiną świeca". (str. 299). Kapitalny jest również — z punktu widzenia plastyki opisu — obraz zniszczonego, bezludnego miasta na Wenus.

Trzeba jednak przystąpić do sprecy-

zowania naszych zarzutów, książka Lema posiada bowiem — moim zdaniem — poważny mankament: pomija mianowicie zagadnienie człowieka w owej epoce. Chcę być dobrze rozumiany: nie wymagam, aby pisarz zajmował się planowaniem organizacji społeczeństw przyszłości, lecz mam prawo żądać, aby znając cechy człowieka socjalistycznego pisarz pokusił się o pokazanie człowieka, który żyje w epoce komunizmu, gdy służy mu tak pięknie wyczarowana przezeń w książce potęga techniczna. Ludzie zaś są u Lema szablonowi, konwencjonalni, są dodatkiem do maszyn, którymi przecież kierują. Jego powieść jest w gruncie rzeczy powieścią o astronautyce a nie o astronautach. Autor próbuje ratować sytuację, każąc swym bohaterom podczas wielodniowej podróży międzyplanetarnej opowiadać wspomnienia, które uważają za cenne, ale są to konwencjonalne historie, które można by zastosować równie dobrze do ludzi wielu epok. Cóż bowiem istotnego mówi nam o ówczesnym człowieku opowieść o jego bohaterstwie w czasie wspinaczki wysokogórskiej, gdy autor absolutyzuje i wyrywa ten fakt z całokształtu jego życia, czy zilustrowanie roli przypadku i intuicji w badaniach naukowych?

Gorzej, bo autor każe wyznać młodemu człowiekowi z roku 2003, ratującemu towarzysza w niebezpieczeństwie: „Kląłem i modliłem się, żeby umarł, w kółko się modliłem!" (str. 151). To jest zwrot, który byłby zrozumiały w ustach kogoś o mentalności urobionej w strukturze określonych a minionych formacji społecznych, ale w warunkach powieści Lema wręcz śmieszny. Nie wyławiam takich drobiazgów przez pedanterię, ale ilustrują one moim zdaniem tezę, iż w powieści Lema człowiek jest konwencjonalną makietą.

Naturalnie mankament ten, chociaż obniża wartość powieści, w żadnym wypadku jej nie dyskwalifikuje. Stanisław Lem debiutując Astronautam i wystąpił od razu z pozycją ciekawą, napisaną nie tylko z dużą znajomością nauk przyrodniczych, lecz również — co jest jeszcze ważniejsze — z nieprzeciętnym nerwem pisarskim. Nie są może najtrafniejsze „filozoficzne" założenia powieści — o czym pisano już obszernie na innym miejscu — ale wyolbrzymianie tych braków byłoby niewątpliwie krzywdzące dla Lema. Jeżeli jego pierwsza książka nie zadowala nas w pełni, to wyrazić można przekonanie, że następna powieść fantastyczno-naukowa tego pisarza (a słychać, że już jest na warsztacie!) ukaże nieschematycznych ludzi przyszłości i weźmie za punkt wyjścia założenia głębiej ideowo przemyślane.

Ludwik Grzeniewski

F. C. WEISKOPF: *Nędza i wielkość naszych dni.* Anegdoty; przełożył Artur Sandauer, Książka i Wiedza, Warszawa, 1952; str. 120.

Twórczość Weiskopfa nacechowana jest — począwszy od pierwszych utworów, powstałych jeszcze w okresie studenckim pisarza, ponad trzydzieści lat temu — gorącym, głębokim umiłowaniem jego ojczyzny, Czechosłowacji. Cała jednakże twórczość artystyczna Weiskopfa powstała w języku niemieckim.

Dotychczasowe dzieło Weiskopfa obejmuje blisko trzydzieści pozycji bibliograficznych, szczególnie ciekawy jednak jest mały tomik prozy, który ukazał się niedawno, jest to zbiór pięćdziesięciu szkiców anegdotycznych, zatytułowany Nędza i wielkość naszych dni.

Rodak Weiskopfa, Egon Erwin Kisch, pisał także po niemiecku, pisał także dramaty i powieści, zresztą już dawno zapomniane, zanim stworzył nową formę literacką, w której mógł się w pełni

wypowiedzieć, i która zdobyła mu sławę światową: formę wielkiego reportażu społecznego. Osiągnięcie Weiskopfa w utartych formach literackich, zwłaszcza w powieści i opowiadaniu, są wprawdzie daleko poważniejsze niż Kischa — niemniej przypuszczać można, że podobnie jak Kisch przeszedł do historii literatury jedynie jako reportażysta (w najszerszym i najgłębszym tego słowa znaczeniu), również nazwisko Weiskopfa wymieniane będzie w przyszłości jedynie w połączeniu z tą formą literacką, którą wydobywając z zapomnienia uczynił własnością współczesnej literatury; formą szkicu anegdotycznego.

Weiskopf w szkicach swoich nawiązuje do anegdoty niemieckiej z początku 19-go wieku, reprezentowanej najpełniej w twórczości Henryka von Kleista i ludowego poety Johanna Petra Hebla. Kleist i Hebel w miniaturowym opowiadaniu o jakimś typowym zdarzeniu widzieli jedną z najdoskonalszych form literackiego utrwalenia charakterystycznych zjawisk burzliwej epoki, w której żyli: epoki napoleońskiej. Czerpiąc materiał do swych miniatur z ludowych opowiastek dążyli oni do jak najbardziej skondensowanego wyrazu artystycznego: stąd niezwykła zwięzłość, stąd dbałość o maksymalną oszczędność i celność słowa.

Kleist lubuje się w opisywaniu wydarzeń jak najbardziej nieprawdopodobnych, wypadków krańcowych, które właśnie dlatego, że są krańcowe—oddają kontrasty epoki. W jednym ze swych szkiców Weiskopf przypomina słowa Kleista, „że bywają zdarzenia, których pisarz ze względu na ich jawne nieprawdopodobieństwo nie może wyzyskać, podczas gdy historyk mając na uwadze pewność źródeł musi je uznać". Twierdzenie to Weiskopf odwraca: „My natomiast dzisiaj nie możemy się oprzeć pokusie, aby uważać za wyjątkowe i nie-powszednie takie zdarzenie, któremu brak cech rzadkości i nieprawdopodobieństwa".

Motywem przewodnim książki Weiskopfa jest przekonanie — cytujemy z przedmowy autora do wydania polskiego — „że faszyzm zniża człowieka do poziomu bestii, a walka z nim wydobywa zeń wszystko, co najlepsze, najpiękniejsze i najwznioślejsze".

Szkice odtwarzają wydarzenia prawdziwe, zaczerpnięte z gazet, opowiadań, które — w mniemaniu autora — najtrafniej, najwyraźniej charakteryzują naszą epokę. Weiskopf świadomie dobiera jak najbardziej krańcowe wydarzenia, a więc przykłady największego poświęcenia i bohaterstwa i przykłady najohydniejszego wstecznictwa i barbarzyństwa. Utrwalając w formie literackiej wydarzenia nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe — autor ukazuje „nędzę i wielkość naszych dni".

Prawie połowa zbioru Weiskopfa poświęcona jest walce ruchu oporu przeciwko hitleryzmowi. Szkice anegdotyczne zaczerpnięte są z wydarzeń w Czechosłowacji i w Niemczech, we Francji, Polsce, Norwegii, Belgii. Kilka z nich mówi o bohaterstwie ludzi radzieckich w czasie ostatniej wojny.

Ale zbiór Weiskopfa, ułożony chronologicznie według kolejności opisywanych wydarzeń, nie kończy się z rokiem 1945. Ostatnie szkice powstałe już w okresie powojennym, mówią o walce z imperializmem w koloniach i w Grecji i demaskują antagonizmy społeczne i bestialski rasizm w Stanach Zjednoczonych. Właśnie to przedłużenie kroniki aż do naszych dni przyczynia się do szczególnie wyrazistej wymowy ideologicznej zbioru, który nacechowany jest głębokim humanizmem, który przemawia żarliwą nienawiścią do faszyzmu i imperializmu, który natchnęła niezachwiana wiara w zwycięstwo komunizmu.

W czym jednak tkwi tajemnica sztuki Weiskopfa? Dzięki czemu te miniaturowe opowiadania, wzruszające i wstrząsające, wywierają tak niezwykłe wrażenie?

Każdy szkic jest jak najbardziej zwięzły i zawiera z reguły jedynie opis konkretnego wydarzenia: bohater, ofiara, czyn. Weiskopf opiera się pokusie epickiej rozlewności i dramatycznych efektów, filozoficznych rozważań i moralizatorskich wniosków. Morał każdego szkicu wynika z treści. Niekiedy Weiskopf dodaje jedno zdanie komentujące, ale jest to jakby uwaga, dokonana przez obserwatora, spoglądającego na epokę z wielkiego dystansu. Czytelnik jednak wyczuwa natychmiast, że autor jest daleki od tego, by być jedynie kronikarzem i obserwatorem. Formę starej niemieckiej anegdoty, heroicznej i moralizatorskiej, w szkicach swoich Weiskopf napełnił żarliwą treścią zaciętej walki politycznej, treścią przedstawioną z wstrząsającym realizmem.

Zacytujemy dla przykładu kilka z tych szkiców:

„W czasie ostatniej zwycięskiej ofensywy, wiosną 1945 roku, natrafili Amerykanie w pobliżu bawarsko-turyngijskiej granicy na niewielki, mało znany obóz koncentracyjny. U wejścia ujrzeli psią budę, z której dobiegło ich dziwne, chrypliwe ujadanie. Okazało się, że pies w budzie nie był wcale psem, lecz więźniem, byłym burmistrzem miasta Goethego — Weimaru.

Hitlerowcy w ciągu dziesięciu lat zmuszali go, by chodził na czworakach, jadł z miski i oszczekiwał przechodniów, aż wreszcie oduczył się chodzić prosto i posługiwać się ludzką mową... Rzec by można, że celem ich było pokazać światu, jak to pod ich panowaniem godność ludzka, prawa człowieka, nade wszystko zaś dobre imię narodu niemieckiego zeszły dosłownie na psy."

*

„Kiedy pierwszy patrol kozacki wkroczył do Krasnodaru, opuszczonego przez cofającą się w popłochu armię niemiecką, zastał na rynku tego zrównanego z ziemią i prawie wyludnionego miasta osiemnastoletnią może dziewczynę, która w naprędce skleconej, drewnianej budzie porządkowała książki, przeznaczone do wypożyczania żołnierzom i powracającym mieszkańcom.

Zagadnięta przez dowódcę patrolu odpowiedziała, że nazywa się Polina Udowenko, z zawodu zaś jest woźną z biblioteki miejskiej. Podczas hitlerowskiej okupacji udało jej się po nocach wynieść niepostrzeżenie z biblioteki wszystkie książki, około dwudziestu tysięcy tomów, i schować je w szopie na przedmieściu. Tak więc, gdy Niemcy opuszczając miasto podpalili gmach biblioteczny, ogień pochłonął tylko puste półki. Biblioteka może wznowić swą pracę natychmiast.

— Czy w czasie tych nocnych wypraw ratowniczych — zapytał oficer — nie przyszło jej nigdy do głowy, że hitlerowskie posterunki mogą ją przyłapać i zastrzelić na miejscu? Na co Polina: oczywiście, z tą możliwością zawsze się liczyła, ale bądź co bądź książki to także amunicja, a amunicji nie można przecież pozostawić w ręku wroga."

*

„Przez okrągły rok fabryka broni w Brnie, pozostająca pod najściślejszym nadzorem Gestapo, dostarczała na front wybrakowanych luf armatnich, które już po kilku wystrzałach, a nierzadko przy próbnym strzelaniu okazywały się niezdatne do użytku.

Zarówno pogróżki, jak i wysiłki szpiclów nie odniosły skutku: hitlerowcom nie udało się wywiedzieć, kto

i w jaki sposób dopuszcza się sabotażu; o niczym innym bowiem nie mogło tu być mowy. Dopiero nieszczęśliwy zbieg okoliczności naprowadził ich na właściwy trop. Wyszło na jaw, że robotnicy, którzy wobec skrócenia przez hitlerowców przerwy obiadowej spożywali naprędce obiad w warsztatach, opryskiwali pianą od piwa rozgrzane do białości wyloty luf. Wskutek nierównomiernego ochłodzenia stal traciła właściwą jej elastyczność i nie mogła już znieść naporu powstałych przy eksplozji gazów.

Kierujący sprawą komisarz Gestapo kazał rozstrzelać pięćdziesięciu robotników, a dwa razy tyle zesłać do obozów koncentracyjnych w Oslavan i Dachau. Zarówno jednak on sam, jak i towarzysze rozstrzelanych zdawali sobie sprawę, że groźne było nie tyle wylane na rozżarzone lufy armatnie piwo, co fakt, że wszyscy członkowie blisko dziewięciotysięcznej załogi fabrycznej byli w posiadaniu tajemnicy, a jednak wbrew wszelkiemu niebezpieczeństwu potrafili ją zachować."

Zwięzłość formy zmusza autora do niezwykłej dyscypliny artystycznej. Odrzuca ornamentykę, domaga się oszczędności i prostoty środków. Weiskopf jest doskonałym stylistą, włada niemieckim jak niewielu współczesnych pisarzy. Ale język jego szkiców różni się zasadniczo od stylu jego dużych powieści. Bogata treść musi się zmieścić w jak najbardziej skondensowanej formie. Każde słowo odgrywa istotną rolę. Weiskopf pracował nad językiem swoich opowiadań przez długie lata, walczył z nim, jak rzeźbiarz z marmurem. Język jego jest piękny i klarowny, dojrzały, pojemny i oszczędny, a przede wszystkim: jakże celny, jakże precyzyjny w tym, co chce wyrazić.

Swoista forma szkicu anegdotycznego stwarza jednak jeszcze inną trudność dla pisarza. Jeżeli sam fakt, samo z rzeczywistości dziejowej zaczerpnięte wydarzenie przemówić ma do czytelnika i osiągnąć zamierzony wpływ ideologiczno-wychowawczy — zachodzi konieczność, by to, co autor odtwarza, było i wyjątkowe, i typowe, i wreszcie — by było ogólnie zrozumiałe. Skrupulatna selekcja tematyczna jest więc rzeczą nieodzowną, ale jednocześnie szczególnie trudną. W czasach naszych bowiem nie brak wydarzeń osobliwych i zadziwiających, wydarzeń kuszących pióro Weiskopfa do artystycznego utrwalenia w formie literackiej anegdoty. Powstaje jednak natychmiast zagadnienie typowości danych wydarzeń: czy są to krańcowe wydarzenia zjawisk charakterystycznych naszej epoki czy też raczej tylko osobliwości, nie zasługujące na artystyczne sformułowanie? Jak bardzo Weiskopf zdaje sobie sprawę z tego zagadnienia, o tym świadczy fakt, iż przejął do N ę d z y i w i e l k o ś c i n a s z y c h dni tylko najcelniejsze szkice ze swoich poprzednio opublikowanych zbiorków.

Niemniej jednak także ten zbiór, niewątpliwie ideologicznie najmocniejszy i najdojrzalszy, nie jest jeszcze pozbawiony kilku szkiców, opowiedzianych— jak się wydaje — jedynie dla ich niezwykłej osobliwości. Mistrzowskie opracowanie artystyczne staje się wówczas — zamiast środkiem wiodącym do wychowawczego celu — jedynie celem samym w sobie. Zarzut ten dotyczy jednak tylko kilku szkiców.

Szkice anegdotyczne Weiskopfa — to wzór prawdziwego, twórczego ożywienia starych tradycji literackich. Forma kleistowskiej anegdoty, po mistrzowsku opanowana przez wybitnego pisarza czeskiego i napełniona przezeń treścią problematyki społecznej naszej epoki, stała się jeszcze jedną bronią w walce,

której służy od lat trzydziestu cała twórczość Franciszka Carola Weiskopfa: walce o postęp, o lepsze jutro.

■

Nędza i wielkość naszych dni — to książka szczególnie trudna do przełożenia na język polski. Ogromne bogactwo i rozległa skala barw języka, surowa i zwięzła kompozycja każdego utworu, niezwykła celność oryginalnych sformułowań i lapidarnych opisów — wszystko to wymaga tłumacza klasy najwyższej.

Trzeba stwierdzić, że Artur Sandauer z trudnego zadania potrafił się doskonale wywiązać. Jest to bodajże pierwsza książka, którą Sandauer przełożył z niemieckiego, ale już teraz nie ma wątpliwości, iż należy on do rzędu najlepszych naszych tłumaczy z tego języka.

Marceli Ranicki

T E A T R

NA SCENACH WARSZAWSKICH

Teatr Narodowy — wystawiając Las Aleksandra Ostrowskiego — dał widowni naszej piękny przykład ambitnej, rzetelnej, poważnej pracy teatralnej. To trzeba przyznać i uznać z równą rzetelnością, zanim się wysunie jakiekolwiek uwagi krytyczne. A uwag tych ukazało się w naszej prasie sporo. Popełniamy jednak zbyt często pewien uporczywy błąd, który musi dezorientować lub gniewać czytelnika naszych recenzji: w ferworze szukania usterek zacieramy „rangę“ przedstawienia, a sumując nasze zarzuty nieobeznany z teatrem czytelnik miałby prawo wnosić — najniesłuszniej w świecie — że ów Las w Teatrze Narodowym, to równie złe przedstawienie jak na przykład Eugenia Grandet w Teatrze Kameralnym. A w rzeczywistości dzieli je przepaść.

Z mocnym zespołem i w opracowaniu scenograficznym Kosińskiego — przedstawienie stało się najpoważniejszym wydarzeniem teatralnym w dość długim okresie objętym niniejszą kroniką.

Oparcie dramatycznego utworu literackiego na aktorze — przypomina tu zarówno najlepsze tradycje teatru jak i wielką ich kontynuację w czołowych teatrach radzieckich. Pamiętamy chociażby z niedawnych występów Teatru Leningradzkiego ową decydującą funkcję aktora, od którego trafnej i rozumnej gry zależy właściwie wszystko, cały artystyczny i ideologiczny kształt ukazanego na scenie dramatu. Bo zwrot ku aktorowi —to pierwszy warunek odnalezienia drogi prawdziwego realizmu w teatrze. Pamiętamy fragment tegoż Lasu — sławny w literaturze dialog Nieszczasliwcewa i Szczasliwcewa w wykonaniu leningradzkich aktorów. Czy przedstawienie w Teatrze Narodowym dorosło do tej rangi?

Jeżeli nie dorosło (postaram się uchwycić powód w moim przekonaniu najistotniejszy) — to w każdym razie ku tej randze zmierzało poprzez świadomą, głęboką i szczerą próbę pojednania aktora z tekstem. I dlatego przedstawienie to jest wydarzeniem ważnym na tle tylu innych obecnych przedstawień warszawskich, w których często niedopracowaną grę aktora pokrywa się fałszywym (bo nie przez aktora wydobytym) „kolorytem“ epoki i środowiska (na przykład w Królu i aktorze), albo psuje się cały realizm, całą historyczność, całą skrupulatnie odmierzoną wagę tekstu zbytkiem „aktorskich gierek“ (Oże-

nek, czy też Eugenia Grandet). A jak dalece jest to nie tylko sprawą „lepszych" czy „gorszych" aktorów, jakimi dysponuje teatr, ale przede wszystkim sprawą „ideologii artystycznej" tych aktorów i tych reżyserów, dowodzi fakt, że nie najlepiej — w przeciwieństwie do Teatru Narodowego — wyposażony w doświadczone siły aktorskie Teatr Ateneum zdobył się w przedstawieniu Zwycięstwa na pracę prowadzącą również do najlepszych tradycji i najlepszych współczesnych nam wzorów teatru realistycznego. I tak to — na tej właśnie drodze — doświadczona obsada Lasu i młoda, chwiejna jeszcze, obsada polskiej sztuki współczesnej — ponad głowami wielu teatrów podały sobie ręce.

Wskazując jednak ów słuszny kierunek, który w przedstawieniu Lasu obrał zespół Teatru Narodowego, dążący do realistycznej jedności tekstu i gry aktorskiej — nie twierdzę, że obyło się tu bez poważnych błędów. Błędów zresztą ciągle jeszcze dla naszego teatru typowych — a na innych scenach znacznie ostrzej widocznych. Warto tu znowu przypomnieć ów fragment Lasu, dany nam przez Teatr Leningradzki. Tam ludzie na scenie byli bardziej „zwyczajni", prawdziwsi...

Las — ta najlepsza może ze sztuk Ostrowskiego — to jak u wszystkich wielkich realistów rzecz pełna historycznej prawdy o ekonomiczno-społecznych stosunkach danego okresu i miejsca, rzecz demaskatorska. Szczasliwcew i Nieszczasliwcew — to wcale nie dziwolągi. Ich sytuacja jest w istocie głęboko typowa, tak jak i sytuacja obywatelki ziemskiej Raisy Pawłownej, czy sytuacja kupca Iwana Pietrowicza, który rosnąc wraz ze swą klasą kiedyś wreszcie pożre jej majątek. Jeżeli robi się z tych postaci ludzi wyjątkowych, niepowtarzalnych, nie budzących skojarzeń — odbiera się utworowi literackiemu jego celny historyczny sens. A niestety i Krasnowiecki i Kurnakowicz w roli Nieszczasliwcewa i Szczasliwcewa nieco „udziwaczniali" te postacie. Odbijało się to niekorzystnie na właściwej interpretacji wielu scen tej komedii, chociaż nie zdołało poważnie zachwiać całością.

Natomiast dla innych przedstawień ta niedobra skłonność naszych aktorów — odpowiednio wyolbrzymiona — stała się katastrofą. Cóż zrobiono bowiem z Eugenią Grandet, wystawioną przez Teatr Polski na scenie Teatru Kameralnego? Nie uratowała spektaklu dekoracja Axera. Postać starego pana Grandet doskonale realistyczna, celnie trafiająca w epokę — zyskała w interpretacji Bardiniego cechy jakiejś patologicznej stwory, która swą straszliwą maską i równie straszliwymi gestami zabija tekst, z całą dokładnością mówiący nam o tym człowieku i o jego funkcji społecznej wszystko co potrzeba. Pan Grandet na scenie Teatru Kameralnego, to przykład, na jakich „gierkach" i jak daleko od realizmu wylądować może niebaczny aktor, gdy nie przeżyje dość głęboko tekstu i nie przemyśli społecznej funkcji postaci, którą gra. Balzac pisał, że „pan Grandet miał coś z tygrysa i z węża dusiciela..." — ale chodzi tu przecież o jego czyny, a nie o jego minę. Uwagę Balzaka zrozumiano powierzchownie — i wielki realizm dający szerokie odbicie czasu sprowadzono tu nieomal do peryferyjnej nie typowej historii szaleńca. A rola pana Grandet jest przecież zarówno w powieści jak i w jej scenicznej przeróbce rolą najważniejszą i decydującą o całym sensie dzieła. Czy osiągnięto tu właściwą realistyczną jedność gry aktorskiej i tekstu? Nie. Oplątano tekst „aktorskimi sztuczkami". Chodzi mi o rzecz prostą: nor-

malny, „zwyczajny“ pan Grandet byłby bardziej przerażający społecznie — i bardziej „balzakowski“ w tym najgłębszym sensie, w jakim rozumiemy dziś dzieła Balzaka. Oczywiście błędy naszego teatru przejaskrawiam. Ale robię to dlatego, że są to błędy — jak mi się wydaje — ciągle nazbyt powszechne.

Niewiele lepiej bowiem wygląda sprawa z Ożenkiem Gogola na scenie Teatru Polskiego. Ożenek jest wielką realistyczną karykaturą. Ale realistyczna karykatura zupełnie tak samo jak każde inne realistyczne dzieło ma bardzo dokładnie — a nawet szczególnie ostro — nakreślone kształty. Tekst Gogolowskiej komedii daje satyryczny kształt postaci, charakterów, stosunków, środowiska i obyczajów z najdokładniejszą i najtrafniejszą precyzją. A jednak aktorzy nie utrzymali się w Gogolowskim rysunku. Znowu — tym razem karykatura — wydaje się być zachętą do niczym nie ograniczonych „gierek“, które — zbyt często powtarzane — nużą i nudzą, psują ostrość obrazu. Tekst staje się tylko pretekstem do tanich zewnętrznych efekciików. Dlaczego? Gogol rysuje każdą postać i każdą sytuację. Piękna, realistyczna jedność gry aktorskiej i tekstu także i tutaj polega na wydobyciu w ramach tego rysunku całej z tekstu wynikającej treści. Komedia Gogola jest ostrą satyrą społeczną. Po cóż zacierać tę ostrość niepohamowanym naddatkiem pantomimicznej groteski, której ewentualna śmieszność nie ma nic wspólnego z satyrą społeczną?

I wreszcie Teatr Polski po raz trzeci. Sztuka współczesnego autora polskiego o czasach stanisławowskich na scenie Teatru Kameralnego. Czyli Król i aktor Romana Brandstaettera. Zamierzenia autora były ambitne — i niełatwe do właściwego dramatycznego ujęcia. Czasy stanisławowskie — wiek Oświecenia — okres przygotowujących się w umysłach i działaniach reform Konstytucji 3 Maja — okres burzliwej walki postępu z wstecznictwem — to materiał ogromny i zawiły, a jednocześnie szczególnie ważny w naszej historii i zobowiązujący.

Postaci dramatu — w sztuce realistycznej — muszą być niezmiernie odpowiedzialnymi nosicielami tej historycznej ważności swojego czasu. W Królu i aktorze widzimy i Stanisława Augusta, i księcia Józefa Poniatowskiego, i hetmana Branickiego, i Staszica, i Bogusławskiego... Bagatela! Toż to nie byle jacy aktorzy historii. Ale czy te postaci sceniczne odsłaniają przed naszymi oczyma ów rzeczywisty i najistotniejszy kształt historycznej prawdy?

Wybrany przez autora wątek główny — świadoma, postępowa i światła walka Wojciecha Bogusławskiego o narodowy teatr przeciwko koteriom i monopolom cudzoziemskich zauszników króla — mógłby tu jak w pryzmacie zogniskować charakter szerszej walki, która gorzała już przecież najżywszym płomieniem od dworu królewskiego poprzez Sejm i groźne żądania mieszczaństwa aż po wieś wstrząsaną rewolucyjnymi ruchami chłopstwa. Nie znaczy to, aby wszystkie te sprawy znalazły swoje wątki w sztuce. Ale aby wyraźniej, konsekwentniej i zgodniej z wybranym tu momentem historycznym rysowały postacie bohaterów dramatu.

Tymczasem stało się jak gdyby na odwrót. Wprowadzenie na scenę Staszica, księcia Józefa, Branickiego — miało „załatwić“ tło spraw epoki, a dwie postaci głównie — król i Bogusławski — gubiły się często w sytuacjach bynajmniej nie najważniejszych dla historycznego określenia ich roli, nie

reprezentowały w dostatecznym stopniu tego właśnie, czym historycznie były. A to „tło"? Za niedobrą koncepcją podążyło konsekwentnie niedobre rozwiązanie. Postacie pojawiają się na scenie i znikają nie budząc przekonania ani do realizmu rysunku, którym usiłowano je scharakteryzować, ani do spraw, o których mówią. Staszic robi wrażenie raczej samotnego dziwaka niż reprezentanta potężnego ruchu reformatorskiego, a książę Józef Poniatowski — ówczesny jak wiemy (lata 1780—1790) bawidamek z pałacu „Pod Blachą" — jakiegoś mistycznego wizjonera, który deklamuje proroczo o ginącej armii wśród śniegów i o swej śmierci. W najlepszym razie „opowiada" się tu o aktualnej sytuacji i napięciu rewolucyjnym w kraju — a napięcie to i jego polityczny charakter nie wyzwala się z koniecznym realizmem i z dostateczną siłą w działaniach bohaterów dramatu.

Zbudowaniu tych działań nie mogła oczywiście pomóc wybrana przez autora konstrukcja utworu, która rzuciła na scenę sześć obrazów powiązanych ze sobą zbyt wątłą nicią, obrazów fragmentarycznych, nagle gromadzących i nagle porzucających wątki, w rezultacie zbyt statycznych, nie sprzyjających rozwijaniu się spraw i wewnętrznego życia osób. Toteż aktorzy raczej „markowali" postaci historyczne, nie umiejąc — a często nie mogąc — mocniej w nie wrosnąć, nadrabiali czysto zewnętrzym gestem „styl epoki", wspomagani kostiumem, rekwizytem, meblem...

Inna sztuka współczesnego polskiego autora — to Z w y c i ę s t w o Warmińskiego w Teatrze Ateneum. O tej gwałtownej i ciekawej sztuce, ukazującej z całą ostrością i prawdziwością postaci obecną walkę klasową na wsi, pisano już wiele. Nie schodzi ona od półtora roku z naszych scen w całym kraju.

Ale ciekawe, jak sztuka ta potrafiła zmobilizować — pod kierownictwem i reżyserią autora — młody na ogół zespół teatru, który dotychczas dał dwie sztuki z niezmiernie słabym powodzeniem. W Z w y c i ę s t w i e zespół Ateneum odnalazł swe możliwości i właściwą drogę. Prawdziwość budowanych tu na scenie postaci, prostota i naturalność gry, która wyrastała wprost z tekstu odrzucając wszelkie zbyteczne „uoryginalniania" i „konwencyjki" — prowadzić zaczyna ten teatr na drogę rzetelnego współczesnego realizmu, w którym — poprzez postaci utworu literackiego — głęboka prawda o ludziach i zdarzeniach zamyka się w piersiach każdego aktora i nabiera wiarygodnego kształtu w ideologicznie świadomej współpracy zespołu.

Natomiast Teatr Nowej Warszawy podjął, niestety, zadanie grubo przerastające jego możliwości i aktorskie, i koncepcyjne. Aby zdecydować się dziś na wystawienie wczesnego dramatu Słowackiego M i n d o w e — trzeba sobie zdawać jasno sprawę z odpowiedzialności wobec widowni za rezultat tak trudnego przedsięwzięcia. Trzeba dobrze przegryźć i przeanalizować tekst, uchwycić w nim sprawy, które mogą dać właściwe oparcie dla inscenizacyjnej koncepcji. Odnosi się nieodparte wrażenie, że ani reżyser nie wiedział co z tekstem zrobić, ani nie umieli unieść go na barkach aktorzy. „Klepali" go — scena za sceną — jak gdyby bez żadnych uczuć i bez żadnych myśli — ze wszystkimi młodzieńczymi naiwnościami autora (ba, w wielu wypadkach machinalnie eksponowali je nawet!), a potężne rogi bawole i tym podobne akcesoria miały „oddać" właściwy nastrój romantycznego dramatu historycznego.

Piszę tak ostro nie po to, aby zespołowi dokuczyć. Ale ze względów znacznie poważniejszych. Brak romantyków polskich na naszych scenach dzisiejszych — to dotkliwa luka. Dlaczego tak się dzieje? Bo nasz dramat romantyczny — przez wiek cały tak tendencyjnie i opacznie naświetlany burżuazyjnym komentarzem — wymaga odpowiedniego wyboru, nowego wczytania się w tekst, świeżego spojrzenia, świeżej i nowej myśli inscenizacyjnej. Nie wolno rzucać go dziś przed oczy widowni w sposób tak naiwny i beztroski, jak to zrobił Teatr Nowej Warszawy — wyświadczając sprawie zbliżenia romantyków do naszej widowni prawdziwie niedźwiedzią przysługę.

Teatr Powszechny za to poradził sobie z Goldonim znacznie lepiej, niż zrobił to kiedyś Teatr Kameralny. Nie utopił go w bezdusznej grotesce, ale ukazał jeden z lepszych utworów tego autora tak, jak na to ten osiemnastowieczny autor w pełni zasługuje — w postaci żywej, społecznie realnej i postępowej komedii. Mirandolina — w pięknym przekładzie Leopolda Staffa — to komedia wyraźnie ośmieszająca zarówno głupią buńczuczność szlachcica, czy nędzę moralną zbankrutowanego arystokraty, jak i cynizm nowobogackiego burżuja. Wszystkich ich zasłużenie wystrychuje w końcu na dudków dziewczyna i chłopiec z ludu — po tej stronie jest rozum, rozsądek, i wreszcie tryumf moralności.

Wydaje się być rzeczą oczywistą, że komedie, mające tak wyraźne tendencje satyryczno-społeczne gra się „komediowo", a nie robi się z nich pustej groteski. Ale tej rzeczy oczywistej jakoś ciągle jeszcze nie mogą uświadomić sobie niektóre nasze teatry. Toteż przedstawienie w Teatrze Powszechnym dlatego właśnie należy powitać z ulgą i uznaniem. Aktorzy tu nie silą się na tanie efekty. Budują postacie na materiale tekstu i w jego ramach, mówią i ruszają się po scenie jak ludzie żywi, pełni ludzkich uczuć, ludzkich przywar i zalet.

A w Teatrze Współczesnym — bojowa współczesna sztuka Trzydzieści srebrników Howarda Fasta. Postępowy pisarz amerykański w ostrym skrócie — na jednym powszednim odcinku życia wielkomiejskiego — zdołał pokazać całą grozę rozrastającej się faszyzacji swojego kraju. Trzydzieści srebrników jest przykładem (przykładem nawiązującym do najlepszych tradycji dramatu realistycznego), w jak bardzo wyraźny sposób narysować można cały otaczający nas świat poprzez jeden konflikt ludzki, jeden skondensowany wątek. W szczęśliwą i uczciwie myślącą rodzinę Grahamów, w której opiekunka dziecka, Murzynka Hilda Smith, jest niemal przyjaciółką domu — pada nagły grom: towarzysz z okopów a potem protektor Grahama zostaje oskarżony o „komunizm", w domu Grahamów zjawia się agent Policji Federalnej, aby zdobyć świadków na poparcie oskarżenia. I oto szczęśliwy ów dom staje przed wielką próbą charakterów. Między młodą parą małżeńską rozpala się nagły konflikt...

Ów konflikt — dramat Grahama, dramat jego żony Jane, dramat Murzynki Hildy — niby pożar trawi tu wszystko, pozostawia pustkę i zgliszcza. Ale jego płomienie ostrym światłem objaśniają współczesność. Ukazują straszną drogę polityki amerykańskiej, prawdziwe oblicze faszyzującego się „stylu życia", zmierzonego tu całym współczesnym zagadnieniem stosunku do człowieka. Rzucają — spod pióra amerykańskiego pisarza — dramatyczne ostrzeżenie, sy-

gnał alarmu. „Ja też kocham swój kraj" mówi Jane w swej dramatycznej, ostatniej wypowiedzi, odchodząc wraz z dzieckiem i Hildą z domu dotkniętego podłością — i wypowiedzią tą ukazując „drugą Amerykę", lepszą.

Oglądając przedstawienie w Teatrze Współczesnym można by się zastanawiać, czyj dramat jest tu dramatem „centralnym": dramat Grahama? dramat Jane? dramat Hildy? Najmocniej wyeksponowano dramat Grahama — najsłabiej dramat Hildy. Zdaje się, że to błędne. Ponieważ płytki — chociaż po ludzku także prawdziwy — jest dramat nędznego moralnie i głupiego Grahama. Daleko głębszy jest dramat Jane, a może najgłębszy — Hildy. Ta postać właśnie jest sumieniem sprawy, jest dla innych miarą ich moralności i człowieczeństwa — i los tej postaci jest tu zagrożony najbardziej. Hilda to jaskrawe zwierciadło scenicznych wydarzeń i jednocześnie najbardziej świadoma sytuacji społecznej ofiara. Postać Hildy najcelniej demaskuje i oskarża ów cały amerykański „styl życia". Właściwe wyeksponowanie tej właśnie postaci dałoby przedstawieniu mocniejszą — w utworze zawartą — siłę ideologiczną. A siła ta nie została również wydobyta poprzez właściwe ustawienie postaci Jane. Przecież jej decyzja odejścia wraz z dzieckiem jest optymistycznym zwycięstwem człowieka, a nie katastrofą, na jaką to wyglądało w Teatrze Współczesnym.

Aby zamknąć niniejszy przegląd scen warszawskich trzeba tutaj omówić jeszcze jedną sprawę. Sprawę upolitycznienia satyry, sprawę ideologicznej drogi naszych teatrów satyrycznych. I teatr Syrena i debiutujący Teatr Satyryków zaprezentowały programy „składane". W obu teatrach mamy do czynienia z nagromadzeniem najrozmaitszych poszczególnych „numerów" — ostrych i celnych w swym satyrycznym cięciu, lub peryferyjnych, nietrafnych i nudnych — dających obraz ogólny obecnego stanu naszej satyry i jej tendencji rozwojowych, obraz przeciętny, ubarwiony świetnymi aktorskimi interpretacjami Dymszy, Witasa czy Jankowskiego w Syrenie, a w Teatrze Satyryków Pawłowskiego, Kwiatkowskiej czy znakomitego Godika.

Program Syreny mówi o „koncepcji całości", ale jedyną koncepcją całości, jaką w tym wypadku (w obu zresztą teatrach) można tu rozważać, jest koncepcja całości ideologicznej, bo trudno by nazwać „koncepcją całości" ów na przykład dość pomysłowy — ale czysto mechaniczny — „chwyt" rzekomej audycji telewizyjnej, obejmującej program Syreny. A więc rozważmy sam układ treści.

Już zarysowała się pewna różnica „funkcji", charakteryzująca (choć nie dość jeszcze wyraźnie) odmienność każdego z tych dwóch teatrów. Teatr Syrena bazuje na dużych widowiskowych numerach tanecznych i na skeczach o tematyce (tym razem) przede wszystkim wewnętrzno-krajowej. Teatr Satyryków — dając monolog Czechowa, stare teksty Rodocia, francuskie i hiszpańskie piosenki rewolucyjne, czy humoreski muzyczne — dąży jak gdyby do rangi jakiegoś nowego „kabaretu literackiego". Ale nie w odmiennościach czy podobieństwach istota rzeczy.

Najżywszą treścią obu spektakli jest zagadnienie satyry. Teatr Satyryków na swej scenie przywraca cenny blask starej satyry postępowej, ale dba jednocześnie o satyrę współczesną. Taki W y w i a d z B a r t k i e m — skecz zza kulis „Głosu Ameryki" — jest tu jednym z najcelniejszych numerów programu. Ośmieszając całą blagę fabrykowanej w nowojorskim studio propagandy — uderza mocno i celnie w całą tę wyra-

finowaną antypolską akcję, bierze udział w ogólnej naszej walce. W Syrenie wybija się na czoło programu kilka skeczy, trafnie atakujących prawdziwe usterki i skrzywienia naszego codziennego życia w obecnym okresie budowy nowych stosunków i nieustannej walki o naprawianie popełnianych błędów. I rzeczywiście pomagają w tej walce takie skecze jak skecz Kadry — w doskonałym scenicznym rysunku sytuacyjnym wytykający niedomagania w ustawianiu właściwych fachowców przy właściwej im pracy, albo skecz Wywiad — wyśmiewający schematyzm niektórych reporterskich „wywiadów w terenie", lub skecz Dwie godziny humoru — wyszydzający urzędniczą tępotę i bojaźliwość.

Ale obok tego spotykamy się z satyrą zupełnie niecelną, peryferyjną, a nawet wręcz fałszywą w założeniu i scenicznym kształcie. Taki jest na przykład w Syrenie skecz Pozytywny bohater — może z najlepszą intencją, ale z fałszywej, bo z jakiejś wręcz naturalistycznej strony, atakujący rzekomy „konceptualizm" naszej powieści współczesnej, albo skecz CDD — śmieszący tanimi zewnętrznymi „trickami", lecz dziecięcą klijentelę Domu Dziecka ukazujący nieprawdziwie, absurdalnie, stwarzający jakieś zupełnie sztuczne zagadnienie.

Rzucam tu tylko kilka przykładów. Wiele udanych i nieudanych pozycji z obu programów pominąłem — nie sposób w ramach kroniki omówić wszystko dokładniej. Ale na bardziej gruntowną analizę i dyskusję oba teatry w pełni zasługują. Sprawa satyry — celnej, upolitycznionej satyry, godzącej zarówno w zewnętrznego wroga jak i w społecznie niebezpieczne usterki naszego codziennego życia — jest sprawą dla naszej widowni bynajmniej nie błahą. Ale co przede wszystkim decyduje o celności satyry?

Satyra w stopniu szczególnie jaskrawym podejmować musi walkę na najbardziej eksponowanych odcinkach wydarzeń społecznych i politycznych, brać na swe barki sprawy dla danego czasu i miejsca najważniejsze, sprawy powszechnie dotkliwe. Wielka postępowa satyra zawsze była taka. Od tego zależy jej życie. Od tego zależy cały jej sens społeczny. Każdy temat peryferyjny, każdy temat nie w najwyższym stopniu aktualny, każdy temat pozbawiony powszechnego bojowego znaczenia i bojowych perspektyw, a już tym bardziej każdy temat choćby na poły dla kalamburu czy sytuacyjnego dowcipu „zmyślony" — to jej śmierć cywilna.

Nasze teatry satyryczne i autorzy tekstów na pewno doskonale o tym wszystkim wiedzą. Wiedzą równie dobrze, jak dobrze w każdym wypadku czuje to widownia. I niewątpliwie myślą już o tym w kategoriach dalszej praktyki pisarskiej i inscenizacyjnej.

Juliusz Żuławski

NA WIDNOKRĘGU

NA MARGINESIE MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI GOSPODARCZEJ

Sukces międzynarodowej Konferencji Gospodarczej w Moskwie przekroczył oczekiwania nawet jej organizatorów i zadał w zupełności kłam inspirowanym przez Waszyngton deklaracjom i komentarzom, jakoby konferencja była „imprezą propagandową" i jakoby nie mogła w konsekwencji przynieść żadnych konkretnych rezultatów ekonomicznych. Transakcje zawarte na konferencji przekraczają sumę ponad 500 mln. dolarów, nie licząc ramowych porozumień, których sprecyzowanie nastąpić ma w najbliższej przyszłości. Jednocześnie w referatach wygłoszonych na konferencji, w szczególności w referacie ministra Nestierowa, wskazane zostały całkiem realne perspektywy podwojenia i, w poszczególnych dziedzinach, nawet potrojenia obecnych rozmiarów tzw. handlu Wschód-Zachód.

Sukces konferencji zmusił nawet prasę najbardziej nieprzychylnie nastawioną do zajęcia poważniejszego stanowiska wobec założeń i wytycznych konferencji moskiewskiej. W prasie zachodnio-europejskiej i amerykańskiej odbyła się na szeroką skalę zakrojona debata, w której roztrząsano „polityczne efekty" konferencji, wymieniając między innymi całkowite fiasko sabotażu uprawianego wobec konferencji przez amerykański Departament Stanu. W trakcie debaty podkreślono w szczególności, że perspektywa handlu z krajami obozu socjalistycznego jest dla Zachodu szczególnie ważna ze względu na charakter, jaki przybrały obroty handlowe w świecie kapitalistycznym.

Dominującym elementem cechującym obecny rozwój stosunków w handlu międzynarodowym świata kapitalistycznego jest eksploatacja wszystkich bez wyjątku partnerów przez Stany Zjednoczone. W rezultacie handel zagraniczny krajów obozu kapitalistycznego cechuje strukturalny brak równowagi. Handel zagraniczny stał się w świecie kapitalistycznym nie czynnikiem rozwoju gospodarczego, ale czynnikiem wyzysku słabszych przez silniejszego, czynnikiem hamującym rozwój ekonomiczny nie tylko państw kolonialnych i półkolonialnych, ale również zachodnio-europejskich metropolii kapitalistycznych.

Najszerzej stosunkowo znanym, ale bynajmniej nie jedynym, objawem takiego stanu rzeczy jest chroniczny deficyt bilansów płatniczych świata kapitalistycznego wobec USA. Stany Zjednoczone eksportują więcej niż kupują. W okresie powojennym rozdęty eksport amerykański finansowany był w znacznym stopniu z funduszów „pomocy" marshallowskiej i dzięki pożyczkom udzielanym przez rząd USA poszczególnym państwom kapitalistycznym. Dzięki tej „pomocy" i tym pożyczkom Stany Zjednoczone uzależniły od siebie pozostałych partnerów kapitalistycznych. Finansowanie rozdętego eksportu amerykańskiego przybrało wówczas charakter jawnej eksploatacji nie tylko ekonomicznej, ale również politycznej i wojskowej. Za cenę „pomocy" Stany Zjednoczone uzależniły od siebie wiele ulg i ułatwień w eksporcie kapitału USA do państw uzależnionych, wyrywają krajom Europy zachodniej ich pozycje gospodarcze w koloniach, wreszcie każą sobie płacić za plan Marshalla paktem atlantyckim i 500 bazami sił zbrojnych USA, rozsianymi po całym świecie. Jednocześnie „pomoc" ekonomiczna USA szybko maleje — od 1949 do 1951 zmniejszyła się ona o 70% — i bilanse płatnicze amerykańskich partnerów chylą się do bankructwa.

W roku 1951 bilans płatniczy USA z pozostałym światem kapitalistycznym wykazał 5.050 mln. dolarów nadwyżki. Dodatnie saldo bilansu handlowego z włączeniem usług transportowych wyniosło przy tym 4.350 mln. Rezultaty planu Marshalla uwidoczniły się w postaci łącznego deficytu w bilansie płatniczym państw marshallowskich wobec USA na sumę 3.041 mln. dolarów — „pomoc" gospodarcza Stanów pokryła już tylko $^{2}/_{3}$ tej sumy i w dalszym ciągu szybko maleje.

Ujemne saldo bilansów państw kapitalistycznych w stosunkach z USA nie byłoby na dalszą metę tak groźnym zjawiskiem, jakim jest w rzeczywistości, gdyby nie struktura handlu zagranicznego USA. Stany Zjednoczone traktują wymianę handlową ze swymi partnerami kapitalistycznymi, jako sposób zamiany tych ostatnich w surowcowo-rolnicze przybudówki do gospodarki amerykańskiej. Przemysł metropolii kapitalistycznych uzależnionych od USA przekształcany jest zgodnie z potrzebami wielkich monopoli amerykańskich. W krajach takich jak Włochy i Francja, Stany Zjednoczone likwidują zamknięte cykle produkcyjne: fabryki zachodnio-europejskie zamieniane są w działy produkcyjne wielkich kombinatów przemysłowych zza oceanu. W krajach zacofanych rozwój przemysłu jest w ogóle uniemożliwiany. Nawet w dziedzinie rolnictwa Stany Zjednoczone starają się o zlikwidowanie produkcji konkurującej z ich własną — klasycznym przykładem może być pełne już niemal bankructwo plantacji tytoniowych w Grecji i w Turcji. W roku 1951 eksport maszyn produkcyjnych z USA — kraju wysoce uprzemysłowionego — wynosił zaledwie 21% całego wywozu towarowego, przy czym były to przede wszystkim maszyny przeznaczone dla przemysłu zbrojeniowego — w eksporcie do Wielkiej Brytanii np. 90% całego wywozu maszyn stanowiły te ostatnie — bądź też urządzenia przemysłowe przesyłane przez koncerny amerykańskie do krajów kolonialnych dla rozbudowy tamtejszych koncesji surowcowych. Podstawowych surowców gwałtownie potrzebnych partnerom amerykańskim Stany Zjednoczone nie chciały sprzedawać niemal wcale — eksport żelaza, stali i walcówki wynosił zaledwie 4% całego eksportu USA. Z drugiej strony amerykańska komora celna nie dopuszczała do USA żadnych wyrobów przemysłowych mogących konkurować z produkcją amerykańską. Głównym składnikiem importu amerykańskiego były natomiast surowce strategiczne — 30% całego importu. Surowce te sprowadzano nie tylko z krajów od dawna uzależnionych od USA, jak państwa Ameryki Łacińskiej, ale również z kolonii państw marshallowskich, rugując metodą ekonomicznej i politycznej presji brytyjskich czy francuskich konkurentów. Tak więc w końcu roku ubiegłego brytyjska opinia publiczna dowiedziała się z niemałym zaskoczeniem, że brak miedzi w Anglii jest wynikiem faktu, iż produkcja najbogatszej w ten minerał kolonii brytyjskiej, Rodezji, należy do Stanów Zjednoczonych. Do jakich rozmiarów doszła eksploatacja kolonii państw marshallowskich przez Stany Zjednoczone, może wskazywać fakt, iż w roku ubiegłym była to jedyna grupa krajów w świecie kapitalistycznym, która wykazała nadwyżkę w bilansie płatniczym z USA — mianowicie na niemałą sumę 518 mln. dolarów. Za cenne surowce skupowane po niskich, dzięki głodowym płacom robotników kolonialnych, cenach Stany Zjednoczone „odwdzięczały się" Anglikom, Francuzom i Holendrom eksportem swoich nadwyżek rolniczych i węgla — po cenach możliwie wyśrubowanych do maksimum. Na imporcie węgla amerykańskiego Europa zachodnia straciła w ro-

ku ubiegłym nie mniej niż 300 mln. dolarów.

W swoich praktykach w handlu międzynarodowym Stany Zjednoczone wykorzystują nie tylko własny eksport i import, ale również obroty handlowe państw najbardziej uzależnionych od USA, w języku Departamentu Stanu nazywanych „najwierniejszymi sojusznikami". Ci „najwierniejsi sojusznicy" to przede wszystkim Niemcy zachodnie i Japonia. Kapitał amerykański usadowiony w tych krajach najmocniej, dzięki fizycznej „ochronie" wojsk okupacyjnych, dyktuje politykę handlową obu „najwierniejszych sojuszników". Z grubsza biorąc, polega to na tym, że eksport Niemiec zachodnich i Japonii traktowany jest jako taran rozbijający pozycje handlowe głównego konkurenta USA — Wielkiej Brytanii, w tych wypadkach, w których eksporter amerykański uczynić tego nie jest w stanie. Szczególnie niskie płace w przemyśle japońskim i zachodnio-niemieckim umożliwiają niską kalkulację kosztów produkcji i dumpingowanie rynków międzynarodowych. Tak np. gros eksportu bawełny surowej z USA idzie do Japonii, gdzie za głodową płacę robotnik japoński przetwarza ją na tanie perkaliki zalewające następnie Pakistan czy brytyjską Afrykę. Na rynkach tych eksport tekstyliów z Anglii został zdecydowanie zepchnięty na drugi plan. Zyski z całej operacji ciągnie kapitał USA, który opanował kluczowe pozycje produkcyjne w Japonii; ochłapy rzucane są „najwierniejszym sojusznikom", tzn. japońskim monopolistom.

Jest rzeczą jasną, że tego rodzaju handel zagraniczny USA — dla monopolistów amerykańskich stanowiący dodatkowe źródło zysków i środek imperialistycznej ekspansji — jest czynnikiem podważającym międzynarodową wymianę towarową i zaostrzającym kryzys w świecie kapitalistycznym. Szczególnie dobitnie ujawniło się to w ciągu ostatnich miesięcy, w miarę narastania objawów kryzysu zbytu w przemysłach konsumpcyjnych Zachodu. Kryzys zbytu, zaostrzony i znacznie przyspieszony wzmożoną pauperyzacją ludności, w wyniku wyścigu zbrojeń przybrał już rozmiary bardzo poważne, przerzucając się na wiele rynków surowcowych, od bawełnianego począwszy. W warunkach kryzysu poszczególne państwa kapitalistyczne chwytają się metod protekcjonizmu importowego i ograniczają przywóz. Według prowizorycznych obliczeń, ograniczenia importowe, które weszły w życie w krajach kapitalistycznych od listopada ub. r. do kwietnia br. spowodują skurczenie światowej wymiany handlowej o około 4 mld. dolarów. Jasne jest, że protekcjonizm kryzysowi zaradzić nie może: ma bowiem obosieczny charakter, ograniczenia importowe w jednym kraju powodują odwetowe zarządzenia w drugim, w rezultacie rynek zbytu kurczy się jeszcze bardziej. Najostrzejsze ograniczenia importu zastosowały kraje, w których kryzys zbytu łączy się ze szczególnie wysokim deficytem w bilansie płatniczym: Wielka Brytania, Francja. Oficjalni rzecznicy w tych krajach stwierdzili, że jeżeli Stany Zjednoczone nie rozszerzą swego importu z państw marshallowskich, zarówno ilościowo jak i w sensie wachlarza towarowego, dalsze ograniczenia przywozowe będą nieuniknione, gdyż obecne tempo narastania deficytów handlowych spowoduje w ciągu 9 miesięcy kompletne bankructwo i niewypłacalność Banków Państwa. Stany Zjednoczone odpowiedziały na te rozpaczliwe apele... podniesieniem stawek celnych na luksusowe artykuły rolnicze z Danii, Holandii i Szwajcarii, zmniejszeniem przywozu wielu wyrobów przemysłowych z Wielkiej Brytanii i zapowiedzią zredukowania o 50%, bądź zakazania w ogóle przywo-

zu tych towarów, których producenci amerykańscy nie mogą dziś sami wyprodukować w dostatecznych ilościach z powodu wąskich gardeł wytwórczych wywołanych zbrojeniami. Debata w Kongresie na temat odnośnej ustawy rozwija się już w całej pełni. Do ustawowego ograniczania rynku amerykańskiego dołącza się wreszcie szczególnie ostry właśnie w Stanach Zjednoczonych kryzys zbytu w przemysłach konsumpcyjnych — w chwili gdy producenci tekstylni w USA zamykają fabryki i zmniejszają produkcję o 30% w ciągu kwartału, jest rzeczą jasną, że eksporter brytyjski, francuski czy włoski nie ma tam czego szukać.

Amerykańskie restrykcje importowe wywołały burzę protestów w Europie zachodniej ukoronowaną oficjalną notą protestacyjną ambasady brytyjskiej. Nota głosiła między innymi, że „amerykańskie restrykcje handlowe osłabiają stanowisko Wielkiej Brytanii jako efektywnego alianta" i że „powstaje kwestia, czy Wielka Brytania będzie w stanie w tych warunkach kontynuować swe wysiłki w kierunku zapewnienia sobie dolarów na zasadzie lojalnej konkurencji handlowej".

Ostatnie wydarzenia na rynkach kapitalistycznych, a w szczególności fala ograniczeń importowych, unaoczniają co trzeźwiejszym kołom handlowym na Zachodzie konsekwencje kontynuowania dotychczasowej polityki polegającej na sabotowaniu wymiany z obozem socjalistycznym, tj. z jedną trzecią ludności świata. Rośnie zrozumienie faktu, iż chłonny i rozrastający się, niepodlegający kryzysom i nienastawiony na eksploatację partnera rynek państw demokratycznych, przyczynić się może, w wypadku nawiązania szerokich stosunków handlowych, do rozładowania wielu trudności przeżywanych obecnie przez pokojowy przemysł Zachodu. Zdaje sobie z tego sprawę amerykański *N. Y. Post*, który komentując bezskuteczne wysiłki Departamentu Stanu w uniemożliwianiu pracy konferencji moskiewskiej, ostrzega: „Jeżeli USA nie postarają się szybko o otwarcie nowych rynków zbytu dla zachodniej Europy, tamtejsi kupcy i przemysłowcy będą się nawzajem przewracali w wyścigu o negocjacje handlowe z ZSRR i innymi krajami komunistycznymi".

Krzysztof Wolicki

AKTUALNE ZAGADNIENIA REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

W oparciu o marksizm—leninizm radzieccy badacze literatury i sztuki studiują w sposób twórczy zagadnienia marksistowskiej estetyki, zagadnienia metody twórczej literatury i sztuki radzieckiej — realizmu socjalistycznego. Pojęcie to stworzone przez Józefa Stalina rozwinął M. Gorki, toteż z opracowaniem zasad realizmu socjalistycznego wiąże się ściśle studium twórczości wielkiego pisarza. Prace o twórczym wkładzie Gorkiego do dorobku estetyki marksistowskiej ogromnie pomagają w zrozumieniu genezy i źródeł realizmu socjalistycznego.

Temu tematowi poświęcił monografię pt. „Matka" Gorkiego a zagadnienia realizmu socjalistycznego, znany badacz literatury B. Bursow. Praca Bursowa ma duże znaczenie dla ustalenia różnicy między realizmem krytycznym a socjalistycznym, omówionej w rozdziale pierwszym tej książki Przyczynek do problemu historycznych i teoretycznych przesłanek realizmu socjalistycznego. Bursow wykazuje błędność wysuwanej przez niektórych uczonych tezy, że literatura realizmu krytycznego zajmowała się wyłącznie krytyką rzeczywistości, natomiast nie stworzyła i nie

łosiła ideałów. Zdaniem tych uczonych lopiero literatura realizmu socjalistycznego odkryła ideały i opiewa ich wcielenie w życie.

Takie uproszczenie zagadnienia wzaemnego związku i różnic między tyni dwiema metodami realistycznymi omniejsza istotę i znaczenie zarówno ealizmu krytycznego jak i realizmu ocjalistycznego. Sprawę ideału i pozyywnego bohatera stawiali pisarze i teretycy realizmu krytycznego — zwłazcza rewolucyjni demokraci. Realizm ocjalistyczny nawiązuje do najlepzych postępowych, realistycznych tralycji przeszłości, kontynuuje więc tralycje realizmu krytycznego, jakkolwiek óżni się od niego zasadniczo, jeśli chozi o sposób artystycznego odtwarzania zeczywistości.

W rozdziale drugim książki Bursowa Matka". Gorkiego jako yp powieści realizmu ocjalistycznego autor bada, zym różni się powieść napisana weług metody realizmu socjalistycznego d powieści w literaturze realizmu rytycznego, jak zmieniła się kompoycja, fabuła powieściowa, budowa potaci.

Zagadnienia poruszone w studium Bursowa znalazły bardzo żywy odźwięk w recenzjach i omówieniach siążki, stanowią bowiem bardzo waży wycinek z całokształtu zagadnień ealizmu socjalistycznego.

Do sprawy nowatorstwa i tradycji literaturze realizmu socjalistycznego eszcze powrócę, obecnie pragnę poinormować czytelników, co nowego do adań zasad realizmu socjalistycznego jego pogłębienia wniosły opublikowae ostatnio prace badaczy literatury krytyków radzieckich.

Warto tu przypomnieć określenie etody realizmu socjalistycznego zaarte w statucie Związku Pisarzy Razieckich: „Realizm socjalistyczny jako zasadnicza metoda twórcza radzieckiej literatury pięknej i krytyki literackiej wymaga od artysty prawdziwego, historycznie konkretnego przedstawienia rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju. Prawdziwość i historyczna konkretność artystycznego odtworzenia rzeczywistości powinna kojarzyć się z zasadami ideowej przebudowy i wychowania ludzi pracy w duchu socjalizmu". Formuła ta zawiera więc 3 zasadnicze aspekty realizmu socjalistycznego: 1) prawdziwe, historycznie konkretne odtworzenie rzeczywistości, 2) dialektyczne przedstawienie tej rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju, 3) zespolenie tych dwóch wymagań z zadaniami ideowo-wychowawczymi, wypływającymi z twórczej, przekształcającej roli literatury.

Krótki, szkicowy przegląd najaktualniejszych zagadnień realizmu socjalistycznego opracował — znany nam z niedawnego pobytu w Polsce na uroczystościach gogolowskich — badacz literatury, A. Miasnikow, w artykule O zasadniczych cechach realizmu socjalistycznego (Bolszewik Nr 24/51). Wybrane zagadnienia teorii realizmu socjalistycznego znajdujemy w dwóch artykułach historyka i teoretyka literatury L. Timofiejewa: O pozytywnym bohaterze w literaturze radzieckiej (Nowyj Mir nr 1/52) i O realizmie socjalistycznym (Oktiabr Nr 4/52). Zagadnienie te obszerniej ujął krytyk B. Riurikow w essay'u: O pewnych problemach realizmu socjalistycznego (Nowyj Mir Nr 4/52). Bardzo wiele dało również omówienie utworów laureatów Nagród Stalinowskich za rok 1951, oraz dyskusja o dramaturgii, w której poruszono także zagadnienia teoretyczne. Tak więc materiałów do naświetlenia realizmu socjalistycznego dostarcza samo

życie: stała lektura radziecka prasy literackiej i codziennej, studiowanie recenzji zawodowych krytyków i recenzji czytelniczych.

Zasadniczym probieżem oceny utworów literackich jest zawarta w nich prawda życiowa i artystyczna — zgodnie z wymaganiami realizmu socjalistycznego i leżącej u jego podstaw leninowsko-stalinowskiej teorii o d b i c i a r z e c z y w i s t o ś c i w literaturze i sztuce. „Zrozumcie — mówił Józef Stalin w rozmowie z pisarzami radzieckimi (1932 r.) — jeśli pisarz rzetelnie odzwierciedli prawdę życiową, niewątpliwie dojdzie do marksizmu". (cyt. z artykułu L. Timofiejewa, Oktiabr Nr 4/52). Przy innej sposobności (w rozmowie z reżyserem filmowym G. Aleksandrowem) Stalin powiedział: „Poznawajcie życie. Uczcie się od życia".

Wymaganie gruntownej znajomości życia i możliwie najbardziej wiernego odbicia rzeczywistości radzieckiej, życia społeczeństwa socjalistycznego, zakłada nowy charakter literatury i sztuki, nową istotę metody twórczej. „Istotę tej metody — czytamy w artykule Timofiejewa O r e a l i z m i e s o c j a l i s t y c z n y m — można więc zrozumieć po przestudiowaniu, w jaki sposób jej właściwości wypływają z praw rządzących nowym społeczeństwem — jako ich prawidłowa i nieodzowna konsekwencja. Klucz do zrozumienia realizmu socjalistycznego daje analiza natury społeczeństwa socjalistycznego zawarta w pracach Lenina i Stalina".

Apelując do pisarzy, by uczyli się od życia, J. Stalin z naciskiem zaznaczył, że powinni oni dobrze orientować się w tym, co widzą w życiu. Wymaga to oczywiście gruntownej znajomości marksizmu, opanowania zasad marksistowskiej dialektyki. „Problem postępowego światopoglądu artysty radzieckiego niekiedy zaciera się w naszej krytyce. Wielu badaczy podkreśla tylko jeden aspekt realizmu socjalistycznego — konieczność prawdziwego odtwarzania życia. Krytycy zapominają jednak, że prawdziwe odtworzenie rzeczywistości naszych czasów nie jest możliwe bez przedstawienia jej w rewolucyjnym rozwoju, tzn. bez zrozumienia odkrytych przez klasyków marksizmu praw rozwojowych życia". (cyt. z art. Miasnikowa).

W dalszym ciągu omawianego artykułu Miasnikow stwierdza, że marksizm twórczy pobudza stale do twórczej pasji, do twórczych poszukiwań, do rozwijania i pogłębiania twórczości. Marksizm twórczy daje pisarzom kolosalne możliwości rozwojowe, odsłania przed nimi rozległe perspektywy twórcze.

Rzeczywistość obfituje w sprzeczności. „Umiejętność znalezienia w rzeczywistości materiału do stworzenia typowych charakterów w typowych okolicznościach — konkluduje Miasnikow — oto trudne, lecz wdzięczne zadanie stojące przed każdym artystą radzieckim". Ta ścisła, nierozerwalna więź pisarza z rzeczywistością, twórczości z życiem, nadaje literaturze realizmu socjalistycznego swoiste właściwości — niespotykane w literaturze i estetyce przedsocjalistycznej.

Estetyka socjalistyczna — „to przede wszystkim estetyka przekształcenia, estetyka twórczej pracy i budowania, estetyka nieustannej walki ze wszystkim, co przeszkadza marszowi życia" (L. Timofiejew cyt. j.w.).

Interesy rozwijającego się społeczeństwa socjalistycznego splatają się, kojarzą, utożsamiają z obiektywnym sensem i istotą procesu historycznego. Narody wyzwolone w Wielkim Październiku zbudowały Kraj Rad, swoją ojczyznę socjalistyczną, budują komunizm. Prawdziwie odtwarzając ten proces rozwoju historycznego odzwiercie-

dlając wiernie powstającą w toku tego procesu rzeczywistość społeczeństwa socjalistycznego, które osiągnęło już próg komunizmu — literatura realizmu socjalistycznego uczestniczy w tworzeniu tej rzeczywistości, wychowuje, przekształca człowieka.

Określenie przez J. Stalina metody realizmu socjalistycznego jako metody twórczej radzieckiej literatury i krytyki wyznacza z maksymalną ścisłością z jednej strony jej nowatorską istotę, z drugiej — uwydatnia trwałą więź literatury radzieckiej z postępowymi realistycznymi tradycjami literatury przedrewolucyjnej.

Zagadnienie nowatorstwa i tradycji poruszają wszyscy trzej autorzy omawianych artykułów, oczywiście — każdy w innej płaszczyźnie. O poglądach Gorkiego na sprawę nowatorstwa i tradycji pisze Miasnikow. Wiemy, że twórca literatury realizmu socjalistycznego nie sformułował ostatecznie zasad realizmu socjalistycznego. Jak wiadomo, myśli i wypowiedzi Gorkiego o realizmie socjalistycznym rozrzucone są w wielu pracach krytyczno-literackich wielkiego pisarza.

„Gorki nie zawsze w sposób właściwy rozwiązywał zagadnienie tradycji i nowatorstwa—czytamy w artykule Miasnikowa (Bolszewik jw.) — Bodaj że u żadnego innego pisarza nie znajdujemy takiego hymnu pochwalnego na cześć rosyjskiej literatury klasycznej jak właśnie w dziełach Gorkiego. Mówił on dużo o światowym znaczeniu rosyjskiej literatury klasycznej, o szlachetnej walce rosyjskich klasyków z niesprawiedliwym ustrojem, o różnorodności i oryginalności ich talentów, o głębi i barwliwości stworzonych przez nich postaci literackich, o niedoścignionym kunszcie artystycznym klasyków. Jednak gdy Gorki przechodził do sprawy różnic między literaturą radziecką a klasyczną, to w pewnych wypadkach wywodził, że cała literatura klasyczna tonie rzekomo w mroku pesymistycznego stosunku do życia, że klasycy nie stworzyli postaci silnego bohatera, że sprawa ustosunkowania się do klasyków ogranicza się do problemu opanowania kunsztu".

Miasnikow ostrzega wobec tego badaczy przed wyrywaniem wypowiedzi Gorkiego z kontekstu, przed cytowaniem ich bez ujęcia całokształtu światopoglądu estetycznego Gorkiego w świetle prac klasyków marksizmu-leninizmu, bez oparcia się właśnie na wypowiedziach Lenina i Stalina w tych sprawach (Ta reguła dotyczy też wszystkich innych wypowiedzi w sprawie tak ważnej jak metoda realizmu socjalistycznego).

Do genialnych sformułowań J. Stalina nawiązuje B. Riurikow, który ostrzega badaczy literatury i sztuki przed upraszczaniem zagadnienia nadbudowy kulturalnej, przed doktrynerskim i scholastycznym ujmowaniem i interpretowaniem tego pojęcia. By wyjaśnić dziedziczenie i kontynuowanie najlepszych tradycji postępowych literatury i sztuki, powstałych w przeszłości na ówczesnych bazach ekonomiczno-społecznych — Riurikow wysuwa taką tezę:

„...Złożoność materialnego życia społeczeństwa, jego sprzeczności — odbijają się w ten sposób, że w każdym społeczeństwie — oprócz nadbudowy nad panującą bazą — istnieją również elementy przeszłej i przesłanki przyszłej nadbudowy. Ta żywa więź zapewnia następstwo w świecie idei, dziedziczenie spuścizny literatury i sztuki; dzięki niej wszystko postępowe, przodujące, co powstało w ramach starego ustroju, nie umiera, lecz żyje nadal w ramach nowego ustroju społecznego, w nowym charakterze."

Ta teza Riurikowa bynajmniej nie wyczerpuje zagadnienia tradycji w li-

teraturze realizmu socjalistycznego, zagadnienia tak ściśle powiązanego z zagadnieniem bazy i nadbudowy. Wokół ustalenia i powiązania tych pojęć od przeszło roku trwa w Związku Radzieckim ożywiona dyskusja, której omówienie wykracza poza ramy niniejszego przeglądu.

Klasycy marksizmu - leninizmu przykładali wielką wagę do postępowych realistycznych tradycji literatury klasycznej. W przemówieniu pt. Zadania związków młodzieży, wygłoszonym na III Ogólnorosyjskim Zjeździe Komunistycznego Związku Młodzieży Rosji w r. 1920, Włodzimierz Lenin powiedział: „Kultura proletariacka powinna być konsekwentnym rozwinięciem zasobów wiedzy, które ludzkość stworzyła w warunkach ucisku społeczeństwa kapitalistycznego, społeczeństwa obszarniczego, społeczeństwa biurokratycznego“ (Wł. Lenin. Dzieła wybrane. T. II. Warszawa 1949, str. 784).

W klasycznej pracy Marksizm a zagadnienia językoznawstwa J. Stalin, który w wywodzie o języku Puszkina okazał tyle pietyzmu dla literatury klasycznej, ostro skrytykował i potępił szkodliwe nieuctwo wulgaryzatorów marksizmu nie doceniających znaczenia postępowych tradycji przeszłości.

A. Żdanow mówił na konferencji działaczy muzyki radzieckiej w r. 1948: „My, bolszewicy, nie wyrzekamy się kulturalnej spuścizny przeszłości. Na odwrót, studiujemy krytycznie i opanowujemy dziedzictwo kulturalne wszystkich narodów, wszystkich epok po to, by wybrać z niego wszystko, co może być natchnieniem dla ludzi radzieckich“.

Riurikow podkreśla wielkie znaczenie postępowych tradycji realistycznych rosyjskiej literatury klasycznej przepojonej wielkim umiłowaniem człowieka. Nowatorstwo literatury radzieckiej bynajmniej nie polega na oddalaniu się od tradycji klasycznej; nie tylko nie wyklucza, lecz postuluje pełne i wszechstronne wykorzystanie postępowego dziedzictwa przeszłości. „W sztuce realizmu socjalistycznego — konkluduje Riurikow — nowatorstwo — to nie wyrzeczenie się postępowych tradycji, lecz ich owocne rozwinięcie i wzbogacenie“.

Dużo uwagi poświęcili autorzy omawianych prac zagadnieniu bohatera w literaturze realizmu socjalistycznego. Wszystkie postacie literackie, typy literackie powstają — według określenia Gorkiego — na zasadzie jednoczesnej abstrakcji i konkretyzacji: oddziela się, odrywa, uogólnia pewne cechy wielu ludzi i konkretyzuje się je w jednej postaci. „Jak budowniczowie wznoszą z cegieł wieże i dzwonnice, tak artyści z poszczególnych charakterów tworzą wybitne postacie-typy“ — pisze Miasnikow.

Sprawa bohatera stanowi najważniejsze zagadnienie estetyki realizmu socjalistycznego. Nic więc dziwnego, że do tego zagadnienia wielką wagę przykładał Gorki. W zagadnieniu bohatera rzeczywiście skupiają się, krzyżują wszystkie sprawy estetyki: stosunek literatury do rzeczywistości, rola i wpływ przodujących, czołowych idei, których nosicielem jest właśnie bohater utworu literackiego, znaczenie prawdy życiowej i artystycznej, sprawa humanizmu — umiłowania człowieka i pracy, zadanie ideowo wychowawcze, psychologiczne. Wszystkie te zagadnienia otrzymują takie rozwiązanie, jakie nadaje im postawienie i rozwiązanie tego „problemu nad problemami“ w literaturze i sztuce: problemu człowieka i jego spraw.

„Naród — czytamy w omawianym artykule Riurikowa — jest twórcą historii, stanowi aktywną, potężną siłę posuwającą dzieje naprzód. Nigdy jeszcze

postać przedstawiciela narodu nie była w literaturze tak ważna jak w naszej epoce, w której naród świadomie i wytrwale buduje świetlany świat komunizmu".

„Realizm socjalistyczny — czytamy dalej — wymaga jasnego, wyrazistego odtwarzania charakterów. Jasność i wyrazistość charakteru bohatera — to nie wąskie pojęcie psychologiczne... Wyrazistość charakteru bohatera — to przede wszystkim: jasność, ścisłość, dokładność w określeniu jego stanowiska wobec życia społecznego, jasność poglądów, konsekwencja i wytrwałe zmierzanie do celu w walce o te poglądy. Tylko taka jasność i ścisłość pozwala na pełne ukazanie bogactwa duchowego życia człowieka".

Dbałość o pełne, prawdziwe, wielostronne i jasne przedstawienie charakterów bohaterów wysuwa się na czoło aktualnych zagadnień literackich. Jej wyrazem są powtarzające się w recenzjach i omówieniach książek, przedstawień teatralnych, filmów, zarzuty pod adresem tych autorów, którzy swoich bohaterów pozbawiają życia osobistego, odsuwają ich od szerszej działalności społecznej, zwężają ich krąg zainteresowań, marzeń i pragnień tylko do dziedziny pracy zawodowej, do ciasno pojętego warsztatu pracy. W rzeczywistości radzieckiej każdy człowiek — bez względu na rodzaj zajęć i stanowiska — jest działaczem politycznym o szerokich zainteresowaniach i horyzontach.

Józef Spinc

SAMOAŃSKIE ŚWINIE I BLIŹNI Z FILIPIN

Z pokładu angielskiego okrętu wojennego u wejścia do portu Baltimore w pogodny jesienny wieczór roku 1814 młody prawnik miejscowy, Francis Scott Key, z trwogą oglądał bombardowanie umocnień broniących dostępu do rodzinnego miasta. Flaga powiewająca na szczycie fortyfikacji była dla niego znakiem, że załoga się trzyma. Po nocy pełnej udręki nastał świt. W blasku pierwszych promieni słońca widniał w oddali sztandar gwiaździsty. Wzruszony Key ułożył pieśń, która szybko zdobyła popularność i stała się z czasem hymnem narodowym Stanów Zjednoczonych. Oto urywek:

A gdzież jest zgraja, co dumnie [przysięgła,
Że klęska wojny i zamęt bitewny
Domu i ziemi naszej nie opuszczą!
Krwią własną zmyli stóp swych brudne [ślady.
Żaden schron nie ocalił najmity i sługi
Przed zimnem grobu, lub ucieczki [grozą.
A sztandar gwiaździsty w tryumfie [powiewa
Nad ziemią wolnych, nad siedzibą [dzielnych!
Niechże tak będzie zawsze, gdy wolni [powstaną...

Lecz oto inny urywek, o 137 lat późniejszy: „Zadaniem Stanów Zjednoczonych jest rozciągnięcie swoich pojęć o wolności i niepodległości na wszystkie kraje świata..." Jest to wyjątek z przemówienia wygłoszonego w lutym 1951 przez p. Forney Rankina, radcę ambasady USA w Meksyku. Odpowiedział mu wiceprezes Światowej Rady Pokoju, sekretarz generalny Konfederacji Pracy Ameryki Łacińskiej, Vicente Lombardo Toledeno: „Panie Rankin, my nazywamy to imperializmem — zarówno w Meksyku, jak Nikaragui, Republice Dominikańskiej, Kolumbii, Włoszech, Francji, Japonii, na Filipinach i Korei".

Albowiem pojęcia Stanów Zjednoczonych o wolności i niepodległości są dziś krańcowo odmienne od tych, jakie opiewał Francis Scott Key. Są ich zaprzeczeniem. Dziś sztandar gwiaździsty powiewa na szczycie niezliczonych umoc-

nień znacząc bazy agresji. Do niezliczonych portów świata zawijają okręty wojenne USA, groźbą bombardowań z morza i powietrza torując drogę „Niechybnemu Przeznaczeniu“ koncernów amerykańskich. W stolicach wielkich i małych misje dyplomatyczne Wuja Sama targują się do upadłego przy zakupie wolności i niepodległości narodów.

Schyłek stulecia pary oraz brzask wieku elektryczności i energii atomowej są okresem wielkiej ekspansji kolonialnej mocarstw kapitalistycznych. Starsze imperializmy — angielski i francuski oraz młodszy — niemiecki dzielą między siebie Afrykę i docierają do najbardziej odległych zakątków oceanów. Niebawem zaczyna brać udział w wyścigu nowy rywal — imperializm Stanów Zjednoczonych. Zjawił się później, gdyż zajęty był dotąd gdzie indziej — wchłaniał Półkulę Zachodnią.

Amerykańscy historycy burżuazyjni lubują się w ukazywaniu tych podbojów opromienionych pogodnym blaskiem groteski i zabawnych incydentów. Istotnie, nie brak było sytuacji krotochwilnych. Kiedy marsowy pułkownik Steinberger wysłany przez prezydenta Granta w „poufnej misji“ na wyspy Samoa wzniecił rewolucję, ogłosił się „premierem“ i w chacie półnagiego miejscowego królika zainstalował „prezydium rady ministrów“ — cała ta epopeja prosiła się o libretto. Na scenie zjawili się niebawem Anglicy i Niemcy, operetkowy „rząd“ godnego pułkownika upadł i rozpoczął się okres „międzynarodowych“ intryg, waśni dynastycznych wśród pretendentów do tronu samoańskiego, zaciętych kłótni wśród białych osadników, których kramarskie interesy dziwnie utożsamiały się z „honorem narodów“ i „godnością mocarstw“. Drobne iskry nieciły pożary. Groźny zatarg wybuchł z powodu kilku świń, do których rościł sobie prawo amerykański obieżyświat, niejaki Scanlon. W zatoce Pago Pago zaroiło się od okrętów wojennych. Pancerniki trzech potęg morskich, w odpowiedniej asyście, gotowe były każdej chwili do oddania strzałów. Pogodził wszystkich straszliwej siły huragan, zatapiając w ciągu jednej nocy trzy floty wojenne i handlowe. Z pogromu ocalał tylko mały parowiec angielski, który zdołał na czas wydostać się na pełne morze.

Huragan był rzeczywisty, nie metaforyczny. Ale obecność trzech flot u brzegów małej wysepki, zagubionej w lazurowych bezkresach Pacyfiku, zwiastowała pierwsze podmuchy huraganu, coraz silniej odtąd miotającego światem kapitalistycznym. Toteż sielankowe opisy były nie tylko dowodem wysokiego poczucia humoru skrzętnych historiografów. Badacze prawdy historycznej starali się przy pomocy gry świateł zmienić kolor krwi, przemieszanej z potem, a krzepnącej brudną i niemiłą dla oka plamą wśród zieleni palm i plantacyj. Gdyż wyspy błogosławione dla wielu przestały już być błogosławieństwem, życiodajny blask podzwrotnikowego słońca przemieniał się w piekło. „Kiedy los wysp Hawajskich został przesądzony — mówi skrupulatny dziejopis — stały się prowincją imperium, zamieszkałą przez ludzi Wschodu, a rządzoną przez białych kapitalistów w oparciu o kontrakty pracy bardziej skuteczne i wydajne niż dawne metody plantatorskie w Wirginii i Południowej Karolinie“.

Łagodna ironia tych słów słabo tylko okrywa ich rzeczywistość nabrzmiałą okrucieństwem. Bo wiemy, czym było niewolnictwo nazwane „dawną metodą“, od której „kontrakty pracy“ okazały się „skuteczniejsze“.

„Wer den Dichter will verstehen, muss ins Dichters Lande gehen“. A ziemią, gdzie „Dichter“ amerykański najskuteczniej stosował swoje „metody“, była i jest od lat Ameryka Łacińska.

Ograniczymy się do przytoczenia jednego tylko przykładu. Oto co pisze amerykański pseudo-liberał:

„W roku 1869 mała republika San Domingo przechodziła jedną z tych okresowych rewolucji, które dręczyły ją od dawna; uważając to za dobrą sposobność, prezydent Grant wysłał osobistego agenta dla wybadania gruntu. Dokładnie nie wiadomo, co się tam stało, ale kiedy kurtyna poszła do góry, nieoficjalny agent wyłonił się z traktatem, mocą którego San Domingo zostało anektowane przez Stany Zjednoczone. Agent zapewniał, że układ został zawarty z pewnym osobnikiem, który w owej chwili nosił tytuł prezydenta Republiki Dominikańskiej. Zaopatrzony w należyte podpisy i pieczęcie dokument, przy gorącym poparciu Granta, przesłany został Senatowi USA do ratyfikacji".

Ku oburzeniu Granta Senat cofnął się, zgorszony zbyt jaskrawym cynizmem nie tylko treści, ale i formy potraktowania praw małych narodów. Odtąd zaczęto pilnie przestrzegać, aby najszczytniejsze hasła towarzyszyły najbardziej nawet brutalnym aktom. A im brutalniej, tym wznioślej. Po zagarnięciu hiszpańskich posiadłości kolonialnych Stany Zjednoczone zgniotły bezlitośnie rewolucję na Kubie i Filipinach, którą w teorii popierały, aby mieć pretekst do wojny z Hiszpanią. „Noc w noc — mówił prezydent McKinley — przemierzałem mój pokój w Białym Domu i nie wstydzę się wyznać wam, panowie, że na kolanach błagałem Boga Wszechmogącego o światło przewodnie. Aż pewnej nocy spłynęło ono na mnie — sam nie wiem, jak to się stało. Zrozumiałem, że nic nam nie pozostaje, jak zająć wszystkie te wyspy, ochrzcić Filipińczyków, ucywilizować i z bożą pomocą uczynić wszystko co w naszej mocy dla tych naszych bliźnich, za których Chrystus też umarł. Po czym poszedłem do łóżka i usnąłem zdrowym pokrzepiającym snem". Trzeba przyznać, że tak wyraźnie objawiona wola Opatrzności bardzo się przydała. Na jej rachunek poszło i zatajenie noty hiszpańskiej oferującej koloniom pełną autonomię, a nawet niepodległość, i cofnięcie podobnych uroczystych przyrzeczeń USA, i rozkaz zdziesiątkowania powstańców filipińskich, i wreszcie odebranie im „w imię boże" wszelkich ludzkich praw.

Znacznie prościej ujął to wszystko przyjaciel prezydenta, senator Lodge: „Spodziewam się, że Administracja zajmie Filipiny, które są tym, co wyda w nasze ręce handel ze Wschodem".

Filipiny leżą bliżej Polski niż Stanów Zjednoczonych. Kuba natomiast, „Perła Antylli", stanowi część systematu republik Ameryki Łacińskiej. Spośród 20 państw należących do tego obszaru blisko połowa została przez USA podbita siłą oręża, reszta siłą dolara i nacisków politycznych. Nominalnie wszystkie są niezawisłe. A były niezawisłe istotnie, kiedy w początkach XIX wieku zdarły jarzmo hiszpańskie, a Kolos Północy jeszcze im nie narzucił swojego.

Kolumb i jego następcy wytyczyli drogi naporu europejskiego. Biegły one w kierunku zatoki Meksykańskiej i dalej na południe poprzez przesmyk Panamski ku bogatym peruwiańskim wyżynom. Istniały tam od wieków potężne państwa i świetne cywilizacje. W epoce, gdy Europę zalegały najciemniejsze mroki średniowiecza, Mayowie mieli za sobą trzy tysiące lat nieprzerwanego rozwoju kulturalnego. W XVI wieku Tenochtitlan, stolica Azteków, była miastem większym i ludniejszym niż Londyn. Inkowie umieli zapewnić znaczny jak na owe czasy dobrobyt ziemiom, gdzie dziś panuje niezgłębiona nędza, mimo że liczba mieszkańców była podówczas większa. Po odkrywcach przybyli z Europy zdobywcy. Na gruzach zwalonych kultur szybko odrodziły się

nowe. Pierwszą prasę drukarską uruchomiono w Meksyku w roku 1539, pierwszy uniwersytet założono w 1551— kolonie angielskie dopiero sto lat później osiągnęły podobny stopień rozwoju. Ameryka Łacińska wciąż jednak przodowała — miała już wtedy 6 wyższych uczelni. Liczyła dwadzieścia milionów ludności w końcu XVIII stulecia, gdy USA miały 3 i pół. W Hawanie było 76.000 mieszkańców, a w Mexico City 90.000, gdy Nowy Jork liczył 12.000. Eksport Brazylii był cztery razy większy, całej zaś Ameryki Łacińskiej 72 razy większy niż Stanów Zjednoczonych.

McKinley i senator Lodge, a przed nimi Polk i lincolnowski sekretarz stanu, Seward, nieśli więc światło cywilizacji do krajów, gdzie ogniska kultury były nierównie potężniejsze, a tradycje wielekroć starsze niż we własnym ich społeczeństwie. Ale podczas gdy Stany Zjednoczone przechodziły gwałtowny jak wybuch wulkanu rozkwit kapitalizmu, Ameryka Łacińska tkwiła w dławiących kleszczach zmurszałej i nieruchomej gospodarki pańszczyźnianej.

Trzy były przyczyny zastoju: wielkie latyfundia, pańszczyzna i Kościół katolicki. Wszystkie te czynniki przeciwstawiały się całą swą potęgą wszelkim próbom uprzemysłowienia. Z czasem przyłączył się czynnik czwarty — imperializm USA.

Cała zdatna do uprawy ziemia w Ameryce Łacińskiej należy do 10% ludności. A z rolnictwa utrzymuje się 70%. Toteż z nielicznymi wyjątkami chłopi są bezrolni. W prowincji Buenos Aires do jednej rodziny należy 500.000 ha, w Brazylii są posiadłości równe obszarem całej Anglii, w niewielkim stosunkowo Paragwaju 176 majątków mierzy ponad 50.000 ha każdy. Największym właścicielem ziemskim jest Kościół. Na drugim miejscu stoją wielkie koncerny Stanów Zjednoczonych: United Fruit Co posiada nie mniej jak 1.600.000 ha, dorównuje jej Grace Co, inne zaś, jak Forestal Co z 1.200.000 ha, nieznacznie tylko im ustępują. Koncentracji dóbr towarzyszy niski poziom uprawy. Przeważającym narzędziem jest motyka — w Brazylii jeden pług przypada na 214 gospodarstw. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest katastrofalny stosunek powierzchni ziemi zdatnej pod uprawę do uprawianej faktycznie. W Wenezueli wynosi on niewiele ponad 1%, w Brazylii około 1,5%. Konserwatyzm ekonomiczny ziemiaństwa w Ameryce Łacińskiej sprzęga się z reakcjonizmem społecznym i kulturalnym i utrzymuje cały kontyngent w warunkach, które niewielkim uległy zmianom od XVI-ego stulecia.

W tym stanie rzeczy, kiedy kapitalizm USA skierował wzrok na południe, miał ułatwione zadanie. Po I-ej wojnie światowej ruszyła dolarowa lawina. W 1913 r. inwestycje USA nie przekraczały 173 milionów, obecnie wynoszą ponad 6 miliardów. Ale nie były to inwestycje twórcze, dobroczynne. Nie sprzyjały rozwojowi gospodarczemu. Lawina zielonego papieru urastała w olbrzymią tamę zagradzającą drogę postępowi i uprzemysłowieniu. Stany Zjednoczone wykupywały złoża kopalniane — nafta, aluminium, ołów, cynk, nikiel, miedź i inne bogactwa mineralne przeszły niemal całkowicie w ręce monopoli USA. Rozbudowano koleje — dla wywozu surowców na północ. Inwestycje nie kierują się bowiem do przemysłu, surowce nie są przetwarzane na miejscu. Surowce w stanie przerobionym sprowadzają republiki łacińskie z USA. Przemysł ciężki prawie nie istnieje, cała produkcja stali wynosi półtora miliona ton wobec stu milionów w USA. Rozwinęła się jedynie produkcja konserw mięsnych i tanich tekstyliów: wywóz żywca czy mięsa mrożonego jest nieopłacalny, a ubogą

ludność miejscową nie stać na kupowanie importowanych towarów włókienniczych. Przemysł tekstylny nie osiągnął zresztą imponujących rozmiarów — ilość wrzecion wynosi na całym obszarze łacińskim 4.400.000, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych 24.000.000. W sumie sytuacja przypomina nieco przedwojenne stosunki w krajach demokracji ludowej, tylko w niepomiernie zaostrzonej postaci.

Zagarnięcie bogactw naturalnych daje niesłychane zyski. Według obliczeń przywódcy kubańskiego ruchu robotniczego, Lazaro Pena, kapitały włożone przez USA w Ameryce Łacińskiej, mimo załamania, jakim był wielki kryzys 1929—32, dały w okresie przedwojennego ćwierćwiecza 6.403.000.000 dolarów zysku. Suma ta nie obejmuje oczywiście zysków z eksportu do republik południowych. A jest to eksport wysoko wartościowy, gdyż polega w głównym stopniu na fabrykatach. W r. 1947 doszedł do 4 miliardów dolarów.

Wolność handlu, przedsiębiorstwa, dostępu i konkurencji — oto „Cztery Wolności", jakie głosi imperializm USA torując sobie drogę na podbój świata. Znalazły one wyraz w planie Claytona przedłożonym na konferencji panamerykańskiej w Chapultepec w marcu 1945 i nazwanym „Wielką Kartą Gospodarczą Obu Ameryk". Intencje i przesłanki takiego pozornego liberalizmu są jasne: niesłychana przewaga finansowa Jankesów utrwaliłaby na stałe ich władztwo nad wątłą i przestarzałą ekonomiką Ameryki Łacińskiej. Toteż projekty Claytona napotkały na sprzeciw zarówno czynników postępowych jak i reakcyjnych skądinąd przemysłowców południowych. Opór został jednak przezwyciężony. Ameryka Łacińska przeszła definitywnie na statut kolonialny.

Flaga idzie za dolarem, krzyżują się wpływy gospodarcze, polityczne, wojskowe. Wprowadzona w październiku 1945 standaryzacja broni uczyniła z attachés wojskowych USA właściwych dowódców sił zbrojnych 20 krajów. Dalszym krokiem był traktat „wzajemnej pomocy" podpisany w 1947 w Rio de Janeiro, a przewidujący wspólną akcję wszystkich państw amerykańskich w wypadku „agresji". Ponieważ agresja bezpośrednia nie wchodzi w rachubę, właściwe ostrze traktatu wymierzone jest przeciw możliwości powstania w którejś z republik amerykańskich rządu postępowego.

Okres międzywojenny a także okres wojny z faszyzmem zaznaczył się w Ameryce Łacińskiej wyraźnym nasileniem ruchów robotniczych. Powstała we wrześniu 1938 r. potężna Konfederacja Pracy Ameryki Łacińskiej—Confederacion de Trabajadores de America Latina (CTAL), obejmująca 4 miliony zorganizowanych robotników. Wysoka — wyższa niż w USA — świadomość klasowa łacińskich związków zawodowych doprowadziła do powstania w niektórych republikach frontu ludowego i udziału postępowych elementów w rządzie. Na czele CTAL stoi, jako jej sekretarz generalny, wybitny meksykański działacz robotniczy — Toledano. Po zwycięstwie świata postępu nad Hitlerem, po obaleniu wpływów faszystowskich na Półkuli Zachodniej Ameryka Łacińska stanęła w obliczu demokratyzacji i wyrwania się z więzów kolonialnych.

Ale Stany Zjednoczone nie po to walczyły z imperializmem niemieckim, aby zaprzepaścić własny. Toteż z impetem i zapałem, jakiego nie wykazały w zmaganiach z hitleryzmem, przystąpiły do kontrofensywy. Jednym z naczelnych zadań strategicznych stało się rozbicie CTAL i jej części składowych. Rolę kompanii szturmowych powierzono reakcyjnym przywódcom federacyj związkowych USA, od dawna już dla

podobnych celów pozyskanym i zaprawionym. Dumni z pokładanego w nich zaufania „namiestnicy kapitalizmu w szeregach robotniczych“ przystąpili gorliwie do działania. „Mamy kontakty i sposoby dostępu do obcych krajów, których wykorzystanie jest istotne dla powodzenia amerykańskiej polityki zagranicznej“ — wieścił program CIO ogłoszony w sierpniu 1950 r. A przewodniczący komisji międzynarodowej tejże organizacji, Jacob S. Potofsky, uzupełnił to stwierdzeniem: „Zajęci zbrojeniami i troską o zwiększenie zysków przemysłu, nie zwracaliśmy uwagi na potrzeby duchowe i gospodarcze szerokich mas — na potrzeby tych, co będą się bili o demokrację i nasz styl życia“.

Rezultaty były nader połowiczne. Robotnicy Ameryki Łacińskiej dali wiele dowodów swej gotowości walki o demokrację. Wielki strajk w Chile w 1907 roku został zdławiony dopiero po wymordowaniu wielu tysięcy robotników. 1500 padło w Buenos Aires w styczniu 1919, a w czerwcu 1921 w Patagonii — 2.000. Znów w Chile strajk w kopalniach saletry w czerwcu 1925 pociągnął za sobą 3.000 ofiar zabitych pod pozorem „tłumienia sowieckiego powstania“. W Kolumbii na interwencję United Fruit Co zabito 1.500 ludzi podczas strajku na plantacjach bananów w grudniu 1928. Ale o jankesowski styl życia robotnicy republik łacińskich bić się nie zamierzają. Toteż Potofsky i jego pokroju agenci kapitalizmu wykorzystując swoje kontakty w organizacjach związkowych przystąpili do akcji rozbijackiej: w ten sposób najwidoczniej chcą zaspokoić „potrzeby duchowe i gospodarcze szerokich mas“. Zdołali utworzyć organizację rozłamową i oderwać część robotników. Wyrządziło to ogromne szkody, nie złamało jednak spoistości głównego trzonu CTAL.

Stosując dywersję dla przezwyciężenia oporu „Kolos Północny“ posługuje się również represją. Uległym narzędziem są reakcyjne rządy oparte zazwyczaj na koalicji obszarników, kleru i junt wojskowych przypominających dość żywo sanacyjnych pułkowników. Marionetki buntują się czasami, a wówczas usuwane są bez pardonu. „W okresie 1900—1912 — pisze konserwatywny historyk Dexter Perkins — przetwórnie owoców w USA stale powoływały do życia i obalały rządy republik środkowo amerykańskich, a nawet organizowały rewolucje dla osiągnięcia swych egoistycznych interesów. W Nikaragui rolę tę pełniły banki i nieraz korzystały z asysty piechoty marynarki USA“. Okupacja trzech krajów trwała nieprzerwanie: od 1916 r. do 1929 w Nikaragui, 1916—34 — w Haiti, oraz 1916—24 — w Republice Dominikańskiej. W tym ostatnim państwie, mówi Perkins, USA zorganizowały i specjalnie wyszkoliły policję dla przeciwdziałania rewolucji. Dodajmy, że właśnie szef owej policji, Rafael Leonidas Trujillo, jest od szeregu lat z własnej i USA nominacji prezydentem republiki.

Wzmożony od zakończenia wojny napór monopoli USA, coraz większe rozwarcie nożyc pomiędzy rosnącym importem i malejącym wywozem, szybkie wskutek tego wyczerpanie rezerw i coraz dotkliwszy deficyt dolarowy — wszystko to spowodowało gwałtowną i niebezpieczną inflację w skali dotąd Ameryce Łacińskiej nie znanej, wzrost cen i dalszy spadek rozpoczliwie niskiego poziomu życia szerokich warstw. Poziom ten jest najwyższy stosunkowo w Argentynie. Ale i tam, według obliczeń CTAL, a nawet urzędowych statystyk argentyńskich, przeciętny zarobek miesięczny robotnika wynosił w 1950 r. od 443 peso w przemyśle metalurgicznym do 132 peso w rolnictwie,

podczas gdy minimum kosztów utrzymania rodziny wyrażało się kwotą 1150 peso. Nic więc dziwnego, że ponad 2/3 ludności Ameryki Łacińskiej, czyli z górą 100 milionów ludzi stale i dotkliwie głoduje.

Dość często spotkać się można ze zdaniem, że chłop czy robotnik południowo-amerykański jest bierny, apatyczny i leniwy. Przypisuje się to działaniu klimatu, a nawet rozmaicie pojmowanych czynników wrodzonych. Nic fałszywszego niż takie fatalistyczne ujmowanie sprawy. „Nie umiemy nic zrobić dobrze — pisze znany socjolog brazylijski Afranio Peixota — gdyż ludność nasza żyje w stanie chronicznego niedożywienia". III Międzynarodowa Konferencja dla spraw odżywiania, która odbyła się w Buenos Aires w 1939 r., stwierdziła kategorycznie: „Kontynent amerykański przechodzi prawdziwą tragedię na skutek niedożywienia, które dotyka wszystkie bez wyjątku kraje Ameryki Łacińskiej. Dla znacznej części świata amerykańskiego niedostępne jest minimum żywności, niezbędne do zachowania życia i utrzymania normalnej wydajności pracy ludzkiej". Znani badacze: Soule, Efron i Ness, ustalili, że przeciętna spożycia na Kubie wynosi 915 kalorii czyli znacznie poniżej tego, co tabela opracowana przez Ligę Narodów uznała za „stan rozpaczliwego niedożywienia". Wieśniak wenezuelski zjada czwartą część żywności spożywanej przez jego odpowiednika w Europie. Ci sami badacze dają opis mieszkania robotnika w Argentynie, bowym kraju o poziomie „najwyższym". „Cztery wbite w ziemię drągi, dach sklecony z trawy zlepionej wyschłym błotem, ściany z ułożonego między drągami suszu, maty ze słomy, albo stare worki jako posłanie — oto wszystko". Ameryka Łacińska liczy 70 milionów analfabetów i 50 milionów półanalfabetów, co łącznie daje 80%. Przeciętna wieku wynosi 32 lata, 81% ludności umiera bez pomocy lekarskiej. Nie może sobie na nią pozwolić, a poza tym brak jest lekarzy: w Paragwaju na półtora miliona ludności liczba lekarzy wynosi 109, z czego 93 mieszka w stolicy kraju. W tych warunkach trudno o jakąkolwiek miarodajną statystykę chorobową. Wiadomo tylko, że epidemie są zjawiskiem chronicznym. Soule i jego współpracownicy doszli do wniosku, że „co najmniej połowa ludzi w Ameryce Łacińskiej cierpi na choroby zakaźne i schorzenia wywołane nędzą".

Jesienią 1946 r. grupa uchodźców umieszczonych w czasie wojny w Meksyku wracała do Polski. Zapytani o warunki życia stwierdzali jednogłośnie, że „kto ma spryt, to i tam potrafi się urządzić. Ale Meksykańczyk żyje sto razy gorzej niż u nas najbiedniejszy komornik na wsi (przed wojną). Zje trochę mamałygi i tyle. A jak mieszka — szkoda nawet mówić".

„Jak mieszka" — opisaliśmy wyżej. Ale koncerny USA wygniatają z tych nędzarzy i z ich pracy zyski wynoszące 34, 50, 68, a nawet 90, 100 i 105% rocznie, zależnie od dziedziny wyzysku i koniunktury. I w tym tkwi tajemnica, dla której 90% zdatnej do uprawy ziemi leży odłogiem, dla której żelazny sojusz obszarników, kleru i trustów zagranicznych sprzeciwia się uprzemysłowieniu Ameryki Łacińskiej. Nędza i ciemnota jako środek trzymania w karbach, rabunkowe użytkowanie bogactw naturalnych, przedpotopowe metody produkcji, nikłość inwestycji, słowem wszystkie cechy gospodarki kolonialnej.

Kolonie USA okazały się jednak niesforne. Na murach imperium zachodniego pojawiły się rysy, szafirowe niebo panamerykańskie zasnuła chmurna powłoka trudności gospodarczych i buntów satelickich. Jeden po drugim ambitni wielkorządcy zaczęli knuć włas-

ne mocarstwowe plany, a śniadolicy przemysłowcy głośno krytykowali i sabotowali po cichu dyktatorskie „wolności“ Claytona. Aż zagniewał się Olimp waszyngtoński. Do kolumbijskiej Bogoty, wygrzewającej się pod samym równikiem na niedostępnej kordylierskiej wyżynie, zwołano odprawę nieposłusznych. Napowietrzną czteromotorową kwadrygą spłynął z chmur sam Zeus Departamentu Stanu, George C. Marshall. Pęknięcia i szczeliny zatkano szczerym złotem, całą budowlę odrutowano siecią misyj wojskowych i opasano łańcuchem baz morsko-lotniczych.

Na próżno. Rysy ukazały się znowu. Dopiero pożar Korei złagodził antagonizmy, scementował przyjaźń reakcjonistów i przywrócił chwiejną równowagę.

Do czasu.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDANIA ZBIOROWE

Adolf Dygasiński — Pisma Wybrane, pod red. Bogdana Horodyskiego, tom IV — Gody życia, Opowieść, str. 108 i 5 nlb.; tomy VI i XX — Nowele i opowiadania, tom I — str. 165 i 2 nlb., tom VI — str. 282 i 2 nlb.

Eliza Orzeszkowa — Pisma Zebrane pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XXXVII — Z życia realisty. Za zezwoleniem Ministra Kultury i Sztuki z dnia 11 marca 1947 r. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 285 i 2 nlb.

MARKSIZM — LENINIZM

W. I. Lenin — Dzieła, tom 6. Styczeń 1902 — sierpień 1903. Przekł. z czwartego wydania rosyjskiego przygotowanego przez Instytut Marksa-Engelsa-Lenina przy KC WKP(b). Wydanie na mocy uchwały IX Zjazdu RKP(b) i II Zjazdu Rad ZSRR. Wydanie polskie drukuje się na mocy uchwały KC PZPR. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. VIII, 578, 1 nlb. i 1 fotokopia.

— O prawie narodów do samookreślenia. Materiały do studiowania rozdziału piątego Krótkiego Kursu Historii WKP(b). Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, zeszyt 26. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 93 i 2 nlb.

Lenin i Stalin o budownictwie partyjnym. Artykuły, przemówienia i dokumenty. Tom I. Instytut Marksa-Engelsa-Lenina przy KC WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 904, 8 nlb. i 2 fotografie.

O rozwoju radzieckiego społeczeństwa socjalistycznego. Zbiór artykułów. Przekł. z wyd. ros. przygotowanego przez Akademię Nauk Społecznych przy KC WKP(b). Przekł. z ros. Stefana Chanachowicza. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 403 i 1 nlb.

Sesja naukowa poświęcona trzeciemu polskiemu wydaniu I tomu „Kapitału" Karola Marksa. Referaty i dyskusja. Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 365 i 5 nlb.

Walka o stworzenie bolszewickiej Partii. Konsultacje do rozdziałów I, II, III i IV Krótkiego Kursu Historii WKP(b). Cykl: Konsultacje dla studiujących Historię WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 551 i 3 nlb.

PROZA

Enrique Amorim — Księżyc odmieniał się nad Neuquenem. Przekł. z hiszp. i wstęp Zofii Szleyen. Na zlecenie RSW „Prasa" — „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 254 i 2 nlb.

Honoré de Balzac — Listy dwóch młodych mężatek. Przekł. z franc. Juliana Rogozińskiego. Wstęp dr Macieja Żurowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 240 i 2 nlb.

Gionczo Belew — Nowi ludzie. Zdarzenia z życia Minka Minina. Księga II. Przekł. z bułg. Heleny Bychowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 377 i 3 nlb.

Adolf Dygasiński — Zając. Oprac. Jana Zygmunta Jakubowskiego. Książka zatwierdzona do użytku szkolnego pismem Ministerstwa Oświaty z dnia 2.X.1951. Nasza biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 180.

Julian Gałaj — W rodzinie Lebiodów. Powieść. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 181 i 2 nlb.

Maksym Gorki — Wśród ludzi. Przekł. z ros. Krystyny Bilskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 325 i 1 nlb.

A. Grigulis — Domek pod dziką jabłonią. Opowiadania. Język oryg. łotewski. Przekł. z tłum. ros. Wandy Harland. Ilustr. Mieczysława Kościelniaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 54 i 2 nlb.

Maria Konopnicka — Z włamaniem. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 43 i 1 nbl.

Wincenty Kosiakiewicz — Nowele i opowiadania. Wybór i wstęp Zbigniewa Mitznera. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 168 i 2 nlb.

Józef Ignacy Kraszewski — Poeta i świat. Wstęp Janusza Wilhelmi. Tekst wg wydania z 1872 r. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 188 i 4 nlb.

— Hołota. Powieść współczesna. Wstęp Zbigniewa Mitznera. Tekst wg wydania z 1884 r. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 267 i 2 nlb.

— Wybór opowiadań. Wstęp Zbigniewa Mitznera. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 300 i 3 nlb.

Kruszyński Siergiej — Plony Ałtaju. Przekł. z ros. Janiny Nosewicz, Eugeniusza Żytomirskiego i Marii Kowalewskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 152 i 3 nlb.

Franciszek Kubka — Uśmiech rycerza Paleczka. Przekł. z czesk. Andrzeja Sieczkowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 276 i 1 nlb.

Tomasz Mann — Buddenbrookowie. Dzieje upadku rodziny. Powieść, tom II. Z upoważnienia autora tłum. z niem. Ewa Librowiczowa. Wyd. II. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 295 i 1 nlb.

Zofia Nałkowska — Niedobra miłość. Wyd. V. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 207 i 3 nlb.

Eliza Orzeszkowa — Obrazek z lat głodowych. W zimowy wieczór. Wyd. II. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 76 i 3 nlb.

— Dobra pani. Rys. Antoniego Uniechowskiego. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 108 i 4 nlb.

Vasco Pratolini — Ulica ubogich kochanków. Powieść, tom I. Przekł. autoryz. Marcina Czerwińskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 269 i 1 nlb.

Marian Promiński — Opowieści sportowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 235 i 2 nlb.

Bolesław Prus — Pałac i rudera. Wyd. III, przejrzane, poprawione, uzupełnione

przypisami i notką. Oprac. i red. odp. Danuty Drabikowskiej. Mała biblioteczka „Książki i Wiedzy", tom 7. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 135 i 1 nlb.

Aleksander Serafimowicz — Trzy opowiadania: Piaski. Miasto na stepie. Nad mroźnym morzem. Przekł. z ros. Józefa Brodzkiego. Ilustr. Jana Kobera. Wyd. II. Na zlecenie RSW „Prasa" — „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 362 i 1 nlb.

Maria Szpetowa — Anna i jej rodzina. Przekł. z czesk. Marii Erhardtowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 414 i 4 nlb.

Aleksander Ścibor-Rylski — Węgiel. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 282 i 2 nlb.

Lew Tołstoj — Anna Karenina. Powieść, tom I. Przekł. Kazimiery Iłłakowiczówny. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 371 i 1 nlb.

Frida Wigdorowa — Z pamiętnika nauczycielki. Przekł. z ros. Anny Roteckiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 102 i 2 nlb.

Wolter — Tak toczy się światek... Powiastek filozoficznych tom drugi. Przekł. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Ilustr. Antoniego Uniechowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 213 i 2 nlb.

Treun de Vries — Purpurowy płaszcz wolności. Przekł. z niem. Teresy Jętkiewicz. Sprawdził z oryg. holenderskim Ralf Dzierżawski. Przedmowa Zofii Jaremko-Pytowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 240 i 2 nlb.

Emil Zola — Dzieje Rougon - Macquartów. W matni, tom I. Przekł. z franc. Romana Kołonieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 269 i 1 nlb.

Arnold Zweig — Opowieści dnia wczorajszego. Przekł. z niem. Zofii Jaremko-Pytowskiej. Przedmowa Romana Karsta. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 85 i 3 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Roman Bratny — Ludzie którzy rosną. Jednoaktówki świetlicowe. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 164 i 2 nlb.

Edward Fiszer — Kwatera i przystań. Wiersze z lat 1939—51. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 63 i 1 nlb.

Aleksander Fredro — Śluby panieńskie. Komedia w 5 aktach wierszem. Posłowie Kazimierza Wyki. Mała biblioteczka „Książki i Wiedzy", tom 43, oprac. w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 198 i 2 nlb.

Maksym Gorki — Ostatni. Sztuka w 4 aktach. Przekł. Kazimierza Truchanowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 187 i 2 nlb.

Gyula Hay — Bóg, cesarz i chłop. Sztuka w 4 aktach. Oryg. w jęz. węg. Przekł. z niem. Izabelli Czermakowej. Wstęp Aleksandra Gieysztora. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 135 i 1 nlb.

Włodzimierz Majakowski — Satyry. Wybór i przekł. Artura Sandauera. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 93 i 2 nlb.

Wacław Olszewski — Wiersze w kontrataku. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 48 i 3 nlb.

O Polskę Ludową. Zbiór wierszy i pieśni z lat 1941—1951. Oprac. i wstęp Wiktora Woroszylskiego. Oprac. graficzne Stanisława Töpfera. W przygotowaniu materiałów udział wzięli: E. Markowa i Wł. Góra. Wyd. II „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 162 i 2 nlb.

Pieśń o Rolandzie. Przekł. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Wedle rękopisu oksfordzkiego w oprac. Józefa Bédier. Wstęp Samuela Fiszmana. Rys. Marii Hiszpańskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. X i 142.

Bernard Shaw — Szczygli zaułek. Sztuka. Przekł. autoryz. Floriana Sobieniowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 163 i 1 nlb.
— Profesja pani Warren. Sztuka. Przekł. autoryz. Floriana Sobieniowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 165 i 1 nlb.

HISTORIA LITERATURY I HISTORIA

Jan Kochanowski — Wybór poezji. Oprac. Feliksa Przyłubskiego. Wstęp Jadwigi Pietrusiewiczowej. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, tom 55 opracowany w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952, Str. XXVI, 190, 7 nlb. i 1 ryt.

Kołłątaj i wiek Oświecenia. Wydane wspólnie z „Przeglądem Historycznym". „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 291 i 5 nlb.

Lesage — Turcaret czyli Finansista. Komedia w 5 aktach. Przekł. z franc. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Wstęp, przekład „Krytyki" i opracowanie Anny Jakubiszyn. Biblioteka Narodowa, Seria II, Nr 68. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XL, 128 i 4 nlb.

Materiały do powstania Kostki Napierskiego 1651 r. Wydał i wstępem poprzedził Adam Przyboś. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XCVII i 150.

Franciszek Mehring — Dzieje Niemiec od schyłku wieków średnich. Przekł. z niem. Dra Juliana Maliniaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 328.

Jan Andrzej Morsztyn — Wybór poezji. Oprac. i wstęp Jana Dürr - Durskiego. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, tom 49 opracowany w Instytutcie Badań Literackich. Wyd. II, zmienione. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. L, 163 i 2 nlb.

Aleksander Puzikow — Honoriusz Balzac. Zarys życia i twórczości. Przekł. z ros. Jadwigi Nawrockiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 97 i 2 nlb.

I. Stern — Henryk Heine. Poeta rewolucji. Przekł. z niem. Julii Sokołowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 42 i 1 nlb.

Stefan Żeromski. Prace wykonane w Zakładzie Historii Literatury Polskiej Epoki Imperializmu Instytutu Badań Li-

terackich pod kierownictwem Ewy Korzeniewskiej. Portret Żeromskiego wg rysunku Władysława Skoczylasa. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 369, 3 nlb. i 1 portret.

LITERATURA NAUKOWA

Dawid Jarząbek — Na tropach minionego czasu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 181 i 3 nlb.

S. I. Wawiłow — Izaak Newton. Przekł. z ros. Jana Guranowskiego. Przejrzał i poprawił dr Jan Ehrenfeucht. „Czytelnik" Warszawa, 1952. Str. 245, i nlb. i 1 portret.

KULTURA i SZTUKA

Jan Bułhak — Fotografia ojczysta. Rzecz o uspołecznieniu fotografii z ilustracjami autora. Wstęp Henryka Derczyńskiego. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. IX, 152, 2 nlb i 1 fotografia.

PUBLICYSTYKA

Janusz Gołębiowski — Zubożenie krajów kapitalistycznych w wyniku zbrojeń. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 73 i 2 nlb.

Otto Grotewohl — Po trzydziestu latach. Przekł. z niem. Witolda Kochańskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 169.

Jarosław Iwaszkiewicz — Sprawa pokoju. Wiersze i przemówienia. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 77 i 3 nlb.

Albert E. Kahn — Zdradzony naród. Przekł. z ang. Alfreda Liebfelda. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 420 i 3 nlb.

Andrzej Nowicki — Papież Pius XII w świetle własnych przemówień i listów z lat 1945—1951. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 90 i 2 nlb.

POLSKA LUDOWA — ZAGADNIENIA POLITYCZNE I GOSPODARCZE

Bolesław Bierut — O Partii. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 317, 2 nlb i 1 fotografia.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Władysław Broniewski — Dla małych dzieci. Ilustr. Olgi Siemaszkowej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 45 i 3 nlb.

Juliusz Fuczik — O bohaterach i bohaterstwie. Wybór z pism. Przekł. z czesk. H. Gruszczyńskiej-Dubowej. Ilustr. Vladimir Fuka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 337, 3 nlb. i 1 fotografia.

Wielkie serca. Opowiadania. Przekł. z ros. Anny Roteckiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 98 i 2 nlb.

Siergiej Woronin — Szeroka droga. Przekł. z ros. Marii Kowalewskiej. Ilustr. Mieczysława Kościelniaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 229 i 1 nlb.

REPORTAŻE

Józef Bok — Północny Kaukaz. Wrażenie z wycieczki chłopów polskich do Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 117 i 2 nlb.

Helmut Hauptmann — Młodzież buduje zaporę. Przekł. z niem. Alfreda Liebfelda. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 104 i 3 nlb.

Józef Kuśmierek — Sprawa jednego konia. Rys. Tadeusza Kozłowskiego. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 83 i 3 nlb.

WSPOMNIENIA, BIOGRAFIE, LISTY

Bolesław Bierut. Życie i działalność. Oprac. Józefa Kowalczyka. Wydział Historii Partii KC PZPR „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 149, 2 nlb. i 1 fotografia.

Jadwiga Siekierska — Narodziny nowego. Wspomnienia z lat rewolucji. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 73 i 2 nlb.

1.-
80/841/71025

SPIS TREŚCI

Str.

Jan Śpiewak — Do Jana Kochanowskiego 3
Aleksander Maliszewski — Droga do Czarnolasu . . . 4
Tadeusz Breza — Jokkmokk 71
Jan Parandowski — Nowy przekład Odysei 95
B. Bursow — Bieliński o realizmie Gogola 111
György Lukacs — Walka ze schematyzmem 128
Bronisław Čirlič — Christo Botew a Polacy 137
Kazimierz Budzyk — Przed Sesją Sienkiewiczowską . . . 145

WŚRÓD KSIĄŻEK: Hieronim Michalski — Mieczysław Jastrun „Barwy ziemi"; Włodzimierz Maciąg — St. R. Dobrowolski „Wiersze i poematy"; Leszek Herdegen — Wilhelm Szewczyk „Poemat górniczy"; Jan Józef Lipski — Franciszek Fenikowski „Lewy brzeg"; Samuel Sandler — Jan Zygmunt Jakubowski „Z dziejów naturalizmu w Polsce"; Salomon Łastik — Janina Broniewska „Ogniwo"; Ludwik Grzeniewski — Stanisław Lem „Astronauci"; Marceli Ranicki — S. C. Weiskopf „Nędza i wielkość naszych dni" . . . 151

TEATR: Juliusz Żuławski — Na scenach warszawskich . . 182

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński 189

KSIĄŻKI NADESŁANE 205

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".

Cena zł 5.–